

Joanna Stankiewicz

II / 1660 / 1k

DZIS MÓWIE LUDZIOM, CO MÓWIŁAM BOGU

Gdynia 1990

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Spis treści

	str.
Mój prywatny konflikt polsko-komunistyczny i jego źródła	1
Rodzice	1
Kuchnia	10
Młodość i szkoła	13
Matura	32
Przygotowania do wojny	36
Wojna	39
Pod sowieckim panowaniem	42
Konspiracja	50
Aresztowanie	68
Baranowicze - więzienie śledcze NKWD	88
Sledztwo	91
Wieżenie Centralne w Baranowiczach-Wiśniczu	149
Więzienna wigilia	180
Wyjazd do Mińska	199
"Powitanie" w Mińsku	214
Przygotowanie do sądu	220 ⁿ
Najwyższy Sąd Wojskowy ZSSR i wyrok	226
Na zamku Sapiehów czyli w Więzieniu Centralnym	232
Wielkanoc na zamku sapieżyńskim w Mińsku	246
Nadal w Więzieniu Centralnym w Mińsku	253
Czas nadziei	261
Krwawy etap	271
Nareszcie wędrówka bez strachu	290
Wykaz osób, które pamiętam z więzienia w Baranowiczach	307
Wykaz osób, z którymi zetknęłam się w więzieniach Mińska Białoruskiego	309

Wstęp

Początkowe rozdziały pisałam z pamięci, a fakty w nich opowiedziane są takimi jak je zapamiętało dziecko, więc niekiedy bardzo subiektywnymi. Włączyłam je do moich przeżyć więziennych, gdyż warunki w jakich wyrosłam i wychowałam się miały istotny wpływ na ukształtowanie się mego charakteru i przebieg pobytu w więzieniu. Natomiast poczynając od rozdziału "Konspiracja" miałam oparcie w pamiętniku spisanym w trakcie powrotu do domu i po powrocie w latach 1941-44. Są więc one napewno wiarygodne pod względem faktycznym, natomiast wyrażane opinie są niejednokrotnie naiwne, pełne młodzieńczej zarozumiałości i nawet śmieszne.

Kiedy po 45 latach dostałam po raz pierwszy ponownie pamiętnik do ręki i przeczytałam, co pisałam o Niemcach byłam tym bardzo zawstydzona, ale po głębokim zastanowieniu się doszłam do wniosku, że tak rzeczywiście wtedy było. Żołnierze niemieccy występowali wobec nas w charakterze wyzwolicieli, a okrucieństwa sowieckiej okupacji przesłoniły nam fakt, że to Niemcy rozpoczęli wojnę; zresztą wtedy jeszcze nie znaliśmy okrucieństw Gestapo.

Oryginalny tekst z pamiętnika pisany jest w cudzysłowie i z odstępem od początku linijki dla uwypuklenia go. W tekście z pamiętnika spotyka się sporo rusycyzmów, bo pisałam go pod wpływem pobytu w więzieniu. Szczególnie dotyczy to terminologii więziennej której w języku polskim nie znałyśmy wcale, a słownictwo więzienne zaczerpnęłyśmy z języka rosyjskiego niekiedy polonizując je. Dlatego też nawet w słowach rosyjskich zachowałam taką pisownię jak ona dla nas wtedy brzmiała fonetycznie, nie troszcząc się o prawidłową pisownię w języku rosyjskim. Na przykład używam słowa "pregułka" zamiast "progułka" - bo tak wtedy mówiłyśmy. Dodałam jedynie w nawiasie tłumaczenie tych słów na język polski.

Razi mnie bardzo zbyt pewność siebie i zarozumiałstwo, ale

dla zachowania autentyczności pamiętnika nie chcę nic zmieniać. Zostawiam również takie słowa gwary młodzieżowej jak "gadać" zamiast "mówić, rozmawiać" lub "wyłazić" zamiast "wychodzić" itp. Niejednokrotnie nie umiałam - pomimo usilnych starań - rozszyfrować nazwisk, tam gdzie użyłam tylko pierwszej litery, ale na to nic nie poradzę. Może teraz ktoś się zgłosi, bo jednak większość moich współwięźniarek to były młode dziewczęta.

Na końcu podaję wszystkie cele, w których siedziałam i okresy w nich przebywania. Może w ten sposób uda się odnaleźć kogokolwiek czyj los nie jest mi znany ani obojętny.

Chciałabym się spotkać z każdą towarzyszką niedoli - niezależnie od tego czy wtedy lubiłyśmy się czy też nie. O spotkaniu z Grażyną w Mińsku i Radoszkowiczach napisałam dość złośliwie, a przecież zawsze ją lubiłam i ceniłam; spotykałam się z nią w czasie okupacji niemieckiej w Mińsku i nigdy nie uwierzyłabym, że mogłam coś takiego powiedzieć gdyby nie "czarno na białym" napisane. Musiałam napisać to pod wpływem Wali, która - jak wynika z grypsu - nie była najlepszej o Grażynie opinii. Ale w więzieniu wszystkie sprawy miały inne wymiary i oceny; drobne sprzeczki urastały do rozmiarów problemów międzynarodowych, na które dziś nikt nie zwróciłby uwagi.

Mój prywatny konflikt polsko-komunistyczny i jego źródła

Rodzice

Genezy mego prywatnego konfliktu polsko-sowieckiego należy szukać już w najwcześniejszym dzieciństwie.

Rodzice moi poznali się i pobrali w Sankt Petersburgu 12 maja 1918r. i jak daleko sięgam pamięcią carska Rosja, rewolucja i Sowiety były stale obecne w naszym domu; poczynając od opowieści o powstaniu styczniowym, które babcia Ewa Litwinowiczowa pamiętała z lat dziecięcych i prześladowaniach z nim związanych poprzez dowcipy o oficerach carskich i kupcach rosyjskich dochodziło się do rewolucji lutowej Kiereńskiego, o której wszyscy w domu wypowiadali się raczej pozytywnie, bo takie o niej pozostało w mej pamięci wspomnienie, a kończyło się na strasznym roku 1918 symbolu głodu, terroru i wszystkiego co najgorsze.

Milszymi opowieściami były podróże Ojca i zdobywanie w odległych od Sankt Petersburga miejscowościach żywności i związanych z tym przygodach. Opowieści o Uralu, Kaukazie czy Kijowie bardzo mi się w przyszłości przydały na lekcjach geografii. Żywności w owych dniach rewolucji brakowało bardzo i zdobyć ją można było jedynie na prowincji. Od dziecka nie lubiłam egoistów i bardzo utkwiała mi w pamięci historia o tym, jak wujenka Rózia otrzymała w Sankt Petersburgu od rodziny na Wileńszczyźnie paczkę, a w niej była między innymi prawdziwa sławna litewska domowa kiełbasa, którą wujenka dawała wszystkim... do powąchania, a zjadła sama z rodziną.

Wujenka i babcia Ewa bardzo się nie lubiły i kiedy potem po śmierci wujka Józefa wujenka mieszkała z synem kierownikiem szkoły w Bieniakonjach, a ja spędzałam u nich wakacje, ilekroć wujenka pytała mnie kto mnie nauczył czegoś dobrego /pacierza, wycierania naczyń itp./ zawsze żłośliwie odpowiadałam : bab-cia. A mówiło się, że dzieci nic nie widzą i nie rozumieją. Do Bieniakonń jeździłam zanim zaczęłam chodzić do szkoły.

Ale wracając do rewolucji rodzice i ich znajomi opowiadali straszne rzeczy o jej przebiegu i panującym wtedy poza głodem strasznym terrorem, a mianowicie o tym jak Dzierżyński - czerwony kat - uruchomił kolej, jak pomimo panującego w mieście głodu nie wolno było przewozić żywności, o setkach rozstrzeliwanych bez wyroków i mordowanych. Byli przecież w samym oku cyklonu, który zmiotł z powierzchni ziemi system wydawałoby się niepodważalny na rosyjskiej ziemi.

Z drugiej strony dom mój był głęboko patriotyczny. Dziadek Szymon Litwinowicz - o którym nie słyszałam wiele, gdyż zmarł wkrótce po urodzeniu się mojej matki i ona nie znała go wcale - gospodarzył wcale dobrze na 14 hektarowym gospodarstwie z kawałkiem jeziora Swir /obok znanego jeziora Narocz/. Wiodło im się raczej dobrze do jego śmierci. Najmłodszy brat mojej matki - późniejszy działacz polonijny w USA - był starszy od mojej matki o 10 lat, a najstarszemu, gdy miała ona 4 latka urodził się syn. Nic więc dziwnego, że bracia bardzo czule opiekowali się siostrzyczką i rozpieszczali ją - każdy na swój sposób.

Po śmierci ojca dwaj starsi bracia /Józef i Wincenty/ wyjechali do Sankt Petersburga szukać szczęścia, a dwaj młodzi /Michał i Antoni/ - do USA; w 1914r. chcieli oni ściągnąć do USA również siostrę i nawet przysłali jej już bilet okrętowy. Wybuch I Wojny Światowej pokrzyżował te plany. Nie wiem co się stało z biletem okrętowym - matka mówiła „szifkartą”, ani dlaczego w tej sytuacji starsi bracia zabrali matkę do Sankt Petersburga. Wiem tylko, że narzeczony czy też tylko ukochany matki był w legionach i zginął. Może więc to było przyczyną jej wyjazdu z Niewiarowicz, bo nie wiem kiedy wiadomość o tym zgonie nadeszła czy przed wyjazdem czy też dopiero kiedy ona była już w Sankt Petersburgu. W każdym razie w rok po ślubie moich rodziców ten narzeczony wrócił z niewoli i skontaktował się z moją matką, która kilka nocy przepłakała, ale pozostała przy mężu, wierna złożonej przysiędze.

Dziadek ojca był zesłańcem na Syberii po powstaniu styczniowym i jego obrazek Ostrobramskiej długo był w rodzinie. Jeszcze ja miałam go u siebie, ale że był to obrazek malowany na szkle kiedyś się niestety stłukł ku mojej wielkiej rozpaczy.

Rodzice mego ojca należeli do ludzi raczej lubiących się zabawić i oboje bardzo wcześnie osierocili dwójkę dzieci: mego ojca Bronisława i jego siostrę Michalinę. Dziadek Lukwik Stankiewicz zmarł kiedy mój ojciec miał 4 latka, a jego siostra - dwa, ale przedtem jeszcze zdążył przegrać w karty cały folwark. Babka Marianna podążyła za nim w dwa lata później nie zostawiając dzieciom dosłownie nic. Zajęli się nimi jacyś dalecy krewni, ale nie musiała to być nadzwyczajna opieka, bo gdy tylko ojciec skończył 16 lat wybrał się do Sankt Petersburga szukać szczęścia. Następnie ściągnął do siebie - czego nie mógł sobie potem do śmierci darować - również siostrę i niestety uciekając potem z żoną do Kraju pozostawił ją w Sankt Petersburgu licząc, że potem jej też uda się jakoś wrócić.

Rodzeństwo - może dlatego, że tak wcześnie osieroczone - bardzo się kochało i pragnienie ściągnięcia siostry do Kraju towarzyszyło ojcu przez całe życie aż do śmierci. Pamiętam, że przekazywał jej dolary do jakiegoś takiego sklepu, gdzie można było wszystko tanio kupić - coś w rodzaju naszych obecnych PEWEXów, ale wtedy termin ten w Polsce nie był znany. Kiedyś za przysłane pieniądze ciotka kupiła wszystko na święta, a na drożdże nie wystarczyło i za te drożdże ciotka zapłaciła więcej niż za wszystkie artykuły kupione za dolary przesłane przez ojca.

Kiedy już po wojnie byłam w Leningradzie starałam się ciotkę odnaleźć, ale niestety nie wiele o niej i jej rodzinie wiedziałam /gdzieś jest w rodzinie tylko zdjęcie półrocznego bobasa z podpisem Jura, ale nawet bez roku, więc po tylu latach identyfikacja jest raczej trudna/, stąd poszukiwania okazały się bezskuteczne. Chciałam ją odnaleźć przez pamięć na ojca, ale w Sowietach w 1957r. nie była to sprawa łatwa, tym bardziej, że na skutek blokady w Leningradzie zginęły setki tysięcy osób.

W Sankt Petersburgu ojciec poznał dużo od niego starszego brata mojej matki Wincentego i bardzo się z nim zaprzyjaźnił. Naturalną konsekwencją tej przyjaźni było poznanie mojej matki. Po pewnym czasie wujek Wićcenty, przejął inicjatywę i zapytał ojca:

- Podoba ci się moja siostra?

a matkę:

- Podoba ci się mój przyjaciel?

A po otrzymaniu pozytywnej odpowiedzi z obu stron zarządził:

- To się pobierzcie!

I tak doszło do ślubu w pamiętnym roku 1918 w kościele pod wezwaniem Notre Dame przy ulicy Newskij Prospekt w Sankt Petersburgu. Gdy tam byłam w 1957r. w kościele tym był między innymi basen kąpielowy, ale teraz podobno kościół wraca do swej pierwotnej roli. Czasy były burzliwe, sytuacja trudna, ale ojciec jakoś sobie dawał radę z utrzymaniem żony. Dopiero tak zwana rewolucja październikowa dała się ludziom porządnie we znaki. Zapanował głód, który jednak ciągle jeszcze nie doskwierał moim rodzicom. Pomimo to zimą 1919/1920 r. kiedy rodzice dowiedzieli się, że naprawdę nareszcie powstała wymarzona Polska, że rządzi sławny Piłsudski, ojciec zdecydował, że natychmiast wracają do Kraju, przez zieloną granicę, ale to nie wydawało się stanowić problemu.

Na dojazd w pobliże frontu ojciec miał przepustkę. Bizuterię i cenniejsze drobiazgi zapakowali w podwójne dno, ale dziś nie wiem walizki czy samowara i wyruszyli w mroźny dzień lutowy do Kraju. W pobliże frontu dotarli bez przeszkód pociągiem, ale tuż przy froncie rozpoczęły się przygody. Aresztowano ich i zamknięto w jakimś chlewiku czy czymś podobnym. Było tam już więcej osób. Pieniądze i chyba jednak była to walizka zabrano na przechowanie.

Nie wiem dlaczego, ale ojciec wiedział, że tylko jemu grozi rozstrzelanie, a że matce nic nie zrobią, więc gdy tylko nadarzyła się okazja

po uprzednim uzgodnieniu, że Polsce spotkają się w Lidzie /i znów nie wiem dlaczego właśnie tam, bo żadne z nich nigdy przedtem w tym mieście nie było, ale może mieli jakichś krewnych czy znajomych, o których ja nie słyszałam/ i po pożegnaniu się ojciec uciekł. Samemu łatwiej mu było zrealizować ten plan, tym bardziej że pilnowano głównie jego, a nie żony.

Gdy rano odkryto ucieczkę ojca matka rozpaczała, że taki podły rzucił ją w ciąży, a robiła to tak doskonale, że nawet komisarze poczuli dla niej litość i wypuścili ją, żeby szła szukać tego niegodziwca. Oddali jej pieniądze i walizkę po opróżnieniu podwójnego dna, co mamusia stwierdziła dużo później kiedy chciała zrewanżować się dobrej staruszcze nad rzeką Dźwiną, która jej bardzo pomogła, gdy już myślała, że umrze wśród zamieci śnieżnej.

Przepadła cała biżuteria i złoto, a pieniądze, które jej wtedy odda- no zabierałam - gdy poszłam do szkoły - "na murzynków", chociaż do- prawdy nie wiem co murzynki mogły robić z papierowymi carskimi rubla- mi, jakkolwiek były to ruble papierowe wymienione za prawdziwe ruble w złocie /bo wygodniej z nimi było podróżować/ i mające wtedy taką samą wartość jak złoto. Trudno nam w to uwierzyć, ale naprawdę tak było. Pamiętam, że było tego w domu sporo - i nie tylko u nas, bo prawie wszystkie dzieci przynosiły je do szkoły. Były też w domu pie- niądze zwane kierenkami, ale te chyba miała babcia Ewa, kiedy przyje- chała, żeby z nami zamieszkać. Kiedy podrosłam lubiliśmy bardzo się nimi bawić.

Wracając jednak do powrotu rodziców to przygody mamusi nazywały się u nas: "Bajka o chatce na kurzej stopce", od chatynki, do której ma- musia trafiła w ostatecznym wyczerpaniu nad rzeką Dźwiną. Była to na- sza ulubiona bajka, obejmująca dla nas niezwykle historie, która jed- nak wkroczyła w moje życie dużo później niż opowieści o krwawym kacie Dzierżyńskim, ale również zawierała okropne przeżycia wśród bolszewków.

Jeszcze dziś widzę ojca wykradającego się w gwieździstą, mroźną noc z chlewika i rozglądającego się czy nie dostrzeże gdzieś komisarza grożącego pistoletem. Albo matkę z trudem posuwającą się wśród zamieci i śnieżnych zasp, dźwigającą z trudem ciężką walizkę i upadającą z głodu i zmęczenia zanim nie dotarła do dobrej staruszki w ubogiej chatynce nad Dźwiną. Ta Dźwina to musiał być jakiś punkt na linii frontu, bo potem podróż jest jakaś mniej trudna.

Czy przygody ojca były mniej fascynujące czy po prostu ojciec miał mniej czasu na ich opowiadanie, dość, że zapamiętałam z nich tylko to, że po przekroczeniu linii frontu ojciec trafił do oddziału, którego dowódcą był pułkownik Stankiewicz. Otóż ten pułkownik po wy pytaniu ojca skąd pochodzi, jak się nazywali rodzice itp. stwierdził, że jest dalszym stryjem ojca i chciał go zatrzymać przy sobie. Ojciec jednak dążył na umówione spotkanie z żoną i oczekiwanym dzieckiem do Lidy. Taki był nasz ojciec: każde dziecko było dla niego objawieniem i radością. Kochał nas wszystkich jak niewielu ojców.

Zanim jednak jeszcze trafił do tego oddziału po przekroczeniu linii frontu zobaczył sklep czy kiosk z bułkami. Kupił jedną zjadł ją łapczywie i patrzył jakby tu zdobyć chociaż jeszcze jedną, bo był bardzo głodny. Zapytał więc nieśmiało czy może kupić jeszcze jedną.

Kiedy zaś odpowiedziano mu, że może kupić ile zechce, jeżeli tylko ma pieniądze nie mógł w to uwierzyć przyzwyczajony do systemu kartkowego w Sowietach. Z tego wynika, że ojciec musiał mieć jakieś pieniądze, które były przyjmowane również w Polsce.

Wspomnienia te są takie, jak je zapamiętało dziecko i żałuję bardzo, że nie omówiłam ich z mamusią dopóki żyła, a ja byłam już bogatsza w moje własne sowieckie doświadczenia. Stąd też brak w nich logicznego powiązania przyczynowego, są wrywkowe i niekiedy może zabarwione fantazją dziecka, jak to miało miejsce z wyglądem Dzierżyńskiego.

To wszystko złożyło się na ukształtowanie mego poglądu "politycznego", Natomiast mój patriotyzm wycisłałam zarówno z domu, jak szkoły i kościoła. Kiedy miałm 3 latka urodził się mój brat, który nie znosił kąpie-
li i uspakajał się dopiero wtedy kiedy widział nad sobą żarówkę. Ma-
musia kąpiąc go pod żarówką śpiewała "Chorał" Ujejskiego. I to była
pierwsza piosenka, która utkwiała w mej pamięci. Potem były opowieści
o walce za Polskę i wolność. O tym jak mamusia uczyła się języka pol-
skiego w tajnej szkole niby na kursach szycia, gdzie elementarze i
maszyny do szycia były zamiennie chowane pod podłogę. Maszyny wyjmo-
wano, gdy czujki donosiły, że zbliża się policmajster. Potem sama ma-
musia w takiej szkole uczyła.

Do moich pierwszych wierszy należał taki:

Tam w Szwajcarów wolnej ziemi

Żył Kościuszko długie lata.

I obracał tęsknie oczy,

Gdzie rodzinna jego chata.

Z Maciejowic w ranach wzięty

Ciężką przetrwał on niewolę.

Nim wygnaniec poszedł we świat

Na tułaczkę, na niedolę.

A gdy poczuł, że śmierć blisko,

Ujął w ręce miecz swój dumny

I na Północ spojrział rzewnie.

Twarz mu blaskiem się zajęła

I konając wyrzekł z mocą:

Jeszcze Polska nie zginęła!

Nigdy potem tego wiersza nie słyszałam, ani nie znam jego autora, ale
wciąż jeszcze pamiętam.

Najwięcej kłopotu sprawiał mi taki wierszyk: "Hipopotam wodny stwór,
niezgrabności to jest wzór". Pech chciał, że nasz dziekan nazywał się

Hipolit i był ogromnej tuszy. Nigdy nie mogłam zapamiętać czy ksiądz jest Hipolit czy hipopotam.

Nieco później moim ulubionym wierszem był: "Kto jak on" Iłłakowiczówny. Niezależnie od wielkiej miłości do Marszałka pisałam również listy do Generała Hallera. Różnice poglądów obu panów absolutnie mi nie przeszkadzały.

W początkowych latach pobytu meich rodziców w Lidzie mieszkał u nas bratanek mamusi Józef, prawie rówieśnik rodziców, gdyż jego rodzice jeszcze pozostawali w Sowietach. Józek był nauczycielem, co mi bardzo imponowało. Żeby również zostać nauczycielką zakradłam się do jego pokoju i wzięłam pince-nez, bo uważałam, że to mię już uczyni nauczycielką. Okulary stłukłam, dostałam lanie i tak skończyła się na razie moja nauczycielska kariera.

W czasie studiów w seminarium nauczycielskim w Wilnie Józek musiał uczyć się białoruskiego i opowiadał taki wiersz; urywki tego wiersza tak zapamiętałam:

Przyjeżdża do wsi rosyjski policmajster i pyta chłopca:

- Ty kto?

A chłop odpowiada:

- Ja, tutejszy.

I na powtórne zapytanie też, mówi:

- Ja tutejszy. Wot maja chata, a won moj i sad. Tut maja żonka, a tam hare brat./Ja tutejszy. Oto moja chata, a tam mój sad. Tu moja żona, a tam orze brat/.

Wtedy zagniewany policmajster smagnawszy go nahajką krzyczy:

- No ruski ty, czy Palak? /Prawosławnyś ty czy katolik?/

Na co chłop kuląc się pod razami odpowiada:

- Kali pan dy bjesz mianie tak biez daj pryczyny, buduż ja Palakam ad hetaj hadziny! Jeżeli pan bije^{nie} tak bez powodu, będę ja Polakiem od tej godziny.

Wiersz był po białorusku, a ja tego języka nie znałam, ale jednak

urywki dobrze zapamiętałam i przypomniały mi się one po wielu, wielu latach, kiedy w 1945r. byłam nauczycielką szkoły białoruskiej w Ejtunach. Przepraszam byłam wręcz kierowniczką szkoły, o bardzo dobrej opinii zawodowej, bo kierowanie szkołą polegało na organizowaniu jej, a przydzielona mi do pomocy nauczycielka z Mińska, chociaż w przeciwieństwie do mnie znała język białoruski i rosyjski oraz miała ich przygotowanie pedagogiczne, w praktyce nie dorównywała mi pod żadnym względem - nawet jeżeli chodzi o te dwa obce dla mnie języki. Wtedy przekonałam się dokładnie jaki jest poziom ich nauczycieli.

Z mieszkańcami Ejtun byłam w wielkiej przyjaźni i prywatnie uczyłam w domach języka polskiego. Mnie nazywano we wsi "panienka", a moją koleżankę, "Papanasia", gdyż po rosyjsku nazywała się ona Nina Afanasjewna, czego nasi wieśniacy nie potrafili wymówić.

Otóż kiedy zaczęto mówić o repatriacji /nie rozumiem dlaczego repatriacji, skoro nigdy Ojczyzny nie opuściliśmy/ ja byłam przeciwna opuszczaniu tamtych terenów żeby nie pozwolić na zrusyfikowanie ich.

Kiedy jednak wezwano mnie do NKWD i zaproponowano współpracę /pewnie taki u nich zwyczaj, że nauczyciele są szpicłami NKWD/ szybko zmieniłam zdanie i zapisałam się na wyjazd do Polski. W ślad za mną zapisała się cała wieś chcąc jechać tam, gdzie i ja czyli do Kościerzyny, którą znałam z przedwojennego obozu PWK w Garczynie. Dowiedziała się o tym sąsiednia wieś Ostrejki /szlachta/, gdzie mieszkali sami Ostrejkanie. Przyszli do mnie z prośbą, żebym im napisała podanie do PUR, że jakkolwiek są prawosławnymi, ale zawsze czuli się Polakami. Do zmiany religii zmusił ich car w ramach przymusowych chrztów, właściwie nie tyle ich, co ich przodków. Teraz chcą koniecznie jechać do Polski. Podanie napisałam i formularze do PUR też im powypełniałam, ale chyba nie odniosło to skutku, bo niewierządy Sowietów segregowali ludzi na Kresach Wschodnich Polski według religii: prawosławni to Białorusini, a katolicy - to Polacy.

Wybiegłam jednak zbyt daleko naprzód.

Kuchnia

W ukształtowaniu moich poglądów "politycznych" najważniejszą jednak rolę odegrała KUCHNIA. To ona miała decydujący wpływ na mój światopogląd. Ona to znaczy kuchnia i królująca w niej Wikcia.

Nie jest chyba możliwe, żebym z młodszym ode mnie o 3 lata bratem spędzała cały czas w kuchni, jeżeli mamusia nie pracowała, a do tego jeszcze mieszkała z nami babcia Ewa. Tym nie mniej w mojej pamięci z najwcześniejszego dzieciństwa kuchnia urasta do gigantycznych rozmiarów i przesłania inne drobne wspomnienia takie jak domek dla lalek przyniesiony przez Trzech Króli /nie wiem dlaczego w okresie tym prezent przynosili poza Sw.Mikołajem również Trzej Królowie - tak jak to do dziś jest praktykowane w Hiszpanii i chyba Włoszech/, moździeż do migdałów, a także ojca pochylającego się nad moim łóżeczkiem gdy byłam chora na zapalenie płuc w wieku lat czterech. Najwcześniejszy obraz ojca to pochylający się nade mną z kiścią winogron. Przed wspomnieniem kuchni usuwa się również w cień Napoleon. Pewnie też gdzieś w wieku czterech lat byłam z rodzicami w kinie i zapamiętałam pana w wielkim kapeluszu, a rodzice powiedzieli mi potem, że był to Napoleon. Nawet pożar pobliskiego tartaku w 1926r. kiedy już zaczęto usuwać meble z naszego mieszkania ustępuje miejsca wspomnieniom kuchni.

Wszystko co się działo w kuchni mogło dotyczyć okresu mojego życia pomiędzy trzecim a piątym rokiem życia. W owym czasie granica pomiędzy Polską a Sowiecami była jeszcze bardzo mało zamknięta i ludzie chodzili w tę i tamtą stronę. Otóż Wikcia oprócz córki Stasi - która była wtedy "stara", bo miała 10 albo może i więcej lat - miała męża, chyba Andrzeja, który pozostał po tamtej stronie granicy. Para ta chciała się połączyć, ale nie wiem po której stronie i jakie były na ich drodze przeszkody.

W związku z tym przez naszą kuchnię przewijało się mnóstwo ludzi, którzy ciągle mówili o rewolucji i Sowieciech. A opowieści te były prze--

rażające. Przycupnięci gdzieś w kąciku staraliśmy się z bratem być jak najgrzeczniejszymi, żeby zasłużyć na największą w naszym życiu atrakcję, to jest: "psz...". "Psz..." było dla nas tym chyba czym dla dzisiejszych dzieci jest komputer, a polegało na tym, że Wikcia rozgrzewała na piecu patelnię, a my mogliśmy wylać na nią szklanekę wody.

Goście Wikci absolutnie nie krępowali się naszą obecnością i snuli makabryczne opowieści nawet nie przypuszczając jak głęboko zapadają one w mój umysł /brat miał wtedy rok czy półtora, więc rzeczywiście poza naszym ulubionym "psz..." nie wiele chyba rozumiał ani zapamiętał.

Czołową i najstraszniejszą postacią w tych opowieściach był czerwony kat Dzierżyński i ściśle z nim związana Sońka Czerezwyczajka. Może to była jakaś lokalna postać, a może ja coś pokręciłam. W każdym razie, chociaż od tego czasu czytałam wiele na temat rewolucji i GPU czy CzeKa nigdzie się z Sońką Czerezwyczajką nie zetknęłam. W każdym razie Dzierżyński stał się postrachem mego dzieciństwa. Snił mi się po nocach i wtedy zrywałam się z krzykiem i muszę przyznać, że nigdy ten strach nie minął. Nawet po wojnie w Warszawie bałam się iść przez Plac Bankowy zwany wtedy Placem Dzierżyńskiego. Już wtedy - chociaż bez takiego zamiaru - wszczepiono w mój umysł nieufność i obawę przed GPU, NKWD, KGB czy jak tam nazwać tę instytucję. Bardzo mi się te doświadczenia z dzieciństwa przydały, gdy w 1940r, zetknęłam się z tym organem bezpośrednio.

W dzieciństwie nigdy Dzierżyńskiego ani jego portretów czy posągów nie widziałam, a tylko o nim słyszałam. Wyobrażałam go sobie jako okropnego dziada z długimi, kudłatymi włosami i potarganą brodą - coś w rodzaju Wernyhory, tyle, że z dzikim wzrokiem - a w ręku zawsze w moich snach miał długi nóż i rewolwer. Obraz ten pozostał w mej wyobraźni pomimo potem widziałam jego pomniki i portrety w niczym nie

przypominające mego o nim wyobrażenia. W czasach mego dzieciństwa dzieci bały się Baby Jagi, dziada-żebraka, kominiarza, Cyganów i może groźne opowieści o krwawym Dzierżyńskim z takim właśnie obrazem mi się skojarzyły i dlatego taki właśnie obraz pozostał na zawsze. Wtedy też ukształtowało się i utrwaliło we mnie znaczenie pojęcia "komunista". Na zawsze słowo to skojarzyło się w moim dziecięcym umyśle z najgorszymi pojęciami takimi jak: morderca, bandyta, złodziej, kłamca, oszust itp. Kiedy nieco później babcia Ewa, której byłam ulubienicą, odważała się sprzeciwić mnie, albo miała jakieś zastrzeżenia wobec moich rodziców, ja jako ostatecznego argumentu- ciosu, który był dobijającym, używałam zdania: " a babci syn komu- nista", bo jeden z moich wujków /ten który skojarzył moich rodziców/- pozostał w Sankt Petersburgu, a potem przeniósł się do Moskwy. Kiedy w wiele, wiele lat potem w 1939r. po zajęciu Kresów Wschodnich przez wojska sowieckie mówiono o kimś, że jest komunistą wydawało mi się, że go obrażają. Sama nigdy tego słowa w pozytywnym znaczeniu nie użyłam, raczej czułam się zażenowana, gdy w 1940r. sędzia śledczy mówił o sobie, że jest komunistą.

Wujka-komunistę poznałam w 1957r. kiedy był już bardzo, bardzo stary, tak stary, że nie mógł zapamiętać mego imienia, ale okazywał maksimum zainteresowania moją osobą stale martwiąc się czy "gościa" już jadła, a gdzie ona jest, czy nie zbłądziła w mieście, czy jej się coś nie stało itp.? Ja rzeczywiście całe dni spędzałam na zwiedzaniu Moskwy i czułam się lekko nieswojo, że ten wujek, którego przez całe życie traktowałam jak zakałę rodziny jest dla mnie taki serdeczny, bo on swoją miłość do siostrzyczki przeniósł na mnie. Poglądów na komunizm nigdy jednak nie zmieniłam i dziś okazało się, że miałam rację.

Młodość i szkoła

Po uformowaniu moich poglądów polityczno-patriotycznych w dzieciństwie szkoła je utwierdziła i ukształtowała mój charakter poprzez harcerstwo i działalność w samorządzie szkolnym, a w gimnazjum dodatkowo poprzez Sodalicję Mariańską i PWK /Przysposobienie Wojskowe Kobiet/

Z bliżej mi nieznanych mi powodów, ale chyba z braku miejsc, chodziliśmy ja i Lena Baklan /mieszkaliśmy w tym samym domu/ do męskiej szkoły powszechnej do I klasy czy jak się wtedy mówiło oddziału, bo klasy były dopiero w gimnazjum. Byliśmy w klasie tylko dwie dziewczynki i działało nam się całkiem dobrze. Szkoła mieściła się obok ruin zamku Gedymina. Na Wzgórzu Zamkowym obok muru rosły dwie sosny - według legendy brat i siostra zaklęte przez złego czarownika. Wierzyliśmy w to święcie i zastanawialiśmy jak ich odczarować. Narazie jednak ścieżka prowadząca z dołu do sosen stanowiła dla nas doskonały tor saneczkowy, po którym zjeżdżaliśmy na tornistrach. Pamiętam, że w szkole tej podłoga była smarowana naftą, a w zimie dostawaliśmy na dużej przerwie tran.

W drugim oddziale^{le}byliśmy już w szkole żeńskiej, która mieściła się w domu Mikłaszewiczów, ale rok ten musiał przelecieć dla mnie bez specjalnych zdarzeń, bo nic z niego nie pamiętam.

Natomiast pamiętam, że albo gdy byłam w I oddziale, albo rok przed szkołą przyjeżdżał do Lidy Marszałek Piłsudski czyli jak mówiliśmy Dziadek /nie rozumiem dlaczego tak go nazywano, bo w rzeczywistości nie był dziadkiem i nie miał chyba jeszcze 60 lat/ i w ruinach zamku Gedymina wręczałam Mu kwiaty. Potem nie chciałam pozkłócić na umycie rąk, bo Dziadek mi je uścisnął. Zamek Gedymina to były ruiny murów, a w środku był plac sportowo-defiladowy. Tam odbywały się mecze, wiece, akademie, a w zimie było to ogólnie dostępne lodowisko. Podobno teraz zamek ten jest w trakcie odbudowywania, ale nie ma już zaklętych sosen. Nie przeżyły wojny i utraty wolności.

Trzecią klasę ukończyłam już w nowo-wybudowanej na Wygonie szkole im. Gabriela Narutowicza. Był to biały budynek w kształcie litery "U", z tym że jedno skrzydło to była szkoła męska, a drugie - żeńska, pomiędzy nimi zaś była duża wspólna sala gimnastyczna doskonale wyposażona oraz łazienka z prysznicami. Do tej szkoły chodziłam aż do przejścia do wybudowanego obok gimnazjum im. Karola Chodkiewicza.

Ze szkoły tej pamiętam kierowniczkę panią Howorko, osobę cieszącą się bardzo dużym autorytetem, pomimo, że nie nazywała się dyrektorem, a tylko kierowniczką. Wtedy poziom nauczycieli był o wiele wyższy, a tytułomania o wiele mniejsza. Dopiero gimnazjum kierował dyrektor, a w szkole powszechnej był po prostu kierownik, a teraz nawet na czele przedszkola czy żłobka stoi ... dyrektorka. U nas na Kresach Wschodnich taką tytułomanię wprowadzili komuniści sowieccy, co po wojnie przeniesiono na teren całego Kraju.

W szkole powszechnej do III klasy włącznie była pani Janina Nosowiczówna, którą zapamiętałam z powodu przygody, jaką miałam w III klasie. Siedziałyśmy z Leną Baklan w I ławce i tabliczkę opanowałyśmy już w II klasie. Pewnego razu pani Nosowiczówna była na końcu klasy, gdzie siedziały starsze dziewczęta /repetowały klasy/ i jeszcze nie umiały tabliczki mnożenia, więc wychowawczyni z nimi tę tabliczkę powtarzała. My z przodu nudziłyśmy się niemilosierdzie i zaczęłyśmy dokazywać. Nauczycielka to zobaczyła i kazała nam zostać po lekcjach. Jedna ze sprytniejszych koleżanek namówiła mnie, żebym wstała i powiedziała, że nie będę siedzieć po lekcjach z osłami, które nie umieją tabliczki mnożenia. Miałam też tupnąć nogą. Tego jednak nie zrobiłam, ale powiedziałam, co mi koleżanka sugerowała. Można sobie wyobrazić oburzenie nauczycielki. Oświadczyła, że wszystkie dzieci pójdą do domu, a tylko ja zostanę po lekcjach. Na to ja wyjaśniłam, że nie mam czasu na siedzenie po lekcjach, bo po południu jest procesja Bożego Ciała i ja muszę iść. Nauczycielka kazała mi oddać tornister, który inna dziewczynka

miała odnieść do moich rodziców. Moja reakcja na to była bezczelna, bo powiedziałam:

- Może pani zabrać ten tornister, mego tatusia stać na to, żeby mi kupić nowy.

Skutek był do przewidzenia. Pewnie dostałam w domu lanie, ale tego nie pamiętam, natomiast doskonale pamiętam, że nazajutrz było Zofii. Rodzice kupili mi kwiaty. Tatuś poszedł ze mną do szkoły i kazano mi nauczycielkę przeprosić i pocałować w rękę. Zrobiłam tak, jak mi ojciec kazał, ale jeszcze teraz czuję to uczucie upokorzenia i chęć ugryzienia nauczycielki w rękę, bo przecież ja miałam rację: jak mogła zostawiać mię po lekcjach z osłami, co nie umieją tabliczki mnożenia. Szkoda, że nikt nie starał się wytłumaczyć mi, że miałam być ukarana nie za nieznamość tabliczki, a za niegrzeczność.

Ciekawe, że pomimo to nauczycielka lubiła mnie.

Od czwartej klasy naszą wychowawczynią była pani Pielecka -doskonała polonistka. Kilka z nas często zapraszała do siebie - już nie wiem poco, ale pewnie przygotowywałyśmy jakieś imprezy szkolne - zawsze częstowała wspaniałymi konfiturami.

Pamiętam też matematyka pana Hulpowskiego, który twierdził, że uczeń może umieć na dwójkę lub trójkę, nauczyciel na czwórkę, a Pan Bóg na piątkę. Był świetnym matematykiem. W domu nie pozwalał wieszać firanek, bo zbierają kurz - najwyżej papierowe wycinanki, które często wyrzucał.

W szóstej klasie chłopcy już zabiegali na podwórku przed oknami naszej klasy o nasze względy popisami na rowerach. Wtedy też zorganizowano w szkole jakąś imprezy, między innymi z trojakiem. Ja i Lena miałyśmy za partnera Tadzika Lewczuka i obie się w nim zakochałyśmy. Potem nie wiem dlaczego nauczycielka wymieniła nam partnera, o co byłyśmy zazdrosne, natomiast nigdy nie byłyśmy zazdrosne o siebie nawzajem.

Tak więc moje dzieciństwo i młodość upływały w sielskiej, radosnej atmosferze małego miasta, przywiązanego do tradycji i bez najmniejszych kompleksów wobec uniwersyteckiego Wilna czy nawet Warszawy. Przyjeżdżały do nas znane teatry i znani aktorzy czy śpiewacy i może dlatego nie odczuwaliśmy braku rozrywek wielkomiejskich.

Lida liczyła wówczas około 30.000 mieszkańców i była miastem przemysłowym z dużym parkiem lotnictwa myśliw^{ski}ego /drugim obok Lwowa/ i chyba trzydziestoma fabrykami między innymi fabryką obuwia gumowego /i masek gazowych/ ARDAL. Było to typowe kresowe miasto, gdzie połowę mieszkańców stanowili Żydzi i oni byli właścicielami lub udziałowcami większości fabryk i naturalnie sklepów. Cały handel był w rękach Żydów, którzy zapraszali do sklepów naszych wiśniaków tymi słowami: "Nu chanie, co chcesz kupić, chodź do mnie, u mnie najtaniej".

Dopiero pod koniec lat trzydziestych handel na Kresach zaczęli przejmować Poznaniacy, popierani zresztą bardzo przez władze. Rozwijał się też bardzo ruch spółdzielczy. Pamiętam doskonałą czekoladę społemowską i dużą piekarnię, gdzie każdy gatunek chleba czy bułek był wspaniały, bo obecnych gniecechów niktby nie kupił. Naszym ulubionym chlebem był chleb pytłowy w koszyczku. Na podwieczorki jadaliśmy świeże obwarzanki.

Niestety wśród Kresowiaków panowało ciągle przekonanie, że "szlachcic któryby się zabrał do handlu, traci szlachectwo". Nawet młodzież liceów ogólno-kształcących patrzyła z góry na młodzież liceum handlowego, prowadzonego przez O.O.Pijarów.

Nawet najbiedniejszy szlachcic /mający parę hektarów i jedną krowę/ uważał się i był uważany za coś lepszego od bogatego kupca. Od czasów opisywanych przez Sienkiewicza nic się tam nie zmieniło.

Ale wracając do szkoły. Tak w szkole powszechnej /dziś zwanej podstawową/ jak w gimnazjum i liceum wpajano nam te same zasady, które wynieśliśmy z domu. Nie było takiego przypadku jaki miałam ja z moim

synem. Kiedyś - chyba przed maturą - wrócił ze szkoły bardzo przejęty i z tajemniczą miną powiedział mi o wypadkach październikowych. Zaskoczyłam go stwierdzeniem, że wiem wszystko dokładnie. Był oburzony, że mu o tym wcześniej nie powiedziałam.

Nasze wychowanie nie znało sprzeczności, a wiadomą jest rzeczą, że sprzeczności w wychowaniu są nawet gorsze niż złe wychowanie, ale konsekwentnie jednolite.

Ideały harcerstwa "Bóg, honor i Ojczyzna" traktowaliśmy bardzo poważnie. A przykazania harcerskie były ściśle przestrzegane. Nie do pomyslenia było, żeby harcerz palił albo pił, co teraz jest rzeczą codzienną. Zresztą przykład dają przełożeni.

Z wielkim wzruszeniem wspominam swoich wychowawców i nauczycieli. Dziś nie udało mi się zaobserwować takiego stosunku. Ale też nasi nauczyciele reprezentowali nie tylko bardzo wysoki poziom zawodowy, ale byli dla nas również autorytetem moralnym. Nie wyobrażam sobie, żeby kiedykolwiek mogli zobaczyć naszych nauczycieli gimnazjalnych "po kieliszku", a nawet palić starali się tak, żeby młodzież tego nie widziała.

Nie było "dnia nauczyciela" z nieraz żenującymi prezentami i naręczami kwiatów. Nie mieliśmy prawa robić prezentów ani nie wolno nam było kupować kwiatów w kwiaciarni. W dniu imienin nauczyciela wolno było ofiarować własnoręcznie zrobioną laurkę i przynieść kwiaty polne lub z własnego ogródka. Pamiętam, że mieliśmy ubóstwianego wychowawcę Józefa Kalecińskiego /dwaj jego synowie "Sinus" i "Kosinus" zginęli z "Kotwiczem" pod Surkontami, a on za to, że ich pogrzebał spędził 10 lat na Syberii i przyjechał do Kraju tylko po to, żeby tu umrzeć/ i chcieliśmy zrobić mu prezent imieninowy. Musieliśmy wykazać dużo pomysłowości i sprytu, żeby ofiarować mu chusteczkę z wyhaftowanym przez zawodową hafciarkę monogramem oraz ładne kwiaty. Dziewczynki musiały się przed dyrektorem wykazać znajomością haftu, co nie było

zbyt trudne, bo uczono nas tego w gimnazjum /na szczęście dyrektor nie znał się na jakości haftu/, a chłopcy musieli znaleźć "alibi" dla wspaniałych róż.

Nasz dyrektor był bardziej szanowany niż lubiany, bo jakkolwiek zwolennik Darwina /co chyba raziło naszą ludzką godność/ i niezbyt wierzący bardziej przypominał przeora klasztoru niż na przykład dzisiejszego dyrektora szkoły. Pamiętam, że do matury dziewczęta nie miały prawa się pudrować /o makijażu nie było mowy/ ani nosić jedwabnych pończoch. Obowiązywały nas czarne lub brązowe pończochy fildekosowe. Przerwy musieliśmy spędzać na tym piętrze, na którym była nasza klasa. Nie bylibyśmy jednak młodzieżą, gdybyśmy tych zakazów nie omijały. W szatni na fildekosowe pończochy noszone w szkole dziewczęta zakładały jedwabne. Starsze chyba też się pudrowały. Kiedyś dyrektor powiedział do opiekunki dziewcząt pani profesor Jadwigi Mostowiczówny - Pani profesor Betsy Podziemska chyba się pudruje!

A Betsy się wręcz tynkowała.

Moją ulubioną rozrywką w czasie przerw było zjeżdżanie po poręczach z najwyższego piętra na parter, sport wybitnie męski. Raz taki zjazd zakończyłam na parterze prosto w ramionach dyrektora, co było takim szokiem, że dyrektor wręcz zapomniał mnie ukarać.

Drugim zakazanym a uprawianym przez nas namiętnie sportem było kino. Wolno nam było chodzić do kina tylko w soboty i niedziele na godziny 16 i 18 na filmy, których afisze wisiały w gimnazjum na tablicy ogłoszeń. Tak się jednak złożyło, że właścicielami trzech kin w Lidzie /Era, Edison i Maleńkie/ byli rodzice kolegów z naszej klasy.

Przy tak sprzyjających okolicznościach chodziliśmy do kina nie tylko nie płacąc za bilet, ale w dodatku zawsze kiedy mieliśmy na to ochotę. Często dyrektor przychodził sprawdzać czy młodzieży nie ma w kinie, ale w takich przypadkach po zakończeniu seansu nie zapalano światła i my wychodziliśmy dodatkowym wyjściem. "Takie to były zabawy w one lata..."

Były nas w gimnazjum trzy równoległe klasy "a" i "b" z niemieckim językiem obcym i "c" z francuskim, gdzie było najwięcej dziewcząt. Kiedyś w I klasie nauczycielka niemieckiego pułkownik Tode Elma Firgut chciała zorganizować przedstawienie, ale brakowało jej w klasach niemieckich dziewczynek, więc do baletu wypożyczyła je z naszej klasy francuskiej. Przedstawienie to nazywało się "Puppenland", a jego akcja toczyła się w sklepie z zabawkami. Główną bohaterkę - lalkę, w której kochał się oficer - grał Staszek Boryna, a oficera - Witek Krupowicz. Staszek "przez pomyłkę" ciągle wchodził jako dziewczynka do naszej garderoby. Próbowi przedstawienia towarzyszyły obowiązkowe marsze wokół budynku pod dowództwem profesor Elmy Firgut. Była to jakaś określona odległość, którą musieliśmy przebyć, ale już nie pamiętam jaka.

Nasza klasa "c" słynęła z tego, że była najlepszą w całym gimnazjum pod względem nauki, ale i najbardziej psotną. Zawsze jednak do naszych figli umieliśmy się przyznać i ponieść konsekwencje. Nauczyciele wiedzieli, że jeżeli nasza klasa coś spsociła to napewno się do tego przyzna. Nigdy nie pozwolilibyśmy, żeby za nasze figle kto inny ponosił konsekwencje. Tak kształtowały nasz charakter harcerstwo i Sodalicja Mariańska, prowadzona przez księdza Piotra Bajkiewicza /podobno zginął potem w partyzantce AK/. Przez jeden rok uczył nas religii ksiądz Alchimowicz, którego niezbyt dobrze wspominamy. Na szczęście zdjął sutannę i ożenił się, bo na księdza nie nadawał się.

Ksiądz Bajkiewicz Piotr jest dla mnie tym, czym dla Jean Valjean'a jego biskup. Był to ksiądz o silnej indywidualności, pełen samozaparciu i wymagający tego od innych. Zresztą podobnie jak biskup z "Nędzników" kiedy go okradli, a sprawców przyprowadzono do niego, powiedział, że on im te rzeczy podarował. A był tam między innymi rower - jego codzienny środek lokomocji. Nauczył nas śmiałego okazywania wiary i tego, że modlitwa nie jest obowiązkiem a przywile-
jem.

Pamiętam, że do naszych rozrywek w czasie przerw należała między innymi bitwa tenisówkami od stroju gimnastycznego. Worki ze strojami gimnastycznymi były przechowywane w szafie stojącej w końcu klasy za ławkami, a więc były zawsze dostępne. Czasem walczyły dziewczęta przeciwko chłopcom, czasami poszczególne ławki przeciwko sobie, a niekiedy były to też pojedynki indywidualne.

Kiedyś przed religią bitwa była tak zagorzała, że nie usłyszeliśmy dzwonka /zdarzało nam się to nieraz/. Wszedł ksiądz prefekt i zamiast - jak zwykle - powiedzieć: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" powiedział: "dzieńdobry". Staliśmy zaszokowani czekając aż rozpocznie modlitwę, ale ksiądz powiedział: "siadajcie, dziś nie zasłużyliście na rozmowę z Bogiem". Za pokutę na spowiedzi zadawał nam zrobienie czegoś, czego nie lubiliśmy robić / na przykład pozmywać naczynia/. Pokutę musieliśmy sugerować sami. Modlitwa nie może być pokutą, a wręcz przeciwnie jest nagrodą. Początkowo metody księdza prefekta wydawały nam się śmieszne, ale potem zrozumieliśmy go i ceniliśmy. Chodził w wyświechtanej sutanie i podszytej wiatrem pelerynie bez nakrycia głowy - nawet w ostrej kresowej zimie i potępiał księży zainteresowanych dobrami materialnymi. Jemu również zawdzięczam w dużym stopniu to, że nie załamalam się w czasie trudnego śledztwa. Do najbardziej lubianych profesorów należeli poza tym wspaniały polonista /jaka szkoda, że dziś takich nie ma!!!/ Witold Majewski i historyk Maciej Jamiołkowski. Profesor Majewski przyłapał nas kiedyś na stłuczeniu portretu w trakcie jednej z bitw tenisówkowych. Łaciny uczyła nas siostra Dołęgi Mostowiczą - Jagódka, nazywana przez nas "Kaczkę" - rozmiłowana w świecie antycznym i umiejąca to zamilowanie również w nas zaszczepić, a później zastąpił ją w naszej klasie profesor Sadzewicz świetny łacinista-gramatyk, tak że w konsekwencji opanowaliśmy łacinę od każdej strony. Przypominam sobie, że profesor Sadzewicz doskonale mnie przejrzał

i znalazł sposób na moje podpowiadanie. Wszyscy profesorowie wiedzieli, że jeżeli nie odpowiadam, to podpowiadam, albo rozmawiam, a w ostateczności czytam pod ławką. Nikt jednak nie mógł mnie przyłapać na gorącym uczynku, bo miałam bardzo podzielną uwagę i zawsze wiedziałam o co chodzi - nawet jeżeli pod ławką była "Trylogia" czy "Quo vadis". Kiedyś jednak profesor Sadzewicz przyłapał mnie na podpowiadaniu, ale zamiast ukarać podszedł do mnie zupełnie inaczej. Zapytał czy, mi nie wstyd upokarzać kolegów czy koleżanki podpowiadaniem, czy naprawdę uważam się za najmądrzejszą w klasie? Skutek był taki, o jaki mu chodziło. Od tej pory nigdy na łacinie nie podpowiadałam.

Lubiliśmy też naszą profesor od śpiewu panią Alinę Kołłokso, która zorganizowała chór na dobrym poziomie i wykształciła kilku dobrych śpiewaków takich jak : Pieczoro /pomimo obaw Putramenta, że wojna przeszkodziła mu w karierze śpiewaczej, śpiewał w Coven Garden/, Jakutis, dwóch Mockałów. Wszyscy oni byli starszej generacji i gdy ja przyszedłam do gimnazjum - poza Staszkiem Mockałą - ich już nie było w szkole. Śpiewali jedynie w kościele w czasie wakacji lub okazjonalnych pobytów w Lidzie.

Ale i w naszej klasie było ^{kilku} wchłopców z dobrymi głosami. Nie pamiętam już w której to było klasie, ale chyba w trzeciej powstał zespół rewelersów "WOJACZE" /Wojtuszkiewicz, Jabłoński, Czeszczewik/, który uświetniał wszystkie akademie wraz z najmłodszym z Mockałów Staszkiem jako solistą. Natomiast recytacje były specjalnością Jurka Cąbulskiego, który zginął z rąk UB w latach pięćdziesiątych. Nasze roczniki już nie dokuczały profesor Kołłokso, a po prostu ją szanowały, ale wieść gminna niosła, że wcześniej dowcipnie /chyba w rodzaju Putramenta/ przypinali jej kartki z napisem "szukan męża z dolarami" itp.

Putramenta nie znałam, bo skończył gimnazjum zanim ja je rozpoczą-

łam. Chodziłam do tej samej klasy, co jego siostra Maria. Marysia była wtedy sympatyczna, ale nie należała w klasie do asów. Nikt jednak nigdy tego nie podkreślał, tak jak to zrobił Putrament w I tomie "Pół wieku" pisząc na str.70: "Na towarzystwo Bakłanów i Juragów całkowicie starczała lektura szkolna". Nie wiem jaki był Bakłan, bo dla mnie tak jak i Putrament był "zbyt stary", ale również jego siostra chodziła ze mną do szkoły i zdecydowanie inteligencją przewyższała Marysię. Szkoda, że Putrament już nie żyje i tego nie przeczyta. Zarozumiałstwo jest bardzo bliskie brakowi kultury.

Skoro już jestem przy Putramencie chciałabym jeszcze skomentować jego wypowiedź na str.59 tej samej książki: "Był przyrodnik Rutkowski. W każdej klasie jest uczeń fujara, w każdej szkole jest belfer fujara. Przez pierwsze lata Lidy funkcje te bezkonkurencyjnie spełniał Rutkowski. Starszy, gruby w pince-nez, z czymś takim, co było ni to bródką, ni to wąsami. Był poczciwy, bezbronny, pewnie godny litości, cóż kiedy podrostki właśnie utraciły to uczucie i nieszybko je odzyskają. Jego lekcje były nieustającym konkursem grandy i kawałów. Popisowym numerem było odpowiadanie par personne interposée. Co lekcja paru urwisów uciekało na wagary; gdy Rutkowski wywoływał któregoś z nich, występował specjalnie wyznaczony dyżurny recytując, to, co zadane.

Winien bym czuć do niego sympatię: i z przyrody i z geografii miałem u niego okrągłe piątki. Ale maksimum, co mogłem z siebie dla niego wydusić - to było troszkę litości. Podskórnie czułem: nic go ta przyroda nie obchodzi, grubo mniej niż Kokotowicza łacina. Chodziło mu tylko o te parę złotych: byle do wiosny czy raczej do jesieni. Brakowało mu jeszcze parę lat do emerytury. Biedak nie doczekał się, zmarł bowiem czy nie następnego roku".

Tak napisał Putrament o roku 1925, a ja przyszedłam do gimnazjum w 1935 roku i profesor Rutkowski jeszcze mnie uczył przez chyba dwa lata. Nazywaliśmy go "Kuksa" /jeżeli się nie mylę/, bo nie miał

jednego palca u którejś ręki. Robiliśmy mu psie figle jak zwykle nastolatki, ale ... lubiliśmy go. Nieprawdą jest, że geografia go nie interesowała czy nie obchodziła. Nie przywiązywał wagi do danych statystycznych, ale opowiadał dużo i barwnie o wielu krajach i lubował się w takich opowieściach. Ponieważ również dużo podróżował po Rosji do moich obowiązków klasowych należało zagadać profesora tak, żeby nas nie pytał. Do dziś pamiętam jego wspaniałe opowieści o Kijowie i marzę, żeby to miasto zobaczyć. Jakże inaczej napisał o takim profesorze Makuszyński!!!

Na potwierdzenie tego, że nie jestem odosobniona w mojej opinii podam taki fakt. We wrześniu 1963r. odbył się w Warszawie zjazd Lidian i wtedy profesor Rutkowski przysłał list tej mniej więcej treści /cytuję z pamięci/: "Dziękuję za zaproszenie. Żyję, chociaż jestem już stary i schorowany, pomimo że jeden z moich byłych wychowanków uśmiercił mnie już bardzo dawno temu nie omieszkawszy uprzednio obrzucić błotem". Wtedy to obecni jednogłośnie /a może tylko prawie jednogłośnie/ orzekli: "Na Putramenta szkoda atramenta". Dla mnie Putrament symbolizuje pychę, a Makuszyński dobroć i stąd tak różne opinie o podobnych profesorach. Profesor Rutkowski żył jeszcze co najmniej 38 lat po tym kiedy Putrament go "uśmiercił" i jeżeli nawet dożył 80 lat, to w chwili kiedy Putrament o nim pisał nie był staruszką oczekującym emerytury, bo miał gdzieś około 40-45 lat.

Fizyki uczył nas profesor Manke. W przeciwieństwie do Rutkowskiego człowiek jeszcze młody /gdy byłem w szkole każdy kto przekroczył lat 20 był już starym/, ale i jemu robiliśmy niesamowite psikusy, bo taka już jest natura uczniów. Fizykę mieliśmy zawsze w dwóch grupach: osobno chłopcy i osobno dziewczęta. Jak wiadomo chłopcy mają wiele ciekawszych zajęć niż prowadzenie zeszytów /piłka, rower, bójki itp./ ustalono więc, że dziewczęta nie podpiszą swoich zeszy-

tów i chłopcy będą je zabierać na swoje lekcje. Przez pewien czas system ten zdawał egzamin. Kiedy jednak profesor postanowił sprawdzić chłopcom zeszyty sprawa się skomplikowała. Mój zeszyt miał Gryszka Forman - chłopak o ile zdolny o tyle leniwy - profesor widząc niepodpisany zeszyt kazał mu go natychmiast podpisać, tak jak i kilka innych. Kiedy jednak zeszyty sprawdził nie mógł zrozumieć dlaczego chłopcy nagle przyjęli żeńską pisownię : zrobiliśmy, sprawdziliśmy. Na szczęście doszedł do wniosku, że chłopcy po prostu wygłupiają się, nie przyszła mu do głowy aż taka przebiegłość sztuczka. A fujarą napewno nie był.

Piszę na ten temat tyle, bo przez prawie 30 lat bolała mię krzywdą i niesprawiedliwość wobec dobrego człowieka. Już tam na sali , gdzie odczytano list czy też tylko kartkę profesora Rutkowskiego powstał we mnie zamiar napisania do Putramenta, ale nigdy jakoś nie zaistniała ku temu okazja i to nie tylko dlatego, że czasy były inne, że Putrament był wtedy kimś.

Potem już w liceum uczył nas fizyki i matematyki młody Piotr Jasienowicz nazywany przez nas "Piotruś-Bułeczka" /trudno mi przypomnieć sobie dlaczego/, który asystował naszej polonistce czy historyczce, z którą się potem ożenił. Fakt ten dostarczał nam wiele okazji do złośliwości, ale w końcu wspominamy ich z rozrzewnieniem.

Zawsze byłem dobra z fizyki i w czasie ćwiczeń byłem rodzajem asystentki. Mieliśmy w klasie jednego lizusa, który pomimo, że cała klasa ustaliła, że coś nie było zadane potrafił wyłamywać się i zgłaszać do odpowiedzi. Był to syn kierownika /dziś powiedziałoby się dyrektora/ szkoły żydowskiej - Haber. Otóż w czasie ćwiczeń na fizyce /ze światłem, energią itp.kiedy światło musi być w klasie zgaszone/ rozprawialiśmy się z Haberem. Chłopcy trzymali go za ręce i nogi, a ja egzekwowałam wyznaczoną przez ogół karę za kolejne przewinienie niesolidarnościowe. Gdy do profesora /teraz nie pamię-

tam czy było to w liceum, ale chyba raczej jeszcze w gimnazjum u profesora Mankego/ doszedł rumor w końcu klasy polecami mi zapalić światło, co ja zawsze zdążyłam uczynić, a chłopcy już znaleźli się na właściwych miejscach. Natomiast Haber gramolił się z podłogi, ale nigdy nie odważył się powiedzieć co tam robi. Zawsze udawał, że coś mu upadło i czegoś tam szuka. Najlepsze z tego było to, że profesor pouczał go, iż powinien brać ze mnie przykład i wykazywać więcej zainteresowania ćwiczeniami. Faktem niezaprzeczalnym jest, że fizyka Mankego pasjonowała mnie. Umiał świetnie wyklądać i bardzo chciał, żebym poszła do liceum matematyczno- fizycznego. We mnie jednak zwyciężyły zamiłowania humanistyczne, a szczególnie historyczne.

Po profesorce Rutkowskim geografii uczyła nas profesor Józefa Kleindienst. Jej system nauczania był diametralnie różny od stosowanego przez profesora Rutkowskiego. Skutek był taki, że zamiast stałej piątki na pierwszy okres dostałam za ledwie trójkę, ale że ostro zabrałam się do pracy na półrocze już znów miałam piątkę, ale pamiętam, że uczyłam się wszystkich danych statystycznych po nocach. Profesor Juliusz Kleindienst uczył łaciny i niemieckiego, a także pełnił funkcje wicedyrektora. Trudno mi jednak o nich pisać, bo może to być opinia zbyt subiektywna, jako że ich córka Irena była moją przyjaciółką-nierozłączką, aż do mego aresztowania w maju 1940r. Nie kojarzą się z nimi żadne szkolne figle, a raczej brydź, bo w domu była trójka brydżystów i niejednokrotnie, gdy miałyśmy inne plany Irena musiała być czwartym do brydża, co nas wcale nie zachwycało. W ich domu byłam traktowana nieomal jak trzecia córka i tak też ich wspominam. W najcięższych chwilach mego życia /śmierć mego ojca/ w tym domu znajdowałam oparcie i pocieszenie oraz pomoc. Po wojnie przyjechali do swego ulubionego Wejherowa, gdzie dalej nauczali, bo i w czasie wojny prowadzili tajne komplety. Profesor Juliusz zmarł w latach sześćdziesiątych, a jego małżonka

dożyła 93 lat w pełnej sprawności umysłowej. Po śmierci męża i przejściu na emeryturę zamieszkała ze szwagierką w Gdyni w Spółdzielni "Za Falochronem", gdzie rozwinęła szeroko-zakrojoną akcję społeczno-kulturalną. W przeciwieństwie do większości pensjonariuszy nie omawiała swoich chorób i dolegliwości i nie poświęcała swojej osobie zbyt wiele zainteresowania. Natomiast pisała pamiętniki z okresu tajnego nauczania w Lidzie, odtwarzała pieśni legionowe, by nie uległy całkowitemu zapomnieniu, organizowała "Za Falochronem" akademie, prelekcje, grała w brydża i pomagała mniej sprawnym, chociaż młodszym.

Obłożnie zachorowała na mniej niż pół roku przed śmiercią. Jeszcze na rok przed swoją śmiercią uczestniczyła w pogrzebie swego ukochanego zięcia, a naszego gimnazjalnego kolegi Edka Wojtuszkiewicza. A chowano go na górzystym sopockim cmentarzu. Rzadko spotyka się osoby tak sprawne fizycznie i umysłowo do tak późnego wieku.

Pochowano ją obok męża w Wejherowie.

Historii uczył nas - w ostatnich latach przyzwyczajając do studiów uniwersyteckich - na bardzo wysokim poziomie Maciej Jamiołkowski. Był to wychowawca naszej klasy maturalnej w Liceum Humanistycznym. A było nas w tej klasie trzynaście osób: sześcioro Polaków /Zbyszek Maślanko, Janek Jacewicz i Jarek Rokicki oraz Wanda Dobrowolska, Irena Kleindienst i ja/, sześcioro Żydów /Judyta Górwicz, Ewa Stukator nazywana Hawką, Jewa Stukator nazywana Ewką, Betty Podziemska, Iala Gornowska i Haber/ i prawosławna Maria Putrament. Znacznie liczniejsze było Liceum Matematyczno-Fizyczne, z tym że była tam tylko jedna Polka Wanda Maszewska. Teraz już nie było podziału na klasy według nauki języka obcego, a więc wszystkie trzy klasy "a", "b", i "c" zostały wymieszane, przy czym część uczniów odeszła do liceów innych typów. W klasie matematycznej była teraz prymuska wszystkich trzech klas i przez całe gimnazjum Luba Abra-

mowicz, Mirka Szałacka - typ absolutnie nie żydowski, Netka Czer-
tok najładniejsza ze wszystkich, której brat był po wojnie człon-
kiem rządu Izraela, Iusia Szpilowska, Sulka Chwilewiczka. Z chłop-
ców pamiętam Tadzika Wasilewskiego, który przyszedł do nas do klasy
maturalnej, Edka Wersockiego, z którym byłam razem w I oddziale
szkoły powszechnej, Władka Roubo, który miał zginąć jako lotnik
pod Monte Cassino, a w ubiegłym roku zadzwonił z Londynu, że ma
zamiar odwiedzić Kraj, Staszka Marcinanisa, Lowkę Szymkowicza, Ja-
sińskiego, Spurgiasza. Z Żydów byli tam wspomniani już Griszka For-
man, Fimka Jabłoński i Mićka Sawicki, który radośnie witał Sowietów
i natychmiast przypiął sobie czerwoną kokardę, ale potem również
jego wywieziono na Sybir jako syna kapitalisty, bo jak już uprzed-
nio powiedziałam wszyscy Żydzi w naszych klasach byli synami właś-
cicielami fabryk czy jak Stukatorówny - aptek.

Teraz wydaje mi się jednak, że LalaGornowska była w Liceum Matema-
tycznym, bo przecież w naszej klasie była znana już Sońka Szewach-
owicz, jedyna której udało się uniknąć śmierci z rąk niemieckich.
Poza Sońką, której matka handlowała śledziami na targu, jedynie dom
Luby Abramowicz był domem typowym dla żydowskiej inteligencji. U
niej w domu mówiono po hebrajsku i przestrzegano bardzo dokładnie
tradycji żydowskich, podczas gdy u Sońki mówiono jidisz. Domy innych
koleżanek nie wiele różniły się od polskich i wiele czasu spędza-
liśmy razem.

Nie powiedziałam jeszcze nic o naszej madame, a naprawdę zasługuje
na wspomnienia. Była to osoba samotna mieszkająca z matką, która
pomimo, że sama ubierała się gustownie dla córki potrafiła znaleźć
zawsze coś mało atrakcyjnego. Zresztą sama madame Lidia Pinsker
potrafiła włożyć jedną pończochę na prawą, a drugą na lewą stronę.
Do ubioru nie przywiązywała absolutnie żadnej wagi. Ale francuski
znała wspaniale, uwielbiała Francję i umiała nam to tak dobrze
przekazać, że kiedy po 40 latach znalazłam się po raz pierwszy w

Paryżu miałam wrażenie, że nie jest to dla mnie miasto obce, że wróciłam tu po dłuższej nieobecności i odnajduję znane mi miejsca. Z wielkim wzruszeniem myślałam wtedy o madame i żałowałam bardzo, że nie mogę wysłać jej stamtąd kartki z dowodami wdzięczności, na którą sobie z mojej strony naprawdę zasłużyła.

Nie tylko bowiem uczyła nas na lekcjach, ale jeszcze organizowała zajęcia pozalekcyjne, a my dokuczaliśmy jej niesamowicie, chociaż bardzo ją lubiliśmy. Pozwalała nam na wszystko pod warunkiem, że mówiliśmy po francusku. Zdarzało się nieraz, że zanim się obejrzała już była w klasie sama, bo jeden poszedł po kredę, drugi po dziennik, trzeci zmoczył gąbkę, a inni zawsze znaleźli jakiś pretekst do wyjścia.

Ponieważ już wtedy mówiłam swobodnie po francusku nie chciałam się uczyć reguł gramatycznych i w końcu biedna madame powiedziała do mnie na osobności:

- Ty możesz się nie uczyć, ale chociaż klasy nie buntuj!

W klasie maturalnej potrafiłam się obrazić dlatego, że madame nie zgadzała się z moją interpretacją wierszy Lafontaine'a i nie chciałam dalej czytać swojego opracowania. Chłopcy błagali mię, żebym dalej czytała i chcieli przekupić cukierkami - a wszystko na oczach madame, która była bezsilna. Aż w końcu musiała poprosić mię żebym czytała dalej tak jak ja uważam. Ale przy tym wszystkim naprawdę ją lubiliśmy, bo wiedzieliśmy, że i ona nas lubi.

Jeszcze w gimnazjum Griszka Forman, który urodził się we Francji i mówił biegle po francusku czytał swoje wypracowania francuskie - i nie tylko - nie z zeszytu, a z pamięci, patrząc w pusty zeszyt. Griszka był szalenie zdolny i inteligentny, więc madame nigdy tego nie odkryła. Gorzej natomiast było z polonistą.

Młodzież zawsze psoci niezależnie od tego czy lubi danego profesora czy też nie, ale tylko jednostki o niskiej moralności mogą pisać o swoich wychowawcach tak, jak to zrobił Putrament.

Co jeszcze trzeba podkreślić, to to, że nasi profesorowie prowadzili wszystkie zajęcia dodatkowo^w całkowicie bezpłatnie. Nie było mowy o płatnych korepetycjach czy godzinach nadliczbowych. A przecież na przykład przygotowanie akademii czy przedstawień zabierało sporo czasu. Jeżeli chodzi o francuski, to mieliśmy klub ze spotkaniami raz w tygodniu, gdzie poprzez gry i zabawy uczyliśmy się języka. Pamiętam taką grę na tryb warunkowy: "qu'est qu'il y aurait si j'étais... /co by było, gdybym była.../.

Do może najmilej wspomnianych rozrywek - bo do kawiarni nie wolno nam było chodzić aż do matury - należały herbatki tańczące czyli prywatki organizowane z rozmaitych okazji takich jak imieniny /urodzin u nas nie obchodzono/, święta itp., a czasem i bez okazji. Co chciałabym podkreślić to fakt, że aż do matury na imprezach tych podawano kanapki, ciasto i herbatę z konfiturami, bo na Wileńszczyźnie przed wojną kawę podawano z mlekiem i tylko do śniadania. Natomiast po południu serwowano herbatę z konfiturami jako coś bardziej eleganckiego.

Raz tylko - już niedługo przed maturą - chłopcy zrobili sobie prywatkę bez nas i chyba wypili wino, bo potem ciągle w tajemnicy przed nami szptali; a trzeba wiedzieć że byliśmy wszyscy z sobą bardzo zżyci. To samo zresztą dotyczyło palenia. Mieliśmy w klasie jednego kolegę syna leśniczego czy nadleśniczego Józia Walentowicza zwanego "hrabia". Otóż o nim mówiło się /ale szeptem/:" Józio chyba pali". Józio zresztą był dziwnym uczniem, bo rok chodził do naszej klasy, potem uczył się prywatnie i zdawał egzamin jako ekstern i znów był w naszej klasie. Potem znów przerwa i tak cały czas. Chyba matury z nami nie zdawał. Natomiast maturę zdawał z nami jeszcze Jaś Szewielow.

Ale wracając do prywatek to trwały one albo od godziny 16-tej do 20-tej w młodszych klasach, albo od 16-tej do 22-giej w klasach starszych. Nie do pomyślenia było, żeby urządzano je pod nieobec-

cność rodziców, a wręcz przeciwnie często zapraszaliśmy lubianych profesorów. Do najczęstszych gości należał profesor Józef Kaleciński przezywany "Kijek"/bo często mówił zawracasz kijem Wisłę/kiedy przez kilka lat był naszym wychowawcą.

W sierpniu 1937r. ojciec załatwił mi udział w kursie szybowcowym w Wygodzie nad rzeką Mołczadź pomiędzy Lidą a Branowiczami. Kurs teoretyczny ukończyłam jeszcze w ciągu roku szkolnego.

Do Wygody przyjechałam jako pierwsza z dziewcząt i kierownik zlecił opiekę nade mną koledze Bogusławowi Wężykowi z Baranowicz. Miał on zaprowadzić mnie do gospodarzy, u których wynajęto mieszkanie dla dziewcząt, pokazać gdzie będą odbywały się zbiórki itp. Miała rację mamusia, że obawiała się wysłania mnie na ten kurs. Ale ona bała się wypadku, a ja zakochałam się na śmierć i życie pierwszą wielką miłością i to od pierwszego wejrzenia. Każda chwila - czy to na ziemi czy w powietrzu - którą musieliśmy spędzić osobno była nieznośna.

Chyba w ostatnią sobotę pobytu na obozie wracaliśmy z ogniska urządzonego przez obóz harcerski, gdzie śpiewano poza pieśniami harcerskimi również modne wówczas "Balladę o pani Simpson" i "Ostatnią niedzielę" i zatrzymaliśmy się przy mostku na rzece Mołczadzi i on powiedział, że mnie kocha i pocałował... w policzek. Tak! To był mój pierwszy pocałunek, a miałam wtedy 17 lat. Wrażenie było tak silne, że do dnia dzisiejszego widzę wyraźnie i ten młyn, i księżyc w pełni i most na rzece, w której się ten księżyc odbijał. Dziś trudno w to uwierzyć, ale tak było.

Pozostał na zawsze moim księciem z bajki, bo powszedniość życia nie zdołała jeszcze wkroczyć w nasze wspólne życie. Zbyt wcześnie rozdzieliła nas jego śmierć z rąk sowieckich. Kiedy we wrześniu 1939r. któraś z koleżanek wróżyła nam z kart i powiedział: "rozejdziecie się wbrew własnej woli" śmiałyśmy się z tego uważając ta- ewentualność za niemożliwą, a przecież już była wojna.

Matura

Do matury zaczęliśmy się przygotowywać już od półrocza. Gdzieś w styczniu 1939r. była dodatkowa matura dla tych, którzy na wiosnę obłali maturę starego typu, więc nasi profesorowie zaproponowali nam napisanie również prac na tematy maturalne. Sprawdzian wypadł bardzo dobrze.

Potem wszyscy nasi profesorowie, u których mieliśmy zdawać maturę, opracowali cały przerobiony w gimnazjum i liceum materiał w pytaniach /najzupełniej bezpłatnie, nie w ramach korepetycji/. Potem Irena i ja przygotowałyśmy wszystkie odpowiedzi na piśmie, a reszta klasy uczyła się z naszych materiałów. Pisałyśmy nieraz całe noce zjadając jedynie cukierki. Którejś nocy zjadłyśmy pół kilo miętówek i potem przez wiele, wiele lat nie mogłam patrzeć na miętówki.

Profesor Jamiołkowski przerabiał z nami¹ lekcji historii wszystkie tematy-pytania i doszedł do tematu: "udowodnić, że Polska zawsze była miłośniczką pokoju i nigdy nie prowadziła wojen zaborczych".

Ja z właściwą sobie przekorą powiedziałam:

- To nie prawda, bo jednak były wojny moskiewskie² za Wazów.

Profesor skomentował moją wypowiedź tak:

- Jeżeli Joanna potrafi to udowodnić to dostanie na maturze piątkę, ale jeżeli nie - może być gorzej...

- Na maturze tak mówić nie będę - odpowiedziałam.

W klasie maturalnej niektórzy profesorowie już nie mówili do nas per ty, ale w formie bezosobowej. Wolno nam też było wypowiadać swoje zdanie bez obawy o konsekwencje.

Na szczęście na maturze dostałam temat, który był całkowicie zgodny z moimi poglądami i nie budził najmniejszych zastrzeżeń.

Maturę pisaliśmy 13 maja 1939r.. Ja wybrałam temat: "Mesjanizm

Mickiewicza i pesymizm Słowackiego na podłożu epoki". Może nieby^t dokładnie pamiętam temat, ale sens był taki. Pracę zakończyłam ~~max~~ mniej więcej tak: "A że tym, co się w sercach poetów romantycznych grało była niepodległa Polska, był wolny i szczęśliwy naród, śmiało możemy nazwać poetów romantycznych piewcami patriotyzmu i wielkiej miłości Ojczyzny". Napewno teraz po ponad 50 latach nie powtórzyłam dokładnie tego zakończenia, ale że pisałam tę pracę z głębokim przekonaniem utkwiała ona w mej pamięci jako coś godnego utrwalenia jako mój niewątpliwy sukces. Podobno była to najlepsza praca jaką kiedykolwiek napisałam i nasz polonista pan profesor Majewski chciał nawet dać ją do druku.

Z francuskiego obie z Ireną pisałyśmy :Le comunism sovietique et celuidu Père Aubry - lequel est vrai" na podstawie "Atala" Châteaubrianda. Na szczęście sowiecka dyrekcja liceum nie odnalazła tych prac, a może nie szukała ich wcale, bo w przeciwnym razie już zaraz we wrześniu 1939r. dostałybyśmy z Ireną paragraf 72 czyli agitację kontrrewolucyjną, a że madame była odpowiedzialna za tematykę byłaby trzecią i to już byłaby organizacja antyradziec- czyli paragraf 64. Wyrok byłby odpowiedni do obu tych paragrafów. Narazie więc miałyśmy szczęście.

Ani Irena, ani ja jakoś nie przepadałyśmy za Żeromskim i kiedy przerabialiśmy jego utwory dyskusja na lekcjach była jakaś drętwą i mało ciekawą. Pech chciał, że na ustnej maturze z polskiego wyciągnęłam temat: "Charakterystyka Judyma" czy innego bohatera Żeromskiego. Profesor Majewski jednak zwrócił się do Komisji Maturalnej:

- To dla niej za łatwe! Ja pomyślałam : za nudne.

Dostałam: "Świat kozacki u Sienkiewicza, Zaleskiego, Goszczyńskiego i innych". Zdałam - jak chciał profesor - popisowo. Obie z Ireną zdałyśmy bardzo dobrze. Miałyśmy po tyle samo czwórek i piątek, zdaje mi się tylko, że z różnicą w dwóch przedmiotach

gdzie miałyśmy przemiennie ona czwórkę, ja piątkę i na odwrót. Irena i ja jako znane w szkole papużki-nierozłączki zdawałyśmy ustną maturę w dniu 20 maja 1939r. i zaraz potem jej mama zaprosiła nas do cukierni. Po raz pierwszy wolno nam było przekroczyć próg kawiarni bez obawy, że ktoś nas zobaczy.

Nie pamiętam już dlaczego, ale nie mieliśmy ani uroczystego wręczania świadectw maturalnych, ani balu maturalnego. Na bal V Pułku Lotniczego, który miał miejsce chyba na początku maja dyrektor nie pozwolił nam pójść, pomimo oficjalnego zaproszenia i kilkakrotnych wizyt delegacji pułku u dyrektora. Zaproszenie dotyczyło tylko Polek, a więc czterech dziewcząt: Wanda Maszewskiej, Wandy Dobrowolskiej, Ireny i mnie. Nie pamiętam jak było z Putramentówną, bo nie wiem czy jako prawosławna traktowana była jako Polka.

Matury wręczono nam po zakończeniu roku szkolnego wraz z przekazaniem sztandaru szkolnego przez nasz poczet sztandarowy -następnemu.

Ominęła nas więc nie tylko "studniówka" odwołana w ostatniej chwili z uwagi na zgon Papieża Piusa XI, ale i wymarzony bal maturalny - nasz pierwszy w życiu bal. Nie był nam w ogóle sądzony prawdziwy bal w długich sukniach z prawdziwą orkiestrą. Zamiast tego mieliśmy za okupacji niemieckiej nadal prywatki.

Nie powiem, żebyśmy żegnali Papieża z żalem. Raczej czuliśmy do niego żal za to, że zmarł tak bardzo dla nas nie w porę; kiedy wszystko do "studniówki" przygotowane, sala udekorowana, kotyliny gotowe, a my radośnie podnieceni bliską już zabawą.

Z czasów szkolnych przypomniał mi się jeszcze taki jeden wesoły kawał. Mieliśmy w klasie Żydówkę Sońkę Szewachowicz, która przez całe gimnazjum i liceum miała korepetycje, bo rodzina nie była biedna, a Sońka z nauką miała kłopoty. Otóż Sońka ciągle nas

naśladowała. Kiedyś na rysunkach mieliśmy pismo techniczne i profesor Adolf Popławski - autor książki: "12 lat Gułagu" - polecił nam napisać jakiś aforyzm. Ja byłam wtedy na etapie czytania w oryginale Victora Hugo, więc napisałam: "Heureux ceux, qui n'ont pas d'histoire" czyli "szczęśliwi ci, co nie mają przeszłości". Jednakże słowo "Histoire" oznacza również historię jako przedmiot szkolny. Sońka, która bardzo nie lubiła matematyki poszła na swoje miejsce i napisała: "Heureux ceux qui n'ont pas de mathematique - szczęśliwi ci, co nie mają matematyki - ku wielkiemu rozbawieniu całej klasy.

Sońka, jako chyba jedyna z naszych Żydów ocalała, pozostając w Kraju. Była w lesie w partyzantce sowieckiej. Po wojnie była dyrektorem departamentu kadr w jakimś ministerstwie. Wszyscy inni bardziej inteligentni Żydzi zginęli zamordowani przez Niemców. Kilka razy będąc za okupacji w Lidzie, spotkałam Griszkę Formana i Fimkę Jabłońskiego prowadzonych w grupie innych Żydów przez Niemców, Białorusinów czy Ukraińców. Zawsze się im pierwsza bardzo serdecznie kłaniałam. Najbardziej mi żał Luby Abramowicz.

Matura otworzyła przed nami nowe perspektywy. Ja postanowiłam iść na prawo do Warszawy, chociaż rodzice, a właściwie mamusia wolałyby Wilno, bo bliżej. Ale Warszawa pociągała, mnie tym, że tam był wydział prawa lotniczego, co ojciec popierał i wydział prawa francuskiego, co zapewniało spędzenie wakacji 1940r. we Francji w ramach stypendium. Przyszłość wydawała się jasna i pewna.

Przygotowania do wojny

Już od wiosny 1939r. mówiło się o wojnie. Żałowaliśmy bardzo, że Litwini tak łatwo przyjęli nasze ultimatum nie dając nam okazji do zamanifestowania naszych uczuć. Chłopcy wyładowali swój zapał krzyząc: "Precz z Żydami - Żydówki z nami". W rzeczywistości u nas w klasie takiego podziału nie było. Przyjaźniliśmy się bez względu na religię, a sympatie bardzo różnymi chadzały drogami. Ogólną sympatią cieszyła się prymuska naszej klasy Luba Abramowicz - dziewczyna szalenie zdolna, inteligentna i pracowita, a przy tym koleżeńska. Lubiana była Mirka Szałacka, Netka Czertok i kilka innych. Prawie wszyscy Żydzi z naszej klasy byli dziećmi zamożnych fabrykantów lidzkich, a więc bardzo spolonizowanych. Tak nam się przynajmniej wtedy wydawało. Zapraszaliśmy się nawzajem na święta i prywatki. Z chwilą opuszczenia szkoły i wejścia w dorosłe życie wojna zaczęła nas wręcz fascynować jako okazja udowodnienia swego patriotyzmu, jako okazja do przygód. Nikt z nas nie miał najmniejszych wątpliwości co do naszego zwycięstwa. Dla nas "nie oddać ani guzika" nie było sloganem propagandowym jak to przedstawiano później w czasach stalinowskich. Dla nas wyrażało ono wolę walki i pewność zwycięstwa. W roku szkolnym 1938/39 wprowadzono w liceach jako przedmiot obowiązkowy PDOK - Przynależenie do Obrony Kraju. Dla dziewcząt było ono ściśle powiązane z PWK, które było organizacją dopuszczoną obok harcerstwa do działalności na terenie gimnazjum i liceum. Z zasady nie wolno nam było należeć do żadnej organizacji pozaszkolnej - nawet sportowej.

Lato 1939r. było przepiękne. Spędziłam je pomiędzy Lidą - Białohrudą i Niemnem. Do wsi Niemen nad rzeką Niemnem było z Lidy 30 km. Często tam jeździłam ze szwagrem Ireny Wiktorem Jackiewiczem, a czasem jeździliśmy we dwie z Ireną.

Z Niemna pamiętam sławną "zupę nic" specjalność Wandy siostry Ireny. Kiedyś wybrałyśmy się z Wandą na przejażdżkę kajakiem po Niemnie, chociaż ja nie umiałam wtedy jeszcze pływać. Trzeba pecha, że złapała nas burza, kiedyśmy były na środku Niemna. Już nie pamiętam jak udało nam się wrócić do brzegu, ale burza za brawurę nas nie ominęła. Nie przypuszczaliśmy, że to wspaniałe lato zamyka okres naszej beztroskiej młodości.

W lecie 1938r. byłam na obozie podinstruktorskim PWK w Garczynie koło Kościerzyny i dlatego potem byłam szefem zespołu dziewcząt z klas licealnych w ramach Przysposobienia do Obrony Kraju - niezależnie od funkcji w PWK. Zajęcia PDOK obejmowały przygotowanie do służby łącznościowej, sanitarnej z praktyką szpitalną włącznie, a także strzelanie. W strzelaniu najlepsza była Wanda Maszewska - nawet jeździła na jakieś zawody do Wilna. Irena i ja przodowałyśmy w zajęciach sanitarnych i dlatego nasza praktyka szpitalna trwała ponad pół roku, obejmując nie tylko opatrywanie ran, ale i asystowanie przy operacjach. Przy pierwszej omal nie zemdlałam, ale później się przyzwyczyłam. Chorzy woleli nas niż zawodowe pielęgniarki. Nawet nie przypuszczaliśmy wtedy jak szybko praktyka ta będzie nam potrzebna.

Ze strzelania utkwił mi w pamięci fakt, że kiedyś na strzelnicy /naprzeciwko naszego gimnazjum był duży poligon ćwiczebny/chcąc postraszyć jedną z naszych tchórzliwych koleżanek i będąc pewną, że karabin nie jest naładowany postrzeliłam ją w nogę - na szczęście ślepakiem, więc bez jakichś poważniejszych skutków.

Jako szef PDOK prowadziłam naszą grupę podczas ostatniego capstrzyku żałobnego 18 marca 1939r..Pogoda była wspaniała, bo o godzinie 18-tej miałyśmy na sobie sweterki i bluzy PWK. Wszystkie miałyśmy jednakowe brązowe półbuty BATA za 5,- zł.

W sierpniu chłopcy wyjechali na obóz PW gdzieś w poznańskie.

A wojna zbliżała się szybkimi krokami. Mówiło się o niej coraz więcej, ale dla nas to nie była groźba. To była okazja wykazania naszego patriptyzmu i bohaterstwa. To miała być wielka przygoda. Klęsk nie braliśmy w ogóle w rachubę.

Tak nadszedł pamiętny dzień 23 sierpnia i pakt Ribentrop-Mołotow, a za nim 26 sierpnia i mobilizacja. Witek Jackiewicz wyjeżdżał, a my trzy odprowadzałyśmy go na dworzec. Wandzia płakała, a Witek był beztroski, tak jakby jechał nie na wojnę, a na kilkudniową wycieczkę. W polowym mundurze z kolorowym magazynem w rękę /chyba "Dookoła Świata"/ bez najmniejszej nawet walizeczki, pocieszał ją, że wróci za kilka dni. Niestety nie wrócił nigdy. Poległ pod Białobrzegami. Odszedł - chociaż takiej ewentualności nie brał wcale pod uwagę, tak jak nie spodziewał się naszej klęski.

Nas - dziewczęta - mobilizacja nie obowiązywała, ale natychmiast wszystkie /Irena Kleindienst, Lena Baklan, Zosia Bobrownicka, Wanda Maszewska, Wanda Dobrowolska, Renia Piątkowska, Lola Ko^{len}vdówna i wiele młodszych koleżanek / zgłosiłyśmy się do punktu dowodzenia obroną przeciwlotniczą, mieszczącego się na najwyższym piętrze poczty głównej w Lidzie jako telefonistki.

Rozpoczęły się ćwiczenia i próbné naloty. Dyżury miałyśmy przez całą noc i dzień po 8 godzin pracy i 8 godzin odpoczynku w domu. W tych ośmiu godzinach wolnego mieścił się również czas na dojście z domu i do domu oraz posiłki. Jednakże jeszcze w tym skromnym wolnym czasie chodziłyśmy jeszcze kopać rowy przeciwczołgowe. Nic więc dziwnego, że byłyśmy bardzo zmęczone, ale szczęśliwe, że możemy coś zrobić dla Kraju.

Wojna

W dniu 1 września 1939r. miałam służbę na pierwszej zmianie, to znaczy od północy do 8-mej rano. Około godziny 5-tej rano przyjąłem telefon, którego nie mogłam zrozumieć, bo dotychczas zawsze powtarzało się słowo: "Alarm próbny", a tym razem mój rozmówca twierdził, że to "Alarm prawdziwy". Nie wiem już jakie słowo obowiązywało na określenie, że alarm nie jest próbny, ale było to jakieś określenie specjalne. Gdy wreszcie rzeczywistość dotarła do mej świadomości zameldowałam dowódcy: "Panie poruczniku Niemcy zbombardowali fabrykę dykty w Mostach".

I tam zaczęła się dla mnie wojna, ale jeszcze wtedy nie przypuszczałam jak straszną okaże się ona dla mnie już zaledwie za kilka godzin. O godzinie 11-tej w trakcie nalotu samolotów niemieckich na lotnisko w Lidzie został ciężko ranny mój ojciec - cywilny pracownik Parku V Pułku Lotniczego zmobilizowany, lecz pozostający na swoim stanowisku i wracający na noc do domu.

Na jakieś dwa tygodnie przed wybuchem wojny jeden z samolotów pułku nie powrócił z ćwiczebnego lotu, a nie było zgłoszenia wypadku. Podśluchałam, że rodzice mówili, iż pilot i obserwator tego samolotu byli szpiegami niemieckimi. W dniu 1 września 1939r. właśnie ten samolot prowadził nalot na lidzkie lotnisko - stąd zaskoczenie.

Chłopcy z gimnazjum mechaniczno-lotniczego wyszli na dach budynku obejrzeć nasz samolot - nie zwracając uwagi na to, że inne towarzyszące mu maszyny mają swastykę zamiast szachownicy - dlatego wielu z nich było rannych na skutek ostrzału z broni pokładowej. Ojciec jako odpowiedzialny za nich został ranny wraz z nimi - lecz trafiony najbardziej groźnie bo w brzuch i to niestety po śniadaniu.

Kiedy w dniu 2 września poszłam z matką do szpitala /wiele osób oczekiwało przed bramą/ około południa wezwał mię do siebie dowódca

szpitala. Przemówił do mnie o obowiązkach Polki i kazał dać słowo, że zaraz zabiorę matkę do domu, bo ojciec przed chwilą - a była to godzina 13-ta - zmarł. Jest tylu rannych i chorach, którym płaczem przeszkadzałybyśmy więc proszę, żebyśmy dopiero w domu powiedziała o tym matce.

Na korytarzu spotkałam Hankę Gąsowską /córkę ludzkiego starosty/, która jako rok ode mnie starsza, została sanitariuszką w szpitalu wojskowym. Hanka powiedziała mi, że była przy moim ojcu do ostatniej chwili, że ojciec był u spowiedzi i Komunii Świętej. Wiadomość ta była dla mojej matki niesłychanie ważna i stanowiła pociechę w ciężkich chwilach.

Wyszłam do matki ze spokojną twarzą i powiedziałam, że musimy wrócić do domu. Pewnie użyłam jakichś argumentów na to dlaczego nie możemy odwiedzić ojca, ale wszystko to uleciało już z mojej pamięci, bo idąc do domu, żeby zagłuszyć ból opowiadałam mamusi tyle najrozmaitszych głupstw nie zdając sobie dobrze sprawy z tego co mówię. Do domu było około 2 km, a ja nie zapłakałam i nie pokazałam po sobie, że wiem, iż ojciec nie żyje. Tak silne było w nas poczucie obowiązku dotrzymania danego słowa.

Zostawiłam mamusię w domu i poszłam do przyjaciół Marii i Edka Wojtuszkiewiczów, którzy mieszkali obok naszego domu. Tam dopiero mogłam sobie ulżyć i wypłakać się.

Kiedy wróciłam do domu goniec ze szpitala już przyniósł straszną wiadomość, że ojciec właśnie zmarł. Przez wiele lat mamusia miała do mnie żal o to, że wtedy zabrałam ją do domu.

Pogrzeb odbył się w dniu 3 września /dzień imienin ojca/ na koszt państwa, ale ja musiałam wiele spraw załatwić i na szczęście nie miałam czasu na rozmyślania. Szczęściem było również to, że miałam wielu przyjaciół - i to takich, których poznaje się w biedzie. Edek pomagał mi w załatwianiu formalności. Wandzia uszyła mi czarną sukienkę. Nie wiem jak to się stało, ale pogrzeb na cmentarzu

miał miejsce wieczorem, chociaż pamiętam, że gdy poszliśmy do kostnicy szpitalnej świeciło ostro słońce i że mamusia nie pozwoliła nam oglądać ojca w trumnie - nawet mnie najstarszej. Wiem też, że w trakcie eksportacji do kościoła musieliśmy się zatrzymywać po drodze trzy razy z uwagi na naloty. Nieco też czasu zabrało nabożeństwo w kościele. Odległość ze szpitala garnizonowego na cmentarz wynosiła jakieś 4-5 km, bo trzeba było przejść z jednego krańca miasta na drugi. Na cmentarzu była już ciemna noc. Pogrzeb odbywał się w świetle świec. Chyba nawet na cmentarzu nie zapłakałam. Rozkleiłam się dopiero w domu, gdy zobaczyłam papierośnicę ojca i kiedy już nic dla niego zrobić nie mogłam.

Ciągle jeszcze pełniłam służbę w obronie przeciwlotniczej, ale w kilka dni po pogrzebie burmistrz zaproponował mi pracę w Magistracie. Mój ojciec był pierwszą ofiarą wojny w Lidzie, więc byłam traktowana po trosze jako ktoś wyjątkowy i pomimo, że rozpoczęłam pracę jako pomoc referenta, warunki miałam cieplarniane z uwagi na odgórną opiekę. Wszyscy się o mnie troszczyli i starali ułatwić mi życie. Tak było do 16 września 1939r.

Pod sowieckim panowaniem

W niedzielę 17 września 1939r. po południu gruchnęła wieść, że koło cmentarza od strony V Pułku Lotniczego pojawiły się czołgi francuskie. Ależ Fantazja!!!

Okazuje się, że nie tylko strasz ma wielkie oczy, ale i nadzieja czy raczej gorące pragnienie - nie mniejsze.

Potem jednak dość szybko została skorygowana, że owszem pojawiły się czołgi, ale sowieckie nie francuskie, z tym, że nikt nie wiedział w jakim zjawiają się charakterze: okupanta czy sprzymierzeńca.

Na wszelki jednak wypadek wszyscy się ich bali - nie tyle czołgów, co Sowietów. Ponieważ mamusia zaraz po pogrzebie wyjechała z młodszym rodzeństwem na wieś, a ja mieszkałam sama, rodzice Ireny zabrali mię na tę noc do siebie.

Przez całą niedzielę wszyscy pracownicy Starostwa i Magistratu, a także tacy ochotnicy jak Irena, Zosia czy Lena palili akta w Starostwie, Magistracie i policji. Nie bardzo wiedziałam poco, ale pomagałyśmy z zapalem.

Nazajutrz w poniedziałek 18 września 1939r. szłam do pracy w najgorszym płaszczu i berecie służącej pp.Kleindienstów. Ulice były puste. Sklepy pozamykane. Wystraszeni ludzie siedzieli zamknięci w domach, a przemykali się ulicami tylko ci, którzy musieli iść do pracy. Miasto przedstawiało okropny widok, bo nawet ci ludzie, co ukazali się na ulicy ubrani byli podobnie jak ja to znaczy jak najgorzej. Przed Magistratem stali - zupełnie tacy, jak ich karykatury w polskich przedwojennych gazetach - sowieccy żołnierze: z karabinami na sznurku i z bagnietem zatkniętym na karabin, w szynelach postrzępionych u dołu i z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Nie wiem dlaczego uznałam, że łatwiej dogadam się z nimi po francusku /w znanym mi języku obcym/ niż po polsku. Jakoś mię wkońcu do tego Magistratu wpuścili.

Tak jak wszyscy pracownicy również ja dostałam trzymiesięczną odpra-

prawę, więc gdy byłam sama zamiast prać bieliznę kupiłam sobie kilka kompletów ładnej becherowskiej bielizny i gumowe botki produkowane w ARDALU w Lidzie obok masek gazowych.

Znany lidzki komunista - jeden z trzech czy może dziesięciu maszerujących przed wojną ulicami Lidy na 1 Maja - Krótki przyszedł do nas do Biura pozdejmować krzyże. Nasi Żydzi poprzypinali sobie natychmiast czerwone kokardki głośno deklarując:

- Teraz skończyło się wasze prawo. Teraz będzie nasze.

Najbardziej zapamiętałam Mulkę Sawickiego i Kamińskiego, ze starszej od nas klasy. Brat Sawickiego był razem z nami. Najlepszy kawał, że również oni zostali później wywiezieni na Sybir, jako dzieci kapitalistów. Rozpoczął się okres terroru.

Wielokrotnie nocowali u nas polscy oficerowie wracający z wojny. Rpdzałyśmy z mamusią w ten sposób wszystkie ubrania ojca. Nie przyszło nam wtedy nawet do głowy, że ubrania te możnaby sprzedać, bo przecież mamusia została ze mną i czwórką młodszego rodzeństwa właściwie bez środków do życia. Trzymiesięczna emerytura jako odprawa i żelazna porcja żywnościowa, otrzymana z pułku jeszcze przez ojca - to było wszystko. A żyć było trzeba dalej.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich mamusia wróciła do Lidy, gdzie narażenie było bezpieczniejsze.

Okazało się teraz jak bardzo miał rację ojciec twierdząc, że języki wrogów trzeba znać, bo z przyjaciółmi zawsze się dogadasz, a wroga lepiej rozumieć. Ojciec zawsze był zdania, że przede wszystkim powinniśmy znać niemiecki i rosyjski. Teraz więc jako jedyny żywiciel rodziny musiałam się szybko zabrać do nauki języka rosyjskiego. Na szczęście nauka języków obcych przychodziła mi łatwo i mamusia szybko nauczyła mnie alfabetu /podstawa w pracy/ i pierwszych zasad tego języka, abym mogła pracować. Zostałam przydzielona do Zarządu Elektrowni, która przed wojną podlegała Magistratowi, jako kasjerka i kontystka. Zarabiane przeze mnie pieniądze wystarczały skromnie na

bieżące potrzeby. Potem jednak rozwiązano gimnazjum mechaniczne na lotnisku, a uczniów zatrudniono. Tak więc nasze zasoby rodzime powiększyły się o pensję brata. Z jego pracy zawodowej poznaliśmy system pracy w Sowietach. Otóż był tam stary fachowiec, który nigdy nie wykonywał normy. Zawsze stawiano za przykład pracowników sowieckich. Kiedyś więc młodzi chłopcy postawili sowieckiemu majstrowi wódkę i zapytali jak to się dzieje, że oni stale przekraczają plany, a Polacy nie mogą ich wykonać. Po kieliszku majster wyjaśnił im na czym polega różnica pomiędzy wykonywaniem pracy, a wykonywaniem planu. Jeżeli np. było: "malowanie skrzydła samolotu", to na tę pracę składało się starcie poprzedniej farby, wyszlifowanie, zagruntowanie, pomalowanie podkładowe, pomalowanie ostatecznie. Polacy wszystko to dokładnie robili. Natomiast Sowietci po prostu pociągali farbą ostateczną, bez wszystkich czynności uprzednich. Niestety nauczyli nas również wykonywania planów zamiast pracy i trwa to do dziś.

Brat miał zdecydowanie więcej kłopotów z językiem niż ja. Kiedyś miał narysować plan jakiejś części samolotów. Inżynier sowiecki przejrzał i powiedział :

- Choroszo, no nużno podczercić /dobrze, ale trzeba podkreślić/. Myślał, brat, myślał, a „czertienie” kojarzyło mu się tylko z czortem. Wkońcu wpadł na pomysł. Poszedł do Rosjanina i poprosił:
- Pomóż mi, bo nie mogę sobie sam dać rady z „czertieniem”.
Zdziwiony Rosjanin wziął linijkę i po prostu podkreślił.
Druga jego językowa przygoda była jeszcze śmieszniejsza. Nagle pojawiło się w naszym słowniku słowo "oczeredź"/ogonek, kolejka/. Używaliśmy go, bo nie znaleźliśmy jeszcze polskiego odpowiednika. Nagle pojawiły się kolejki i w sklepach zamiast sprzedawać zaczęto "dawać". Ludzie stawali w kolejkach, a dopiero potem pytali co tu dają. Pewnego razu brat był w mieście i zobaczył kolejkę. Zapytał
- co tu dają?

Usłyszał w odpowiedzi "uksus"/ocet/. Zrozumiał "luksus", a więc chyba czekadada, której już od dłuższego czasu nie mieliśmy, więc stanął. Stał kilka godzin, a kiedy doszedł do lady wręczono mu... butelkę octu. Ze złości nie wziął jej, za co oberwał od mamusi, bo ocet był jej potrzebny, a nie można go było dostać.

Październikową pensję dostałam w złotówkach. W tydzień potem złotówki unieważniono a pensje wypłacono nam jeszcze raz w rublach. Ja jednak złotówki zdążyłam wydać zanim je unieważniono.

Zaczęli wracać nasi chłopcy z obozów Pw i z wojny. Dédé Szystowski, którego matka była Francuzką, wrócił z Grodna razem z Edkiem bez oka. Opowiadano, że dowódca 77pp stacjonującego w Lidzie widząc bezmadziejność sytuacji zastrzelił się i prosił o pochowanie go razem ze sztandarem pułkowym.

Opowiadano, że Sowieci wkraczający do Grodna rozpięli na pierwszym czołgu 12-letniego harcerzy^kka, żeby powstrzymać polskie oddziały od strzelania. Grodno było dla nas wtedy symbolem bohaterstwa jako jedyne miasto, które stawiało Sowiecom opór.

Zaczął się ruch i wędrówki ludów. Jedni uciekali do Wilna, które jeszcze było wolne /głównie ziemianie z obrabowanych majątków/ lub na Litwę kowieńską, inni do Warszawy, a jeszcze inni chcieli przedostać się do Francji czy Anglii. Wilno było przez 2 tygodnie miastem otwartym i wtedy powstało wiele dowcipów, takich jak: "Litwini depeszują do Łotyszów - pożyczcie nam swoje czołgi na zajęcie Wilna, a Łotysze odpowiadają - ile ? Jeden czy wszystkie trzy?".

Był też wierszyk napisany przez ucznia z gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Wilnie. Niestety pamiętam z niego tylko jedną linijkę: "Swoją w-jazd tryumfalny długo odkładali, bo w dzień im wstyd było, a w nocy ... się bali".

Edek i Dédé znaleźli schronienie u polskiego ziemianina pod Kownem pana Boguszewicz^ę, czy Bogdanowicza, a może Bogdziewicz^ę czy jakoś tak. Warunki mieli tam wspaniałe. A nie mogąc pisać do rodzin, pisa-

li do mnie. Pamiętam, że w jednym z listów było takie zdanie: "pracujemy w polu i uczymy się najniezbędniejszych słówek litewskich, takich jak - asz mogu pobuczoti gražoje mirgajtie /chciałbym pocałować ładną dziewczynę/. Zapytaj mamę co to znaczy". Pani Wojtuszkiewicz była Polką z Łotwy, więc litewski rozumiała. W ten sposób chcieli nam powiedzieć, że im się dobrze powodzi. Do mego i jego rodziców aresztowania Edek przebywał stale na Litwie, a tylko od czasu do czasu wpadał na krótko do Lidy.

Zacząło się życie jak na wulkanie. Nikt nie był pewien dnia ani godziny, do czego nam wychowanym w wolnym kraju trudno było się przyzwyczaić. Jeszcze przez październik sklepy wysprzedawały to co miały, a władze wywoziły dniami i nocami wszystko, co im pod rękę wpadło. Żołnierze sowieccy dostali tyle złotych ile zarabiali rubli, a były to dla nich w porównaniu z naszymi cenami sumy niebotyczne. Kupowali więc wszystko: nocne koszule jako suknie balowe, bieliznę, obuwie, okrycia. Polowali jednak głównie na zegarki, których w Sowietach jeszcze wtedy nie było. Swoją przemysł precyzyjny i radiotechniczny rozbudowali na bazie wywiezionych z Wilna maszyn.. Jak już wspomniałam w listopadzie wprowadzono nagle z dnia na dzień ruble zamiast złotych. Dobrze na tym wyszłam, bo kupiłam rzeczy, które potem bardzo się przydały.

Nadszedł listopad, a z nim święto rewolucji październikowej i w konsekwencji pierwsze aresztowania. Młodzież gimnazjalna poszła na pochód z tarczami, na których była na ukos czarna wstążeczka na znak żałoby, przy czym każdy włożył to, co miał najgorszego. Ja poszłam na pochód w ciężkiej żałobie z gęstym welonem opuszczonym na twarz. Wywołało to skandal i zostałam wezwana do NKWD. Udowodniłam jednak, że zgodnie z polskimi zwyczajami żałoba po ojcu wynosi rok, a mój ojciec zginął 2 września. Skończyło się na naganie i zakazie noszenia welonu na twarzy.

Na dzień 7 listopada miasto było udekorowane "głowizną". Tak nazywaliśmy portrety w okół rynku wśród choinek i w każdym oknie sklepowym z rzeźnickimi włócznie i ten ostatni widok nasunął nam takie skojarzenie. Taka masa portretów ustawionych na rynku między choinkami była dla nas szopką nielada. Jeszcze większy ubaw mieliśmy z portretami niesionymi na drągach w pochodzie. Młodzież potykała się, upadała, a portrety rozbijały się. Potem po wojnie również w PRL w czasach stalinowskich miały miejsce takie szopki. Natomiast na 11 Listopada cała młodzież przyszła do szkoły w galowych mundurkach z białymi kołnierzykami. I wtedy się zaczęło.

Jako jedną z pierwszych aresztowano Renię Piątkowską. Zapamiętałam ją, bo zabrano ją z zapaleniem płuc i temperaturą 40°C. Wtedy też zabrano opiekunkę dziewcząt i harcerstwa Jadwigę Mostowiczównę. Zabrano też z I klasy harcerzyka, którego nazwiska nie pamiętam. Kiedy go chciano po kilku dniach wypuścić, powiedział, że teraz wstyd być na wolności. Zatrzymano go więc na stałe za propagandę antysowiecką. Była ponadto jakaś historia z domalowaniem w ubikacja na portrecie Stalina brody - wiadomo czym. To były skutki wychowania młodzieży w wolnym kraju. Nie mogło nam się pomieścić w głowie, że mogą człowieka aresztować za nic, a wyobraźnia nasza nie mogła nam podsunąć obrazu łagrów czy więzienia, bo były to dla nas pojęcia równie abstrakcyjne jak piekło.

Inną osobliwością tego okresu były niepożądane, ale i nieuniknione wizyty. Przychodził taki wojak i stwierdzał:

- razreszytie pobiesiedowat' - pozwólcie porozmawiać, podyskutować? I nie czekając na pozwolenie rozsiadał się - dobrze, jeżeli to było krzesło, bo przy fotelu istniała obawa, że jego sublokatorzy mogą się przenieść na fotel - i zaczynał agitować jakie to wspaniałe życie w Sowietach, jaki genialny jest Stalin i że ich konstytucja jest najlepsza w świecie.

Jeszcze wtedy ośmielaliśmy się z nimi dyskutować i nie ponosiliśmy ^{nie} - wiem dlaczego - żadnych konsekwencji. Kiedyś było u mnie grono młodzieży, gdy taki bajec¹ złożył wizytę. Ku wielkiemu jego oburzeniu stwierdziliśmy, że zasadniczo od Rewolucji Francuskiej wszystkie konstytucje są takie same. Potem zapytał nas czy wiemy jaki jest nasz rząd. My - ku przerażeniu mamusi, która była w drugim pokoju - powiedzieliśmy: Prezydent Raczkiewicz, Premier Sikorski, na co ten głupek - chyba nie zorientowany co mówimy - sprostował:

- Da niet towarzyszcz Stalin, Mołotow, Kaganowicz, Beria itd.

Gdzieś pod koniec października zupełnie nieoczekiwanie przyjechał z Baranowicz Sławek z kolegą /tak nazywałam Bogusława Wężyka poznanego na kursie szybowcowym w 1937r./. Wybierali się do Anglii przez Litwę czy Łotwę. Spędzili u mnie kilka dni i wtedy jedna z koleżynek wywróżyła nam rozstanie. Raz wyszliśmy we dwójkę na spacer, a był już wieczór i ja powiedziałam:

- Wracajmy, bo nas jeszcze zamkną, na co on zażartował:

- Byle razem.

W złą chwilę wypowiedział te słowa.

Z Mior - nie wiem dokładnie, gdzie to jest, ale chyba była to jakaś stacja graniczna - napisał do mnie list w stylu sienkiewiczowskim: "Ukochana moja Gwiazdeczko z ojczyzstego nieba! Jeżeli Bóg pozwoli mi spełnić obowiązek wobec Ojczyzny nie zapragnę innej nagrody jak zawsze być razem z Tobą. Spotkało mię szczęście będące udziałem niewielu: znalazłem drugą połowę mej duszy". Ani słowa o seksie. Dla nas wtedy seks był sprawą po ślubie a dowodem miłości chłopca do dziewczyny było to, że ją szanuje i czeka do ślubu.

Około 10 listopada wrócili obaj z nieudanej wyprawy. Wydostanie się tą drogą okazało się niemożliwe. Znów pozostali u nas przez kilka dni i 11 Listopada zaręczyliśmy się. On mi dał sygnet Szko-

ły Morskiej - który był cały czas ze mną w więzieniu i porócił szczęśliwie do domu, a ja mu dałam pierścionek z Matką Boską Ostrobramską - który mu zabrano przy pierwszej rewizji. Zrobiliśmy wtedy sobie u fotografa pamiątkowe zdjęcie. W tym czasie Sławek zaprzyjaźnił się z Ireną Kleindienst oraz Edkiem - który właśnie był w Lidzie - i Rysią Wojtuszkiewiczami.

Chodziliśmy często wieczorem do prawie pustej kawiarni na pięterku przy ul. Suwalskiej, gdzie stało pianino i Sławek zawsze grał piosnkę królewicza z "Królowy Snieżki". Nie wiem dlaczego nie chodziliśmy do bardziej znanej "Amerykanki".

Powrócił do Baranowicz i byliśmy do grudnia w stałym kontakcie telefonicznym. Potem nagle kontakt się urwał. Okazało się, że Sławek próbował przedostać się na Zachód drogą południową, ale też bezskutecznie. W styczniu wyjechał do Warszawy. I wtedy jego ojciec dość tajemniczo poprosił, żebym przyjechała do Baranowicz. Pojechałam w dzień Nowego Roku bardzo spięta i wystraszona. Wizyta okazała się bardzo miła i sympatyczna. Zamiast jeden dzień byłam kilka dni na zwolnieniu lekarskim wystawionym mi przez ojca. Tajemniczość listu polegała na tym, że Sławek znów gdzieś się wybrał.

Wrócił w końcu stycznia zdrów i cały ku wielkiej radości rodziny i mojej. Od tego czasu bardzo często odwiedzaliśmy się. Sławek bardzo nadskakiwał mamusi, bo mamusia-przeciwnie niż jego rodzice - bała się, że możemy się pobrać, a przecież ja byłam żywicielem rodziny.

Część domu jego rodziców zarekwirowali enkwardziści. W lutym przyjechała do jednego z nich córeczka, w wieku siostry Sławka Zosi, z matką. Pani lejtenantowa miała perkalikową sukienką i futro. W Polsce kupiła sobie kapelusz. Tak wystrojona chodziła do ubikacji stojącej za domem, bo z toalety domowej nie odważała się korzystać. Mieliśmy wspaniałe przedstawienie obserwując ją z kuchni. Córeczka zaś ciągle mówiła: "u nas wsio jest".

Konspiracja

Wszystko, co dotychczas pisałam, napisałam jedynie w oparciu o pamięć. W dalszej części mam zadanie o tyle ułatwione, że będę jedynie rozszerzać pamiętnik sporządzony zaraz po powrocie z więzienia, kiedy wszystkie wrażenia były jeszcze świeże, a pamięć niezawodna. Niektóre zresztą fragmenty przepisane były z grypsów sporządzonych w więzieniu na gilzach z wypalonych papierosów, na kawałkach gdzieś zdobytego papier lub na resztkach jednokolorowego płótna.

Rozpocznę jednak od wspomnień moich koleżanek spisanych na moją prośbę w chwili obecnej. Będą one może odbiegały od moich notatek, bo czas zasnuwa mgłą nawet takie fakty czy nazwiska, których - zdawałoby się - zapomnieć nigdy nie będziemy w stanie, a jednak...

Zosia Bobrownicka-Maślankowa tak wspomina naszą pracę w konspiracji:

"Przed wojną należałam do harcerstwa i PWK /Przysposobienie Wojskowe Kobiet/. Przeszłam przeszkolenie: sanitarne, łączności i uczyłam się strzelać. Byłam na obozie szkoleniowym PWK w Redłowie w lipcu 1938r.

Po wybuchu wojny byłam oddelegowana do dyżurów nocnych przy telefonach na poczcie w Lidzie.

Po wkroczeniu bolszewików wróciłam do szkoły. Byłam w klasie maturalnej liceum im. Hetmana Karola Chodkiewicza w Lidzie. Z miejsca zaczęliśmy się organizować. Uczyliśmy się konspiracji. Tworzyliśmy tak zwane "piątki". Jedna piątka miała łączność z innymi tylko przez inną osobę.

Bardzo często zbieraliśmy się grupkami w różnych domach, ponieważ cała sytuacja była dla nas szokiem. Szukaliśmy siebie nawzajem i sposobu ratunku. Nie wiedzieliśmy i nie spodziewaliśmy się, że nasze koleżanki-komunistki Żydówki już robią spisy działaczek

i "konspiratorek". Listy te przygotowały Hawka Stukator i Maria Putrament. Miałyśmy wtedy po 16-18 lat.

Którejś nocy syn dyrektora naszego gimnazjum, a nasz kolega Stach Mentlewicz powiadomił mnie, że jego ojciec otrzymał od swoich uczniów Żydów listę nazwisk profesorów i uczniów, którzy mają być aresztowani. Na tej liście figurowało i moje nazwisko. Tej samej nocy nasi profesorowie wraz z rodzinami uciekli z Lidy. Ja poszłam przez zieloną granicę na Litwę do mojej ciotki. Pomiędzy Wilnem a Lidą była już wtedy granica litewsko-sowiecka. W tym czasie została w Lidzie aresztowana profesor Jadwiga Mostowicz ucząca nas łaciny, opiekunka harcerstwa i późniejsza Sławoj-Składkowska, żona ostatniego Premiera Rzeczypospolitej. Zostały także aresztowane Gienia Wróblewska - nasza drużynowa, Regina Piątkowska, Helena Bakłań, Zofia Zapaśnik, Janina Przesmycka i wiele wiele innych Bogu ducha winnych uczniów i uczennic. Byli zabierani ze szkoły lub z domów oświcie.

Kleofasa Piaseckiego nazywanego "Lolek" znałam z przed wojny, gdyż nasze matki były znajomymi. "Lolek" studiował na USB w Wilnie. Kiedy spotkaliśmy się w Wilnie był już bardzo zaangażowany w organizacji "Służba Zwycięstwu i Polsce". Miał stały kontakt z władzami, które kontaktowały się z Londynem. Wciągnął mnie do pracy w organizacji. Byłam jedną z jego kurierek. Działał na terenie Nowogródzczyzny. Celem było przygotowanie terenu i ludzi do tworzenia partyzantki. Byłam wysyłana do Lidy, Baranowicz, Wołożyna, Stołpiec. Wędrowałam po wsiach, miasteczkach, majątkach. Wozilałam instrukcje i mapy.

Kiedy po raz piąty przekraczałam zieloną granicę pomiędzy Litwą a Białorusią zostałam złapana.. Mój przewodnik został postrzelony. Papiery, które niosłam, zdążyłam zakopać pod leśnym mchem. Odprowadzono mnie do sztabu w Narkuszkach. Był to majątek pp. Bohdziewiczów. Ich synowi Gustawowi zawdzięczam, że nie wydano

mnie w ręce bolszewików. Zostałam osadzona w areszcie litewskim w Ejszyszkach. Na rozkaz "Lolka", który organizował mi możliwość ucieczki próbowałam uciec. Zostałam jednak złapana przez strażnika. Dzięki staraniom mego wuja, którego szkolny kolega Paleviczius był litewskim burmistrzem miasta Wilna zostałam zwolniona z aresztu i wróciłam do Wilna.

Na polecenie "Lolka" jeszcze raz wróciłam do Lidy. Lida już była bardzo dobrze zorganizowana. Mieliśmy już dużo broni i mundurów. Któregoś dnia "Lolek" zwołał zebranie w domu pp.Stankiewiczów celem zaprzysiężenia nas i uatalenia pseudonimów. Byłam tam. Wyszłam na chwilę. Już nie pamiętam poco. W tym czasie dom został otoczony przez NKWD i wszyscy zostali aresztowani. Nie wiedziałam, że "Lolek" zdażył uciec. Aresztowana została nasza łączniczka Joanna Stankiewicz i wiele innych osób, których nazwisk już nie pamiętam. Joanna została wywieziona do więzienia w Mińsku. Ja ukrywałam się na wsi z Ireną Kleindienst. Potem znów poszłam do Wilna. Irena przyszła również do Wilna i razem zamieszkałyśmy u mojej ciotki. Tam doszła mnie wiadomość, że Lolek został aresztowany. Podobno jechał szosą rowerem. Zatrzymał go sowiecki patrol - nawet nie podejrzewając kim on jest. "Lolek" miał w kieszeni broń. Chciał do nich strzelić, lecz nerwy go zawiiodły. Strzelił sobie w nogę. Osadzony w więzieniu w Mińsku został rozstrzelany, w co nigdy nie chciała uwierzyć jego matka.."

A tak okres ten pamięta Irena Kleindienst-Wojtuszkiewicz:

"Po ogłoszeniu mobilizacji w końcu sierpnia 1939r. zgłosiłam się do pracy jako telefonistka w punkcie dowodzenia obroną przeciwlotniczą, który mieścił się w gmachu poczty w Lidzie.

Równocześnie ze mną podjęły pracę moje koleżanki szkolne: Wanda Dobrowolska, Wanda Maszewska, Leokadia i Regina Mizgierówny, Joanna Stankiewicz, Helena Baklan, Zofia Bobrownicka, Regina Piątkowska Otella Mogiła-Stankiewicz i inne.

Praca na poczcie trwała całą dobę, zmieniałyśmy się co osiem godzin. Każda z nas miała osiem godzin pracy i osiem godzin odpoczynku. Dowodził nami początkowo por. Jan Kołodziej a po jego odejściu na front por. rezerwy - starszy pan, którego nazwiska nie pamiętam.

Lida była bombardowana już 1 września 1939r. przed południem. Jedną ze śmiertelnych ofiar pierwszego niemieckiego nalotu na lotnisko był ojciec mojej przycaciółki Joasi Stankiewicz.

Praca na poczcie trwała do dnia 17 września 1939r., to jest do wkroczenia do Lidy wojsk sowieckich. Do tej pory mieliśmy do czynienia z wrogimi samolotami, które bombardowały nas lub ostrzeliwały z broni pokładowej, teraz stanęliśmy oko w oko z okupantem budzącym grozę i odrazę. Upokarzało nas uczucie bezsilności wobec tej nędznie umundurowanej armii, która opanowała miasto. Zaraz ujawnili się miejscowi komuniści. Zaczęły się aresztowania - szczególnie młodzieży. Zagrożeni też byli profesorowie gimnazjum, zwłaszcza poloniści, historycy, opiekunowie organizacji młodzieżowych i dyrektor..

Mieszkaliśmy blisko dworca kolejowego i nasze mieszkanie było ostatnim punktem oparcia dla opuszczających miasto profesorów. Rodzice moi postanowili pozostać w Lidzie. Uważali, że ktoś musi być z młodzieżą. Pozostali też: fizyk prof. Manke Zygmunt, matematyk prof. Józef Kalecki, łacinniczka prof. Jadwiga Mostowicz, gimnastyczka prof. Maria Popko. Reszta grona nauczycielskiego w pośpiechu opuściła miasto. Wielu uczniów uciekło do Wilna. W listopadzie 1939r. została aresztowana prof. Jadwiga Mostowicz i kilka uczennic harcerek, między innymi Regina Piątkowska i Eugenia Wróblewska.

Potem nastąpił koszmar deportacji w głąb ZSSR. W Lidzie i na terenie województwa nowogródzkiego zaczęła się tworzyć organizacja niepodległościowa. Siatkę konspiracyjną rozpoczął budować Kleofas Piasecki Student Wydziału Prawa Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W Lidzie mieszkał w dzielnicy Słobódka u swojej ciotki p. Mickiewiczowej. Wśród młodzieży znany był jako „Lolek.”

Z końcem grudnia 1939r. wprowadziła mnie do organizacji Joanna Stankiewicz. Miałyśmy za zadanie zbieranie informacji o rozmieszczeniu jednostek wojskowych, gromadzenie map sztabowych, broni, leków, środków opatrunkowych. Mówiło się o tworzeniu oddziałów partyzanckich. Byliśmy przekonani, że na wiosnę podejmiemy walkę zbrojną z okupantem.

Do organizacji należały prawie wszystkie koleżanki szkolne i koledzy narodowości polskiej, którzy pozostali w Lidzie. Nie przybieraliśmy pseudonimów. Nawet nie znałam nazwy organizacji, która - jak się z biegiem czasu zorientowałam miała powiązania z Baranowiczami, Białymstokiem, Wilnem, Warszawą.

W dniu 18 maja 1940r. nastąpiło pierwsze aresztowanie przez NKWD członków organizacji w mieszkaniu Joanny Stankiewicz w Lidzie przy ul. Gorniańskiej 4. Aresztowano Joannę i jej narzeczonego Bogusława Wężyka oraz dwóch jego kolegów, którzy razem z nim przyjechali z Baranowicz. Ocaleli ci, którzy na umówione spotkanie spóźnili się - tak jak ja, lub wcześniej od Joasi wyszli - tak jak Zofia Bobrownicka, jej znajoma Helka i Lolek Piasecki. Po tym aresztowaniu ukryliśmy się na wsi. Ja uciekłam z Zofią Bobrownicką do jej znajomych mających małe gospodarstwo rolne kilka kilometrów od Lidy.

Tymczasem przez miasto przeszła fala aresztowań. Więzienie zapełniło się inteligencją polską. W nocy z 18 na 19 maja 1940r. został aresztowany ojczym Zosi Bobrownickiej - Michał Roszkowski, a 20 maja rodzice naszej drugiej koleżanki: Helena i Edward Wojtuszkiewiczowie.

Działalność organizacji trwała nadal. Na polecenie Lolka krążyłam po wsiach i zaściankach w okolicach Juraciszek przenosząc meldunki i instrukcje. Doprowadzałam na punkty kontaktowe kuriera z Warszawy. Wysłał mnie też Lolek do Baranowicz, aby z mieszkania aresztowanego Sławka Wężyka przywieźć ukryte tam mapy sztabowe. Wkrótce rozstałam się z Zosią Bobrownicką, którą Lolek przeniósł do Wilna. W tym czasie poznałam młodego chłopca Stanisława Horodyńskiego, który też uciekł z Lidy i ukrywał się na wsi. Był ślepo oddany Lolkowi i zapatrzony w

niego jak my wszyscy. Często wypełnialiśmy razem wyznaczona przez Lolka zadania. Staszek znał dobrze teren i był mi bardzo pomocny. Pod koniec sierpnia 1940r. przypadkowo został aresztowany jadący drogą na rowerze Lolek Piasecki. Miał przy sobie broń i próbował strzelać do patrolu, który go zatrzymał. Dowiedzieliśmy się o tym oboje ze Staszkiem Horodyńskim, kiedy zgłosiliśmy się na punkt kontaktowy po instrukcje. Kazano nam natychmiast wracać do miejsca pobytu i czekać na rozkazy. Byliśmy zaszokowani tym, co się stało.

Na początku września doszła mnie wiadomość, że w Lidzie nastąpiły znów aresztowania wśród młodzieży - członków naszej organizacji.

Uwięziono Marię Wojtuszkiewicz, której rodzice aresztowani 20 maja przebywali w więzieniu w Mińsku, Renię Mizgier, Lenę Baklan. Robiło się ciasno i gorąco. Wkrótce zgłosił się do mnie Świętopełk Kuncewicz i zorganizował Stachowi Horodyńskiemu i mnie przerzut przez zieloną granicę do Wilna. Przewodnikiem naszym był Tadeusz zwany "Niedźwiedziuchą". Tym ludziom zawdzięczamy uniknięcie aresztowania, które nie ominęło innych członków organizacji.

W Wilnie zamieszkałam u p. Heleny Wiełłowiczowej przy ul. Archanielskiej 10, gdzie schroniła się już przedtem jej siostrzenica Zofia Bobrownicka.

Potem ze względu na bezpieczeństwo mieszkańców domu, jak i własne, przenieśliśmy się pod Wilno do Kolonii Wileńskiej, gdzie zamieszkałam u rodziny Siemaszków, a potem u dr Jadwigi Strużanowskiej. Jej dom letniskowy położony wśród sosnowego lasu na Wołokumpi dawał schronienie zimą i latem kilku uchodźcom, z których dobrze znałam kolegę szkolnego Edwarda Wojtuszkiewicza brata Młui. Dzięki Edkowi miałam od czasu do czasu wiadomości z domu i ubranie na zimę, gdyż przechodził on wielokrotnie przez zieloną granicę z Wilna do Lidy i przyniósł mi najpotrzebniejsze rzeczy.

Od czasu do czasu kontaktowałam się ze Świętopełkiem Kuncewiczem i jego siostrą Wandą, ale nie powierzano mi żadnych zadań, tak samo jak i Zosi.

W Wilnie pełno było uchodźców z różnych stron Polski. Pracowałam razem z Zosią Bobrownicką w stołówce dla uchodźców. Intendentem był tu pan Momot, kierownikiem Lidzianin pan Waszyński, kucharką pani Baturowa. Córka pana Momota - Krysia i syn Jerzy, synowie pani Baturowej oraz ich kolega Jęzus Adam stali się moimi i Zosi przyjaciółmi. Wiele razy ratowali mnie z różnych opresji. Drugą grupę niezawodnych przyjaciół zyskałam w Wołokumpi.

Na wiosnę zaczęłam pracować w zakładzie krawieckim Jadwigi Maciulonis. Tak dotrwałam do wybuchu wojny pomiędzy Niemcami a ZSSR. Gdy Niemcy zajęli Wilno wróciłam do Lidy razem z Zofią Bobrownicką, Wsiewołodem Malewskim - ciotecznym bratem Zosi oraz Edwardem Wojtuszkiewiczem.

A oto osoby, z którymi kontaktowałam się^w organizacji, lecz których właściwie nie znałam:

- Ogrodnik - człowiek kulejący, wiek około 25 lat, niski, szczupły, blondyn o rzadkich włosach, cera żółta, oczy jasne. Ogród średniej wielkości, dom w jakimś małym miasteczku; może Iwie, może Juraciszki.

- Benek - wzrost około 175 cm., sztywny z ciemnymi oczami, cera ciemna, śniada. Wiek około 25 lat. Kawaler. Gospodarz w zaścianku, gdzie kwaterował Lolek Piasecki i gdzie kontaktował się z Zofią Bobrownicką i ze mną. Miał albo młodszego brata, albo parobka. Zaścianek położony blisko lasu, w pobliżu nie było wsi. Duży dom mieszkalny o kilku pokojach, parterowy, drewniany. Zabudowania gospodarcze oddzielone od domu mieszkalnego podwórzem. Przy domu mieszkalnym był ogródek. Nie pamiętam kobiet z tego zaścianka. Dojazd z Lidy pociągiem i potem kilka kilometrów piechotą. Stacja Gawia lub Juraciszki.

Stanisław - Nazwiska nie pamiętam. Ukrywał się w tym zaścianku. Ciemna blondyn, oczy niebieskie lub szare, wzrost średni,

- wiek około 30 lat, energiczny, zdecydowany, w sposobie bycia nieco szorstki. Sprawiał wrażenie byłego wojskowego. Od niego dowiedziałam się o aresztowaniu Lolka Pia-seckiego.

Irena - Mieszkała w tym samym domu. Nazwiska dokładnie nie pamiętam; nazywała się jakoś tak: Arciszewska, Arciuszewska Arciuszkiewicz. Ładna szatynka z ciemnymi oczami. Szczupła, zgrabna, elegancko ubrana. Wiek około 25 lat. Opiekuńcza, ale nie gadatliwa. Żona oficera."

Do powyższych informacji Helena Bakłan dodała, co następuje:

"Urodziłam się w dniu 7 lutego 1921r. w Lidzie jako córka Karoliny i Piotra. W roku 1939 mieszkałam już od kilku lat przy ul. Gorniańskiej 9 m.2 w Lidzie. Wraz z większością koleżanek z gimnazjum włączyłam się do pracy konspiracyjnej. 12 października 1940r. zostałam aresztowana w domu i przewieziona do więzienia w Lidzie przy ul. Syrokomli pod zarzutem przynależności do podziemnej organizacji mającej na celu obalenie ustroju komunistycznego. W więzieniu tym przebywałam do dnia 23 czerwca 1941r. to jest do momentu rozbicia więzienia przez Polaków mieszkających w pobliżu.

W październiku 1940 została również aresztowana koleżanka Zofia Zapasnik, a Maria Wojtuszkiewicz była aresztowana już 7 września 1940r. i siedziała w więzieniu na ul. 1-Maja tak zwanej "Kamionce".

Brat mój Jerzy Bakłan urodzony 30 marca 1919 w Łunińcu został zwerbowany przez byłego pracownika Parku V Pułku Lotniczego w Lidzie Bogdanowicza do tajnej organizacji wraz z Ogonowskim, który zmarł w więzieniu w Mińsku. Do zadań tej organizacji, a więc i brata należało zbieranie broni.

Ani brat mi nie mówił o swojej działalności, a ni ja jemu o swojej. 20 czerwca 1940r. brat został aresztowany w domu i przewieziony do więzienia w Mińsku pod zarzutem przynależności do tajnej organizacji mającej na celu zbrojne obalenie władzy sowieckiej. Wyrokiem sądu wojskowego w Mińsku Litewskim skazany został na karę śmierci. Po

trzy tygodniowym pobycie w celi śmierci został "ułaskawiony" przez Stalina a wyrok zamieniono na 10 lat ciężkich robót w kopalni złota za Uralem /nie pamiętam miejscowości/. W wiaźku z tworzeniem się II ARmii Polskiej skorzystał z możliwości wydostania się z obozu w stanie kompletnego wycieńczenia. Przydzielony został do marynarki wojennej i pływał na tankowcach aż do zakończenia wojny. Pozostał w Anglii - słusznie obawiając się powrotu do Kraju - gdzie został zdemobilizowany i mieszka w Sheffield. Od ponad czterech lat stracił wzrok.

Sprawę brata poznałam jesienią 1941 roku, kiedy nie znana mi z nazwiska pani mieszkanka Lidy zaproponowała mi przejrzenie akt mego brata. Niestety miałam bardzo mało czasu na ich przejrzenie, co przy słabej znajomości języka rosyjskiego i niewyraźnym piśmie było jeszcze bardziej utrudnione. Jednakże znalazłam w grubym segregatorze opis sprawy brata i stąd informacje o jego działalności i stawianych mu zarzutach. Pani ta poszukując siostrzenicy uwięzionej w Mińsku, albo jakichś wiadomości o niej po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej odnalazła w gruzach spalonego więzienia Mińskiego gruby lekko nadpalony segregator zawierający między innymi sprawę jej siostrzenicy i mego brata. Wojna jeszcze trwała, a akta były tajne, więc mogłam je obejrzeć jedynie przez bardzo krótki czas w obecności tej pani. Były tam wyniki śledztwa, przewodu sądu wojskowego i sentencja wyroku."

Jak z powyższego wynika informacje nasze nie są zbyt dokładne. Zosi pomylił się październik 1939r. z październikiem 1940r. Każda z nas patrzyła z innego punktu widzenia na te same fakty, ale historii napewno przyda się każda najdrobniejsza informacja, żeby wyłowić bardzo skomplikowaną prawdę tamtych dni.

Moje informacje są o tyle dokładne, że były spisane w 1941r. Ich mankamentem jest ostrożność, z jaką pisałam, nauczona sowieckim więzieniem, że kolejom wojny nie należy dowierzać. Stąd brak wielu nazwisk

i co ciekawsze nazwisk osób mi bliskich, które napewno chciałabym spotkać. Wtedy wydawało mi się, że nigdy ich nie zapomnę. Pisałam natomiast nazwiska osób, na których mi mniej zależało, ale dziś już tego naprawić nie mogę. Może to zrobić jedynie przypadek.

"Lida 13 lipca 1941r. Niedziela. Już od Czwartku jestem w domu. Odpoczęłam i myśli falą cisną się do głowy. Wspomnienia więzienne żądają utrwalenia.

Pamiętam tę tragiczną datę 17 września 1939r. Datę na wspomnienie której dreszcz obrzydzenia przeszywa moje serce. Cośmy przeżyli wtedy nie chcę pisać. Jestem jednak zdania, że chwila ta zrobiła na mnie nie mniejsze wrażenie niż śmierć tatuśka. Potem życie płynęło nam monotennie. Mam zresztą gdzieś skromne i ostrożne o tym notatki."

Niestety tych notatek już nie ma. Zostały zniszczone - już nie pamiętam w jakich okolicznościach - ale wiem, że zrobiłam to ja sama.

"Teraz chcę pisać tylko o więzieniu i powodach dla których tam się dostałam.

Otóż w końcu grudnia 1939r. była u mnie Zosia Zapaśnik i Mary Wojtuszkiewicz. Powiedziały mi, że jeżeli chcę, to mogę wstąpić do organizacji. Naturalnie od razu się zgodziłam. Ponieważ był to dzień wychodny, więc od razu poszłam do Lolka."

Chyba do 1941 roku w Sowietach "wychodnoj" czyli dzień wolny od pracy nie pokrywał się z niedzielą. "Wychodnym był co szósty dzień niezależnie w jakim dniu tygodnia wypadał. "Wychodnoj" stosunkowo rzadko zbiegał się z niedzielą. Dopiero potem przywrócono niedzielę jako dzień wolny od pracy. I to był pierwszy krok w europeizacji Związku Sowieckiego i w odwróceniu od komunizmu. Od tej chwili kraj ten przebył daleką drogę, ale wiele jeszcze ma do odrobienia. Nikt się wtedy nie spodziewał, czemu dawała początek ta zmiana.

"Lolek /Kleofas Piasecki/ powiedział mi, że będę musiała wybadać kilku naszych. Bez wahania się zgodziłam. Potem Lolek oddał mi

pod opiekę wszystkie dziewczęta."

Dziewczęta to były koleżanki z gimnazjum i liceum, głównie z młodszych klas. Po maturze byliśmy tylko ja i Irena Kleindienst. Pamiętam z tego okresu Lolę Kolędównę /późniejszą Tereskę u "Kotwicza"/ Lenę Bakłań, Zosię Bobrownicką, Melę Baranowską, Renię Mizgier, ale napewno było nas o wiele więcej. Niestety nie mieliśmy pojęcia o zasadach konspiracji. Jeszcze nie przyszedł czas na wybieranie pseudonimów. Zresztą wszyscy znaleźliśmy się dobrze ze szkoły i pseudonimy niewiele by dały.

"Odtąd tylko ja miałam mieć z nimi kontakt. Poznałam wielu z organizacji. Szczegółów pracy nie pamiętam. Jedno wiem, że prowadziłam ten wywiad, a właściwie to sama z pomocą Iri dostarczałam wszystkich danych.

W końcu marca wciągnęłam do pracy Sława. 13 kwietnia był transport naszych ludzi, więc mieliśmy wysadzić most na Niemnie, ale nic z tego nie wyszło."

Pamiętam przygotowania do tej akcji, ale zabrakło nam ludzi doświadczonych. Mieliśmy dużo dobrych chęci, ale w organizacji była sama młodzież bez żadnego przygotowania do tego rodzaju działalności. Kiedy teraz porównuję te nasze początki konspiracji z działalnością w czasie okupacji niemieckiej rozumiem, że same dobre chęci nie wystarczyły i że w konsekwencji nasza działalność musiała się skończyć fiaskiem. Stawialiśmy sobie zadania trudne, robiliśmy plany szeroko zakrojonych akcji, ale zabrakło nam środków do ich realizacji.

" W tym też czasie było zebranie zarządu organizacji w Juraciszkach. Naturalnie miałam zwolnienie lekarskie od pracy i jeździłam."

Nie wiem jak zdobyłam sobie to zwolnienie, bo wśród nas nie było chyba jeszcze lekarzy. Musiałam jednak mieć takie możliwości, bo nigdy zebrań nie opuszczałam. Gdy jeździłam do Baranowicz zwolnienia wystawiał ojciec Sławka, ale kto robił to w Lidzie nie wiem.

" Teraz zaczęła się bardzo gorąca praca. Ja nieraz krzyczałam na Lokka, że się upił i nie spełnił czegoś, co obiecał. Ze Sława jestem w stu procentach zadowolona, Nie spodziewałam się, że on tak pofraci pracować. Trzeci Maj znów spędzamy w lesie. Jest bardzo sympatycznie. Jak jednak praca złączyła mnie ze Sławem. Teraz ... ale kwestie osobiste na bok."

Raz jeszcze muszę podkreślić, że byliśmy o wiele szczęśliwsi niż dzisiejsza młodzież, dla której już w dwunastym roku życia seks nie ma tajemnic. Dla nas więzi duchowe były o wiele istotniejsze. Przy tylu okazjach, jakie mieliśmy uszczęśliwiała nas wspólna Komunia Sw., praca dla Kraju i projekty na wspólną przyszłość, a o seksie nie było mowy. Dlatego też życie obdarzało nas coraz to nowymi doznaniem i nie potrzebowaliśmy do szczęścia ani narkotyków, ani dzikiej muzyki czy innych podniet.

Porównując to, co teraz napisała Zosia Maślankowa z moimi notatkami muszę stwierdzić, że pierwsze aresztowania nie objęły tyle osób. Ja pamiętam aresztowanie Reni Piątkowskiej - obecnie w Anglii - bo zabrano ją z zapaleniem płuc i temperaturą 40°C, zaraz po uroczystościach listopadowych. Aresztowano też wtedy profesor Jadwigę Mostowicz /młodszą siostrę Tadeusza Dołęgi Mostowicza/. Inne koleżanki, jak już wyjaśniałam, były aresztowane po mnie, a więc jesienią 1940r. Inaczej też, wygląda sytuacja odnośnie zebrania w dniu 18 maja 1940r. Może Lolek i wezwał kilka osób do mego mieszkania, bo niestety nie miałam czasu na ustalenie tego, będąc po prostu oburzona tak licznym zgromadzeniem pod nosem NKWD, a raczej chyba sztabu pograniczników, znajdującego się w sąsiedniej posesji. Napewno zebranie to nie miało na celu zaprzysiężenia i wybieranie pseudonimów. Jak już napisałam wszyscy znaliśmy się od lat i pseudonimy nicby w naszej sytuacji nie zmieniły. Natomiast zaprzysiężeni byliśmy już wcześniej. Ja i Irena napewno w grudniu 1939r. Zosi się chyba pomyliły obie okupacje.

Piszząc po powrocie z więzienia pamiętnik byłam bardzo ostrożna w notowaniu informacji o konspiracji. Staralam się napisać tylko to, co już było wiadome ze śledztwa. To samo dotyczyło nazwisk wielu osób, które chciałyby spotkać, a już nie potrafię odtworzyć ich nazwisk. W swej zarozumiałości uważałam, że moja pamięć nigdy nie zawiedzie. Nie wzięłam jednak pod uwagę takiego drobnego faktu, że pomiędzy spisywaniem wspomnień, a powrotem do nich może upłynąć aż prawie 50 lat.

Ciekawe, że bardziej utkwily mi w pamięci przeżycia więzienne niż praca w konspiracji. Jednakże przy pomocy koleżanek jakoś odtworzyłam jej przebieg w ogólnych zarysach. Jednakże pomimo usilnych starań nie udało mi się ustalić jaką rolę odgrywał Hajdul, kim był Wittek co przywiózł śmietanę 17 maja 1940r., nadal też nie wiem jak się nazywał Gambir K. Kilka nazwisk rozszyfrowałam przy pomocy koleżanek. Resztę może rozszyfrować tylko przypadek.

Do organizacji wstąpiłyśmy wszystkie bez chwili wahania, bo tak nas wychował dom i szkoła. Lolek był z nas najstarszy, bo już był studentem prawa na Uniwersytecie Wileńskim, ale mieszkał w tym czasie u swojej ciotki pani Mickiewiczowej w Lidzie na Słobódce za torami na ul. Rajskiej. Miał nieduży pokój, w którym stało drewniane łóżko zielona kanapa, która potem w moim śledztwie odegrała poważną rolę, stół i chyba szafa. Domek był parterowy, ale chyba dwurodzinny. O ile wiem Lolek kontaktował się w Wilnie z Sikorskim - bratanikiem Generała, ale tego nie jestem pewna, bo ja sama nigdy go nie widziałam.

Jak już powiedziałam do zadań naszej organizacji należało między innymi zbieranie informacji o rozmieszczeniu wojsk sowieckich, dywersja i przeszkodzenie w wywozie polskiej ludności na Sybir czy do Kazachstanu, zdobycie broni i pieniędzy, przeniknięcie do sowieckich organizacji. Ponieważ po śmierci ojca zostałam przyjęta do pracy w Magistracie w Dziale Buhalterii, a Elektrownia Miejska podlegała Ma-

gistratowi, po przejęciu Magistratu przez władze sowieckie zostałam przydzielona do Elektrowni jako kasjer-kontysta. Pracy miałam bardzo dużo, tak że całe wieczory spędzałam w biurze. W godzinach urzędowania przyjmowałam pieniądze od abonentów, a podliczanie, kontowanie itp. musiałam robić wieczorem. Praca ta odpowiadała mi o tyle, że za światło płaciły również jednostki wojskowe i stąd bez najmniejszego kłopotu miałam ich numery, adresy itp.

Zostałam też przewodniczącą Związku Zawodowego Pracowników Elektrowni czyli tak zwanego "Profsojuzu" - ku późniejszemu oburzeniu sędziego śledczego. W tym czasie Elektrownia stanowiła już jednostkę samodzielną. Na jej czele stał dyrektor- uczeń jeszcze wojny domowej z lat 1918-1920 - który o pracy zawodowej nie miał zielonego pojęcia, a żył tylko wspomnieniami wojny domowej. Muszę przyznać, że cieszyłam się jego uznaniem i sympatią i nawet dostawałam od niego darmowe bilety na występy radzieckich artystów i co gorsze musiałam na nie chodzić, bo potem sprawdzał czy byłam. On też po moim aresztowaniu występował w mojej obronie, na co trzeba było sporo odwagi, bo w Sowietach nawet najbliższa rodzina wyrzekała się aresztowanego. On chyba jako stary komunista czuł się pewnie.

Poza zbieraniem informacji o rozmieszczeniu wojsk sowieckich, gromadzeniem map sztabowych oraz zbieraniem informacji o więzieniach na zajętych terenach na pierwszy plan wysunęła się kwestia broni i pieniędzy, bo bez tego o żadnej akcji nie można było myśleć.

W moich notatkach z wiadomych względów jest na ten temat niestety niewiele.

"6 maja 1940r.. Jadę do Baranowicz. Tatuś /ojciec Sławka/, mówi, że Sław powinien pracować. Ponieważ on woli w Lidzie, więc decydujemy, że będziemy jej szukać w Lidzie. Poznałam kilku lotników sowieckich. Jeden z nich chce się koniecznie ze mną żenić. Mam zamiar wstąpić do komsomołu. Poznałam również z NKWD Rainę.

Praca wre w zdwojonym tempie. Chodzi o zdobycie pieniędzy. Sław ma się tym zająć. Przyjeżdża on w sobotę 11 maja 1940r. Cały ten tydzień jest bardzo gorący. We środę 15 maja 1940r. przyjeżdża Gambir K. i Bolek Stankiewicz /tylko przypadkowa zbieżność nazwisk/. Mówią, że w Baranowiczach wpadli na ich trop. Za Bolekiem przyjechało NKWD, ale w Lidzie na dworcu on im zwał. Wysyłamy go do Białegostoku. Najpierw jedzie autobusem do Białohrudu, a stamtąd pociągiem do Białegostoku. Sław był dotąd u Lolka, teraz jednak przenosimy jego rzeczy do mnie. Lolka dom jest pod obserwacją, tak że przebywanie tam nie należy do rzeczy najbezpieczniejszej. Wracamy do domu w doskonałych humorach i dokazujemy na rowerach."

Jak z powyższych telegraficznych zapisków wynika mieliśmy powiązania z Białymstokiem, bo inaczej nie moglibyśmy wysłać tam Bolka. Jasno też z nich widać nasz brak przygotowania do konspiracji, lekceważenie niebezpieczeństwa i niedoceniecie NKWD.

"Czwartek mija na przygotowaniach do powziętego planu, co do zdobycia pieniędzy. Piątek 17 maja 1940r. Wrócił Bolek Stankiewicz. Po biurze kupuję bratki i idziemy na cmentarz: Iri, ja, Sław i Gambir. Sadzę kwiaty na grobie tatusia i modlimy się trochę. Potem idziemy na majowe. Jedyny raz wreszcie zbuntowałam się przeciwko wieczorówkom /wieczornej pracy w biurze/. Mam już kompletnie dosyć tego biura i gdyby nie to, że jest to "świetne biuro informacyjne" to dawno już bym je rzuciła. Po majowym wracamy do domu. Jest nas 15 osób. Jemy wszyscy kolację. Witek przywiózł ze wsi masło i śmietanę, więc matka przyrządziła nam sałatkę z rzodkiewek i sałaty. Jest taki miły serdeczny nastrój. Potem grupkami wychodzą. Lol zostaje. Chłopcy idą jeszcze przedtem "gdzieś", a ja z Helką /dawna służąca rodziców Zosi Bobrownickiej/ idziemy do "Domu Krasnej Armii"

/Dom Czerwonej Armii/ na zabawę, ale że przychodzimy późno, więc plan nasz nie zostaje zrealizowany. Skutek jest tylko taki, że chłopcom giną czapki."

Na zabawie tej mieliśmy zdobyć broń i w związku z tym mieliśmy ze sobą nie tańczyć i nie przyznawać się do znajomości. Sławek nie wytrzymał i poprosił mnie do tańca, a co gorsza nie chciał zgodzić się, żebym odeszła. Mogło to coprawda wyglądać na miłość od pierwszego wejrzenia, ale bezpieczniej było nie znać się wcale. Teraz łatwo mi jest mówić o tym na zimno, ale wtedy nie było to takie proste. Z uwagi na moją żalobę nie tańczyliśmy ze sobą wcale, a w tamtym czasie dla zakochanych było to bardzo, bardzo wiele i zrezygnowanie z takiej możliwości było prawdziwą ofiarą. Może on przeczuwał, że to nasza jedyna okazja do tańca, że już zbliża się nasza Golgota. Nie był to jedyny przypadek takiego jego postępowania. Kiedy 6 maja byłam w Baranowiczach ojciec zabrał mnie do swego przyjaciela na naradę co do naszej przyszłości. Nie było nas może godzinę, może dwie. Kiedy wróciłam Sławek bardzo stęskniony objął mnie i powiedział: - Nareszcie wróciłaś! - zupełnie tak jakby mnie nie było conajmniej rok, a przecież mieszkając w różnych miastach czasem nie widzieliśmy się i przez miesiąc, telefonując tylko do siebie. Ja takich przeczuć nie miałam. Byłam pewna, że czeka nas szczęśliwa wspólna przyszłość.

"Wracamy z zabawy jeszcze przed północą. Gambir śpi w stołowym pokoju, a ja ze Sławem i Lolkiem siedzimy do rana w moim pokoju i rozmawiamy. Lol mówi, że jest ze Sława naprawdę zadowolony i że nie rozumie dlaczego ja byłam wobec niego tak bardzo ostrożna na początku. Omawiamy wiele spraw. Między innymi decydujemy, że ponieważ Lolek jest podejrzany, on musi się ukryć na wsi, a w Lidzie zostaniemy ja i Sław. Ja mam się wszystkim zająć przede wszystkim łącznością w organizacji. Wszystko wydaje nam się teraz świetne. Swita. Jest ranek, a my wciąż jeszcze gadamy."

Moja ostrożność wobec Sława wynikała z nadmiernego chyba poczucia obowiązku. Bałam się, że mogę patrzeć na niego przez zbyt różowe okulary, jakie nakłada miłość i w ten sposób zaszkodzić organizacji. Wszystkie środki ostrożności, jakie postanowiliśmy podjąć tej nocy były dobre, ale niestety spóźnione. Trzeba było pomyśleć o tym dużo wcześniej i wprowadzić to w czyn. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że machina NKWD już przeciw nam ruszyła, że wcześniej czy później pochwyti nas w swoje tryby. I w najgorszych nawet przewidywaniach nie przypuszczaliśmy, że jest ona już tak blisko. A przecież przygoda Bolka powinna była dać nam dużo do myślenia i spowodować wyciągnięcie właściwych wniosków.

" Jem śniadanie i do biura, a oni idą spać. Biuro - jakie to okropne słowo! Jak pracowałam tego dnia nie pamiętam. Jedno wiem, że miałam jakąś scysję z dyrektorem; naturalnie wszystko to zasługa pokątnych szeptów Marczukiewicza. Aha! Jest nawet "prykaz", w którym zwracają mi uwagę, że za mało pracuję. Co za ironia! Czy 12 godzin dziennie nie wystarczy? - nawet na sowieckie stosunki? Myślę, że tak!!!

Bolek przynosi mi do biura arytmometr. Teraz dopiero spostrzegam, że wrócił.

Około trzeciej wracam do domu i zastaję: Sława, Bolka, Gambiera, Maćka, Zochę, Helkę i Lolka. Maćko zjawił się dopiero teraz, pomimo, że kilkakrotnie kazałam mu przyjechać. Nawet sama do niego dzwoniłam, więc teraz robię mu wymówki. Maćko usprawiedliwia się tym, że ma chorą żonę i dziecko.

Poprzednio zanotowałam, że Bolek wrócił w piątek, więc chyba tak było, ale cały ten tydzień był taki gorący, że nie spostrzegłam jego obecności. A może go wcale u mnie nie było? Znów dalsza lekko-myślność - dlaczego nie wyjaśniliśmy natychmiast powodów powrotu Bolka. Może to pozwoliłoby nam uniknąć aresztowania? Sprawa ta nie była nawet poruszana na śledztwie, więc zagadka pozostała dla mnie

nierozwiązaną. Dopiero w tej chwili zdałam sobie sprawę z tego jak bardzo musiała być nieszczęśliwa żona Maćka, kiedy dowiedziała się o jego aresztowaniu. Najprawdopodobniej Maćko były jedynym żywicielem rodziny - może leśniczym, albo urzędnikiem gminnym, bo miał dostęp do telefonu - i teraz ona została chora z dzieckiem bez środków do życia. Nie ja go zwerbowałam, ale czuję wyrzuty sumienia wobec tej biednej żony.

" Mówię im o dzisiejszej awanturze w biurze i stwierdzam, że Marczukiewicz musi być w NKWD. Mam ku temu powody nie osobiste.

Zaczynam zdejmować płaszcz i kapelusz, ale przerywa mi tę czynność Zocha Bobrownicka prosząc bym zaszła do NKWD w Baranowiczach i zapytała czy tam nie ma Ziotka Żakowicza - który potem był spadochroniarzem cichociemnym jako "Maciek", "Kalina"; wrócił do Kraju i zmarł w latach siedemdziesiątych na płuca w Szklarskiej porębie - oraz Staszek Boryna, który zmarł rok temu w Anglii.

Nie napisałam jeszcze, że jutro to znaczy 19 maja 1940r. mam jechać do Baranowicz, żeby się dowiedzieć, co tam słychać bo podobno u Sława była rewizja.

Tymczasem odsłaniam firanki, które oni załonili i wyprawiam z domu Lolka, Zosię Bobrownicką i Helkę. To bezdenne głupota, żeby się w dzień pod nosem NKWD tak gromadzić".

Dokładnie pamiętam, chociaż nie zanotowałam tego wtedy, że zielone czapki pograniczników zobaczyłam stojąc przy stole tyłem do okna, w chwili zdejmowania kapelusza z welonem. Przechyliłam głowę do tyłu i wtedy ich zobaczyłam.

Aresztowanie

"Zaledwie oni wyszli, a ja wreszcie zdjęłam płaszcz i podeszłam do okna, by je otworzyć, gdy ujrzałam zielone czapki pograniczników. W tej chwili weszła matenka pytając ile osób będzie na obiedzie. Ja powiedziałam do nich szybko:

- Spokój! NKWD! Chłopcy rozejdźcie się przez strych!

Minutę potem w pokoju byłam sama, otwierałam okna i zaczęłam nuć: Co minęło nie powróci. "

Nie wiem dlaczego wybrałam tę piosenkę. Nie był to świadomy wybór. Może najwyżej przeczucie, że skończył się w moim życiu jeden okres - i to okres najszczęśliwszy - młodości chmurnej i durnej, ale pełnej perspektyw, planów i wiary w szczęśliwą przyszłość. Skończyła się wielka miłość i wielka przyjaźń. Sławka widziałam jeszcze tylko kilka razy w więzieniu, a z Ireną - w gimnazjum nazywano nas papużki-nierozłączki, a częściej jeszcze po francusku "les inséparables - rozdzieliły nas odmienne losy. Zosię uratowałam przed aresztowaniem ja sama, wysyłając ich do domów, a Irenę zatrzymała w domu - ku wielkiej rozpaczycy Irenki - jej mama z uwagi na pranie, w którym Irena też musiała uczestniczyć. Sprawdziło się na niej stare przysłowie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ani Irena, ani Zosia nigdy nie zostały aresztowane, a wspólne ukrywanie się przez ponad rok bardzo je zbliżyło - bardziej nawet niż praca w konspiracji. Ale wróćmy do notatek dotyczących przebiegu aresztowania. Jak dobrze, że je mam, bo na przykład rozmawiałam z Rysią Wojtuszkiewicz, wtedy nazywaną Mary, bo i my podobnie, jak dzisiejsza młodzież, która nie umie śpiewać po polsku, zmieniałyśmy sobie imiona na angielskie. Tematem rozmowy była nasza działalność w organizacji i ona nic nie pamięta. A szkoda! To przecież ona wprowadziła mnie do organizacji. Ale tantą raczkującą i mało efektywną działalność przesłoniła nam późniejsza działalność w AK. Ponadto o czasach okupacji radzieckiej nie wolno nam było mówić, a nawet sami staraliśmy się zapomnieć, wymazać z pamięci przeżycia lat 1939 - 1941

"Nagle coś mię tknęło. Zajrzałam do kasetki i zobaczyłam tam na wierzchu rewolwer. Oj! Co za nieostrożność, ale nie czas na złość i rozważania. Trzeba było coś przedsięwziąć. W jednej chwili decyduję się i kładę rewolwer pod róg kanapy. Jest to bardzo naiwna skrytka, ale niestety czas nie pozwala na wyszukanie innej. Następnie zwracam się do Ostrobramskiej z krótką, lecz ufną modlitwą. Po prostu oddaję Jej pod opiekę ten rewolwer i przyrzekam, że jeżeli NKWD nie znajdzie tego rewolweru to Sław do ślubu nie pocałuje mnie ani razu. Jest to dość ryzykowna ofiara, gdyż czynię to nie tylko w swoim, ale i w jego imieniu. Trudno! On musi się na ten wyrok zgodzić!

Gdy ja to teraz opisuję, to może się wydawać, że miałam Bóg wie ile czasu od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałam przez okno zieloną czapkę, do ich wejścia do pokoju. Myliłby się bardzo ten, kto by tak sądził. Wszystko to, co opisywałam trwało najwyżej 5 minut. Nie dłużej niż w 5 minut po ujrzaniu pierwszej zielonej czapki usłyszałam pukanie do drzwi i odpowiedziałam pozornie spokojnym głosem:

- Pożalujsta /proszę/. "

Nie wiem dlaczego to "proszę" powiedziałam po rosyjsku. Dziś napewno powiedziałabym po polsku - nawet wiedząc, że to idzie NKWD - ale wtedy ani ja się nie zastanawiałam, ani ich to nie zdziwiło, że nie wiedząc kto stoi za drzwiami mówię po rosyjsku, bo

"Stałam w tej chwili przed lustrem z grzebieniem w ręku i udawałam, że się czeszę.

Pierwsze pytanie to:

- Kto sdiés żywiot? -/Kto tu mieszka/

I moja spokojna odpowiedź:

- Ja!

- Kto bolsze? /Kto poza tym?/

-Moja mat', rostwienniki i żenich! /Moja matka, rodzeństwo i na-

rzeczony/

Gdy tylko usłyszeli słowo żenich /narzeczony/ nie pytając kto to jak się nazywa? wrzasnęli:

- Gdzie on? /gdzie on?/

Ja znów odpowiedziałam spokojnie:

- Gdieto na dworze! /gdzieś na dworze/

Oni wściekli już wrzeszczą:

- Gdzie on? /Gdzie on?/

Ja spokojnie podchodzę do okna i wołam kilkakrotnie:

- Sław! Sław! Sław!

Ale i bez tego inni enkawudziści wkrótce wprowadzają kolejno chłopców. Kiedy wszyscy już byliśmy zgromadzeni w pokoju któryś z nich zapytał:

- Kto iz was Wienżik? Który z was nazywa się Wężyk?/

A było ich - tak jak mickiewiczowskich zbójców - dwunastu. Wzrok tak samo dziki, tylko że suknia mniej plugawa i bez noża za pasem i bez buławy. Za to w ręku odwiedzione rewolwery. Ośmiu z nich to enkawudziści, a czterech to pograniczniki /straż graniczna/."

Enkawudzistami nazywaliśmy pracowników NKWD, a pograniczniki' to żołnierze z oddziałów straży granicznej, tyle tylko, że oni nie pilnowali je-dynie granic, ale konwojowali również aresztowanych - głównie więźniów politycznych, jakkolwiek w więzieniach radzieckich nie czyniono żadnej różnicy pomiędzy kryminalistami a więźniami politycznymi. Wręcz przeciwnie; nawet młodociani polityczni byli traktowani o wiele gorzej niż kryminaliści.

Ale wróćmy do tego ich zapytania "Kto iz was Wienżik?"

"Sław odrazu odpowiedział:

- Ja!

W ślad za tą odpowiedzią dało się słyszeć głośnie:

- Wy imiejecie orużje? /Macie broń?/

Sław gorąco zaprzeczył. Zrobiono rewizję osobistą i nic nie znaleziono. Okazało się, że to Gambir K. poinformował ich, że Sław posiada broń.

Rozsadzili nas po kątach. Mamusia była w kuchni a dzieci na podwórku. Ziuczek chodził i ciągle pytał:

- Czego oni tu chcą? No powiedz! Czego oni tu chcą? "

Muszę wyjaśnić, że byłam najstarszą z rodzeństwa. O trzy lata młodszy brat Stach zaczął po śmierci ojca, tak jak i ja, pracować w parku lotniczym, gdyż do wojny uczęszczał do gimnazjum mechaniczno-lotniczego. Dwie siostry Reginka i Henia - pomimo półtora roku różnicy - uchodzące za bliźniaczki chodziły do szkoły. Najmłodszy z nas Ziuczek miał wtedy 5 lat, a imię po Marszałku Józefie Piłsudskim.

"- Razreszytie sdielat' obysk! /Pozwólcie przeprowadzić rewizję/ zwrócił się do mnie blondyn w szarym kostiumie".

Notatki były pisane natychmiast po ponad rocznym pobycie w sowieckim więzieniu i stąd jest w nich wiele wyrażen rosyjskich i czasem rusycyzmów jak na przykład w ostatnim zdaniu. Miało być "blondyn w szarym garniturze", bo po rosyjsku „kastium” to garnitur.

"Jak się później dowiedziałam był to specjalista od aresztowań z Baranowicz. Zresztą - jak na nich - człowiek zupełnie przyzwoity. Naturalnie czyż mogłam nie zgodzić się na rewizję?

Zaczęto rewizję najwpierw w całym mieszkaniu. Zastanowił ich w sypialni mundur wojskowy Bolka, zdjęcia wojskowe Edka Bakłana i futerał aparatu fotograficznego.

Ja stałam koło kanapy i drżałam, a pomimo to uprzejmie proponowałam:

- Może odsunąć kanapę, zerwać obicia itp?

I jedyną moją nadzieją był obraz Ostrobramskiej wiszący naprzeciw. Wreszcie odsunęli trochę kanapę, ale z przeciwnej strony, potem zapalili latarkę i zaglądali pod kanapę, aż wreszcie stwierdzili:

- Niet niczewo /nie ma nic/.

Mój Boże! Jak ja się wtedy czułam nie potrafię opisać. To był tak wyraźny cud, że osłupiałam jak żona Lota. W moich rzeczach robiono pobieżną rewizję. Na dwa mundury PWK nawet nie zwrócono uwagi. Nie wzięli ani zdjęć ani listów, nawet dokumentów moich ani Sława /wszystkie jego dokumenty były u mnie/. Za to w jego rzeczach rewizja była bardzo szczegółowa. Zabrali wszystkie moje listy do niego, bo on miał je przy sobie, wszystkie zdjęcia /przeważnie też moje/ - w ogóle wszystkie papiery nawet książkę "Dzieła Grotgera", którą on mi przywiózł. Prześliczne wydanie.

U mnie nie wzięto ani jednej książki, pomimo że miałam i Słowackiego, i Asnyka, i Mickiewicza, i Sienkiewicza. Nawet na portrety bohaterów narodowych nie zwrócili uwagi.

Potem przeszli do piwnicy. Wyłamali drzwi i to mię oburzyło. Zdążyłam jednak szepnąć matence:

- W rogu pod kanapą!"

Jednak rozumiałyśmy się doskonale, bo mamusia znalazła ten rewolwer i opowiadała potem, że umowiła się na przekazanie go na cmentarzu przy grobie tatusia i tam go oddała, ale nie wiem teraz komu.

" Rewizja skończona. Nie wiem gdzie znaleźli jeden karabin i świetne sztabówki. Teraz aresztowują Sława, Bolka i Gambira, a nam - reszcie młodych z całego domu - każą też iść. Sław podaje mi letni płaszcz, ale ja pamiętając, że NKWD to znaczy: "nie izwiestno kogdy wiernoszsia domoj" czyli "nie wiadomo kiedy wrócisz do domu" wzięłam futerko i chciałam włożyć pończochy, ale oni nie pozwolili twierdząc, że:

- Siejczas wiernotieś domoj - zaazze wrócicie do domu!"

Ciekawe, że ja w chwilach wielkiego stresu zawsze jestem bardzo spokojna, boję się nieznanego, a określone niebezpieczeństwo powoduje, że wokół mnie powstaje jakaś otoczka spokoju, która pęka w chwili ustania niebezpieczeństwa i wtedy załamuję się. Gdyby rewizja skończyła się w momencie stwierdzenia, że pod kanapą nic nie ma napewno bym zemdląła. Uratowała mnie od tego kontynuacja rewizji wymagająca dalszego napięcia

i fakt aresztowania chłopców; a przecież już wówczas zdawałam sobie sprawę z tego, że ja również do domu już nie wrócę. Istnieje we mnie jakaś automatyczna psychiczna samoobrona organizmu. Nie działa tu chyba świadome opanowanie, a po prostu instynkt samozachowawczy. W związku z tym zawsze miałam opinię odwaznej. Ale co to jest odwaga? Czy jest to świadome opanowanie strachu? Czy też nie zdawanie sobie sprawy z niebezpieczeństwa? Bo przecież wszyscy się boją. Ja na przykład bardzo się boję pomieszczeń zamkniętych i kiedy zwiedzałam Oświęcim zawsze bałam się wejść do "łaźni" i starałam się pozostać przy drzwiach, a przecież wiem, że teraz nikt ich za mną nie zamknie.

" Matusz wyniosła nam do przedpokoju oładki, z których wzięliśmy po jednym i pocałowała mnie i Sława w czoło. Ja jej szepnęłam:
- Módl się do Ostrobramskiej!

Chociaż byłam głodna, bo dnia tego nic nie jadłam - ostatnim moim posiłkiem była kolacja dnia poprzedniego - jednak jeść nie mogłam. Poprzednio omyłkowo napisałam, że poszłam do biura po śniadaniu, to tylko z przyzwyczajenia tak się napisało.

Ustawiono nas w pary /ja ze Sławem pod rękę na przedzie/. Potem otoczył nas oddział pograniczników " z widelcami na sztorc" i enkawudziści z rewolwerami i ruszyliśmy. Ja jeszcze od bramki pochachałam Niuni Wojtuszkiewicz."

Maria Wojtuszkiewicz była w dzieciństwie nazywana Niunią, ale potem w gimnazjum zmieniliśmy to na angielskie Mary, a obecnie używa ona skrótu swego imienia Rysia, stąd niejednokrotnie w moich wspomnieniach przewijać się będą rozmaite skróty jej imienia.

"To są ostatnie wspomnienia domu. Potem pognali nas do sztabu pograniczników. Po drodze już ułożyłam plan śledztwa, to znaczy odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania i podzieliłam się nim z chłopcami. "

Teraz tylko pamiętam, że Maciek miał być dostawcą mamusi w zakresie płodów rolnych i przyjechał po pieniądze za ostatnio dostarczone ziemniaki. Sław przyjechał, bo mieliśmy zamiar się pobrać. Nie pamiętam

jednak jak proponowałam wytłumaczyć obecność Bolka i Gambira. Nie rozumiem dlaczego ja dziewczyna byłam bardziej odporna niż chłopcy. Dziś tłumaczę to sobie moim dzieciństwem i szkołą "kuchenną" w zakresie komunizmu, NKWD itd.

"Zapomniałam napisać, że nazwisko "Lolka" - Piasecki - zostało przez chłopców wymienione już u mnie w domu.

W tym całym sztabie staliśmy ze 20 minut. Borowikow - naczelnik NKWD - próbował strzelać z naszego karabinu. Ja przez cały czas naradzałam się z chłopcami. Właściwie to mówiłam im, co mają powiedzieć. A poza tym smalę papierosy nie gorzej niż chłopcy i pani Zosia - nasza sąsiadka. Wreszcie podano ciężarówkę i kazano nam się władować. Sław wsadził mnie i ruszyliśmy. Kazali nam przejeżdżając przez miasteczko wyglądać, ale ja pomimo to machałam do znajomych rękami. Przywieźli nas do NKWD i kazali wyłazić. Sław znów mię zdjął i zatrzymał chwilę na rękach. Wydało mi się, że to ostatni raz na długo...
długo...

Weszliśmy parami do jakiejś soli na parterze. Przyszedł jakiś milicjant i odebrał nas od "sołdatów" /żołnierzy/,

Tak czekaliśmy z dobre pół godziny. W tym czasie ja wyszłam do umywalni i schowałam medalik sodalicyjny, który wzięłam z domu, gdyż przechowywanie w kieszeni nie gwarantowało mu bezpieczeństwa. Sław ma 250 rubli, więc chcemy przez panią Zosię odesłać je dla Mateńki /wiemy napewno, że panią Zosię puszcza/, ale pani Zosia czyni to tak niezdarnie, że milicjant zabrania, bo spostrzegł. Siedzimy ze Sławem na jednym stołku i rozmawiamy. Wreszcie decydujemy się złożyć sobie ślub. Co też czynimy. Jest to dla mnie chwila wielka i tak uroczysta, że napewno nie odczułabym tego bardziej, gdyby to był ślub przed księdzem w kościele. Wiem, że teraz on jedynie jest moim mężem, że poza nim nikt inny nie istnieje i wiem, że ślub ten ma taką samą wartość jak ślub w kościele"

Byliśmy więc prekursorami "Love story". Rzeczywiście uważaliśmy, że ślub składamy my sobie nawzajem tak jak i ta para z filmu "Love story", a ksiądz jest tylko świadkiem i udziela błogosławieństwa. Różnica polega na tym, że my gdybyśmy mogli, to wzięlibyśmy ślub w kościele. Slubowaliśmy sobie nie więzi seksualnej, a jedynie duchowej, postanawiając, że zawsze o 6 wieczorem będziemy odmawiali "Pod Twoją obronę", łącząc się w ten sposób ze sobą. W liście z Mior Sław napisał: "Moim udziałem stało się ogromne szczęście dane nie wielu. Znalazłem drugą połowę mej duszy." Kto dziś tak myśli i napisze? Dlatego ten ślub w brudnej salce, na brudnym więziennym stołku był dla nas tak wielkim przeżyciem. Pan Bóg napewno nas pobłogosławił, ale dlaczego rozłączył? Czy tak naprawdę być musiało? Czy taka wielka i czysta miłość musiała się tak szybko skończyć? Chyba jednak trzeba było aby pozostała nieskalanie czystą nie zabrudzoną kałużami czyhającymi na drogach życia.

Pamiętam, że kiedy nocowałam w Baranowiczach spałyśmy z Zosią w jadalni, a Sław w dawnym salonie /część domu zabrało NKWD dla swoich rodzin/, do którego prowadziły z jadalni drzwi. Ich mamą zawsze przychodziła powiedzieć nam dobranoc, a potem zamykała od naszej strony drzwi na klucz. Śmieszyło nas to bardzo, bo gdybyśmy chcieli, to zawsze znaleźlibyśmy ku temu okazję przy naszym trybie życia i działania. Nasze życie erotyczne polegało na tym, że mówiliśmy ile dzieci będziemy mieli /a ja wtedy jeszcze tak bardzo dokładnie nie wiedziałam skąd się te dzieci biorą/. Po prostu wiadomym było, że po ślubie ma się dzieci i już. Sław zdecydowanie chciał mieć córkę podobną do mnie z ciemnymi oczami. Napewno byliśmy szczęśliwsi od dzisiejszej młodzieży uświadomionej już "w kolebce" i nikt mnie nie przekona, że wczesne życie seksualne daje szczęście. Szybkie przeżycie wszystkiego postarza człowieka, odbiera mu złudzenia i prowadzi najkrótszą drogą do narkomanii, zboczeń erotycznych itp.

Nie zamieniałabym naszych prymitywnych lalek, papierowych latawców na

dziesiętsze lego, komputery itp.

Nasz bunt przeciwko mundurkom wyrażał się w zmniejszonej liczbie fałd w przepisowej spódnicy, na dopasowaniu bluzki, która miała być luźna itp.; obowiązkowy mundur wyłączał możliwość strojenia się i zmuszał do poświęcania więcej uwagi nauce. Naturalnie nie wszystko było tak idealne i dawniej. Była młodzież, która nie chciała się uczyć. Były dziewczęta, która lubiły chodzić na randki i całować się z chłopcami, ale żadna dziewczynka w wieku szkolnym nie rodziła. Nie było tylu opuszczonych dzieci i samotnych matek. Ale dość narzekania na młodzież. Oni też chyba będą narzekali na swoje dzieci i wnuki, bo świat ciągle pędzi naprzód, ale ku czemu?

Wracam do brudnej salki NKWD i naszego ślubu.

" Milicjant spostrzega, że za dużo rozmawiamy, więc rozsądza nas. Przedtem jednak Sław powiedział mi, że Bolka nie jest pewien, a raczej, że wie iż on wsypie. Za Gambira też nie ręczy. Po upływie pół godziny przyszedł „śledowatiel” /sędzia śledczy/ i wziął na pierwszy ogień Bolka. Oj! Tak się o niego boimy. Potem poszedł Gambir, potem Sław. Tamci wrócili, a Sław nie. Potem brano kilku innych i Maćka, a coś ósmą wzięto mnie. Było już prawie ciemno. Weszłam do dużego pokoju, o dużym weneckim oknie, w którym stały były ustawione tak, że gdy się weszło, to się widziało literę "T". Ja usiadłam z prawej strony w złączeniu stołów, a Borowikow naprzeciw.

Najwpierw spisał wszystkie moje dane personalne, a potem zapytał skąd znam tych, co są ze mną aresztowani. Powiedziałam wszystko tak, jak się z chłopcami umówiłam, a mianowicie: Sław jest moim narzeczonym. Znam go od 1937 roku. Przyjechał do Lidy dlatego, że mamy się pobrać i miał dostać posadę w Finotdiele /Wydziale Finansowym/.

Gambir i Bolek byli u mnie po raz pierwszy. Poznałam ich podczas Świąt Wielkanocnych w Baranowiczach. Maćko przywiózł matę-

ce kartofle i przyszedł po pieniądze. Zosia to nasza lokatorka, a reszty zatrzymanych nie znam.

Na pytanie czy znam Lolka odpowiedziałam, że tak. Poznałam go na prywatce.

- Czy jest narzeczonym Zofii Bobrownickiej?

- Chyba tak - odpowiadam.

- Jakie stosunki łączyły mię z Lolkiem?

- Żadne - brzmi odpowiedź.

- Czy bywałam u niego lub on u mnie?

I znów spokojnym i pewnym głosem odpowiadam:

- Nie!

Teraz kończy się- ta spokojna część śledztwa. Zaczyna się "ruganie" /wymyślanie przy użyciu niecenzuralnych słów, tak zwanej ruskiej łaciny/ od słów, jakich nigdy nie słyszałam i chyba nie usłyszę."

Jaka byłam naiwna i jak bardzo się myliłam spisując ten pamiętnik. Ostatnio musiałam czekać na przesiadkę na jednym z dworców, gdzie dwóch pijaków prowadziło przez około 20 minut dyskusję przy użyciu kilku tylko słów. Na szczęście zabrała ich milicja. Dyskusja ta kazała dojść do wniosku, że język pński składa się z bardzo niewielu słów i to niecenzuralnych. Dziś młodzież nawet na ulicy nie umie mówić bez "przerywników" czyli słów, których przed wojną żaden kulturalny człowiek nie wymawiał, a w tekstach pisanych wykropkowały-no je.

A więc ubrane w solidną wiązanekę padło stwierdzenie:

" - Wy prinadleżali k organizacji. Wasz żenich priznałsia i skazał cztoby wy toże razskazali. Ja jewo wam siejczas priwiedu! /Wyście należeli do organizacji. Wasz narzeczony przyznał się i powiedział, żebyście wszystko opowiedzieli. Ja go zaraz wam przyprowadzę/!

Na wszystko odpowiadam milczeniem i tylko na propozycję przypro-

zycję przyprowadzenia Sława odpowiadam:

- Pożalujsta! - Proszę!

"Sledowatiel" wychodzi, a wchodzi do mnie jakiś czuły brzuchacz i słodkim jak miód głosem zaczyna przemawiać do mnie:

- Wy mnie oczeń narawities, wy pachży na moju docz. Skolko wam let? Diewiatnadcat? ? Oczeń żałko waszej mołodoj żyźni. Razskazytie wsio, to was pustiat domoj! Skażytie mnie! Jaże nie sledowatiel. Wy prinadleżali k organizacji? - Wy mnie się bardzo podobacie, wy jesteście podobni do mojej córki. Ile macie lat? Dziewiętnaście? Bardzo żal waszego młodego życia. Opowiedzcie wszystko, to was puszczą do domu. Powiedzcie mnie! Ja przecież nie jestem sędzią śledczym. Wyście należeli do organizacji? Ja udaję strasznie przejętą jego słowami, bardzo rozczuloną i odpowiadam drżącym głosem:

- Ja niczewo nie znaju. Ja rabotała tolko. Ja imieju na so-dierzaniyi mat'i rostwiennikow. Ja nic nie wiem. Ja tykko pracowałam. Ja mam na utrzymaniu matkę i rodzeństwo.

W tej chwili wraca Borowikow. Okazuje się, że Sław nie chce przyjść, tylko radzi mi, żebym im wszystko opowiedziała.

Czy oni nas biorą za takich głupców, że myślą iż ja w to uwierzę? Czy sami są takimi idiotami, że używają takich podstępów? Teraz, ponieważ ja nadal twierdzę, że nic nie wiem, przykłada mi dwa rewolwery do czoła. Idiota. Wiem przecież, że zdwóch naraz nie potrafi strzelić. Nie robi to na mnie specjalnego wrażenia, gdyż jestem trochę pijana. Wypalić 40 papierosów przez jakieś 3 godziny, jeżeli się przedtem nigdy nie paliło, to wystarczy, żeby być pijanym."

Ciekawe, że nawet takie szkolenie nie wystarczyło, żebym się nauczyła palić. Potem miałam jeszcze inne okazje do palenia, ale nigdy się ten nałóg u mnie nie przyjął. Dziwne, ale mój organizm odrzuca wszelkie używki. Z napojów smakuje mi naprawdę woda źródłana i mle-

ko prosto od krowy, ale nie spółdzielni. Nie odróżniam smaku dobrej kawy, ani herbaty. Chętniej piję wodę z sokiem, bo o źródlaną teraz niestety bardzo trudno. Alkoholowy rausz jest dla mnie stanem raczej nieprzyjemnym. Gdy jestem w dobrym towarzystwie mam doskonały humor bez alkoholu. Może również ta cecha mego organizmu pomogła mi w przetrwaniu więzienia w dobrej formie psychicznej.

"Wreszcie - Borowikow - straszy mnie karcerem. Ma to być taka klatka, w której jest tak mało miejsca, że nawet poruszyć się nie można. I na to nic nie odpowiadam, więc rozłoszczony, że nie może nic się ode mnie dowiedzieć, odprowadza mnie na dół. Teraz z kolei idzie pani Zosia. Ja biorę od Gambira grzebuszek Sława."

Znów rusycyzm . Powinno być grzebyczek, a ja napisałam grzebuszek pod wpływem rosyjskiego griebuszek, ale nie chcę poprawiać niech zostanie tak, jak pisałam wtedy zaraz po wyjściu z więzienia.

"Pani Zosia jest na śledztwie jakieś 10 minut. Powiedziała, że nic nie wie i puszczono ją. Posyłam przez nią pozdrowienia matence i dzieciom. Już wiem, że ja narazie do domu nie wrócę.

Gdy tylko pani Zosia wyszła, przyszedł Borowikow i kazał mi się ubrać, gdyż ja rozłożyłam płaszcz i położyłam się na nim. Wziął mnie pod rękę, bo sama kompletnie nie mogłam iść i prowadził na dół. Drżałam ze strachu. Bałam się, że zaprowadzi mnie do lochu, gdzie są szczury, ciemno i po kolana wody. Ale on prowadził mnie na podwórko i kazał wejść do stojącego tam auta. Więc to jest karcer?!!! "

Rzeczywistość była tak bardzo różna od tego, czego się obawiałam, że zamiast być przerażoną odetchnęłam z ulgą. Jeszcze dziś pamiętam paraliżujące uczucie strachu przed ciemnością - która mnie nie omięła - wodą po kolana i co najgorsze szczurami, których w aucie nie było. Po moim wyobrażeniu karceru, ten, do którego mnie wprowadzono wydał mi się wspaniałym pensjonatem i nie spełnił w najmniejszym stopniu zadania wyznaczonego przez mego sędziego śledczego. Zamiast

przerażenia opanowało mię uczucie wielkiej ulgi, gdy:

"Weszłam do zagródki, której podłoga to kwadrat o boku jakieś 75 dm, a wysokość taka, że gdy uklękałam na podłodze, to głową dostawałam do sufitu. Drzwi auta zamykają się hermetycznie. Znikąd nie ma więc dopływu powietrza. Ciemno. Mam szczęście, że jest zimno, więc blacha auta nie jest rozgrzana i nie jest tak duszno. Jest to po prostu nasze auto pocztowe z przegródkami. Jak się potem dowiedziałam nie jest to karcer, a służy do przewożenia więźniów. Popularnie nazywa się to: - w Baranowiczach "sobacznik" /sobaka to po rosyjsku pies, a więc wóz do przewożenia psów/, - w Brześciu "mańka", - w Mińsku "czarny woron" /czarny kruk/ lub "chapun" /z białoruskiego łapacz, porywacz/.

Ten, w którym ja siedziałam, był bardzo prymitywny, bo w ogóle -jak potem widziałam - mają oni takie specjalne "sobaczniki" z wentylacją u sufitu i większe nieco.

Po godzinie siedzenia tam usłyszałam, że otwarto drzwi auta i że „sledowatiel” /sędzia śledczy mówi do Sława:

- Posmotri ona tam siedit i budiet siediet' poka ty wsiewo nie razskażesz! - Spójrz ona tam siedzi i będzie siedziała zanim ty wszystkiego nie opowiesz!

Ja zdążyłam tylko krzyknąć:

- Sław nie bądź głupi!

Zostałam znowu sama. O śnie w tej pozycji nie mogło być mowy, więc zaczęłam odmawiać wszystkie modlitwy, potem wszystkie wiersze, a wreszcie zaczęłam śpiewać. Tak mi zszedł czas do rana.

Że jest rano domyśliłam się tego po ruchu na ulicy. Zrobiło mi się nagle bardzo, bardzo smutno i chciało mi się płakać, ale pomyślałam, że jestem Polką i że to nie wypada.

Wreszcie wsadzono do tego auta jakiegoś jegomościa, ale on miał

okno i powiedział mi, że jest już światło, że znów przywieźli kogoś autem."

Znów rusycyzm powinna była napisać: że już jest jasno.

"Siedział tam zaledwie kilka minut, bo przyszło im do głowy, że może mi być weselej, więc go natychmiast zabrali. I znów zostałam sama. Teraz zaczął padać deszcz i tak żałośnie dzwonił o auto jakby płakał nad moim losem.

Przewlekło się żółwim krokiem znów kilka godzin. Usłyszałam jakąś rozmowę i ktoś zaczął próbować zapalić motor w aucie. Ale ten motor, jakby przeczuwając w jakim celu chcą go zmusić do pracy nie dał się przebłagać i nie zapalał się wcale. Oni rozłoszczeni zaczęli popychać auto po podwórku, ale nic z tego. Motor się zaparł. Jak się potem domyśliłam auto to miało wźć nas do Baranowicz. Otwarli auto i szukali czegoś. Ja przy tej okazji kichnęłam, a oni przerażeni zakrzyknęli:

- Kajok tam czort? - Jaki tam diabeł?

A ja dopowiedziałam:

- Żaden czort, tylko ja!

- Czto wy tam diełajecie? - Co wy tam robicie?

- Nic nie robię. Posadzili mię to i siedzę.

- Udirajcie! - Uciekajcie- wynoście się!.

Otwierają mi moją zagrodę i ja zataczając się wyłażę z auta. Zaprowadzili mię do piwnic. Tam spotykam panią Leontynę Borkowską. Pilnują nas dwa barany-bałowany. Jeden z nich to żołnierz; A drugi tutejszy milicjant. Jeden jest bardziej głupi niż drugi. Oni zajmują się czytaniem jakiegoś listu, a ja rozmawiam z panią Borkowską po francusku i dowiaduję się, że jacyś chłopcy są za drzwiami, do których - jest w nich wizyterka-judasz - dyżurny wciąż zagląda. Jestem pewna, że to oni. Zostaliśmy: ja Sław, Gambir, Bolek i Maćko. Inni wypuszczeni. Maćka teżby wypuścili, gdyby wszyscy powiedzieli tak, jak kazałam. Sledowatiel

/sędzieu śledczy/ mówił do drugiego:

- Znajecie etowo bolszowo my chotieli pustit, a eto samyj bolszoy bandit. - Wiecie tego duzego chcieliśmy wypuścić, a to największy bandyta.

Więc widać, że chłopcy pewnie coś nie tak powiedzieli.

Chcę się przekonać czy chłopcy naprawdę tam są, więc kiedy dyżurny daje mi papierosa, ja mówię, że paliłam lepsze ukraińskie "SŁAW" i Sław kichnął.

Teraz zaczynam dyżurnym głośno opowiadać całą swoją sprawę.

Że nic nie wiem, że nic nie powiedziałam. Naturalnie mówię to dla chłopców, a dyżurny idiota nie rozumie tego.

Pani Borkowska daje mi słonej kiełbasy i trochę chleba. Ledwo to zjadłam, wypiłam walerianki i położyłam się na desce, kiedy wywołuje mnie Borowikow i mówi, żebym wybierała pomiędzy matką i narzeczoną. Jeżeli powiem prawdę, to za poręczeniem matki puszcza mnie do domu, a jeżeli więcej kocham narzeczonego to wywiozą mnie tam, skąd się nie wraca i z nim się też nie zobaczę.

Odpowiedziałam, że nie mam wyboru, bo nic nie wiem. Wyglądał tak drapieżnie, krwiożerczo i dziko, że wprost drżałam na jego widok, ale nie okazałam mu tego, bo przecież jestem Polką.

- Tak propadajcie! Więc gińcie! - zakończył i wepchnął mię do celi.

Po jakimś czasie wszedł ten w szarym kostiumie /garniturze/ i kilku innych w płaszczach. Skrępowali chłopcom ręce i wyprowadzili ich kolejno. Był to tak okropny widok i zrobił na mnie tak silne wrażenie, iż myślałam, że się na nich rzucę. Ostatnią wyprowadzono mnie. Prowadził mnie pod rękę ten w szarym kostiumie /garniturze/, bo sama kompletnie iść nie mogłam. Potem wsadził mnie do auta. Był to autobus. Chłopcy musieli usiąść na ziemi, a ja na ławce. Było z nami wewnątrz dwu enkawudzistów.

Jeden z karabinem drugi z rewolwerem. Przy tym dwóch siedziało przy szoferze. Maćko miał na rękach kajdanki, a inni sznury. Myślałam początkowo, że jedziemy na Kamionkę /więzienie przy ul. 3-Maja w dzielnicy zwanej Kamionką/, ale kiedy wiatr uniósł firankę i zobaczyłam cmentarz zrozumiałam, że wiozą nas do Baranowicz. To było moje ostatnie spojrzenie rzucone na Lidę. Więcej już jej całej nie zobaczyłam. Teraz oglądam tylko ruiny tego, co przed 14 miesiącami zostawiłam całe. Lecz dziś stokroć lepiej czuję się w spalonej niż wtedy w całej Lidzie. Wszystko jest w ręku Boga. Da Bóg to szczęście znów dla nas błysnie i radość jak niegdyś zapanuje. Krew tysięcy nie pójdzie na marne."

Jednak o wiele dłużej niż wtedy przypuszczałam trzeba było czekać, bo aż 45 lat, aby krew przelana w sowieckich więzieniach i w dalekich obozach wydała plon. Do pomordowanych i zamęczonych w latach 1939-1941 doszły jeszcze ofiary stalinizmu w Polsce w latach 1945-1956. Skazywano ludzi za to, że walczyli za wolną Polskę, a sądził ich wróg potężny każący się nazywać przyjacielem.

Tomasz Strzembosz w Nr.20 z 20 maja 1990r. "Tygodnika Powszechnego" w artykule p.t. "Inna jakość" podsumowuje i wyciąga wnioski z faktów, które ja jako młoda dziewczyna opisałam również w swym pamiętniku. W artykule tym podkreśla różnicę pomiędzy traktowaniem Polaków przez Niemców i przez Sowietów, mówiąc między innymi: "...Polacy byli zupełnie inaczej traktowani niż Niemcy... nikt nie wywierał na nich nacisku, by wstąpili do NSDAP czy Hitlerjugend; nie musieli oni brać udziału w hitlerowskich masówkach, defiladach, obchodach, uroczystościach państwowych i partyjnych. Wymagano od nich pracy i posłuszeństwa, ale - w większości wypadków - nie chciano uczynić z nich hitlerowców, nie wymagano od nich miłości do Fuehrera, nie kazano im dawać temu wyrazu ani publicznie, ani w życiu prywatnym. Zupełnie inaczej było na ziemiach w roku 1939 i 1940 wcielonych do

ZSSR. Tutaj wszystkich obywateli polskich niezależnie od ich narodowości, wyznania, przynależności do tej czy innej warstwy społecznej uznano za takich samych obywateli radzieckich, jak ci z głębi Białorusi czy Ukrainy... Byli traktowani nie tylko jako obecni obywatele ZSSR, lecz także jak ludzie, którzy nimi byli od początku swego życia."

Kiedyś sędzia śledczy zapytał mnie jak się u nas mówi: "domoj"/po rosyjsku/ czy "damou" /po białorusku/. Ja bez zastanowienia odpowiedziałam "do domu". Śledczy nie skomentował tego, chyba dlatego że nie rozumiał. Nie przyszło mu do jego sowieckiej głowy, że my mówiliśmy tylko po polsku.

Konsekwencją takiego traktowania Polaków było objęcie ich paragrafem 76 - bardzo popularnym, bo szeroko stosowanym, a brzmiącym: "niezadowolony z władzy radzieckiej". Przypisywano go wszystkim polskim urzędnikom i to nie tylko na wyższych stanowiskach, ziemianom, osadnikom itp./A znałam jedną hrabiankę i innego hrabię, którzy należeli do PZPR, właściwie to ona należała, a on tylko usiłował/. Nie pomagało tłumaczenie:

- Ależ ja nic nie zrobiłem!
- Nie szkodzi, ale myślałeś negatywnie.
- Ale mnie się podoba władza sowiecka, jestem zadowolony, że tu jesteście!
- Nie możesz być zadowolony, skoro przed wojną lepiej ci się powodziło.

Drugim bardzo popularnym paragrafem był par. 72 "agitacja kontrrewolucyjna". Można było na powyższej zasadzie przypiąć ją każdemu, bo przecież nikt nie mógł udowodnić, że myślał z miłością o sowietach. Natomiast oni nie potrzebowali wielu wysiłków, by udowodnić, że ktoś ma do nich zastrzeżenia. Na przykład na podstawie tego paragrafu aresztowywani byli wszyscy, którzy odważyli się powiedzieć, że w Polsce przed wojną było lepiej, że nie brakowało jedzenia, że

każda ówiatka zapałki /podzielonej na cztery przez oszczędność/ zapalała się, a sowieckich dla zapalenia czegokolwiek trzeba było użyć aż cztery i to conajmniej, żeby się wreszcie jedna zapaliła. Jeżeli się już mówiło o niedostatkach w Sowietach, to koniecznie - dla bezpieczeństwa - trzeba było podkreślić, że gdzieindziej jest jeszcze gorzej. Agitacją kontrrewolucyjną było na przykład powiedzenie lub napisanie w liście, że się w tę okropną zimę 1939-1940r marzło lub głodowało, że ktoś nie mógł dostać potrzebnego lekarstwa, że pociąg z Leningradu do Lwowa opóźnił się o 2-3 dni, a ludzie koczowali na stacjach. Prawda nie opłacała się.

Zdarzały się przypadki, że 2-3 osoby spotkały się na ulicy i rozmawiały. Podchodziło do nich trzech ekawudzistów i brało każdego osobno pytając o czym rozmawiali. Jeżeli zeznania się nie zgadzały wszystkich trzech aresztowywano. A przecież to normalne, że przy takim przypadkowym spotkaniu na ulicy mówi się o wszystkim i o niczym. Naturalnie po kilku takich wpadkach - szeroko wśród Polaków omawianych - ludzie spotykając się na ulicy z góry umawiali się o czym będą mówili, gdy zostaną zapytani przez NKWD, niezależnie od tego, o czym naprawdę mówili. Dotyczyło to w szczególności młodzieży, która jak to młodzież, spotykając się paple o wszystkim i potem trudno jest powiedzieć o czym była mowa.

Pierwsze aresztowania w Lidzie miały miejsce już z okazji 7 listopada. Młodzież na uroczystą akademię i defiladę założyła na tarcze żałobne opaski, co wystarczyło na zarzut agitacji kontrrewolucyjnej, jeżeli się nie potrafiło udowodnić, że ma się w rodzinie indywidualną żałobę.

Bardzo dokuczliwymi byli tak zwani agitatorzy. Przychodził taki żołnierz, dzwonił do drzwi i stwierdzał. Tak stwierdzał, bo pytanie było pozorne:

- Razreszytie pobiesiedowat' - pozwólcie podyskutować!

Nasza odpowiedź nie miała najmniejszego znaczenia. Rosiadał się

taki "gość" i zaczynał wykład jak to cudownie jest w Związku Sowieckim, jaki skład jest ich rządu, że konstytucja sowiecka jest najlepszą w świecie. I nie można się było go pozbyć.

Agitacja komunistyczna pochłaniała w Sowietach sporo energii, czasu i pieniędzy. Jeszcze w 60 lat po rewolucji w Moskwie w każdej dzielnicy był tak zwany „agitpunkt”, zajmujący lokal, podczas gdy Moskwa odczuwała poważny głód mieszkaniowy. Skoro poziom życia nie mógł agitować za ustrojem, to takie „agitpunkty” były konieczne, żeby zmusić ludzi do uwierzenia w ten ustrój.

Sławny był kawał obrazujący stan rzeczy w tym zakresie:

Jeżeli ktoś odważył się opowiadać najdelikatniejszy kawał polityczny stawiano mu zaraz pytanie:

- Czy wiesz kto zbudował Kanał Białomorski?

I natychmiastowa odpowiedź pytającego:

- Tacy jak ty kawalarze.

Kawał ten przypominał bardzo popularne u nas określenie kawału jako 6 x 9, to znaczy 6 lat dla słuchającego, a 9 dla opowiadającego dany kawał - naturalnie 6 lat więzienia.

W Związku Sowieckim aresztowywano nie tylko za co, ale i poco.

Kiedy potrzebna była siła robocza na określonym odcinku po prostu dokonywano aresztowań, a dwa podane wyżej paragrafy stanowiły doskonałą podstawę prawną dla tego celu. Na przykład o Kanale Białomorskim mówi się i pisze: "postrojen siłami NKWD" /zbudowany przez siły NKWD/. Brzmi to nawet dumnie dla tych, którzy nie wiedzą, co oznacza to pojęcie. "Siły NKWD" to tysiące więźniów, którzy zostali zamordowani niewolniczą pracą. Kanał ten to kamień nagrobny dla tysięcy, a może i milionów ofiar.

W latach 50-tych opowiadano mi, że dla zbudowania kolei wzdłuż Nowej Ziemi /dawniej Ziemia Franciszka Józefa/ przywieziono dwa tysiące więźniów. Po pół roku zostało ich zaledwie 200, bo mieszkali w namiotach w bardzo trudnych warunkach klimatycznych. Nie licząc mro-

zu, braku pożywienia, a szczególnie witamin itp., w czasie sztormów wiatr unosił w powietrzu kamienie wielkości pięści ludzkiej. Kamienie przebijały płótno namiotu, a skutki tego nie trudno odgadnąć.

Czy kolej została ostatecznie zbudowana czy też nie - nie wiem, ale wiem, że pochłonęła ta inwestycja nie mało ofiar.

Od czasu kiedy spisywałam ten pamiętnik minęło prawie 50 lat. Wiele od tego czasu przeczytałam, wiele zobaczyłam, a jednak zasadnicze moje poglądy nie wiele się od tego czasu zmieniły.

"Ale to ma być mój więzienny pamiętnik, a nie moje obecne 1941r. rozmyślenia..."

A teraz ja zagalopowałam się jeszcze bardziej. Wrócę więc do jazdy do Baranowicz.

Baranowicze - więzienie śledcze NKWD

"Otóż skończyłam na tym, że wyjechaliśmy z Lidy. Auto jechało po znanej mi szosie, której jednak widzieć nie mogłam, bo okna były zasłonięte granatowymi firankami."

Dokładnie teraz jeszcze przypominam sobie, że na trasie na północnych zboczach pagórków i rowów leżał śnieg, chociaż było to już 19 maja, a więc jednak conieco pomimo tych zasłon w oknach musiałam widzieć. Pamiętam też, że wzruszała mnie Switeż "gęstą po bokach puszcza oczerniona", bo puszcze tę wycięli dopiero Niemcy.

"Szybkość nasza nie przekraczała 50 km na godzinę, tak, że jazda trwała około 2 godzin. Wreszcie stanęliśmy na podwórku NKWD w Baranowiczach. Kazali nam wysiąść i ja miałam szczęście iść ze Sławem przez aleję z akacji od auta do budynku więziennego. Po drodze powiedziałam mu:

- Sław, nie mów nic. Pamiętaj, że jesteście Polakami!

A on mi odpowiedział:

- Już wszystko wiedzą. Chłopcy wszystko powiedzieli.

Zaledwie jeszcze zdążyłam mu szepnąć:

- W każdym razie ty nic nie mów!

I to wszystko.

Weszliśmy na długi korytarz. Otworzono celę Nr.3 i wpuszczono tam chłopców. Zdjęto im kajdanki i zamknięto mi celę przed nosem. Nawet się nie pożegnałam. Mnie wpuszczono do celi Nr.2.

Jakie to okropne uczucie, gdy z głuchym łoskotem zatrząskują się za tobą żelazne drzwi celi. Okno w celi jest dość duże i zamknięte. Jedynym umeblowaniem jest stół - taki zwykły biurowy stół.

Ten łoskot zamykanych za mną drzwi towarzyszy mi od tego czasu po dzień dzisiejszy. Panicznie boję się zamkniętych pomieszczeń - kabin telefonicznych, zamkniętych pokoi w mieszkaniu, a w Oświęcimiu bałam się wejść do "łazienki", chociaż byłam tam już wielokrotnie. Zaw-

sze stawałam w progu i oglądałam się do tyłu czy aby i te drzwi za mną się nie zamkną. Drzwi do "łazienki" w Oświęcimiu są bardzo podobne do tych, które się po raz pierwszy zamknęły się za mną w Baranowiczach.

" Najwpiękniej więc sygnetem piszę na ścianie: "Bóg naszą ucieczką i mocą", "Pod Twoją obronę uciekamy się" i "Bóg czuwa nad Polakami". Potem zastukałam do chłopców. Odpowiedzią było głuche więzienne milczenie. Znużoną tym wszystkim stukam do dyżurnego i władczym głosem każę się wypuścić do "ubornej"/WC/.

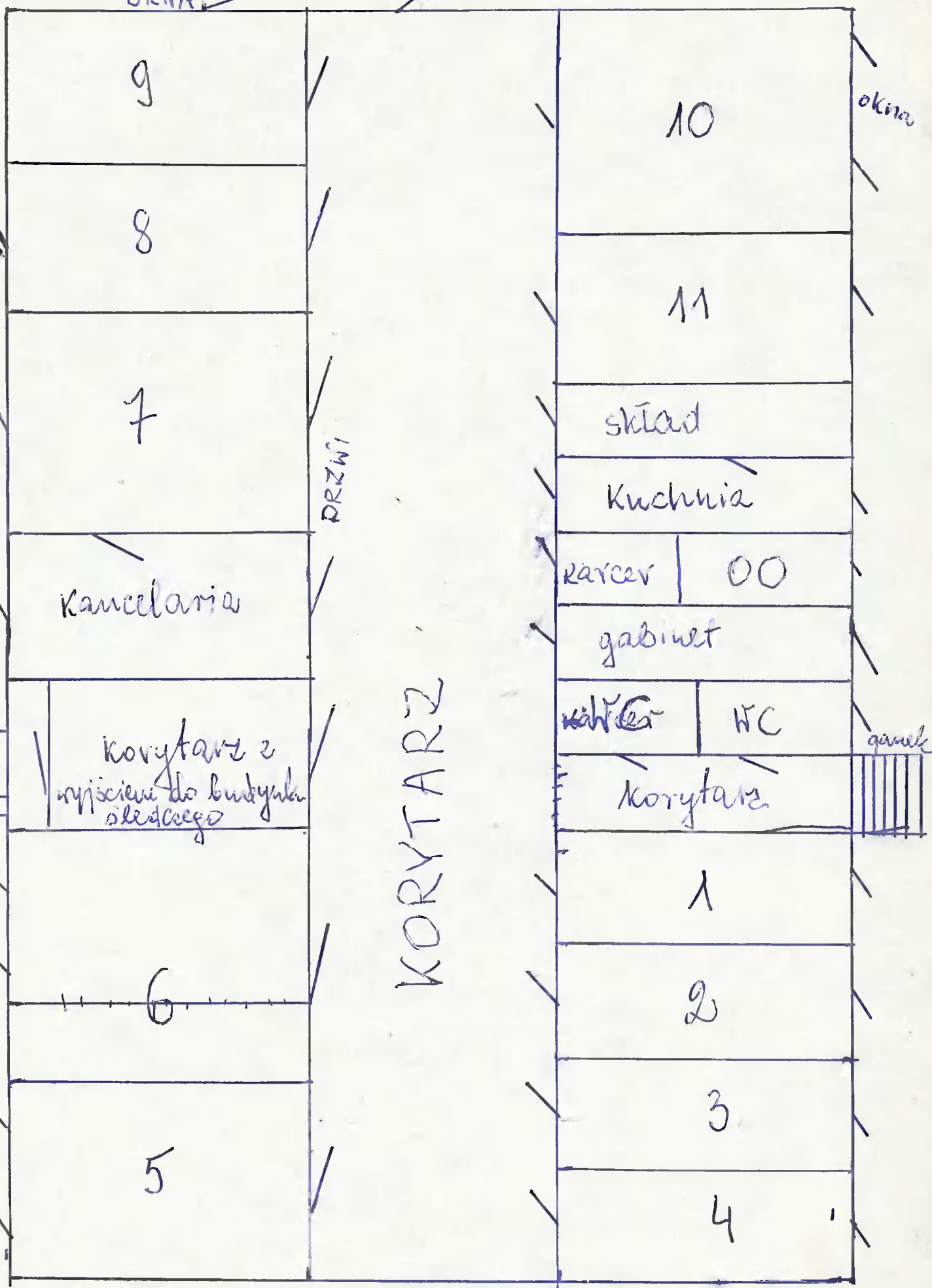
Dyżurny "pokornie" spełnia mój "rozkaz". Potem "każę" przynieść sobie coś do zjedzenia, bo jestem piekielnie głodna. Dyżurny przynosi mi pełną michę /menażkę/ okropnych, brudnych flaków i kawałek chleba. Przynosi mi również krzesło. Kiedy teraz spojrzę na tę uprzejmość dyżurnego, to mię ona potwornie dziwi. Przecież potem ten dyżurny nazywał mnie zawsze "polską panią" w tym znaczeniu jak oni to rozumieją i nie cierpiał jak można najbardziej. Ale refleksje na potem...

Kiedy spojrzałam na te flaki ogarnął mnie taki żal, że miałam chęć płakać, ale bałam się, że dyżurny zobaczy, więc odstawiłam flaki, ugryzłam parę razy chleb i położyłam się spać na stole, bo snu brakowało mi jeszcze bardziej niż jedzenia."

W sumie miałam za sobą dwie nieprzespane noce, bo jedną - tę ostatnią przed aresztowaniem - przegadaliśmy, a drugą byłam na śledztwie. A potem w tym aucie-karcerze, gdzie o spaniu nie mogło być mowy. Jeżeli chodzi o flaki to zapamiętałam je na całe życie i do dnia dzisiejszego ich nie jadam nawet w domach, gdzie są one "specialité de la maison" pani domu i gdzie wszyscy się nimi zachwycają. Dla mnie na zawsze pozostały symbolem sowieckiego więzienia.

" Ale nie sądzonym mi było jeszcze zasnąć, chociaż byłam okrutnie zmęczona. Po kilku chwilach weszła do mnie z płaczem i jękiem jakaś kobieta. Naturalnie poczułam się w obowiązku za-

Plan piętra śledczego NKWD w Baranowiecach



9

8

7

Kancelaria

Korytarz z
wyjściem do budynku
śledczego

6

5

10

11

skład

Kuchnia

karczer | OO

gabinet

kuchnia | WC

Korytarz

1

2

3

4

okna

PRZWI

KORYTARZ

brama

Budynek śledczy

aleja
ślęczy
nr 2

jąc się nią. Jest to pani Genia D. żona policjanta z Nieświeża posądzona o chęć przejścia warszawskiej granicy /zupełnie słuszenie. Ma jakieś polskie pieniądze, które pomagam jej ukryć za piecem. Często ją flakami i proponuję sen, ale ona się ciągle przede mną usprawiedliwia /niby przed sędzią/, a ja przecież chcę spać. Przed tym jeszcze wyryłam na stole spinką do włosów całe "Pod Twoją obronę".

Po jakiejś godzinie zabierają nas i wprowadzają do celi Nr.4, gdzie jest już 11 osób /za czasów polskich była to pojedynka/. Jest to cela 3m długa i 1,75 m szeroka. Umeblowanie stanowi "parasza" /ki-bel/, stolik szpitalny, jakieś 8 menażek, 8 łyżek, 8 kubków, 2 miski aluminiowe, 5 sienników przykrytych dwoma kocami i to wszystko.

Cela robi na mnie okropne wrażenie - szczególnie kobiety, które rzucają się na nas z krzykiem:

- Jakie wiadomości ze świata? Co w polityce?

Było ich wówczas 10, bo jedna była na śledztwie. Pani Wanda L. bierze mnie pod swoją opiekę i chroni od gradu słów swych współtowarzystek. Jakoś powoli oswajam się z atmosferą nowego lokum i powoli aklimatyzuję się tutaj. W kilka minut po moim przybyciu wraca ze śledztwa Hanka Bliźniak, Warszawa, Krasickiego 93. Wraca ona z płaczem, bo na dworze jest tak pięknie. Jest ona sobowtórem mamy Sława.

Tu muszę wyjaśnić, że śledztwa odbywały się w innym budynku i że za każdym razem miałyśmy okazję przejścia się po świeżym powietrzu, chociaż nie zawsze mogłyśmy to docenić po męczarniach śledztwa.

"Ale nie jest tak dobrze jak się zdaje. Załedwie zdążyłam się położyć i zasnąć, a już znów dyżurny wyrywa mnie z objęć Morfeusza. Ponieważ spałam w sukience z powodu zimna, więc tylko wkładam na siebie futerko i już jestem gotowa."

Sledztwo

Zanim przejdę do spisywania moich przeżyć w śledztwie chciałabym zacytować co pisze na ten temat Sołżenicyn w książce "Archipelag Gułag" na str.115 i dalszych /Instytut Literacki, Paryż 1974r./, bo jest to doskonałe podsumowanie moich własnych przeżyć:

"Spróbujmy wyliczyć niektóre najprostsze chwyt, z których pomocą łamie się wolę i osobowość aresztanta, nie zostawiając śladów na jego ciele.

Zacznijmy od metod nacisku psychicznego. Na króliczków nie przygotowanych wcale do znoszenia więzienn~~ej~~ udręki metody te działają z olbrzymią, wręcz burzącą siłą.

Ale człowiek o mocnych przekonaniach też nie łatwo sobie z tym poradzi."

To tłumaczyłoby fakt dlaczego chłopcy Bolek i Gambir już na pierwszym przesłuchaniu przyznali się do wszystkiego. Ciekawe, że mężczyźni byli zasadniczo mniej wytrzymali na takie metody śledztwa. Na przykład mąż pani Borkowskiej zeznał na śledztwie, że jego żona otrzymywała od Generała Sikorskiego pieniądze na akcję antykomunistyczną - co absolutnie nie miało miejsca - a potem w grypsach bardzo ją za to przeproszał i wszystko odwoływał. Był to mężczyzna inteligentny i w sile wieku, a jednak się załamał i zeznał wszystko, co mu sugerowano.

Dalej Sołżenicyn wylicza kolejno metody nacisku psychicznego, z którymi osobiście bardzo szybko - bo jeszcze w Lidzie - się zapoznałam. Już na pierwszym wstępnym przesłuchaniu w Lidzie zastosowano wobec mnie i Sława /o innych nie wiem/ te metody. Mnie uratowało moje "kuchenne" przeszkolenie z dzieciństwa, bo wszczepiło w mą mentalność nieufność do tego ustroju, a Sława ja sama zachęcałam do wytrwania, gdy go przyprowadzono do mego "karceru".

Metody nacisku psychicznego według Sołżenicyna to między innymi:

- "1. Problem nocy... wyrwany ze snu aresztant /nawet nie zadręczony jeszcze bezsennością/ nie może być tak zrównoważony i trzeźwy

jak we dnie, jest więc bardziej ustępliwy.

2. Szczera perswazja...
3. Ordynarne wyzwiska...
4. Szokowanie psychologicznym kontrastem... Dwaj funkcjonariusze pracują na zmianę, jeden sroży się i wścieka, drugi jest sympatyczny, niemal serdeczny.
5. Wstępne upokorzenie...
7. Zastraszenie... Często kojarzony jest z chwytem przynęty i chwytem obietnicy...
8. Kłamstwo...
9. Wygrywanie przywiązania do bliskich... Można złamać najmężniejszego człowieka, apelując do jego uczuć rodzinnych...
10. Sposób akustyczny... Kazać wszystko mówić głośno, wszystko powtarzać. Dla człowieka już zmordowanego to wysiłek.
13. Sposób optyczny. Ostre światło elektryczne, zapalone całą dobę w celi albo w boksie, gdzie siedzi aresztowany, jaskrawa żarówka, wielokrotnie mocniejsza niż potrzeba w małej celi o bielonych ścianach. Zaplenie powiek, to bardzo boli. A w gabinecie śledczego - znowu reflektory prosto w twarz.
15. Więzienie zaczyna się od boksu... Trzymają go tak kilka godzin, cały dzień, dobę.
19. Kazać człowiekowi całkiem zwyczajnie stać...
21. Bezsenność... Brak snu - jest potężną torturą, a przy tym nie zostawia żadnych widocznych śladów.
22. Poszerzeniem poprzedniego punktu jest konwejer śledczy. Więzień nie tylko nie śpi - ale nadto przez trzy cztery doby bez przerwy jest przesłuchiwany przez wciąż zmieniających się śledczych.
23. Karcery... "

Wypisałam ze spisu Solżenicyna tylko te punkty nacisku psychicznego, z którymi zetknęłam się osobiście, chociaż nie potrafiłam przeanaliz-

wać ich tak dokładnie jak to zrobił Sołżenicyn.

Jaka szkoda, że nie znałam w tamtych czasach zakończenia tego zestawienia, bo pozwoliłoby ono - jak się potem okaże - uniknąć mi kilku błędów i oszczędzić przykrości moim współtowarzyszom niedoli. Brzmi ono tak:

"Bracie! Nie potępiaj tych, którzy trafili w ich ręce, którzy okazali się zbyt słabi i podpisali to, czego żądano...

Nie rzucaj w nich kamieniem."

A ja to robiłam i teraz żałuję. A co gorsza zrobiłam to nawet w stosunku do człowieka, którego tak bardzo kochałam. Czy nie był to przerost ambicji? Szlachetnej, ale zawsze ambicji, aby moi najbliżsi byli ideałami?

Kiedy już przedstawiłam przy wydatnej pomocy Sołżenicyna metody nacisku psychicznego mogę powrócić do mego pamiętnika i pierwszych dni w więzieniu baranowickim.

"Zaledwie przyniesiono kolację, której znów nie tknęłam, przyszedł po mnie śledczy i zabrał mnie na "dopros" /śledztwo/.

Jest to lejtnant, blondyn, wysoki ze złotym zębem. Bada mię w pokoju Nr.8. Trzyma mię u siebie godzinę, ale narazie śledztwo jest zupełnie sympatyczne. Pyta mię o wszystkie dane personalne. Między innymi - żeby mi dokuczyć - patrz Sołżenicyn pkt.5. - pyta czy nie jestem zależna od Sława to znaczy czy nie jestem w poważnym stanie.

Oburzenie moje nie ma granic i wyraża się słowami:

- Przecież nie jestem męzatką.

- U was piered wieńcom nie priniato /u was przed ślubem nie ma tego w zwyczaju/- zakpił jeszcze śledczy."

← To chyba wszystko, co dotyczy tego doprosu. /przesłuchania/.

Wróciłam do celi i nareszcie mogłam się położyć i zasnąć. Byłam tak zmęczona i śpiąca, że zasnęłabym na stojąco, a tu miałam możliwość położenia się, nic więc dziwnego, że usnęłam natychmiast.

Dziś trudno określić jak długo spałam. Może kilka minut, a może kilka godzin, ale wtedy wydawało mi się, że:

"Zaledwie zdążyłam położyć się i zasnąć, a już znów dyżurny wyrywa mię z objęć Morfeusza. Ponieważ spałam w sukience z powodu zimna, więc tylko wkładam na siebie futerko i już jestem gotowa.

Tym razem i "dopros" /śledztwo/ i śledczy są mniej sympatyczni. Teraz śledczy zabrał się już "ad rem". Trzyma mnie całą noc aż do śniadania. Jestem kompletnie wyczerzona. To już trzecia bezsenna noc. /Patrz Sołżenicyn pkt. 21/

Nad ranem przychodzi ten w szarym kostiumie /garniturze/ i przynosi zeznania Gambira. Gambir powiedział, że mieszkał u mnie od środy, że byliśmy w organizacji, jednym słowem prawie wszystko w ogólnych zarysach. Jestem tym złamana. Śledczy widzi, że jestem ledwie żywa, więc odprowadza mnie do celi i mówi:

- Pośle obieda ja was pozwu, wy mnie wsio razskazetie. Choroszo? Siejczas otdochnitie! - Po obiedzie was wezwę, a wy mi wszystko opowiecie. Dobrze? Teraz odpocznijcie!

Dyżurnemu zaś każe nie budzić mnie w dzień, a teraz jeżeli u mnie w celi jest zimna herbata, to dać mi gorącej. Ja stoję wprost bez pamięci. Myślę uparcie o samobójstwie. Przecież oni wszystko wiedzą, a ja się boję żebym czegoś nie powiedziała kiedy zaczną torturować. Jedynym wyjściem jest - według mnie - samobójstwo. Ale jak je uskutecznić? W celi są kobiety. Na śledztwie też to niemożliwe."

Tu - zgodnie ze schematem Sołżenicyna - śledczy popełnił błąd zawodowy. Tak był pewien tego, że jestem złamana całkowicie, iż nie przyszło mu do głowy, że wypoczynek wszystko może zmienić. Nie wziął - bo nie mógł - pod uwagę naszego wychowania i przesadnego wręcz poczucia honoru i patriotyzmu. Ja rozważałam ewentualność samobójstwa

a nie przyznania się. To mu nawet nie przyszło do głowy.

"Hanka Błoźniak wyczuwa co się we mnie dzieje i bez pytań - bo na nie w trakcie śledztwa nie odpowiada się - pociesza mnie. Radzi mi się wyspać. Spię. Naprawdę sen jest cudownym lekarstwem. To bezsenność /raczej brak snu/ przywołała wizję samobójstwa. Teraz już o tym nie myślę i kiedy po południu idę na "dopros" /śledztwo/ jestem już spokojna, opanowana i zdecydowanie nic nie wiem. "Śledowatiel" /sędzia śledczy/ jest rozkłoszczony i trzyma mię znów całą noc, a na pożegnanie mówi, że nie wezwie mnie dopóki sama się nie zgłoszę."

To już była czwarta bezsenna noc, z tym że jednak w dzień się trochę przespałam, za co bardzo Bogu dziękuję.

"Wtorek 21 maja 1940r.

Wezwał mię ten w szarym ubraniu dla podpisania aktu aresztowania. Spię pomiędzy Hanką Bliźniak i młodą mężatką z Białegostoku /Ukośna 9/."

Zastanawiam się czy nie była to Kazia Orzechowska, ale dziś już niczego nie jestem pewna. Jaka szkoda, że byłam wtedy taka ostrożna, ale wydawało mi się, że nigdy ich nie zapomnę.

"Czwartek 23 maja 1940r.

Idę po południu na śledztwo. Jest jakiś nowy, nieznany mi "śledowatiel" /śledczy/. Pyta mię o wszystko to samo, co i poprzedni. Trzyma mię u siebie aż do 25 maja soboty po kolacji."

Krótki lakoniczny zapis, którym skwitowałam 54 godziny na śledztwie - w tym również dzień moich imienin 24 maja - Kilka krótkich zdań nie mówiących nic tym, którzy nie znali sowieckich więzień. Dwie noce i dwa i pół dnia bez snu, bez jedzenia, bez wytchnienia w ciągłym napięciu nerwowym, żeby czegoś nie powiedzieć, w atmosferze typowo rosyjskich wymyślań, jakich chyba żaden inny język nie zna, a do których nie byłam przyzwyczajona i nawet nie podejrzewałam ich istnienia. Dziś jeszcze są one dla mnie gorsze niż uderzenia i nawet wspominać je jest mi trudno.

Szczegółów tego śledztwa niestety nie zanotowałam, dziś zaś już nie pamiętam. Wiem jedno, że był to - według określenia Sołżenicyna-"konwejer", to znaczy, że sędziowie śledczy się zmieniali, a ja musiałam stać lub w najlepszym przypadku siedzieć na stołku i nie zasnąć. Jak to wytrzymałam nie wiem. To śledztwo od czterech nocy bez snu dzieliła tylko jedna przespana noc i trochę snu w jeden dzień.

Do tego świecące wprost w oczy reflektory. Na szczęście w maju noce są krótkie. Ale i tak pozostał mi po tym uraz. Nie znoszę światła elektrycznego i jak długo mogę - ku oburzeniu rodziny - nie zapalam świateł. Rodzina twierdzi, że przez oszczędność psuję sobie oczy, a ja - dopóki nie zajrzałam do pamiętnika - nie wiedziałam dlaczego mam awersję do sztucznego światła. Teraz wiem, że są to skutki śledztwa.

Kilka lat temu nie spałam przez 53 godziny będąc w podróży /ale leżałam wygodnie/ i wydawało mi się, że to koniec świata, że się położę na lotnisku na podłodze. A te 54 godziny śledztwa skwitowałam w pamiętniku tylko stwierdzeniem, że byłam na śledztwie od 23 maja po obiedzie do 25 maja po kolacji.

Porównuję to, co ja napisałam z tym co napisał Sołżenicyn o swoim 24-godzinnym śledztwie w podobnych warunkach. U niego są to cierpienia wprost nieludzkie, opisane na wielu stronach, a u mnie tylko cztery zdania suche i nie wiele mówiące..

Jest to chyba sprawa talentu, a bardziej jeszcze doświadczenia życiowego i trochę podejścia do zagadnienia.

My uważaliśmy się za jeńców wojennych nie za przestępców politycznych. Nas więził wróg, a jego Sołżenicyna - własny rząd, któremu służył wiernie, za który bił się w czasie wojny i jedyną jego winą była różnica poglądów, którą ośmielił się wyrazić w prywatnym liście.

Siłę przetrwania czerpałyśmy z modlitwy i naszego wychowania w patriotyzmie i szalonym poczuciu honoru. Doceniali to nawet nasi

więzienni dozorczy. Wiedzieli doskonale, że jeżeli któraś z nas da "słowa hanoru" , to napewno jest to prawda.

Początko dawałyśmy na wszystko "czestnoje słowo" /po rosyjsku - uczciwe słowo/, ale oni dość szybko zorientowali się, że dla nas nie jest ono absolutnie wiążące. Ja zrobiłam sobie z "czestnego słowa sowieckiej grażdanki" /uczciwe słowo sowieckiej obywatelki/ wręcz sport, bo ani się za ich obywatelkę nie uważałam, ani ich słowo nie było dla mnie wiążące.

Pamiętam taki dialog z sędzią śledczym:

- Ja wam daju czestnoje słowo sowieckowemu śledowatielowi, czto jesli wy mnie wsio razskazetie, ja was puszczu domoj. - Ja wam daję uczciwe słowo sowieckiego sędziego śledczego, że jeżeli wy mi wszystko opowiecie to ja was puszczę do domu.

Na co ja odpowiadam:

- A ja wam daju czestnoje słowo sowieckoj grażdanki, czto ja niczewo nie znaju. - A ja wam daję uczciwe słowo sowieckiej obywatelki, że nic nie wiem.

Na szczęście oficerowie śledczy nie rozszyfrowali naszego stosunku do "słowa hanoru" i "czestnego słowa". Obowiązywało to jedynie w stosunkach więźniowie - dozorczy i dotyczyło jedynie spraw porządkowych.

"W niedzielę 19 maja i poniedziałek 20 maja chłopcy byli w celi Nr. 3. W niedzielę rozmawiałam z nimi przez dziurę koło pieca. Ale po nocnym śledztwie w poniedziałek nie chciałam podejść do dziurki. Tylko Hanka Bliźniak z nimi rozmawiała." I to było moje pierwsze sołżenicynowe "rzucenie w nich kamieniem". To był mój pierwszy błąd i grzech więzienny.

"Po kilku dniach Hankę Bliźniak i Wandę zabrali. Zostałam z Marysią Jurewicz z Nowogródka i Genką Kawnetis z Wilna. Żyłam z nimi lepiej niż z innymi. O swej sprawie nic nie mówię. Wszystkie uważają, że szybko wyjdę. Ja się tym nie łudzę.

Mam jakieś półtora tygodnia przerwy w śledztwie. Aż potem w poniedziałek wzięto najwpierw Genkę Kawnetis, a potem mnie. Jest znów nowy śledczy. Oglądam go od stóp do głowy. On jest tym oburzony. Jest mały, krępy, ma piwne oczy, ciemne włosy w ogóle dość ładny, ale minę ma wybitnie głupią. Mam wrażenie, że jest bardzo mało inteligentny.

- Eto wy moj sledowatiel? To wy jesteście moim sędzią śledczym? -
zwracam się do niego.

Krótkie:

- Da. Tak. - musi mi wystarczyć za odpowiedź.

Dowiaduję się następnie, że on ma prowadzić całą naszą sprawę. Jest starszym sledowatiel["] w randze starszego lejtnianta - niejaki Iwańkow. Potem dowiedziałam się, że się nazywa również Lebediew. Nie rozumiem co to znaczy.

Zawiadamia mię, że jestem oskarżona z artykuła 64. Poza tym "dopros" ten /przesłuchanie/ mija na informowaniu mnie o świetnym życiu młodzieży sowieckiej. Jednym słowem na agitacji. Mam teraz przez kilka dni takie "doprosy" /przesłuchania/. Potem zaczyna się poważniejsza sprawa. Ja na wszystko odpowiadam : niet - nie.

Pytał mię o Stacha Czeszczewika, Antka Żuka, Romka Skibniewskiego. Powiedziałam, że ich nie znam. Tak zszedł czas do jakiegoś 10 czerwca 1940r.

Wreszcie jednak naczelstwo /kierownictwo/ zaczęło niedowierzać memu sledowatielowi /sędziemu śledczemu/. On wzywał mnie przeważnie o godzinie 10,30 w nocy czyli o 22,30. Aż tu raz wzywają mnie około pierwszej w nocy. Przyszedł jakiś inny sledowatiel["] /sędzia śledczy/ i zamiast do gabinetu Nr.14 zaprowadził mnie do Nr.11. Był to jedyny raz kiedy poszłam z papilotami na głowie.

Kiedy weszłam z kąta pokoju odezwał się do mnie jakiś grubas i powiedział:

- Budiem znakomy, kak was zwat?? Poznajmy się, jak się nazywacie?

- Joanna Bronisławowna Stankiewicz - odpowiedziałam przepisowo.

- A was? - zapytałam z kolei.

Odpowiedział grzecznie, tylko już nie pamiętam jak się przedstawił.

Potem znów zapytał:

- Moguli ja obraszczatsia k wam diewica Joanna? Czy mogę się do was zwracać dziewczę Joanna?

Zgodziłam się. Ten znów zaczął się wygłupiać okazując swoją wielką ku mnie sympatię. Wyglądał jak Neron i odtąd tak go w myśli nazywałam. Zapytał:

- Skolko wam let? Ile macie lat?

- Dziewiętnaście - odpowiedziałam.

Na to on:

- Mógłbym być waszym ojcem, bo mam 35 lat.

Jestem pewna, że miał conajmniej 45 lat, a wyglądał raczej na mego dziadka niż ojca.

Inni siedzący w pokoju sledowatiele obserwowali mnie, a ja obserwowałam muchę i żyrandol. W trakcie śledztwa wszedł mój śledczy. Nad ranem pozwolono mu odprowadzić mnie do celi. Miałam wrażenie, że był ze mnie zadowolony, że i temu nic nie powiedziałam, bo rozmawiał ze mną dość serdecznie.

Obiecano mi "oczną stawkę" - konfrontację.

Dzień minął spokojnie, dano mi tę pierwszą obiecaną "oczną stawkę" zaraz następnej nocy.

"Dopros" był znów u Nerona w gabinecie Nr.10, a nie w czternastym. Kiedy ja przyszedłam - tym razem przyszedł po mnie sam Iwańkow - do gabinetu był tam już Maćko. Wyglądał wcale nie źle. Miał jeszcze włosy. Ale ad rem.

Wstępne pytania:

-Kto ja?

- Kto on?
- Czy się znamy?
- Czy nie mamy do siebie uraz? itp.itd.

Odpowiedzi:

- Znaliśmy się tylko z imion.

Następnie zapytano Maćka :

- Czy zechcesz powtórzyć to, co już mówiłeś?

Maciek się zgodził.

Potem zaczęło się opowiadanie kiedy i gdzie Maciek mnie widział.

A więc:

Pierwszy raz u Lolka w lutym. Byłam sama z Lolkiem. On przyszedł i otrzymał instrukcje dla Hajdula. Tu usłyszałam szereg nazwisk rzeczywiście nie znanych mi wcale.

Po raz drugi widział mnie 13 kwietnia w nocy. Byliśmy wtedy ze Sławem, a on wrócił z Zochą i Stachą z Juraciszek. Opowiadał wszelkie szczegóły z tego dnia. Podawał też wtedy fakty nie kompletnie zgadzające się z prawdą. Wyjaśnił, że nie wie czy należałam do organizacji, ale w każdym razie Lolek mówił przy mnie o sprawach organizacji.

A na powtórne pytanie Nerona:

- Więc należała? odpowiedział:
- Tak! Należała.

I poprosił o pozwolenie mówienia po polsku, na co otrzymał zgodę. Wówczas zwrócił się do mnie po polsku:

- Jaśko! Przyznaj się oni wszystko wiedzą, Sław też się przyznał. Tu Iwańkow nie rozumiejący ani słowa po polsku i nie wiedzący, że Sława nazywam Sław /a nie np. Boguś jak jego rodzice/ wtrącił:
- Czto ty gawarisz, czto Wienżik toże przznałsia? Da, da uże wsie przznaliś, tolko wy odna takaja głupaja. Skrywajetie ich kogda oni o was wsio goworiat. - Co ty mówisz, że Wężyk też się przy-

znał? Tak, tak już wszyscy się przyznali, tylko wy jedna tak głupia. Osłaniacie ich podczas gdy oni o was wszystko mówią.

Ciekawe, że do Maćka starszego ode mnie mówił per ty, a do mnie przez wy. Tak samo do starszych kobiet ze wsi mówili per ty, a do nas nawet najmłodszych przez wy. Natomiast Niemcy - z uwagi na mój wygląd - zawsze zwracali się do mnie per Maedchen nigdy Fröulein, to znaczy przez dziewczynko, a nie panienko. Dziwnie więc wyglądała ta sowiecka równość wobec ludzi bez wykształcenia. Napewno moje zachowanie miało na takie podejście częściowo wpływ, ale z zasady żadnej z nas - nawet siedemnastoletniej Izie Świętochowskiej nie mówili "ty".

Ciekawe, że rzeczywiście nie pamiętam nazwiska Maćka, chociaż jak z notatek wynika telefonowałam do niego, więc jednak musiałam znać jego nazwisko. Czyżby moja podświadomość tak skutecznie chciała wykreślić ich nazwiska z mej pamięci, żeby nic nie zdradzić, że naprawdę zapomniałam?

I tu popełniłam mój drugi błąd. Bez zastanowienia "rzuciłam kamieniem" jak to określa Solżenicym: spojrzałam pogardliwie na Maćka.

"Nie zwróciłam uwagi na słowa Iwańkowa i nie pomyślałam, że Maćko był zmuszony do powiedzenia tego, tylko oburzona spojrzałam na Maćka i powiedziałam:

- Izwinitie, no ja nie mogu niczewo skazat' potomu czto niczewo nie znaju. - Wybaczcie, lecz ja nie mogę nic powiedzieć, bo nic nie wiem.

Maćko. spuścił oczy jakby mu ktoś dał po twarzy. Przyznaję, że osądziłam go zbyt surowo, ale moja ambicja Polki ucierpiała jednak bardzo.

Na pytanie zwrócone do mnie czy się przyznaję do tego odpowiedziałam:

- Do żadnej organizacji nie należałam i u Lolka nigdy nie byłam."

I chyba właśnie na tym badaniu doszło do bardzo śmiesznego "qui pro quo". Śledczy twierdził, że omawialiśmy u Lolka pewne sprawy - teraz

już nie pamiętam jakie, ale tak było - siedząc na „diwanie” /diwan to po rosyjsku kanapa, o czym wtedy jeszcze nie wiedziałam/. Byłam oburzona takimi głupimi podejrzeniami, bo wtedy jeszcze młodzież nie miała zwyczaju siadania na podłodze czy dywanie. Siadaliśmy co najwyżej przed kominkiem na skórze wilka, niedźwiedzia lub dzika, ale na dywanie?... To byłoby dla nas jakieś poniżające. I tak właśnie odebrałam sugestię śledczego, stąd moje oburzenie było tym razem nie udawane, ale naprawdę całkiem szczere. Nie pamiętam jak się w końcu ta historia skończyła, ale w każdym razie wyjaśnienie tej różnicy językowej zabrało sporo czasu i pozwoliło mi na zaczerpnięcie oddechu na śledztwie.

W związku z powyższym przypomniał mi się taki kawał. Jeden Rosjanin mówi do drugiego: Kakije eti Blaki strannyje. Diwany na stienkach wieszajut, na łózkach spiat; Krawat na szejach nosiat, a kawior kuszajut. W tłumaczeniu brzmi to mniej więcej tak: Jacy dziwni są ci Polacy. Kanapy wieszają na ścianach, na łyżkach śpią; Łóżka na szyjach noszą, a dywan jedzą.

Rzeczywiście nasze języki mając wiele słów podobnych niejednokrotnie prowadzą do nieporozumień, na skutek odmiennego znaczenia. Już znając rosyjski kiedyś powiedziałam do Rosjan, że jadłam szynkę z puszki /a puszka to po rosyjsku armata/ wywołując tym powszechne zdumienie. Ale wtedy szybko się zorientowałam i poprawiłam się, że nie z puszki, a z "banki".

Ale wracając do śledztwa.

"Podpisaliśmy zeznania. Maćko czując się w łaskach poprosił o pozwolenie wypisania chleba, bo mu za mało. Śledowatiel zbył go mruknięciem. Maćko wyszedł, a ja zostałam słuchać kazania Nerona o mej głupocie. Trwało to jakąś godzinę. Już słońce wzeszło i ranek był taki piękny gdy wróciłam do celi."

Tu muszę wyjaśnić, że wypisanie chleba polegało na tym, że ci,

którzy mieli pieniądze mogli co jakiś czas zamówić coś w "łarku" czyli więziennym sklepiku. Więzień będący w śledztwie mógł to zrobić jedynie za zezwoleniem sędziego śledczego prowadzącego jego sprawę. Po zakończeniu śledztwa można to było robić raz na miesiąc. W sklepiku był chleb, papierosy, cukier i cukierki.

Nie pamiętam, aby w Baranowiczach - nie tylko w więzieniu śledczym NKWD, ale nawet potem w więzieniu centralnym - któraś z kobiet wypisywała coś ze sklepiku. Pamiętam tylko, że dostawałyśmy w więzieniu centralnym paczki.

Natomiast później w Mińsku wypisywano w sklepiku wyżej wspomniane artykuły regularnie, bo stale były jakieś więźniarki posiadające pieniądze. Nawet ja raz dostałam 20 rubli, co miało być sprawdzenie gdzie się znajduje.

Rodziny wysyłały po 20 rubli do kilku więzień i skąd pieniądze nie wróciły tam znajdowała się poszukiwana osoba. To był najprostszy i chyba jedyny sposób uzyskania informacji.

Zasadniczo nikt - poza kryminalistami - z więzienia nie wychodził. Powiadomienie więc o miejscu w ten sposób było raczej niemożliwe. Listów też pisać nie było nam wolno. Na zapytanie rodziny o los więźnia nie odpowiadano. Pieniądze jednak gdy nie zostały doręczono zawsze wracały do nadawcy, co oznaczało, że tego więźnia w tym więzieniu nie ma. Ciekawe, że chyba nigdy nie ginęły, pomimo że nawet paczki dla więźniów były okradane. Cud nie do wytłumaczenia. Drugi taki fenomen w Związku Radzieckim, ale już obecny, to śmietana. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć dlaczego w kraju, gdzie na każdym kroku robi się prywatne interesy, nikt nie wpadł na pomysł dolania do śmietany wody czy mleka. Kiedyś, gdy jechałam przez Moskwę z większą liczbą bagażu, bagażowy zaproponował mi kupienie całego bloczka kwitów bagażowych za pół ceny. Bloczek miał 100 kwitów, a ja miałam tylko 15 sztuk bagażu. Bagażowemu nie mogło się pomieścić w głowie dlaczego ja nie chcę skorzystać z tak wspaniałej

oferty. U nich nawet na kwitach bagażowych można zrobić interes. Opowiadano mi też, że ktoś będący w delegacji służbowej dostawał rachunek hotelowy za pokój jednoosobowy, spał na poddaszu w jakimś pokoiku służbowym, a pieniądze według rachunku przepijał razem z kierownikiem hotelu.

Inny przykład też autentyczny. Student w Gruzji zatrudniał się w jakimś przedsiębiorstwie za 120 rubli miesięcznie. Każdego pierwszego zgłaszał się w przedsiębiorstwie otrzymywał 20 rubli, podpisywał listę na 120 rubli i nie interesował się wcale co się z pozostałymi 100 rublami dzieje. Wzamian za to miał dowód zatrudnienia i mógł wozić z Gruzji do Moskwy dywany, a w relacji powrotnej koszule nylonowe itp. To były lata sześćdziesiąte. I w kraju takich stosunków śmieszna jest wspianiała niefałszowana. Czy to nie cud???

Ale to już dzisiejsze refleksje. Wtedy w celi jeszcze o tym wszystkim nie wiedziałam.

" Znow Iwańkow zajął się moim śledztwem. Zaczęły się te same rugania /wymyślania/ i awantury co przedtem. Narazie moja należność do organizacji zeszła na plan drugi. Teraz zaczął mnie zapewniać, że Sław należał do organizacji. Ja zaś twierdziłam, że to jest nieprawdą, że za niego ręczę. I znow deszło do tego, że obiecano mi "oczną stawkę" s mużom /konfrontację z mężem/. Wcale się tym nie przejęłam i nie zmieniłam swego zdania. Było to znow w początkach lipca. Pamiętam wróciłam ze śledztwa nad ranem. Przespałam się ze 2-3-godziny. Wstałyśmy i właśnie umyłam jedną nogę i miałam zamiar umyć drugą, gdy "Pobudka" - nasz ulubiony dyżurny-dozorca zawiadomił mię, że mój śledowatiel["] umiera z tęsknoty i pragnie mnie zobaczyć. Trudno się mówi. "Na miłość nie ma rady" Żeby nie ranić jego serca decyduję się pójść. Za moje dobre serce mam nagrodę - konfrontację ze Sławem.

Tu muszę wyjaśnić, że mycie nóg nie było wcale sprawą prostą. Rano dostawałyśmy po litrze płynu, który nie był ani wodą, ani kawą, ani herbatą, ale nazywał się "czaj" /herbata/. Płyn ten służył nam do picia, mycia się i prania. W tej sytuacji - w dodatku przy braku ręcznika, bo miałam wtedy ciągle jeszcze tylko dwie chusteczki do nosa - mycie nóg było czynnością bardzo skomplikowaną. Nie pamiętam czy przy tej właśnie okazji miałam jakiś mikroskopijny kawałek mydła, czy też musiałam się obyć tylko "czajem". Jedna chusteczka w każdym razie służyła mi za myjkę, a druga za ręcznik, co przy ograniczonej ilości "czaju", sprawiało, że mycie nóg było celebrowaniem, a nie zwykłą czynnością higieniczną. Kto tego nie przeżył nigdy tego zrozumieć nie potrafi. Naturalnie po umyciu nóg chusteczki musiały być wyprane, żeby następnego dnia znów służyć za myjkę i ręcznik do twarzy i rąk. A to jeszcze bardziej komplikowało ten prosty z pozoru zabieg, biorąc pod uwagę ograniczoną ilość "czaju".

Ale przejdźmy już do Iwańkowa i śledztwa.

"Gdy przyszedliśmy do gabinetu przez kilka chwil namawiał mnie do cofnięcia moich twierdzeń, ale ja byłam twarda jak gład.

Nie ustąpiłam ani trochę. Więc Iwańkow zostawił mnie w gabinecie z jakimś "Jaszą", który wszedł w międzyczasie, a sam poszedł po Sława.

Czekałam na niego z biciem serca. To miało być nasze pierwsze widzenie się od czasu aresztowania. Spojrzałam na niego gdy wszedł i lekko się uśmiechnęłam, ale uśmiech zamarł mi na ustach. Sław wyglądał okropnie. Włosy miał zgębne, obrosnięty, wychudły, policzki zapadnięte, ubranie poplamione, pantofle bez sznurowadeł, czarny worek z machorką w kieszeni. Ale nade wszystko zdziwił mnie jego zmęczony pełen jakiegoś bólu i głuchej rezygnacji wzrok. Serce ścisnęło mi się bólem. Człowiek ukochany nade wszystko tak wygląda i to ja jestem temu

winna. Nie!!! To los winien. Ja zrobiłam tylko to, coby każda Polka na moim miejscu zrobiła.

Zaczyna się "dopros" /przesłuchanie/:

- Kiedy poznaliśmy się, gdzie, w jakich okolicznościach?

- Czy mieliśmy zamiar się pobrać?

- Czy się kochamy itp.?

Odpowiedź - nawet tak - wydaje mi się profanacją naszych uczuć.

Jednym słowem, pytania, które słyszałam już tyle, tyle razy.

Odpowiada najwpierw Sław, potem ja. Odpowiedzi nasze są zgodne, bo prawdziwe. POCO to wszystko? Dlaczego wtrącają się do naszych spraw osobistych? Czemu wydzierają nam tajemnicę naszego szczęścia?

Przed oczyma przesuwa mi się w tej chwili nasze poznanie... Wygoda /miejscowość/ - kurs szybowcowy, potem korespondencja. Wreszcie wojna. Jego wizyty umnie. I w końcu najszczęśliwsze chwile - chwile pracy w organizacji. Czemu to wszystko musi być wyciągnięte na światło dzienne przez wrogów?"

Gdybym przeczytała "Archipelag Gułag" przed pisaniem tego pamiętnika nie postawiłabym takich pytań, bo wiedziałabym doskonale, że o to właśnie chodziło im aby załamać nas psychicznie. Była to jedna z tortur psychicznych. Ale ja w swojej młodzieńczej naiwności o tym nie wiedziałam, mimo, że do tego co mówili miałam o wiele mniej zaufania niż ludzie dorośli i doświadczeni. Naturalnie było to zasługą tego, że już w dzieciństwie zapoznałam się z czerwonym katem Dzierżyńskim. Ja, smarkula byłam bardziej odporna na tortury psychiczne niż wiele osób dojrzałych i niż wszyscy mężczyźni z małymi wyjątkami.

"Teraz pytanie skierowane do Sława ma taki mniej więcej sens:

- Od kiedy należy do organizacji, jak się do niej dostał przez kogo itp.?

Sław odpowiada:

- Wstąpiłem do organizacji w końcu marca bez niczyjego pośrednictwa.

Po prostu znał Lolka jeszcze z Wilna ze szkoły.

Na pytanie czy ja o tym wiedziałam odpowiada - Nie!

A potem kończy po polsku:

- Jane, dlaczego się upierasz przy swoim, przecież ja należałem?

- Ja niczego nie znała. Oczeń mnie nieprzyjato. Ja nic nie wiedziałam. Mnie jest bardzo przykro. - to moja odpowiedź po rosyjsku, a więc nieprzyjemna dla Sława.

Tak się kończy moja pierwsza "oczna stawka" ze Sławem. Skutek jej jest dla nich pozytywny, bo przekonali mnie, że Sław należał do organizacji.

Jeżeli chodzi o mnie to Sław powiedział:

- Nigdy na temat organizacji nie rozmawialiśmy."

Ciekawe, że kiedy czytam w książkach o konfrontacjach, to wszędzie jest to wydarzenie bardzo nieprzyjemne, rodzaj tortury. Dla mnie wszystkie konfrontacje, jeżeli nie były przyjemnością - jak te ze Sławem kiedy byłam szczęśliwa, że mogę go zobaczyć przynajmniej przy tej okazji - to co najwyżej były obojętne. Byłam uparta jak koza i nikt ani nic nie mogło mego zdania zmienić. Żadna konfrontacja nie mogła mnie złamać. Każde kłamstwo wobec nich było moim obowiązkiem i w moich własnych oczach stawiało mnie wyżej od tych, którzy mówili im prawdę. Taką prawdę traktowałam jak donosicielstwo.

" →
W związku z tym, że śledczy w chwilach największej złości nazywał mnie "Madonna Rafaela", co miało być szczytową obelgą gorszą niż np. prostytutka, pragnę przytoczyć jak on to rozumiał.

Kiedys zapytał mnie:

- Znajetie wy czto eto takoje Madonna Rafaela? Czy wiecie co to takiego Madonna Rafaela?

- Wsie kulturnyje ludi eto znajut, no ja nie znaju czto eto po waszemu? Wszyscy kulturalni ludzie to wiedzą, ale ja nie wiem co to

znaczy po waszemu?

- No, czto eto po waszemu? No, a co to po waszemu? zapytał dalej.

- Eta takoj izwiestnoj portriet. To taki znany portret.

- Wot.Wot - podchwycił - Wy nie kak czelowiek, a kak potriet. Na was nie wiedno nikakowo czelowieczeskowo czustwia. - O!O! - podchwycił.- Wy nie jak człowiek, a jak portret. Na was nie widać żadnych ludzkich uczuć.

I tak zostałam Madonną Rafaela."

Teraz już zajęto się moją przynależnością do organizacji. Dostarczano mi najromatitszych dowodów, ale ja byłam zimna jak gład lub jak to lubił określać śledczy - jak Madonna Rafaela, co miało być największą obrazą. Nazywał mnie tak kiedy był na mnie najbardziej wściekły.

"Naczelnik zaś kiedy chciał mnie najbardziej dotknąć nazywał mnie hardaja Polka /dumna Polka/. Raz kiedyś odpowiedziałam mu na to:
- Spasiba za kompliment /dziękuję za komplement/.

Ale jeszcze muszę napisać jak poznałam naczelnika:

Pewnego razu mój śledowatiel /śledczy/ tak mnie rugał /wyzywał/ ruską łaciną w najwspanialszym wydaniu, że nie tylko zwiędły mi uszy i wykończył mnie psychicznie, bo włożył w to tyle energii, wysiłku i pomysłowości, że musiał pójść na śniadanie po całonocnym urzędowaniu. Na moje szczęście nigdy potem w życiu nie zetknęłam się z aż tak wyszukany słownictwem. Nawet nasze męty społeczne mu nie dorównały.

Zastąpił go wtedy jakiś kapitan czy major i zaczął prowadzić śledztwo. Mnie to znudziło i nie chciałam odpowiadać na te pytania, na które już odpowiedziałam nieskończoną liczbę razy.

Wtedy on mocno dotknięty w swojej ambicji zawodowej zawołał:

- Wy znajetie kto s wami razgowariwajet? Ja naczalnik sledczasti! - Czy wiecie kto z wami rozmawia? Jestem naczelnikiem Wydziału Śledczego.

« Oczeń mie prijatno. - Bardzo mi przyjemnie - to moja odpowiedź.

Następnego dnia spotkałam go na korytarzu, gdy szłam na śledztwo, ale nie uważałam za swój obowiązek kłaniać mu się. Po kilku minutach zjawił się w gabinecie i zwrócił się do mnie tymi słowami:

- Joanna Bronisławowna, znajecie wy czto eto takoje etykieta? Joanna Bronisławówna czy wy wiecie co to takiego etykieta? Czto nužno gawarit'zdrawstwujtie? Że trzeba mówić dzieńdobry? Poinformowałam go, że u nas gdy ktoś wchodzi do pokoju to mówi dzieńdobry, a inni mu odpowiadają. Zaś przy spotkaniu na przykład na korytarzu mężczyźni kłaniali się kobietom. Jeżeli u nich jest inaczej i kobiety muszą się kłaniać mężczyznom, to ja postaram się do tego dostosować. I odtąd kłaniałam się wszystkim - nawet "uborszczycy" /sprzątacze/. Iwańkow widział, że sobie z nich kpię, ale nie mógł na to nic poradzić oprócz wściekania się, bo słyszał lekcję etykiety."

Tu muszę jeszcze raz podkreślić, że forma zwrotna Joanna Bronisławowna była stosowana do osób wyżej stojących, szanowanych. Tak na przykład służba domu zwracała się do pani domu per Maria Iwanowna, ale pani domu mówiła do służby: Nastka, Pietia Marusia itp. Dowiedziałam się o tym całkiem przypadkiem, kiedy jakaś Rosjanka powiedziała mi, że zwracają się do niej zawsze tak ładnie : Emilia Iwanowna. Ja nie widziałam w tym nic ładnego, więc poprosiłam o wyjaśnienie. Czytałam w więzieniu wiele książek rosyjskich, ale nigdy mi nie wpadło do głowy, że taka jest różnica. Nie pamiętam jak się zwracali do Sławka, ale do Maćka mówili per ty.

"Innym znów razem - pamiętam był wieczór - Iwańkow wziął mnie na "dopros"/przesłuchanie/ zaraz po kolacji. Gdy weszłam do gabinetu ujrzałam 12 „śledowatieli” z naczelnikiem na czele.

Wszyscy patrzyli na mnie z ironicznym uśmieszkiem. Widocznie byli dobrze poinformowani o przebiegu dzisiejszego śledztwa. Po wstępnych pytaniach naczelnik, - bo on miał prowadzić dzisiejszy "dopros" zapytał mnie czy Sław był moim mężem.

- Nie! - odpowiedziałam.

Wtedy on zaczął wmawiać we mnie, że napewno tak, jeżeli nie de nomine to de facto. Ja stanowczo twierdziłam, że był tylko moim narzeczonym. Wówczas naczelnik rzucił mi pytanie: czy w ogóle nigdy do nikogo nie należałam. To pytanie oburzyło mnie. Powiedziałam, że nie należy ono do śledztwa i że nie jestem obowiązana na nie odpowiadać.

Wówczas rozwścieczony naczelnik trzasnął mię linią /polską/ po głowie, wrzeszcząc:

- Eto nie wasze dieło smotret^o czto prinadležit k sledstwiu.

Wydołżny tolko otwiczat^o - To nie wasza sprawa zwracać uwagę, co należy do śledztwa. Wy powinniście tylko odpowiadać.

Zacisnęłam zęby. Podniosłam hardo głowę w górę i odpowiedziałam twardo:

- Nie! /na zasadnicze pytanie/.

Naczelnik zarzucił mi kłamstwo i obiecał sprowadzić lekarza. Wszyscy śmiali się z mego zażenowania. Ja milczałam nie odpowiadając na rzucane pod moim adresem obelgi - i pod adresem wszystkich Polek.

Scenka ta była zaimprovizowana, żeby wyprowadzić mnie z równowagi. Nad ranem usłyszałam pytanie o organizację. Odpowiedź

- jak zwykle - brzmiała:-

- Niczewo nie znaju! Nic nie wiem!

Na pomysł ten wpadli prawdopodobnie dlatego, że kiedyś śledczy - zaraz na początku - zapytał mnie czy nie jestem zależna od Sława. Gdy udałam, że nie wiem o co chodzi sformułował to samo pytanie zupełnie jasno:

- Czy nie jestem "bieremienna /w ciąży/?

Ja naturalnie oburzyłam się:

- Czyż nie wiecie, że nie jestem mężatką?

On się wtedy zaśmiał i skomentował:

- U was biez wieńca nie lzia! U was bez ślubu nie można.

Stąd oni znali moje poglądy na tą sprawę i wiedzieli, że na tej strunie mogą zagrać. Ale nie udało im się. Doszli tylko do - dla mnie bardzo pożądanego wniosku - że jestem naiwnym dzieckiem.

Poza tym ciągle mnie pytali czy kocham Sława? Czy wyjdę za niego zamąż?

Ja odpowiadałam raz, że "tak", a drugi - że "nie".

Po prostu strasznie się wygłupiałam. Motywowałam to zawsze tym, że tak mi radziły kobiety w celi. Jednym słowem zwałałam wszystko na kobiety w celi. A "kobiety w celi" stały się pojęciem niemal abstrakcyjnym, bo zmieniały się codziennie - jak płynne złoto, więc oni nawet gdyby najbardziej chcieli to by nie mogli dowiedzieć się kto mię tak podkształca.

Pytali mię też co robimy w celi. Opowiedziałam im o naszych przedstawieniach, o książkach, o bajkach opowiadanych kolejno, a duszą wszystkich imprez byłam ja. Powiedziałam im, że Polki nigdy nie płaczą. My potrafimy wszystko znieść. Polacy przywykli do cierpień przez wieki całe.

Od tego czasu śledczy bardzo często zaglądał do naszej "wizyterki"/judasza/. Kiedyś trafił również na przedstawienie "Romeo i Julia" w wykonaniu Kazi Siwiec i moim. W celi było nam naprawdę wesoło. Uczyłam się nawet litewskiego i znam piosenkę o błękitnych oczach, które kocham nad życie:

- O kurgie słabstos miekswoz okiales, kuras biegało asz milu.

Bie ju remibies nirman pasaule. Am žyniej skousmej reikskientit
W przekładzie na polski brzmi to mniej więcej tak:

" Gdzieżeście się skryły błękitne oczy, które kocham na wieki. Bez was nie ma szczęścia na świecie. Trzeba tęsknić i martwić się na wieki.

Nauczyłam się również dwóch piosenek więziennych:

Niechby nadszedł już raz najszczęśliwszy ten czas

Kiedy staniem nareszcie do czynu!

Niechby świat spłonął wkrąg, by z uchwytu mych rąk

Wydzedł wreszcie zły błysk karabinu.

Refren: Nam wszystko nic, nasze życie już skończone
Nam wszystko jedno nigdzie nic nie czeka nas.
Wszystko, co było sercu drogie utracone.
A szczęściem dla nas tylko zemsty czas.

Nam nie straszne już nic. Łzy nie wydrze nam z lic

Żaden cios, ani żadna cholera.

Na cóż przyjdzie nam żal. Serce twardnie na stał,

Kiedy żołdat nam dzieci zabiera / żołdat - sowiecki żołnierz

Refren: ...

Kiedys przyjdzie ten czas, że staniemy na bój.

Nie ulękiesz się ty ani ja.

Nam nie straszna jest śmierć, mam nie straszny jest znój.

Nam nie straszna już jest dola zła.

Refren."

O ile sobie dobrze przypominam piosenka ta była wynikiem współpracy wielu z nas i powstała już po zakończeniu mego śledztwa, gdy byłam już w więzieniu centralnym w Wiśniczu.

Natomiast druga piosenka została ułożona i skomponowana do niej melodia przez bydgoską aktorkę panią Jadwigę Domańską, która ostatecznie trafiła dło Kanaady. Do Polski przyjechała raz w latach siedemdziesiątych, ale wtedy już z jej pamięcią nie było nadzwyczajnie; nie wiele pamiętała i kojarzyła. Wpadła uciekając przed Niemcami do Wilna i poznała sowieckie obozy pracy. Piosenka dotyczy właśnie więźniów złapanych na granicy. Aresztowywano wszystkich

obojętne, w którym szli kierunku to znaczy czy do Sowietów, czy od nich uciekali, niezależnie od pochodzenia społecznego.

"Na granicy śnieżysta zawieja.

My przez zasy, przez śniegi wciąż brniemy.

Serca biją, a w sercach nadzieja

Miniem słupy - do Wilna dojdziemy.

Żegnaj Wilno i żegnaj nadziejo!

"Stoj" - zawoła bajec pogranicza /bajec - żołnierz sowiecki

Wnet się nasze marzenia rozwieją

W tiumie w Lidzie lub w Baranowiczach. /tiuma - więzieni

Minął luty i marzec i kwiecień.

Już i maj się kwiatami przybierze.

Coraz piękniej zieleniej na świecie,

Coraz smutniej w ponurej kamerze /kamiera - cela/

Nie chcę od was pencaku, fasoli.

Nie chcę od was ni chleba ni wody.

Wolę zapach łąk, lasów i roli.

Wolę smak znowu poczuć swobody.

Wygnań z serca cień smutku i żalu.

Patrzaj: niebo tam lśni za kratami.

W ciemnej tiumie, czy gdzieś na Uralu

Wszędzie Bóg będzie czuwał na nami.

I sen jeden się wszystkim śni nocą:

Swoja ręka nam rygle otwiera

Nie ulęknie się serce przemocy.

Nie zapomni o swoich Generał.

Do ciekawszych rozrywek w więzieniu NKWD należały rozmowy z innymi celami. W czerwcu w celi Nr.3 obok nas siedział niejaki Henryk Bojaruk z Białegostoku. Jako zawód podał mi :artysta-malarz. Siedzi za szpiegostwo czyli z art.68. Biedak jest miłośnikiem przyrody. Chodził po nowogródzczyźnie podziwiając krajobrazy,

a NKWD zamknęło go jako szpiega. Wsadzili go do ogólnej celi Nr.6, ale on nie chciał tam siedzieć, bo w celi były "zwierzątka" - czyli po prostu mówiąc wszy. Przeniesiono go więc do celi Nr.3. Spał tu na gazecie i przykrywał się gazetą. A my czytaliśmy te gazety, po przysyłał nam je przez dziurkę koło pieca. Przez kilka dni był z nim aresztowany "bajec" /żołnierz sowiecki/. Wówczas dostali po dwa puste sienniki.

Kiedy zabrano go w nocy na śledztwo, on powiedział, żeby mu dano wódki, albo żeby go puszczono do celi. Dostał wódkę. Nie kłamał, bo kiedy rano ze mną rozmawiał czuć było wódkę.

Ciekawe czy był trochę wariatem czy tylko udawał. On to wróżył mi z moich inicjałów. Codziennie rano wiał mię do dziurki i przez blisko godzinę rozmawiał. A kiedy byłem na śledztwie to się za mnie modlił, Tak przynajmniej twierdził. Raz zechciało mu się ujrzeć mnie i dlatego zaczął wiercić większą dziurę. W kilka dni potem przeniesiono go do ogólnej celi.

Zaczęły się w ubornej /WC/ pojawiać na ścianie czułe listy. Pisał bezczelnie dużymi literami, a dyżurni jakoś tego nie ścierali. Raz napisał całą epistołę zaczynającą się od słów: "Kochana Pani Juanna...", a kończącą się słowami - całuję Panią szczerze oddany". Bardzo się bałam, żeby Sław tego nie zobaczył. W drugiej ubornej /WC/ narysował na moją cześć kota. Potem nasza jednostronna korespondencja się urwała.

Ale tymczasem zdarzyło się coś łączącego się z naszym artystą, co nas bardzo poruszyło. Po nim było już kilka nowych osób w celi Nr.3. Było tam też kilka śledztw. Aż pewnego razu, a było to około godziny 11-tej ktoś zastukał do nas z tamtej strony. My odpowiedziałyśmy, a potem Maryśka krzyczy, żebym poszła do dziurki porozmawiać. Ja nie miałam na to jakoś chęci, ale zgodziłam się i zawołałam:

- Kto to?

Odpowiedziało mi:

- Ażło!

Wtedy ja powiedziałam:

- Proszę otworzyć dziurkę!

Ale ponieważ nikt nie śpieszył z wykonaniem mego polecenia, więc Marysia pobiegła po patyk z miotły, a ja przepchałam korek z chleba i zobaczyłam pasy, które nosili ich "komandiry" /dowódcy/. Poznałam odrazu i szepnęłam "Mara" /żona naczelnika tury - więzienia/. One śmiały się ze mnie, więc byłam oburzona i powiedziałam:

- Jeżeli nie "Mara", to polski oficer! Same gadajcie, ja nie będę. Tymczasem nie zauważyłam jednej rzeczy, że wizyterka była cały czas odsłonięta /wizyterka - judasz/ i dyżurny stał przy niej. Po paru sekundach otworzyły się drzwi, weszła "Mara" i powiedziała do Maryski siedzącej najbliżej drzwi:

- Wstańcie, dawajcie... - Wstańcie, chodźcie...

Zabrała Maryskę i niedługo potem kazała nam przejść na korytarz przy ubornej /WC/. Przedtem jeszcze pręt, który miała Buba, wrzuciłyśmy do paraszy /kibla/. Naradzamy się nad tym, co mamy powiedzieć. Oczywiście konsekwencje ponosimy: Marycha, Gena, Buba i ja. Reszta to... szkoda słów!

Wołają jedną z nas. Myślałyśmy, że na badanie. Idzie Buba. Po dziesięciu minutach odprowadzają ją do celi, która po rewizji wygląda okropnie. Porządkujemy i martwimy się o Maryskę. Ta wraca po pół godziny i odrazu śmiejąc się pada na posłanie. Okazało się, że "Mara" zabrała ją najwpierw na badanie. Naturalnie badanie ograniczyło się do pytań:

- Kto zrobił dziurę!?

- Czym?

- Czy często rozmawiałyśmy?

- Czemu stukaliśmy w ścianę?

- Kto przepchał dziurę?

Marysia odpowiedziała:

- Dziura była od zawsze! Kiedyś raz rozmawialiśmy. Nic ostrego nie mamy. Ona nie wie kto teraz przepychał dziurę.

"Mara" twierdziła, że to Maryśka przekłuła dziurę, a ponieważ ta nie przyznawała się, wsadziła ją do karceru, żeby się namyśliła i sama do niej zgłosiła. Maryśka szybko się zdecydowała, że lepiej się przyznać, bo wszystkie pozory świadczyły przeciwko niej, ale zgłaszać się nie chciała. Nie potrzebowała zresztą, bo "Mara" - skoro tylko załatwiła z nami rewizję - poszła do niej. Ponieważ Maryśka niezwłocznie się przyznała "Mara" zadowolona ze skutku jaki odniósł jej karcer z uśmiechem odprowadziła ją do celi.

Tak skończyła się nasza pierwsza grubsza awantura. Prawda, że z dużej chmury spadł mały deszcz.

Kiedy już tak zaczęłam pisać o rewizji, to muszę napisać i o drugiej. Właściwie to już nie pamiętam która była pierwsza. Ta, o której chcę napisać, miała być rewizją następującą zaraz po aresztowaniu, ale z niewiadomych przyczyn nie zrobiono mi jej do tego czasu. Na skutek rewizji "Mara" zabrała mi: zegarek, pierścionek- sygnet Szkoły Morskiej, którym pisałam wiele po ścianach jak ołówkiem, tyle, że napisy były trwalsze, spinki do włosów i wstążkę sodalicyjną oraz dwa paski skórkowe. Medalik sodalicyjny miałam już zaszyty w futerku. Zaszyła mi go Hanka. Rewizja ta była właśnie wtedy, kiedy po zupach na zgniłej rybie byłam chora na żołądek.

W okresie tym była u nas w celi jeszcze jedna rewizja, ale przebiegu jej i skutków dokładnie nie pamiętam. Przyczyna czy preteksty nie były do tego wcale potrzebne. Wiem tylko tyle, że "Mara" zabrała nam kawałek chemicznego ołówka /skarby więźniów/, który znalazłam w czasie sprzątnia.

Około 18 czerwca 1940r. Maryśce zakończono śledztwo z artykułu 72 - to jest agitacja kontrrewolucyjna - i zabrano ją do Centralnego więzienia 22 czerwca 1940r. W tym to czasie również ja dostałam od śledczego do podpisania akt oskarżenia z artykułu 68 to znaczy szpiegostwo, a niedługo potem z artykułu 120/22 to znaczy zamiar lub chęć przejścia granicy. Miałam podobno iść do Sikorskiego. Tylko Iwańkow nie wiedział do jakiego.

Jeszcze w końcu maja dostałam od jednej z pań - pani Ansilewskiej - ręcznik, więc już byłam bogata. Mamy w celi igłę szarżatkę - gruba igła do szycia worków itp. - i tą cerujemy sobie wszystko, a od czasu do czasu pierzemy bez mydła w kawie. Czasem udaje nam się ukraść w kuchni jakieś resztki mydła, bo oficjalnie nie dają nam go wcale."

O Boże jakże mi przykro, że dziś nic nie pamiętam o osobie, która była dla mnie tak dobra, że dała mi ręcznik, uwalniając mnie od konieczności posługiwania się dla celów higienicznych jedynie dwiema małymi chusteczkami. Ponieważ dała mi ręcznik oznacza to, że miała багаż, a więc chyba siedziała za usiłowanie przejścia lub przejście granicy. Ale nawet w moich wspomnieniach - pomimo najszczerzej chęci nie widzę jej twarzy. Musiała być starsza, bo zanotowałam jej nazwisko a nie imię. O dziewczętach w moim wieku pisałam po imieniu. Stosowałam to nawet wobec osódnieco starszych jak Maryśka, która miała wtedy 30 czy 33 lata. Nie pamiętam nawet skąd pochodziła pani Ansilewska, a przecież tyle jej zawdzięczam. Teraz ręcznik jest dla mnie - tak jak i dla wszystkich - zwykłym przedmiotem codziennego użytku, nawet nie nadający się na prezent, ale dla więźnia sowieckiego był prawdziwym skarbem - tym bardziej, jeżeli się go nie miało.

Tu muszę wyjaśnić, że sprzątanie ubikacji, korytarzy, kuchni czy kancelarii nie było karą, a przywilejem. Najbardziej atrakcyjne

były kuchnia i kancelaria, bo tam zawsze można było coś ukraść: a to kawałek gazety, która dostarczała wiadomości ze świata poza murami - chociaż przeważnie tylko dobrych i rzadko prawdziwych, a w dodatku niestety tylko ze świata sowieckiego. Zawsze jednak można było coś z tego wywnioskować, a ponadto zastępowała ona nam papier toaletowy. Ułamek mydła można było zdobyć przeważnie w kuchni, rzadziej w kancelarii. Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek zdobyły w kuchni coś do jedzenia. Ważny był też dostęp do wody. Można się było porządnie umyć, nie oszczędzając wody, a czasem nawet coś przeprać, jeżeli sprzątanie miało miejsce przy lepszych dyżurnych. Dziś bardzo trudno o tym pisać, bo są to rzeczy niezrozumiałe nawet dla więźniów, którzy teraz mają łóżka, prześcieradła, bieżącą wodę, WC, książki itp., a jeszcze się buntują. My spałyśmy na podłodze, po 20 w pojedynczych celach, a do picia, mycia się i prania miałyśmy litr brunatnego płynu otrzymywanego rano. Nasza bielizna miała bury kolor, nawet gdy była wyprana, a w więzieniu śledczym łaźni nie było wcale. Przez około 4 miesiące śledztwa okazji do kąpieli nie miałam ani razu, więc umycie się przy sprzątaniu było dla mnie wielką atrakcją. Inne kobiety były w lepszej sytuacji, bo ich śledztwo trwało krótko i wracały do więzienia centralnego w Wiśniczu. Wracając jednak do moich notatek o sprzątaniu pisałam dalej tak:

"To samo dzieje się z gazetami i innymi przedmiotami, które nam tylko wpadną pod rękę. Co na polu, to nieprzyjaciel. Szczególnie interesują nas gazety, bo z otaczającym światem nie mamy żadnego kontaktu i nawet ich gazety są cenne jako źródło informacji i jako ... papier toaletowy.

Najlepszym ze starszych dyżurnych jest "Trójkącik". On pozwala trzepać na dworze koce, to znaczy odetchnąć trochę świeżym powietrzem, bo "pregułek" /spacerów/ nie mamy tu wcale. Za to przy drzwiach dyżuruje z nim "Republika", który mnie nienawidzi i nazywa "polska pani". On to przyjął mię gdy przybyłam

z Lidy do Baranowicz".

Były to jeszcze czasy, kiedy w armii sowieckiej nie było stopni oficerskich i gwiazdek. Szarże oznakowywane były trójkącikami i kwadracikami, ale co one oznaczały nie pamiętam. Dla nas najważniejszymi byli dyżurny i starszy dyżurny, co chyba odpowiadałoby naszemu klucznikowi i starszemu klucznikowi. Oni - poza sędziami śledczymi - mogli nam najbardziej życie utrudnić lub ułatwić.

I trzeba przyznać, że byli wśród nich ludzie bardzo rozmaici.

" Modlimy się zawsze wspólnie. Przeważnie wieczorem odmawiamy różaniec. Poza tym chodzimy trzy razy dziennie na sprzątnięcie kuchni, korytarza i "ubornej" /WC/.

Kilka razy chodziłam sprzątać "uborną" /WC/ przy karcerze i rozmawiałam z tymi, co siedzieli w karcerze. Pamiętam, że podawałam im wiadomości polityczne. Przeważnie siedzieli tam więźniowie nie więźniarki, a ja jakoś trafiałam na więźniów z celi Nr. 5.

Po dość długiej przerwie spowodowanej skończeniem się tamtego notatnika - zdobytego w Mińsku w drodze do domu - i brakiem innego, postanowiłam teraz dalej spisywać swe wspomnienia dopóki są świeże, żeby nie uległy z czasem zapomnieniu."

Jeszcze po drodze, a potem natychmiast po powrocie do domu spisałam sobie na różnych luźnych kartkach chronologicznie daty godne zanotowania, żeby ich nie zapomnieć. Stąd co do dat dokładności nie mam najmniejszych wątpliwości i jeżeli byłyby sprzeczne z podawanymi przez inne osoby będę twierdziła, że moje są prawdziwe. Niestety przy nazwiskach pisałam najczęściej tylko jedną literę, żeby ewentualnie nie narazić tych osób na nieprzyjemności - delikatnie mówiąc. Poza tym byłam zbyt pewna mojej młodościowej pamięci i w najczarniejszych przypuszczeniach nie spodziewałam się, że będą one czekać aż... 50 lat na ujrzienie światła dziennego.

Zidentyfikowanie np. Heńka J. zajęło mi chyba ponad rok, a przecież był to mój bardzo bliski kolega z klasy. Dotarłam do niego o rok za późno, bo zmarł w 1989r. Na szczęście pozostało nas jeszcze trochę - głównie dziewcząt z gimnazjum - na Wybrzeżu i w Warszawie więc wspólnymi siłami koleżanki i kolegów udaje się zidentyfikować. Nie wiedziałam jaka to Stacha przyszła z Zochą do Lolka - według zeznań Maćką - ale Zosia przypomniała sobie, że to była Stacha Mikłaszewicz. Gorzej jest w przypadku osób, które poznałam w więzieniu i których nigdy potem nie spotkałam.

"Chcę teraz napisać o mojej drugiej "ocznej stawce" /konfrontacji/ ze Sławem. Historia jej jest taka: w trzy tygodnie po przybyciu do Baranowicz Sław napisał do mnie w "ubornej" /WC/ "Jane, jestem 11". Od tej chwili podczas "uborki" /sprzątania/ pukałam do drzwi celi Nr. 11, Sław podchodził i rozmawialiśmy. Sielanka ta trwała do początków lipca. Pamiętam był wieczór 20 czerwca. Dżurował wówczas "Respublika" /ten, który mnie nie lubił i nazywał polską panią/ i "Trójkącik" /ten, co mię właśnie nie lubił/. Na sprzątanie poszliśmy Genka Kawnetis i ja. Sprzątnęliśmy kuchnię i wyszliśmy na korytarz. Już zamoczyliśmy korytarz i ja zastukałam do Sława, kiedy Gena, chcąc mi się przyśłużyć i nie wiedząc, że "Respublika" stoi za nami, powiedziała:

- wytrzymaj koło spluwaczek /miało to oznaczyć, że mam już rozmawiać/.

"Respublice" wydało się to podejrzane, gdyż spluwaczka stała pod drzwiami celi Nr.11, więc zajrzał do celi i zobaczył Sława stojącego przy drzwiach.

Jak się potem dowiedziałam Sław dostał za to porządnie i siedział w karcerze. Dla mnie skończyło się to narazie odesłaniem do celi i jeszcze większą nienawiścią "Respubliki". O pójściu

przy nim na sprzątanie nie mogło już być więcej mowy. Natomiast "Trójkącik" lubił mię nadal.

Raz omal nie zadzwoniłam do rodziców Sława. Często zostawiał w kancelarii na stole gazety, które ja naturalnie czytałam. Prosił, żebym mu układała z kwiatów bukiety dla jego "panienki". Kiedyś przy takiej okazji rozmówiłam się z szoferem i dowiedziałam się ciekawych wiadomości z miasta. "Trójkącik" był zresztą dla nas wszystkich bardzo dobry. Pozwalał trzepać koce na dworze, co przy kompletnym braku świeżego powietrza było szaloną atrakcją. A raz nawet ... dał nam do celi mydło. W ogóle starał się - w miarę swoich możliwości - załatwiać przytywnie wszystkie nasze prośby. Trzeba wiedzieć, że w więzieniu NKWD w Baranowiczach nie było łaźni. Bieliznę musiałyśmy prać same w "kawie", a mydła nie miałyśmy ... tyle tylko, co udało się ukraść na sprzątanu i to do wspólnego użytku.

No, a teraz co do tej "ocznej stawki" /konfrontacji/. Było to około 15 lipca - zresztą dokładnie nie pamiętam. Był wieczór. Sledztwo i - teraz już dobrze mi znany - naczelnik. I nagle z mroków nocy, z kątów słabo oświetlonego gabinetu, jak z odmętów wzburzonego morza wyciągają się ku mnie macki hydry - nowe potworne pytanie:

- Zaczem wy pierepisujecie i pieregawariwajecie z mężom?

Dlaczego korespondujecie i rozmawiacie z mężem?

Przeczę. Cofam się na pozycje obronne, gdzie działa zastępują dwa słowa:

- Niet. Nie znaju!

Ale przypominam sobie, że oni nie znają szczerości, że z nimi trzeba walczyć tylko podstępem. Przypomina mi się zajście z "Liskiem" /jeden z dyżurnych/. Wziął mnie on kiedyś na sprzątanie tej nieczynnej "ubornej" /WC/koło karceru. W karcerze był mężczyzna z celi Nr. 5. Podałam mu wszelkie posiadane wiadomości

które akurat wtedy były pomyslnie. Współtowarzysz niedoli był uszczęśliwiony. Kiedy "Lisek" zapytał mnie czy rozmawiałam, odpowiedziałam:

- Tak!

- A treść rozmowy?

- Dzieńdobry. Niech się pan nie martwi.

- To wszystko?

- Tak!

Ta rozmowa uszła mi więc płazem, a co więcej "Lisek" nabrał do mnie tyle zaufania, że tylko mnie brał do sprzątanie tej "ubornej" /WC/ - pod warunkiem, że nie będę rozmawiała. Ja - naturalnie - zawsze rozmawiałam ...

Dlatego też i teraz odpowiedziałam w końcu:

- Tak! Napisałam: Sław, gdzie ty?

Ale odpowiedzi nie miałam i dlatego nie wiedziałam gdzie on jest.

- Dlaczego to robicie? - następne pytanie.

- Jakto dlaczego? Przecież jest moim narzeczonym.

- Dlaczego więc nie zapytaliście Iwańkova?

- Bo wiedziałam, że nie powie. Czyż to nie proste?

- Hardaja Polka - kończy naczelnik dialog i obiecuje na jutro "oczną stawkę" /konfrontację/.

Jeszcze przedtem dowiaduje się ode mnie, że ja Sława nie kocham. POCO to powiedziałam - nie wiem. Chyba poto, żeby potem więcej cierpieć."

Patrz "Archipelag Gułag" Sołżenicyna punkt 9.

" Był ranek. Słońce skryło się za chmury. W celi smutno i szaro. Nagle otwierają się drzwi i - wyjątkowo o tej porze - wzywają mnie na śledztwo. Jak zwykle pytają mnie czy się nie przyznam do korespondencji i rozmów pod drzwiami. Znużona odpowiadam im, nie mam nic ciekawego do powiedzenia. Za to grożą mi:

- Dadim wam "ocznuju stawku" s mužom! Skonfrontujemy was z mężem!

I znów moje krótkie:

- Pożalujsta! - Proszę!"

Nie rozumieli, że dla mnie wszystkie ze Sławkiem konfrontacje to nie kara, a największa nagroda. Za cenę konfrontacji zgodziłabym się nawet pójść do karceru: być głodną, marznąć za cenę zobaczenia go, a treść konfrontacji nie była dla mnie zupełnie istotna. Tego nie brał pod uwagę nawet Sołżenicyn - znawca duszy więźnia - nie tylko sędziowie śledczy.

"Iwańkow wypisuje kwit i wychodzi. Naczalnik¹ prawi mi kazanie na temat mojej głupoty z powodu nie przyznawania się do przynależności do organizacji. Przecież Sław mnie nie kochał. Udawał miłość, tak jak Lolek szacunek. Obaj oszukiwali mnie, bo im było potrzebne moje mieszkanie itp.

Słucham tego dość obojętnie, bo wiem swoje.

Jeśli chodzi o ścisłość to rzeczywiście jestem zła na Sława i wmawiam w siebie, że go nie Kocham. Uważam, że są dostateczne powody, aby mię zwolnić z przysięgi. Myślę bowiem, że to wszystko o Iri, Staszku i w ogóle o tym, co ja robiłam mówi im Sław...

Wchodzą. Patrzą na Sława z góry. Wstępne pytania jak zawsze.

Na pytanie czy się Kochamy, Sław odpowiada :Tak!, a ja:" Nie".

Ale zaledwie to powiedziałam zaraz pożałowałam widząc jak wielkie wrażenie to na nim wywarło. Niestety na cofnięcie powiedzianego było już za późno."

To był następny sołżenicynowski "kamień" rzucony w afekcie, bez zastanowienia. Ale ten "Kamień" ja sama odpokutowałam chyba najbardziej. Czy moje zasady nie przeszły czasem w pychę i egzaltację? Chciałam wszystkim narzucić moją odporność na sowieckie metody, ale nigdy nie zastanawiałam się czy ich na to stać, bo nie wszyscy mieli "kuchenne przeszkolenie" w dzieciństwie.

żałam do organizacji. Wniosek ten miał zakończyć "oczną stawkę" /konfrontację/, więc naczelnik odwrócił się do „śledowatiela” /śledczego/ i zaczął coś szeptać. Wówczas ja powiedziałam szybko do Sława:

- Zapomniałeś, że jesteś Polakiem, że istnieje honor!

Muszę zaznaczyć, iż wydawało mi się, że mam ku temu dostateczne powody. Zaledwie skończyłam naczelnik zwrócił się do nas z dobrze znanym pytaniem:

- Czy nie macie nic więcej do powiedzenia?

Zazwyczaj odpowiada się na to:

- Nic!

Tak też ja zrobiłam i tym razem, ale Sław miał coś do powiedzenia i poprosił o pozwolenie mówienia po polsku. Oni się jednak nie zgodzili twierdząc, że ja "prekrasno" /wspaniale/ rozumiem po rosyjsku. To, co usłyszeliśmy było dla mnie, a tym bardziej dla naczelnika gromem z jasnego nieba:

- Nie myśl, że ja to sam z własnej woli wymyśliłem - zwrócił się do mnie Sław po rosyjsku. - Oni mi to wszystko powiedzieli i zmusili do potwierdzenia. A jakie sposoby mają - chyba wiesz?!
Ale to wszystko nieprawda.

W tej chwili wybuchnęłam śmiechem:

- A co kto kłamie - ja czy wy?

Iwańkow wściekły co prędzej wyprowadził Sława. Za to wystąpienie Sław dostał raz jeszcze i znów siedział 5 sutek /dób/ w karczerze. Mnie zaś "naczelnik" kazał milczeć i podpisać zeznania. Sław też podpisał je przed wyjściem...

Od tego czasu kiedy mi zarzucano kłamstwo mówiłam:

- A kto wtedy kłamał - ja czy wy?

I znów - jak Tezeusz - błąkałam się w labiryncie pytań, a nicią przewodnią był dla mnie tylko honor Polki. Wiem tylko jedno, że mu-

szę tak postępować, abym w końcu mogła śmiało powiedzieć: postąpiłam jak Polka...

Nie pamiętam czy już pisałam, że podano mi do wiadomości, że jestem oskarżona z artykułu 68 /szpiegostwo/, a potem z artykułu 120/22 /chęć przejścia granicy/...

2 lipca poznałam Izę Świętochowską, córkę inżyniera z Baranowicz. Mamy wiele wspólnych znajomych. W tym też okresie przyjechały do nas Gienia Bieńko i Kazia Siwiec z Nowej Wilejki. Zaś 22 lipca odjechała do Wiśnicza /więzienie centralne/ Gienia Kawnetis. Marycha Jurewicz odjechała już 22 czerwca. Dziwna jest ta Marycha. Nauczycielka z powołania. Istota nadzwyczaj dobra. Wszyscy mogą ją wykorzystać. Siedzi za to, że napisała do znajomego w Wilnie, iż tutejsza atmosfera ją przygniata /tutejsza to znaczy na terenach zajętych przez Sowiety/, że rwie się do czynu, że chciałaby pracować...

Listy przy cenzurze wpadły w ręce NKWD i Marysia dostała artykuł 72 /agitacja kontrrewolucyjna/...

Gienia Bieńko, Kazia Siwiec i Iza Świętochowska mają tylko przejście przez granicę czyli artykuł 120 /najłżejszy z niekryminalnych/. 11 lipca przyszła do nas Rosjanka Maryna, podejrzana o szpiegostwo na rzecz Niemiec. My jednak nie mamy do niej zaufania i boimy się jej, bo może donosi."

Jak to jest możliwe, że pani Ansilewskiej absolutnie nie pamiętam, a Marynę pamiętam doskonale. Może dlatego, że była nie wiele starsza ode mnie. Przypominam sobie, że ciągle opowiadała nam o swoim "narzeczonym" i jego żonie, co nas szokowało, gdyż nie tała przy tym wcale, że z nim żyje. Była też dumna z brata, który miał figurę w kształcie odwróconego trójkąta. Pochodziła zdaje się z Brześcią. Spiewała nam ciągle rosyjskie piosenki: Suliko i różne romanse.

"W parę dni po niej przyszła do nas Babcia Czarnocka. Zawsze podkreślała, że nie Czarnecka, a Czarnocka od czaru nocy. Miła staru-

szka, ale pobudzająca nas do złośliwości, a raczej dziecięcych psikusów. Babcia opowiadała nam, że była zawsze bardzo brzydka i tylko raz zdarzył się jej konkurent dowiedziawszy się o posagu. Gdy jednak ją zobaczył ułotnił się natychmiast rezygnując nawet z posagu. Babcia zawsze i wszędzie podkreślała, że jest dziewicą /również wobec personelu więziennego/.

Kiedy opowiadałyśmy sobie bajki lub książki babcia niejednokrotnie zapadała w drzemkę, ale gdy dochodziłyśmy do momentu, że "on ją pocałował" babcia się natychmiast zrywała i zawsze patała:
- że co, że jak?

Po odkryciu tej słabej strony babci my psotnicy siadałyśmy koło niej

gdy drzemała i bez wstępów mówiłyśmy: "i on ją pocałował", a babcia za każdym razem się zrywała. Miała lat 73, a aresztowano ją jako wyzyskiwacza krwiopijcę-ziemianina, bo mieszkała na łaskawym chlebie u brata ziemianina."

Dziś kiedy ja sama niedługo, bo za 5 lat będę w wieku babci wcale nie uważam, żebym była staruszką. A może pomyliłam wiek babci. Może ona miała wtedy jednak 80 lat? A może tylko moja młodość tak ją postarzała?

" Babcia darzyła mnie szczególnym sentymentem i nauczyła "Przepowiedni Wernyhory", która podtrzymywała nas na duchu w najcięższych chwilach. Babcię skazano na zesłanie na Sybir bez określenia czasu skazania. Pewnie liczyli, że nawet nie dojedzie, co było całkiem zrozumiałe, jeżeli się uwzględni warunki podróży i jej wiek.

Babcia w dzień przeważnie drzemała, ale w nocy kręciła w gazecie /kradzionej przeważnie przeze mnie w trakcie sprząwania/ papierosy na palec grubości i dymiła jak komin fabryczny. Była jednak nawet w tym tak urocza, że żadna z nas nie miała do niej pretensji. Gdy brakowało tytoniu paliła suche liście z brzoźowej miotły.

W tym mniej więcej czasie wybuchła u nas w celi pierwsza kłótnia. O co poszło? O mięso!!!

Zjawiła się u nas w celi niejaka pani Wanda i okazało się, że ja dla niej niesprawiedliwie dzielę ochłapy, bo to nie było mięso, a tylko ochłapy mięsne. Ja, jako stała pensjonariuszka tej celi pełniłam funkcje quasi starosty, jakby się to dziś określiło. Inne więźniarki zmieniały się bowiem co kilka dni, lub conajwyżej tygodni. Pani Wanda uważała się za poszkodowaną uważając, że dostaje mniej ochłapów niż inne itp. A tymczasem my powinniśmy ją szanować z powodów, które uważam za odpowiednie zachować dla siebie, żeby nie gorszyć pamiętnika".
Dziś już mogę wyjaśnić, że chodziło jej o troje urodzonych dzieci i o siedem skrobanek, czego ja absolutnie - nawet dziś - nie uważam za powód do dumy i szacunku.

"Zaproponowałam jej więc, aby od następnego razu ona dzieliła posiłki. Natomiast Kazia Siwiec powiedziała jej prosto w oczy co o niej myśli. .

W końcu lipca zostałam tylko z Geną i babcią w dość niemiłym towarzystwie. Prawie same Żydówki... Jest nas trzynaście: ja, babcia, Gena Bieńko, Maryna-Rosjanka, Zyta - uwielbiająca warszawski półświatek - i śpiewająca kryminalne piosenki: np. "O Czarnej Mańce" - a reszta to Żydówki... Dziś już żadnej z nich nie pamiętam.

Teraz ja nie chodzę na sprzątanie. Kiedy wracałam z "ocznej stawki" /konfrontacji/ ze Sławem przeczułam, że Iwańkow zabroni mi chodzić na sprzątanie, więc ja pierwsza powiedziałam w kancelarii:

- Dizurny, ja nie chocz'u bolsze chodit' na rabotu. Dyżurny, ja nie chcę więcej chodzić do pracy.

Iwańkow był wściekły, że go wyprzedziłam i że planowana kara wymknęła mu się z rąk. Dlatego też nie mogłam przeprosić Sława osobiście. Na moje bazgranie w "ubornej" /WC/ Sław nie odpowiadał. Maryna chodząc na sprzątanie mówiła - na moją prośbę - pod celą Nr. 11:

- Sław Joanna kłamała, ona Cię zawsze bardzo kocha!

Natomiast w celi dokuczały mi z tego powodu okropnie, ale wszystko znosiłam cierpliwie uważając, że naprawdę zasłużyłam na kpiny. W tym też również - mniej więcej - okresie przybyła nam w celi jeszcze jedna rozrywka: gra w karty...

29 lipca 1940r. przeniesiono nas do celi Nr.9. Warunki o wiele gorsze. Podłoga cementowa, a tam była drewniana. Prycza dla połowy pensjonariuszek, to znaczy dla 6 osób, ławka i spluwaczka /to już nowe zdobycze/. Okno miałyśmy w prawej ścianie od drzwi, ale osłonięte "baldachimem" z desek, żeby więźniowie nic nie mogli zobaczyć. Jedyną sympatyczną rzeczą a raczej momentem w tej celi były szpary w drzwiach, przez które widziałyśmy, co się dzieje w celi Nr.10 /naprzeciwko/. W pierwszych dniach sierpnia 1940r. odjechała Genia. Przedtem jeszcze ona i Marychna zdobyły w kuchni żyletkę.

Jeżeli chodzi o jedzenie, to jest ono od połowy lipca wprost niemożliwe. Dają zupę na zgniłej rybie rzecznej "tresce".

Pomyliłam się wtedy, bo "treska" to po polsku dorsz, a więc ryba morska. Nic więc dziwnego, że była zgniła czy zepsuta, bo musieli ją w upalne lato dowieźć z nad morza do Baranowicz, co przy ówczesnym funkcjonowaniu transportu musiało trwać conajmniej kilka, albo nawet kilkanaście dni.

"Na skutek tych posiłków zachorowałam na żołądek i przez dwa tygodnie nic nie jadłam, a potem jeszcze ograniczyłam się tylko do chleba i wody. Czasem tylko zjadałam nieco kartofli, jeżeli jakie były w zupie.

Zbliżał się 15 sierpnia 1940r. Modlimy się z Zytą o jakiś znak, że czuwa nad nami Boża Opieka. I rzeczywiście 15 sierpnia w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny dostajemy nareszcie zupę na "mięsie" z młodymi kartoflami. Mięso to są: płuca, wątroby, wymiona krowie, flaki i inne części zwierząt normalnie przez ludzi nie jadalne, a młodość ziemniaków w sierpniu jest też już problematyczna. Raz dowiedziałyśmy się - ale już po kilku dniach - że zupa była na mięsie z psów. Pomimo upływu kilku dni wiadomość tę odchorowałyśmy.

Jeżeli chodzi o moje obecne współżycie z celą to ogranicza się ono do rozdawania posiłków i wspólnej modlitwy. Resztę czasu wolnego od śledztwa spędzam albo na zabawie kartami - pasjanse - albo na szyciu czy też spaniu, dopóki dyżurny tego nie zobaczy, bo spanie w dzień jest surowo zabronione regulaminem więziennym - chociaż żadna z nas tego regulaminu nie widziała. Skład celi jest w tym okresie bardzo nieciekawym; jest jedna prostytutka, jedna akuszerka, a o moralności innych również nie chcę pisać, bo nie stoję wyżej od tamtych to jest od prostytutki i akuszerki trudniącej się nie przyjmowaniem dzieci, a ich przedwczesnym zabijaniem. Nic więc dziwnego, że od rozmów w celi uszy więdną. Przypominają mi niestety bardzo śledztwo, a więc są dla mnie prawdziwą torturą. Trzeba wziąć pod uwagę fakt, że do chwili aresztowania najgorszym przekleństwem, z jakim zetknęłam się było "cholera", a tu czułam się stale jakby mnie zanurzano w błocie lub obrzucano gnojem.

Noc z 16 na 17 sierpnia 1940r. spędzam na śledztwie, a 17 sierpnia w sobotę około godziny 11 wywołują mnie znów:

- Familia? Jak zwat*? Imia? ? Otczestwo?

I nic więcej.

Cela jest zaintrygowana, gdyż żadnej dotąd to się nie przydarzyło. Żadnej! - jak pamięcią sięga baranowickie NKWD.

Co to może być?!!!

Dopiero po powroci do domu dowiedziałam się, że wówczas przywożono mi paczkę. Było więc to po prostu sprawdzeniem czy rzeczywiście jestem w więzieniu... Paczki naturalnie nie pozwolili doręczyć, bo jeszcze śledztwo nie było zakończone.

19 sierpnia 1940r.. Poniedziałek. Rano. Zjawia się dyżurny i swoim zwyczajem pyta:

- Kto sdiēs na bukwu WE? Kto tu jest na literę WU?

Milczymy, więc pyta dalej:

- A Wienżik sdiēs jest*? A Wężyk tu jest?

Informujemy, że jego powinni szukać w męskich celach. To bywa dosyć często, że przychdzą do naszej celi szukać Sława i zawsze wtedy wiem, że idzie na śledztwo. Tym razem jednak chodziło o mnie. Dyżurni dość często nazywali mnie nazwiskiem Sława... Ubieram się więc. Wkładam ceglastą sukienkę Zyty /świeżo odprasowaną pod kocem/, jej seledynowa-białe rzymki na francuskim obcasie. Włosy też miałam świeżo nakręcone, więc nie wyglądałam wcale na więźniarkę. A to najbardziej złości Iwańkowa. On chciałby mnie zgnębić. Byłby chyba szczęśliwy gdybym przyszła brudna, zawszawiona /choć na brak tych zwierzątek nie możemy narzekać, ale toczymy z nimi żartą wojnę i - jak narazie - nie dajemy się/, wpodartych łachmanach i załamana psychicznie. Chciałby, żebym wyglądała jak żebraczka, a ja jemu na złość ciągle jestem "polska pani"

Złości go to, ale chyba też trochę imponuje, bo nigdy do mnie nie mówi per ty, a zawsze wy, chociaż do starszych kobiet ze wsi mówią ty. Taki ich socjalizm czy też komunizm.

Kiedyś Iwańkow zapytał mnie wprost jak to się dzieje, że moja sukienka się nie drze /wiedział dobrze, że mam tylko jedną/. Odpowiedziałam, że to żaden cud, bo polskie materiały to nie sowieckie, które rozpadają się po jednym praniu...

Teraz też - jak zawsze - obejrzał mnie od stóp do głów i rzekł:

- Czje eto płatie? Czyja to sukienka?

Odpowiedziałam lakonicznie:

- Podrugi! Koleżanki!

A uwagę, która nastąpiła potem

- Wy żywiotie kolektiwno? Wy żyjecie w kolektywie?

pomięłam wręcz milczeniem. Co go to obchodzi jak my żyjemy...

Po wstępnych - jak zwykle pytaniach - następuje pytanie istotne, które wisiało nade mną jak miecz Damoklesa:

- Znajetie wy Irinu Kleindienst? Czy znacie Irenę Kleindienst?

Szybko się jednak opanowałam i odpowiedziałam:

- Da znaju! Tak znam!

- Kak wy jejo znajetie? Jak wy ją znacie?

- Ja sniej uczyłaś do 1939 goda! Uczyłam się z nią do 1939 roku!

- A pośle? A potem?

- Pośle ja jeje nie widała! Potem jej nie widziałam!

- Kak wy wriotie! Jak wy kłamiecie!

- Ona że s wami rabotała w organizacji. Przecież ona z wami pracowała w organizacji!

- Niet! Nie!

- My jejo imiejem. Ona nam uże wsio razskazała. My wam dadim ocznuju stawkū. My ją mamy. Ona nam już wszystko opowiedziała. My was skonfrontujemy.

- Pożałujsta! Proszę! - to słowo, którym odpowiadam na każdą propozycję "ocznej stawki" - konfrontacji.

Zresztą tym razem miałam pewność, że mi jej nie dadzą, bo wiedziałam, że Iri nie mają. Jednak ^{Jwan'koh} zabrał się gorliwie do realizacji swej obietnicy. Wypisał kwit i pokazując mi go rzekł:

- No kak nadumaliś? Ja jejo priwiedu? Widitie wyzyw Irina Julijewna Kleindienst! No co namysłiliście się? Ja ją przyprowadzę. Widzicie wezwanie Irena Juliuszówna Kleindienst?

Wzruszyłam ramionami i nic więcej nie odpowiedziałem. Wyszedł."

Jak już pisałam "oczne stawki" nigdy nie były dla mnie przykre, bo uważałam nawet najbezcześniejsze kłamstwo wobec nich za swój obowiązek. Spotkanie z Iri tak jak i z Sławem byłoby dla mnie wręcz przyjemnością. Naturalnie cieszyłam się, że jej nie mają, ale gdyby mieli, to takie spotkanie pozwoliłoby nam na porozumienie się. Znałyśmy się tak dobrze, że wystarczyłoby nam jedno mrugnięcie, opuszczenie powiek czy lekki uśmiech, żeby sobie nawzajem wszystko przekazać. Rozumiałyśmy bez słów. Tym razem jednak byłam zupełnie pewna, że jej nie mają, bo dzięki chodzeniu na sprzątanie więzienie NKWD z jednym korytarzem, kilkunastu celami i kancelarią nie miało dla nas tajemnic - jak to zresztą z opisu wielu faktów w moim pamiętniku wynika. Spokój mój i pewność siebie były więc całkowicie usprawiedliwione.

" Ja zostałam z Jaszą, który chciał rozpocząć rozmowę na temat mego śledztwa, ale szybko ją przerwałam mówiąc:

- Kak chotitie znat, posmotritie, imiejetie dieło na stole! Ježe--

li chcecie wiedzieć, popatrzcie, macie akta sprawy na stole.

Jak na więźnia odpowiedź niezbyt uprzejma. Ale jakże mogłam być inna skoro wszystkie moje myśli były skoncentrowane na jednym pytaniu: mają Iri, czy nie mają?"

Mogła zaistnieć taka ewentualność, że przywieźli ją na konfrontację bezpośrednio po aresztowaniu w Lidzie, albo po przetrzymaniu kilka

dni w więzieniu centralnym w Wiśniczu, a żadna kobieta nie dojechała do nas w tym czasie.

"Kaźde kroki odbijały się stokrotnym echem w mej głowie. Nagle ktoś bierze za klamkę, otwiera drzwi i wchodzi ... Sław!
Oglądam się. Uśmiecham się i szepczę szybko:

- Kocham cię zawsze!

Moje szybko było jednak za wolno, bo Jasza dostrzegł mój uśmiech i rzekł:

- Nie ułybajcieś. Wy dumajecie czto za waszyje krasiwyyje głaža on sdiełajet wsio czeho wy zachoczecie. Możecie byt⁴w oszibkie!
Nie uśmiechajcie się. Wy myślicie, że za wasze piękne oczy on zrobi wszystko czego zachcecie. Możecie się mylić!

Po prostu zacisnęłam tylko zęby. Więcej nic...

Ale zaraz potem dochodzę do wniosku, że to Sław powiedział im o Iri i nagle jestem na niego wściekła. Ale tym razem pouczona jednym przypadkiem / w którym się zresztą myliłam, bo jak się potem ze śledztwa dowiedziałam, Sław im nic nie powiedział/ nie zareagowałam tak jakbym chciała. Wtedy to były ich domysły bezpodstawne, lecz przypadkowo trafne. Oni jednak na szczęście tego nie wiedzieli. Długo nie mogłam sobie darować, że ja się na taki haczyk dałam złapać. Przecież im właśnie chodziło jedynie o pokłócenie nas.

Po załatwieniu wszelkich formalności wstępnych następuje pytanie dla Sława:

- Wy rozkażicie pożałujsta kogda wy widali u Joanny Sofiju? Zdebiałam. Co to znaczy? Cały czas nudził mię, groził mi i straszyl z powodu Iri, a tu nagle Zofia. Ale która? I po co w takim razie"oczna stawka" /konfrontacja/?

Z tych rozmyślań wyrwał mię głos Sława:

- Było to w kwietniu. Siedzieliśmy w domu, gdy przyszła Zofia i

wiedziała, że są na stacji transporty wojenne i że Joanna ma to sprawdzić. O tym dowiedziałem się później. Narazie ona mi powiedziała, że musi iść do biura i wyszła.

Ja potwóirdziłam:

- Owszem była u mnie Zofia, ale wyszłam wówczas naprawdę do biura.
- Jakto przecież wyście mówili, że Zofii nie było w Lidzie - przewał mi Iwańkow.

- Ale o którą Zofię chodzi?

- O Zofię Bobrownicką - odpowiedział.

- A ja myślałam o Zofii Iwanowskiej /taka w ogóle nie istnieje/.

Sław stwierdził, że nikt nie zna Zofii Iwanowskiej.

Muszę wyjaśnić, że fakt opowiedziany przez Sława był prawdziwy, tylko, że była u mnie wówczas Zocha Zapaśnik i bardzo się bałam, żeby Sław nie wymienił jej nazwiska...

I to wszystko. Na tym polegała dzisiejsza "oczna stawka".

Myślę, że Iwańkow nie wiedząc jak sobie ze mną poradzić chciał być słowny w swoich pogroźkach i dać mi tę zapowiadaną "oczna stawkę", jeżeli nie z przyjaciółką - bo jej nie mieli - to przynajmniej z ukochanym. Jestem mu za to serdecznie wdzięczna.

Sław podpisał zeznania i wyszedł z Jaszą. Ja zostałam i Iwańkow rzekł do mnie ojcowskim tonem:

- Joanna Bronisławowna zaczem wy wriotie? - Joanna Bronisławówno dlaczego kłamiecie?

- Zaczem wy wsio tak putajetie ? Dlaczego wszystko tak płaczeccie? Następnie dowiedział się ode mnie w czyjej jestem sukni po raz drugi. Cieszę się, że tak ładnie wyglądałam na "ocznej stawce" ze Sławem.

Potem kazał mi podpisywać protokół, a było tego - jak zwykle - sporo. Już same wstępne pytania o dane personalne, potem skąd się znamy, czy się kochamy itp. zajęły wiele miejsca. Podpisywanie więc każdej strony trwało dość długo, a Iwańkow patrzył na mnie

z ironicznym uśmiechem i przez cały czas powtarzał w kółko po polsku: - narzeczona, - narzeczona...

Czy zwariował? Nie wiem!

Ale ten wesoły ton to chwilka. Zaraz potem mówi mi, że Staszek /mój młodszy brat/ jest naszym szpiegiem w parku V Pułku Lotniczego że znaleźli u mnie w domu broń. Rzeczywiście robili po moim aresztowaniu dwukrotnie rewizję z rozwalaniem pieców włącznie, ale nic nie znaleźli, bo mamusia już wcześniej broń wyniosła. Jeszcze raz przypomniał, że bywały u mnie w domu zebrania organizacji itp. Naturalnie w konsekwencji cała rodzina jest aresztowana.

Teraz to się tak łatwo pisze kiedy wiem, że wszyscy są zdrowi i że oskarżenia ich nie były niczym poparte i tylko moje przyznanie się mogło przyczynić się do aresztowania rodziny. "

Jak się teraz okazało nie byłam wtedy wcale taka głupia. Znow wracam do Sołżenicyna, który w zakresie sowieckich obozów i więzień jest dla mnie ekspertem. U niego znalazłam potwierdzenie faktu, że tylko moje przyznanie się spowodowałoby aresztowanie rodziny. Instynktownie brakiem zaufania do tego, co mówili uratowałam rodzinę. Trwestując rzymskie powiedzenie "timeo Danaos etiam dona ferentes", ja uznałam, że nie "wierzę im nawet kiedy przypadkiem mówią prawdę"

Brat Stanisław był przed wojną uczniem gimnazjum techniczno-lotniczego przy parku V Pułku Lotniczego w Lidzie. Z chwilą zajęcia Lidy przez wojska sowieckie szkołę zlikwidowano, a uczniowie - jeżeli chcieli - mogli pracować w parku. Z uwagi na to, że nasz ojciec zginął w pierwszym dniu wojny ja - jako najstarsza - i młodszy ode mnie o 3 lata brat Stanisław rozpoczęliśmy pracę zawodową.

Z pracy zawodowej brata pamiętam kilka ciekawych faktów:

- Kiedyś coś kreślił i szef Rosjanin powiedział mu, że zrobił to dobrze, tylko trzeba to "podczertit" /podkreślić/. Brat nie znał wtedy ani trochę rosyjskiego, a "czercić" skojarzyło mu się tylko z czartem,

który z rysunkiem nie miał nic wspólnego. Wpadł jednak na genialny pomysł: poszedł do innego Rosjanina i poprosił, żeby mu pomógł "podczercić", bo sam nie da rady. Rosjanin był zdumiony taką prośbą, ale wziął linijkę i podkreślił, chociaż pomoc w tak prostej sprawie wydawała mu się czymś nonsensownym.

- Od brata też wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się na czym polega wykonywanie planu i jaka jest różnica pomiędzy wykonaniem planu a uczciwą pracą. W parku nadal pracowali starzy dobrzy polscy fachowcy obok przybyłych pracowników rosyjskich. Okazało się, że Polacy nigdy nie wykonywali planu, a sowieccy plan przekraczali. Kiedyś więc młodzi chłopcy postawili sowieckiemu brygadziście wódkę i zapytali jak to się dzieje, że oni przekraczają plan, a doskonali starzy polscy fachowcy nie mogą go wykonać. Brygadzista przy wódce wyjaśnił, że na przykład jeżeli jest malowanie samolotu, to w karcie pracy pisze się: zdrapanie starej farby, umycie, wypolerowanie, zakonserwowanie, dwukrotne malowanie, a w rzeczywistości wykonuje się tylko po prostu... jednokrotne malowanie. Wszyscy są zadowoleni, bo plan jest przekroczony. Natomiast polscy fachowcy robili wszystko zgodnie z kartą pracy i nigdy nie mogli wykonać planu. Doszło do tego, że potem starym fachowcom stawiano za przykład młodych chłopców - którzy przejęli sowieckie metody pracy a którzy o dobrej pracy nie mieli najmniejszego pojęcia.

- Przy okazji chciałabym powiedzieć o jeszcze jednej językowej przygodzie brata. Zaraz po przyjeździe Sowietów poznaliśmy nowe słowo "oczered"/ogonek/ nie mające jeszcze wtedy odpowiednika w języku polskim. Ludzie stawali "w oczered" po wszystko, co "dawali". Przed wojną trzeba było kupować, a Sowietci zaczęli "dawać" /coprawda za pieniądze/, ale jeżeli dają to trzeba brać.

Otóż kiedyś brat zobaczył kolejkę, więc zapytał:

- Co tu dają?

Brat stał 2 godziny w kolejce, a kiedy doszedł wreszcie do lady zaproponowano mu ocet. Nie wziął go zły za zmarnowany - jego zdaniem - czas, a mamusia bardzo potrzebowała octu. Brat stając w kolejce myślał, że dają luksus, bo na jego pytanie ktoś odpowiedział po rosyjsku "uksus" /ocet/, a on zrozumiał "luksus", a więc czekolada lub inne słodycze.

Ale wracając do mego aresztowania i śledztwa to rzeczywiście w domu były dwie rewizje z rozwalaniem pieców i zrywaniem podłóg włącznie, ale nic nie znaleźli, bo pomimo wielkiego przerażenia mamusia jednak zrozumiała, co jej szepnęłam wychodząc i bardzo szybko - może nawet nazajutrz - przekazała mój pistolet komuś z organizacji. Spotkała się z kimś na cmentarzu przy grobie tatusia. Tak mi zaraz po moim powrocie opowiadała.

Nikt z rodziny nie został potem aresztowany, a wojna sowiecko-niemiecka ustrzegła ich przed wywiezieniem, bo wszystkie rodziny aresztowanych zostały wywiezione lub były na listach do wywozu.

"Wtedy na śledztwie było to jednak dla mnie okropne. Najgorsza jest bezsilność. Na szczęście wpojono mi wysokie poczucie obowiązku /poza rodziną zawdzięczam to moim wychowawcom profesorom Kalecińskiemu Józefowi, Majewskiemu Witoldowi, Jamiołkowskiemu Maciejowi, a przede wszystkim prefektowi z prawdziwego zdarzenia księdzu Piotrowi Bajkiewiczowi/.

Pomimo, że moje doświadczenie życiowe było wtedy z jednej strony na poziomie 12-letniej dziewczynki, to z drugiej strony silne poczucie patriotycznego obowiązku pozwoliło mi przetrwać najgorsze chwile i nie załamać się.

Więc i tym razem nie pokazałam jakie te informacje zrobiły na mnie wrażenie, ale byłam zdruzgotana i nie wiedziałam co robić. Przecież wydawało mi się, że i tak wszystko o całej organizacji wiedzą, a niektóre rzeczy źle interpretują na naszą niekorzyść.

Czy powiedzieć, że należałam i wyjaśnić nieporozumienia czy też zostawić sprawę jej losowi. Byłam między Scyllą a Charybdą. Nie miałam pojęcia co robić.

Wi działałam, że moje przyznanie się nic nie zmieni, nic nie znaczy. Tak czy owak będę sądzona za przynależność do organizacji. Więc może jednak lepiej wyjaśnić?!!!

Obawa o rodzinę walczy z moją ambicją! Do tego jeszcze dochodzi nieufność do nich. A jeżeli tylko zgadują, jeżeli wszystkiego nie wiedzą? Nie! Nie! Nic nie będę wyjaśniać! Przeżywam prawdziwe tortury.

Jest wieczór 21 sierpnia 1940 roku. Iwańkow prawie śpi oparty o biurko. Naczelnik coś gada o mojej głupocie i o sowieckim rajach - o szczęśliwym losie ich młodzieży. Ja patrzę na gwiazdy widoczne przez okno i modlę się w duchu do Ostrobramskiej. Postanawiam, że jeżeli gwiazda, którą obserwuję, zgaśnie choć na chwilę zanim wyjdzie z kręgu mojej widzialności - powiem.

I w chwili, kiedy oni obaj najmniej się tego spodziewają, odzywam się:

- Ja wam wsio razskazu. - Ja wam wszystko opowiem.

Naturalnie - postanowiłam - żadnego nazwiska, tylko fakty i to niektóre, głównie wymagające sprostowania.

Skoczyli obydwaj jak rażeni piorunem. Naczelnik zabrał nas do swego gabinetu, gdzie było świeże powietrze i zaproponował mi kolację. Ja - naturalnie - odmówiłam, motywując tym, że już odwykłam od takich potraw."

W rzeczywistości chodziło mi o to, że jedząc tę kolację czułabym się jak Judasz, co się sprzedał nawet nie za 30 srebrników, a za smaczną kolację, a mnie przecież chodziło o wyjaśnienie źle interpretowanych faktów, a może i trochę o zakończenie śledztwa, które trwało już czwarty miesiąc.

"Musiałam jednak wypić szklanke "sitro" /rodzaj sowieckiej lemoniady/, gdyż naczelnik miał to u siebie zamiast zwykłej wody, a mnie się bardzo chciało pić na skutek braku snu. Fakt ten był mi niezmiernie przykry, ale jakoś odmówić nie potrafiłam.

A więc poniżej to, co im powiedziałam:

- Wstąpiłam do organizacji w połowie marca. Lolka znałam z czasów szkolnych, więc nikt nie pośredniczył.
- Co miałam robić?
- Specjalnie nic. Dotąd zbadałam dwóch mężczyzn czy są pewni.
- Więcej?
- Nic!
- Czy byłam na zebraniu w Juraciszkach?
- Owszem byłam. Kto był nie wiem.
- Członkowie organizacji?
- Lolek, Sław, Bolek, Gambir, Maćka /aresztowani wraz ze mną/, jeden brunet, drugi niski i Tolek. To wszyscy. Innych nie znam chociaż widywałam, ale nie przedstawialiśmy się sobie.
- Dziewczęta?
- Zocha Bobrownicka, Zofia Jankowska /nasza dawna sąsiadka-komunistka, ale Janina/, Sorokówna Krysia, Prauzówna Wanda /obie dawno nie żyją, Wiera i Mała. To wszystkie.
- Cel organizacji?
- Polska!
- Z jakim ustrojem?
- Obojętne! Nawet z komunistycznym - byle Polska.^h

Wtedy nie przeczuwałam jeszcze, że jak komunistyczna to nie Polska. Wtedy też nie przeczuwałam nawet w najmniejszym stopniu, że słowa moje nie stety się sprawdzą i że ta niby-Polska gnębić nas będzie przez ponad 45 lat.

- Jak zamierzaliście zrealizować swe plany?
- Początkowo liczyliśmy na współpracę z Anglią, ale potem z chwilą gdy Anglia zaczęła przegrywać postanowiliśmy stworzyć silną polską organizację, aby potem pertraktować na stopie pokojowej z rządem ZSSR. "

To ostatnie oświadczenie było tak bezczelne, a może tak naiwne, że oni wybuchnęli śmiechem, a ja omal nie poszłam w ich ślady. Wówczas przekonałoby się, że to twierdzenie było bezczelne, a nie naiwne.

"- Jak wygląda Lolek?

Nie wiem co odpowiedzieć, bo nie wiem czy jest już w ich rękach. Ciągle im nie dowierzam niczym niewierny Tomasz. Wolę być ostrożna. Decyduję się więc na półprawdę, co jest najbezpieczniejsze.

Określam go więc tak:

- Blondyn /prawda/, włosy gładkie /wijące się więc nieprawda/, podobny do Żyda /gdzietam/, niski /wzrost 1,85 cm/, chodzi w dziurawych butach /prawda/, i granatowym ubraniu /czarne spodnie, szara marynarka/.

Oni nic na to nie powiedzieli, więc go nie mają!!! Cudnie!!!

Dalsze odpowiedzi to:

- Lolek był u mnie jakieś 5 razy, a ja u niego dwa /te, co Maćka wymienił/.

Ależ durnie!!! Przez całą noc i dzień musiałam im to wszystko opowiadać w kółko po kilka razy, a Iwańkow skwapliwie wszystko spisywał. Nie pomyliłam się ani razu, bo scenogram tego przesłuchania przygotowałam w pamięci bardzo szczegółowo, a zawsze słynęłam z dobrej pamięci, więc złapać mnie na zaplanowanym kłamstwie nie było w takim przypadku łatwo.

Co innego jednak złapać, a co innego sprawdzić fałszywe informacje. Niestety kłamstwo jest zawsze szydłem w worku i musi z niego wyleźć, Tak było i tym razem.

23 sierpnia wieczorem Iwańkow zawołał mnie i zapytał czy więcej trupów w Lidzie nie znam. Odpowiedziałam, że w tej dziedzinie nie mam najmniejszej orientacji, bo już czwarty miesiąc jestem w "tiurmie" /więzieniu/.

Następnie śledztwo przebiegało wokół mego paragrafu 120/22 to jest chęci przekroczenia granicy i tym razem to ja udowodniłam mu, że wcale nie miałam zamiaru iść do Wilna do Sikorskiego /bratanka Generała/, który miał stać na czele naszej organizacji. Iwańkow zrozumiał moje przekonywujące motywy i argumenty /teraz już ich sama nie pamiętam, ale pewnie chodziło o rodzinę/ i skreślił mi w akcie oskarżenia paragraf 120/22 jako niesłuszny.

Na naszym korytarzu w celi Nr. 1 mieszka „śledowatiel” /sędzia śledczy/ przezwany przez nas "Aqua destilata", bo tym przykładem chciał nam udowodnić, że zna łacinę, więc jest człowiekiem wykształconym. Dziś Zyta sprzątała u niego i zabrała jakieś papiery - jak się jej wydawało - niepotrzebne. Po przeczytaniu ich stwierdziłam jednak, że jeden z tych papierów to bardzo ważna depesza.

Po godzinie przyszedł dyżurny "Czubczyk" /loczek na czole/ i "Mara"- żona naczelnika tiurmy /więzienia/ pytając o ten papier. My naturalnie nie przyznałyśmy się. Było dużo o to hałasu.

25 sierpnia zaraz po śniadaniu przyszła "Mara" i kazała nam "sobieratsia s wieszczami" /zabierać się z rzeczami/. Co to? Rewizja? Przeprowadzka? Żadna ^{nie} wie i nie domyśla się. Następuje spis alfabetyczny. Pakujemy się. Karty zabieramy. Żyletkę kładziemy na oknie. Wychodzimy. Ładują nas do auta i jedziemy. Na dworzec czy do centralnego więzienia w Wiśniczu?

Jednak do Wiśnicza. Pada deszcz. Czekałyśmy w bramie z godzinę, więc zmokłyśmy. Wszyscy nas oglądają. Ja w czarnym kapeluszu, ale już z odpiętym żałobnym welonem.

Wchodzimy do dużej celi. Ja lokuję się w pierwszej sekcji /tam mię zaproszono/ koło Izy Świętochowskiej i śpię z nią pod jej ko-

cykiem. Jest mi tu dobrze w porównaniu z więzieniem śledczym. O Sławie jednak nic nie wiem. Piszę do niego "ubornej" /WC/ i łaźni, bo tu już jest łaźnia, do której zabierają nas od czasu do czasu - przeważnie raz na miesiąc lub trzy tygodnie, a czasem nawet częściej w zależności od ich humorów.

Po 15 września zaczynają ponownie brać do NKWD. Ja czuję, że też pojedę, bo mój odpoczynek trwał już zbyt długo.

Czwartek 19 września 1940 roku. Rzeczywiście wywołują mnie. Szybko się ubieram. Zabieram rzeczy, bo Gena dała mi letnią sukienkę, a Iza stanik, więc mam już małą torebkę, w której ręcznik też się zmieścił. W bramie spotykam Iwańkova. Był w płaszczu, więc go nie poznałam. On pierwszy zaczepił mnie. Wyszliśmy przez bramę. Ja krzyczę do ludzi, co tam stoją w oczekiwaniu na mądrą doradcę paczek swoim bliskim:

- Nie martwcie się. Nam jest dobrze.

Jedziemy. Iwańkow jest na mnie wściekły. W samochodzie poza mną jest dwóch mężczyzn /jeden to Żemojtuk z mojej sprawy/, Iwańkow i drugi "śledowatiel" /sędzia śledczy/.

W kancelarii NKWD zapisują nas. Rozmawiam przy okazji z Żemojtukiem. "Pobudka", gdy mię zobaczył powitał bardzo głośno i radośnie. Mężczyźni poszli do cel, a ja bezpośrednio na śledztwo. Jestem w gabinecie Nr. 11. Jest tu jakiś pułkownik. Iwańkow przeczytał mi zeznania Lolka. Całą prawdę! O tym, że stworzyłam grupę wywiadowczą i kierowałam nią. Pokazuje mi cały plik papierów, które dawałam Lolkowi, a kiedy ja się nie przyznaję do nich wali mię tymi papierami po twarzy i mówi, że oni zrobili analizę porównawczą, bo mają moje listy do Sława. Ja już tu nie wytrzymałam i powiedziałam:

- Tyle warta wasza analiza co i wszystko!

Przecież wiedziałam doskonale, że to nie mój charakter pisma. Chy-

ba to zawsze Iri przepisywała moje notatki.

Nagle on ni w pięć ni w dziewięć cytuje mi kawałek z mego listu do Sława po polsku, zaczynający się od słów: Kochany Sławku i dalej utrzymany w tym tonie. Boję się, że zwariował."

Rzeczywiście nie mogło im się w głowach pomieścić, że podczas gdy prawie wszyscy chłopcy - z Lolkiem włącznie - dawno się przyznali, ja na wszystko jestem odporna, ani groźbą, ani biciem, ani szantażowaniem, ani dobrocią nic ze mnie wydobyć nie mogli. Konfrontacje, o których wszyscy piszą jak o czymś okropnym były dla mnie raczej przyjemnością, bo najczęściej oznaczały zobaczenie Sława, a to było warte nawet największych cierpień. Cały czas myślałam logicznie i spokojnie i nie miałam do tego, co oni mówią ani krzty zaufania. I to były zupełnie proste powody mojej odporności.

"Nie mogąc sobie ze mną poradzić i przerazić mnie znów mi obiecuje "oczną stawkę" - tym razem z Lolkiem. Jestem na Lolka wściekła. On powiedział wszystko! Zdradził! Nigdy bym się tego po nim nie spodziewała. Wszystkie piękne słowa okazały się teorią, która nie wytrzymała próby! Boże! Chętnie bym go teraz zabiła!

Widzę, że śledztwo zanosi się na dłużej więc zwracam się do Iwańkova:

- Można was prosić wyjdti? - Można was prosić wyjść?

On zrozumiał, że ja proszę, żeby on wyszedł a sama chcę rozmawiać z pułkownikiem więc oburzony rzucił się na mnie:

- Kak eto wy choczetie czto by ja sledowatiel wyszoł? Jakto wy chcecie, że bym ja sędzia śledczy wyszedł?

Ale pułkownik wyjaśnił mi:

- Ona choczet w ubornuju. Ona chce do toalety.

Wówczas Iwańkow zaprowadził mnie do kancelarii i chciał zabrać z powyotem na śledztwo, ale potem zmienił zamiar i kazał odpro-
wadzić mnie do celi Nr.9. Tam spotkałam dwie Janki z Werenowa,

Furszę Rodkiewicz /Tatarkę - kuzynkę Gambira K./ z Nowogródka, Franię Kalinowską, Halinkę drucko-Podberezką. Lolek ma z nimi wspólną sprawę."

Ciekawe dlaczego nie połączyli nas wszystkich w jedną sprawę, przecież moje śledztwo było tak bardzo powiązane z Lolkiem. Dołączono do nas - aresztowanych 18 maja 1940r. - Żemojtuka, Hajdula i jeszcze chyba kilku, a Lolka połączono chyba z późniejszymi współpracownikami - też w znacznej grupie.

"Razem ze mną jest nas w celi osiem, czyli połowa tego, co bywało w takiej celi dawniej to znaczy przed moim wyjazdem do więzienia centralnego. Same polityczne, więc atmosfera bardzo przyjemna. Wieczorem przyjeżdża Irena Arciszewska z Lidy. Od niej dowiaduję się, że Mary Wojtuszkiewicz też już siedzi.

Na noc - jak zwykle - idę na śledztwo, ale już Iwańkow o nic nie pyta, a wręcz przeciwnie informuje mnie, że kończy już całą naszą sprawę. Czyta przez całą noc nasze "dzieło" /akta sprawy/.

Teraz dopiero widzę co, kto i kiedy mówił.

Zaczął się od Bolka Stankiewicza i Gambira K. - Ale poco o tym pisać? Już nic się nie da cofnąć, ani zmienić!

W podsumowaniu dowiaduję się, że ostatecznie jestem oskarżona tylko z dwóch artykułów to jest z § 64 /przynależność do organizacji antyradzieckiej i §,76 /niezadowolenie z władzy radzieckiej/, Chyba więc dobrze postępowałam, bo jednak pomimo wszystkie groźby nie dali mi § 68 /szpiegostwo/. Aż trudno zrozumieć dlaczego po tych wszystkich dowodach - w ich mniemaniu - nie dali mi tego artykułu. W sumie - jak na stawiane mi zarzuty a także oskarżenia współtowarzyszy i na samą sprawę - muszę przyznać, że pozornie miałam stosunkowo łatwe śledztwo. No tak! Uważali mnie za dziecko! Może więc źle sądziłam Iwańkowa myśląc, że mnie nienawidzi tak bardzo, jak to jest tylko możliwe?

Teraz zamykając śledztwo powiedział mi, że jestem jedna prostytutka /w oryginalnym pamiętniku po literze p ... następowały kropki/ a Hajdul - druga, bo on też się nie chciał do niczego przyznać.

Hajdul oświadczył wręcz:

- Tak! Należałem do organizacji, ale nic wam nie powiem, bo jestem wrogiem Sowietów."

Muszę powiedzieć, że takie zestawienie nawet mi zaiponowało pomimo pozornie niezbyt pochlebnego określenia. Bardzobym chciała spotkać jeszcze raz w moim życiu tego Hajdula / a może Gajdula, bo znam jego nazwisko tylko w wersji rosyjskiej gdzie G i H to ta sama litera/, którego imienia nawet nie pamiętam, a może nigdy nie znałam. Nie wiem jak wygląda ani nawet jak wtedy wyglądał i skąd po chodził. Najprawdopodobniej był sądzony razem ze mną - bo było nas 16 osób to znaczy ja i 15 mężczyzn /wygląda na to, że ich sądy lubią liczbę 16/ - ale nie wiem jaki wyrok dostał, bo niestety nigdy o żadnym z moich współtowarzyszy nigdy potem nic więcej nie usłyszałam.

" W jednym z gabinetów-cel jest łóżko z pościelą i to ku naszemu zdziwieniu nawet czystą i torebką damską. Dla kogo to jest przygotowane? Intryguje nas to bardzo, bo przyzwyczailiśmy się do tego, że wiemy wszystko co się w naszym małym więzieniu dzieje. Przy usilnych staraniach wkrótce dowiadujemy się, że jest tam Wera Mozol. Do niej Iwańkow zabrał się w odmienny sposób niż do mnie."

Już dziś nie pamiętam kim była Wera, ale chyba pochodziła z Lidy i należała do naszej organizacji, bo zestawiam metody śledztwa zastosowane przez tego samego Iwańkowa wobec mnie i wobec niej. Zresztą mówi o tym również fakt, że jej śledztwo, tak jak i nasze prowadził Iwańkow. Jaka szkoda, że spisując pamiętnik byłam taka ostrożna!

"Longinus Kłapouch" dał nam maść, a w maści ołówek. Niestety teraz już nie mogę sobie przypomnieć kim był ten "Longinus Kłapouch, ale chyba jednym z dyżurnych wartowników."

Maść przeciw świerzbowi była jednym chyba z trzech leków, które nam podawano w więzieniu. Poza tym dostawałyśmy streptacyt - lek do płukania gardła barwiący na pmarączowo, a więc używany przez nas do barwienia, oraz olej rycynowy. Przez cały czas pobytu w więzieniu zetknęłam się tylko z tymi lekami.

" Mamy dziurę w ścianie do celi Nr.8. Prowadzimy szeroko zakrojoną korespondencję. Ja koresponduję z Zygmuntem Barskim. Bardzo miły chłopak.

W tym czasie zaczynają się alarmy lotnicze. Ciekawe, że buczące głośno syreny fabryczne nie budzą mnie ze snu. Natomiast gdy tylko w nocy dyżurny wkłada klucz do zamka budzę się natychmiast, bo w nocy najczęściej przychodzono właśnie po mnie, aby mnie zabrać na śledztwo.

Te więźniarki, które miały artykuł 120 /przejście granicy/brane były na śledztwo w dzień i to najczęściej tylko raz.

26 września 1940 roku we czwartek przenoszą nas do celi Nr.4, ale o dziurze nikt nie mówi ani słowa, więc chyba jej nie odkryli, a przenosiny mają inne podłoże.

W tym okresie omal dwa razy nie wpadłam do karceru: raz za rozmawianie z mężczyznami w "ubornej" /WC/, a drugi - za zaglądnienie do męskiej celi przez wizyterkę /judasza/. Ale jakoś uszło mi to płazem.

W poniedziałek 29 września, a może to było 30 września, bo chyba mi się tu daty poplątały każą zostać Rosjance Marynie i Car - wiejskiej kobiecie, która nożem zamordowała 15-letniego syna. Wszystkie pozostałe wracają do centralnego więzienia w Wiśniczu.

Więzienie centralne w Baranowiczach-Wiśniczu.

"Zakończenie śledztwa zamknęło jeden etap życia więziennego - najtrudniejszego, ale gwarantującego pozostawanie w Kraju. Teraz zaś czeka nas sąd lub po prostu zaoczny wyrok, po którym mogą wywieźć na daleki, przerażający Sybir."

A Sybir znany tylko z historii lub opowiadań rodzinnych kojarzył nam się z wiecznymi mrozami, kibitkami i olbrzymimi, nienrzyjnymi przestrzeniami. Wtedy jeszcze nic nie wiedziałyśmy o obozach pracy dla zesłańców i panujących tam stosunkach. Żadne wiadomości na ten temat jeszcze do nas nie zdążyły dotrzeć. Dopiero pobyt w Mińsku i zetknięcie się z obywatelami sowieckimi, a szczególnie kryminalistami uświadomił nas nieco w tym zakresie.

"Bardzo się tego boję i modlę się nieustannie, żeby mię to ominęło. Wierzymy, że wojna dotrze do nas i wyzwoli nas, a więc lepiej być blisko swego domu niż na dalekim, niegościnnym Sybirze. Tych więźniarek - i chyba też więźniów -, które mają artykuł 120 /przekroczenie granicy/ wcale nie biorą do sądu. Sądzą je zaocznie, a tylko potem wzywają do kancelarii na odczytanie wyroku. Nazywałyśmy to wezwaniem na wyrok, który zazwyczaj opiewał na 3 lata obozu. W krótkim czasie po wyroku zabierano je "na etap", czyli wywózono do łagrów /obozów pracy/ na Syberii, w Kazachstanie itp. - w każdym razie do dzikiej Azji, daleko od Kraju."

Tu nastąpiła przerwa w spisywaniu pamiętnika z posiadanych na kartkach notatek z bardzo prozaicznego powodu : skończył się rosyjski notatnik, a następnego tak szybko nie zdobyłam. Na okładce następnego napisałam: "Co minęło nie powróci 1941r", ale pewnie data ta dotyczy samych wspomnień, a nie ich spisywania, bo zakończyłam je dopiero w 1944r, kiedy zostałam nauczycielką we wsi Ejtuny k/ Trokiel i miałam bardzo wiele wolnego czasu. Skończyły się bowiem już zajęcia absorbujące mnie w czasie okupacji niemieckiej.

Ten trzeci zeszyt jest najgrubszy i obejmuje 9 miesięcy w porównaniu z niecałymi 5 miesiącami śledztwa opisanymi w dwóch poprzednich. Zaczęłam spisywać swoje wrażenia i przeżycia już w trakcie powrotu do domu, gdy w Mińsku nie mogłam chodzić i znalazłam czysty notes.

"Jeśli się nie mylę, to skończyłam na tym, że zakończono mi śledztwo. Skończył się więc najcięższy okres życia więziennego, najgorszy, ale nie tak beznadziejnie ponury z jedyną perspektywą - wyjazdu na tereny dzikiej, dalekiej Azji. Teraz rozpoczęła się szara, jednostajna vegetacja. Każdy dzień wydawał nam się wiekiem.

Dzień zaczynał się już o godzinie czwartej rano, kiedy to dyżurny wchodził głośno wołając: "padjom" czyli pobudka, co oznacza, że mamy wszystkie wstać. Potem następuje "ubornaja"/WC/. Po powrocie z "ubornej"/WC/ jest rozdawanie chleba i o godzinie 8-mej - czaj. Czaj to jest coś, co nie jest ani herbatą, ani kawą, ani wrzątkiem, tylko właśnie czajem. Nadaje się nie tylko do picia, ale również do mycia głowy, mycia się, prania i mycia zębów."

Po rosyjsku czaj oznacza herbatę, ale pł.n, który my otrzymywaliśmy nie miał z herbatą nic wspólnego poza nazwą.

"Po śniadaniu sekcja dyżurna myje podłogę, a inne śpią dopóki nie zauważy tego dyżurny, bo spanie od "podjomu" - pobudki do "otboja" - apelu wieczornego jest surowo zakazane, ale nie przez wszystkich przestrzegane. A raczej zakaz ten jest łamany zawsze, gdy tylko okaże się to możliwym.

Nie napisałam jeszcze co to jest sekcja. Otóż cała cela - a jest nas 100 kobiet /liczba ta zmieniała się od czasu do czasu ale prawie zawsze w górę - wydaje mi się nawet, że kiedyś było nas aż 180/ - została podzielona przez nas samych na 6 sekcji.

Cztery sekcje były rozmieszczone wzdłuż ścian, a dwie pozostałe przez środek długości sali. Skład sekcji dobrany był głównie na podstawie poziomu intelektualnego. Ja jestem w pierwszej, złożonej głównie z inteligenckiej młodzieży - naturalnie same polityczne lub aresztowane na granicy.

Codziennie inna sekcja dyżuruje. Do obowiązków dyżurnej sekcji należy:

- przyjmowanie i rozdzielanie po-siłków,
- mycie podłogi w całej celi, poza miejscami, gdzie leżą koce poszczególnych sekcji, na których śpimy /naturalnie na kocach nie na sekcjach/, bo tu nie ma żadnych sienników. Tej podłogi do mycia nie było więc zbyt wiele, jedynie dwa długie korytarze pomiędzy sekcjami drugą i trzecią oraz piątą i szóstą i dwa krótsze przy sekcjach pierwszej i czwartej oraz miejsce przy piecu i "paraszy" /kiblu/.

Do mycia podłogi otrzymywaaliśmy tu wiadro wody i szmaty.

- wynoszenie "paraszy" /kibla/,
- załatwianie wszelkich spraw z dyżurnym."

Najtrudniejszą sprawą było rozdawanie chleba i otrzymywanego tu od czasu do czasu cukru. Sprawiedliwy podział chleba polegał na kolejnym przydzielaniu chleba "z przyklepką", natomiast z cukrem sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Otrzymywaliśmy go bowiem w nieforemnych kawałkach różnej wielkości. Trudno więc było ustalić równą ilość dla każdej z nas - szczególnie, że wypadało to zaledwie po kilka deko - odpowiednik dwóch łyżeczek. Pomysłowość nasza nie znała jednak granic. Z patyczków, którymi przytwierdzano "przylepki" do chleba i z kawałeczków mocniejszych nici sporządziłyśmy wagę i drogą zmuszonych prób ustaliłyśmy wagę jednostkową. I waga ta służyła nam przez cały czas mego pobytu w więzieniu centralnym w Wiśniczu.

Teraz wracam do programu dnia. Obiad dostajemy pomiędzy 11, a 12-tą godziną. Ponownie "ubornaja"/WC/ w godzinach pomiędzy 16, a 20-tą. Kolacja pomiędzy 19 a 20-tą. I o godzinie 20-tej "pro-wierka" /sprawdzenie stanu liczebnego w związku ze zmianą dyżur-nych/ i "otboj" czyli spać.

Czas wolny, a więc gros godzin pomiędzy godziną 4 rano, a 20-tą wypełniamy sobie same. Zajęcia te są w większości przypadków przez władze zabronione, bo obejmują one: szycie /posiadanie igieł w celi jest zabronione/, robienie na drutach i szydełkowa nie /tak druty, jak i szydełka zrobione są z patyków, którymi przymocowują nam dokładki do chleba, bo nie zawsze udaje im się zważyć przybliżoną ilość chleba, więc muszą od jednych porcji odkrawać, a do drugich dokładać/. Surowca do produkcji szydełek i drutów dostarczają nam również brzozone miotły przydzielane nam do zamiatania celi. Natomiast liście tych mioteł niejedno-krotnie zastępowały palaczkom - tytoń.

Dokładki do chleba nazywaliśmy "przylepkami" i cieszyły się one u nas specjalną sympatią, bo są to skórki chleba zawsze dobrze wypieczone w przeciwieństwie do mięszu, który raczej doskonale nadaje się do robienia pionków do szachów i domina niż do jedze-nia. Nie znaczy to jednak wcale, że go nie jemy. Głód jest sil-niejszy niż obiektywne opinie o jakości chleba. Jednak potrafimy sobie odmówić trochę chleba by zrobić szachy. Gramy więc w szachy i domino, a także w karty, zrobione z pudełek od zapalek.

Chyba jedynym dozwolonym z praktykowanych przez nas zajęć jest opowiadanie książek i wierszy - byle nie patriotycznych. Ale my właśnie zajmujemy się głównie wierszami patriotycznymi.

Kto to my?

Trzon zespołu stanowi sekcja pierwsza, ale kobiety o takich sa-myh zainteresowaniach i poglądach przyłączyły się do nas.

Utworzyłyśmy rodzinę, której macochą /nie wiem już dlaczego nie matką/ jest Kazia Siwiec z Wilejki lat 28, Gienia Bieńko lat 27 - też z Wilejki - to ojciec, Iza Świętochowska z Baranowicz /Jej ciotka Maryla mieszkała w Rzeszucku/ i ja to dzieci. Pozostałe panie naszego zespołu to Ira /niestety nic o niej nie pamiętam/, Wisia lat 27 - żona porucznika też siedzącego w tym więzieniu, wysoka brunetka bardzo energiczna i elokwentna, Jadwiga Domańska - aktorka z Bydgoszczy, Jaga Pikciunas, Janka Sylwestrowicz - fordanserka z Wilna bardzo energiczna i zaradna, Fursza Rodkiewicz z Nowogródka /kuzynka aresztowanego w moim mieszkaniu Gambira K./ Marycha Jurewicz, Genka Kawnetis i Buba Oszurko z Warszawy."

Genka Kawnetis znalazła się po wojnie w Anglii i do kraju nigdy nie wróciła. Jej młodsza siostra mieszka obecnie w Sopocie. Jadwiga Domańska wylądowała ostatecznie w Kanadzie i w latach siedemdziesiątych przyjeżdżała do Polski - ma krewnych w Oliwie -, ale już wtedy nie wiele pamiętała. O innych kobietach z naszej grupy nigdy dotąd nie słyszałam.

" Mąż Wisi zawsze potrafił znaleźć okazję dla przekazania korespondencji i zawsze ma mnóstwo wiadomości ze świata za murami, bo jest bardzo sprytny. Dzięki korespondencji Wisi mamy wiadomości polityczne.

Iza Świętochowska koresponduje ze swoim ojcem, który jest inżynierem i siedzi w celi Nr.16. Gdy idziemy do "ubornej"/WC/ Iza zawsze woła:

- Tatu dzieńdobry!

Kiedyś przy takiej okazji ktoś z celi Nr. 16 zawołał mnie po imieniu, ale ja nic nie mogłam odpowiedzieć. Innym znów razem, gdy Iza była na sprzątanii, też pytano o mnie tak natarczywie, że aż dyżurny zmuszony był odpowiedzieć pytającemu i zanotował

jego nazwisko jako kandydata do karceru. Wreszcie z listu tatu-
sia Izy dowiedziałam się, że to Heniek J. tak się uporczywie
o mnie dowiadywał i siedział za to 5 "sutek" /dób/ w karcerze.
Odtąd zaczęłam regularnie z nim korespondować. Z nim i z Kazi-
kiem K., bo siedzą razem. "

Pisząc przed prawie 50 laty pamiętnik nigdy nie przypuszczałabym,
że rozszyfrowanie i zidentyfikowanie tych dwóch imion nastreczy mi
tak wiele trudności i zajmie mi tak wiele czasu. Nie mogłam sobie
najwnierw przypomnieć żadnego Heńka, ale potem przy pomocy koleża-
nek Ireny, Zosi, Leny ustaliłam, że to może być Heniek Jeziorek,
kolega z równoległej klasy matematycznej /ja byłam w humanistycznej/
z którym razem zdawałam maturę. Po kilkakrotnych wizytach w Warsza-
wie wreszcie udało mi się nawiązać kontakt z siostrzeńcem żony Heń-
ka - zresztą też naszej koleżanki z klasy. Siostrzeniec potwierdził,
że wujek onowiadał, iż siedział w więzieniu w Baranowiczach, ale nie-
stety zmarł w 1989r.

Kazik K. był jeszcze trudniejszy do rozszyfrowania, bo uczęszczał
do młodszej klasy. Początkowo sądziłam, że mógł to być Kazik Kołysz-
ko, ale koleżanki i koledzy stwierdzili, że Kazik Kołyszko nigdy
nie siedział w Baranowiczach, a co gorsza, tak jak i Heniek już nie
żyje. Po rozmowie z kolegą z mojej klasy Witkiem Krupowiczem dowie-
działam się, że jego młodszy brat siedział w Baranowiczach, ale miał
na imię Wacław. Irena sugeruje jeszcze, że może to był Kazik Kły-
szejko - też z młodszej klasy. Jak narazie sprawa pozostała nie wy-
jaśniona.

To straszne - jak wiele osób, z tych o których wspominam już odesz-
ło, a przecież to była młodzież! Już nawet ci, co urodzili się na
Syberii czy w Kazachstanie dobijają pięćdziesiątki, a Sejm dotychczas
nie miał czasu, żeby zająć się uprawnieniami kombatanckimi dla Sy-
biraków, którzy kochali Polskę bardziej niż własne bezpieczeństwo.

Ale wracam do notatek z pamiętnika.

"Jaki jest w ogóle los więźniów sowieckich?

Otóż po zaocznym sądzie zwanym przez nas "wyrok", gdyż sama rozprawa odbywa się zaocznie, to znaczy że jej wcale nie ma, a więźniowi czytają jedynie w kancelarii wyrok. Naturalnie mówię o politycznych, bo kryminaliści są w lepszej sytuacji. Następnie odprowadzają ich do celi "etapnoj" /etapowej/, skąd po pewnym czasie wyruszają w świat daleki i wrogi: Nowosibirsk, Archangielsk, Zagłębie Pieczory, Ural, Władywostok, wiele różnych miejsc w Kazachstanie itp. - do "łagierej" /obozów pracy przymusowej/ na roboty. Ma to być dla nas wielką łaską.

Opowiadają nam, że z "łagierej" można będzie pisać do domu, ale ja im nic a nic nie wierzę. Są tak zakłamani, że może sami wtakie bzdury wierzą. Ja jednak wolę jak najdłużej być w Kraju, blisko swoich na wypadek wojny, kiedy może nadejść wolność.

Już kilka razy nas oszukiwano. Kiedy prosiłyśmy o zawiadomienie rodzin, dano nam kartki i kazano pisać do rodzin z prośbą o przysłanie potrzebnych przedmiotów. Jednak gdy po miesiącu zapytałyśmy naczelnika dlaczego nic nie dostajemy odpowiedzi, że pisałyśmy na niewłaściwym papierze.

Więc na jakim trzeba pisać?!!! Przecież to oni sami dali nam ten papier z kancelarii!!! Ta bezczelność jest ... brak nam słów!!!

Więc i teraz rano i wieczór modlę się do Ostrobramskiej, żeby pozwoliła mi jak najdłużej pozostać w Kraju. Wolę duszną celę w Polsce niż ich obozy na świeżym powietrzu.

Przez czas mego pobytu w więzieniu w Baranowiczach były duże transporty więźniów do obozów rozsianych po całym terenie Związku Sowieckiego: 28 czerwca 1940r. 20 sierpnia 1940r. 20 września 1940r. i mniejszy 20 lipca 1940r.

Pamiętam, że właśnie wyjeżdżałam na śledztwo 19 września 1940r., gdy zobaczyłam w bramie psy, które pogłaskałam, a one pomachały ogonami. Śledczy "wyrugał" /zwymyślał/ mię za to. Obecność psów zawsze oznaczała transport. Tak było i tym razem."

Wydaje mi się, że najbliższym tłumaczeniem słowa "etap" będzie transport, chociaż polskie słowo transport ma o wiele szersze znaczenie, a "etap" odnosi się tylko do przewozu więźniów.

" Jakie to dziwne. Spotkałyśmy się tu niespodziewanie, przypadkiem, zżyłyśmy się, a teraz nas rozdzielają i może nigdy się już więcej nie zobaczymy. Taki już nasz los! A ja od dzieciństwa jakoś bałam się słowa "nigdy".

I... nie lubiłam pożegnań. Słusznie mówią Francuzi, że "partir c'est un peu comme mourrir" /odjeżdżać to trochę jakby umierać/

" Tym razem z moich bliskich zostały zabrane: Gena Kawnetis z Wilna, Jadwiga Domańska z Bydgoszczy, Buba Oszurko z Warszawy. Żał mi ich bardzo. Przecież - tak, jak i ja - bardzo nie chciały jechać. Zaraz po 20 września znów zaczęto brać na "wyroki". Naszej grupki bardzo uszczuplonej narazie nie ruszano. Polityczne są brane według dat aresztowania, więc ja mam jeszcze wiele czasu przed sobą. Może uda mi się jednak doczekać wojny na własnej ziemi.

Znów był u nas w celi szklarz. Gdy dyżurny nie widział pytałam go o rodzinę Sława. Odpowiedział, że wszystko w porządku. Za pierwszym razem widziałam go w więzieniu NKWD niedługo po aresztowaniu. Prosiłam go wtedy o zawiadomienie rodziny Sława, że jesteśmy w Baranowiczach i prosimy o paczki. Obiecał mi, że to zrobi. Myślę, że dotrzymał słowa, bo przecież on pierwszy mnie zaczepił, gdy sprzątałam korytarz.

Po wyjeździe sióstr zakonnych / z drugiej sekcji/, które u nas prowadziły wspólne modlitwy, powstały dwie "parafie": jedna - Julii, druga - Salomei. Obydwie zaczynają modlitwy równocześnie i jedna

stara się drugą przekrzyczeć. Naturalnie powoduje to interwencję dyżurnego, bo wszelkie śpiewy, a nawet głośniejsze rozmowy są zabronione. Rezultat jest więc wiadomy. Nasza grupka nie należy do żadnej "parafii". Modlimy się indywidualnie. Czasem tylko Iza i ja odmawiamy wspólnie różaniec, ale nie bywa to zbyt często. Kiedy byłam w więzieniu NKWD to zawsze modliłyśmy się razem : rano i wieczór. Często ja prowadziłam modlitwę. Ale tu wśród kłótni nie mogę właściwie się modlić.

Teraz modląc się - jak zwykle - do Ostrobramskiej, proszę Ją o paczkę.

Dnia 2 września była rocznica śmierci tatusia, więc cały dzień poświęcałam.

Zdaje mi się jednak, że te trzy lata wyznaczone przez Anglię miną nim gołąbek pokoju wzleci nad Europą.

Zbliżał się dzień 17 września 1940 roku. Pierwsza tragiczna rocznica - ale nie dla wszystkich. Nasze Litwinki, Białorusinki i niektóre pseudo-Polki zebrały się w kącie i naradzały się jak uczcić "dzień wyzwolenia", jak podziękować "zbawcom" /chyba za to, że wsadzili je do "tiumny ?!/.

Założyłyśmy "apart podsłuchowy" i dowiedziałyśmy się, że zdecydowały zaprosić naczelnika "tiumny" /którego my bardzo rzadko widzimy chyba gdy asystuje jakiejś inspekcji odwiedzającej nas raz na 4 miesiące lub pół roku/, podnieść go do góry i zaśpiewać: "Pomniat psy i atamany, pomniat polskije pany..."

Nasze oburzenie nie zna granic. A gniew jest tym większy, że bezsilny. Postanawiamy nie wstać na powitanie naczelnika i w ogóle ignorować jego obecność. Według rozkazu władz na powitanie naczelnika musimy wstawać. Wiemy, że czeka nas za to karcer, ale nie widzimy innego sposobu odcięcia się od tej manifestacji. Trudno inaczej nie możemy zapobiec kompromitacji.

Na szczęście plany ich spaliły na panewce, bo dyżurny nawet nie zameldował o ich prośbie naczelnikowi. Dzień ten minął więc bez większych wrażeń.

Wynalazłyśmy teraz sobie nowe atrakcyjne zajęcie. Ponieważ każda z nas zna jakieś ciekawe wiersze uczymy się ich wszystkie na pamięć. Ja przypominałam sobie Asnyka: "lecą liście z drzewa", "Daremne żale" i "Do młodych"; Ujejskiego - "Chorał",; Słowackiego "Testament", "Smutno mi Boże", wyjątki z "Grobu Agamemnona" - "Na Termopilahach" i z "Lili Wenedy" - "O Święta Ziemo Polska"; Mickiewicza "Ode do młodości", kawałki z "Pana Tadeusza", "Konrada Wallenroda" i takie wiersze humorystyczne jak: "Pani Twardowska", "Żona uparta", "Golono strzyżono", z innych "Alpuhara", "Ja w tej izbie spać nie mogę", "Reduta Ordona".

Mniej nas interesują autorzy współczesni.

Jeszcze gdy byłam w więzieniu NKWD, to znaczy do dnia 23 sierpnia 1940r. bardzo często o szarej godzinie deklamowałam te wiersze. Pamiętam stawałam naprzeciw okna, czyli przy drzwiach. Za oknem szumiały niedalekie sosny, krakały nad naszym losem wrony, a mała gwiazdka - jedyna jaka zaglądała do naszego okienka - mrugała nie chcąc spojrzeć prosto w oczy. I ona była w zмовie z NKWD. Podła. I ona nie chciała mi powiedzieć co się dzieje w domu. I wtedy "Smutno mi Boże" było najlepszym odzwierciedleniem stanu mej duszy.

..."Nowi gdzieś ludzie w 100 lat będą no mnie patrzący marli..."

Czyż to nie my właśnie jesteśmy tym pokoleniem? Nie! Nie! Nie!

My żyjemy nadzieją I to nie tylko nadzieją, lecz wręcz wiarą, wiarą silną, potężną. Wiarą, która sięga do stóp Najwyższego. I w takich chwilach kończyłam naszą szarą godzinę "Chorałem" Ujejskiego i "Przepowiednią Wernyhory", której nauczyła mnie babcia Czarnocka. "Chorał" wydawał nam się w takich chwilach najświętszą modlitwą.

Była tam wtedy wśród nas 76-letnia / a może 83-letnia / staruszka

babuna Czarnocka /tak nazywał ją jej cioteczny wnuk/. Ona to przeważnie domagała się deklamacji i od niej nauczyliśmy się "Przenowiedni". Była to w ogóle staruszka pełna sił żywotnych, pełna wiary w lepsze jutro - staruszka o młodzieńczym sercu.

O ile wiem to lubiła mię bardzo właśnie za wiersze i za to, że spośród wszystkich miałam najcięższe śledztwo. Zawsze się za mnie modliła, gdy zabierano mnie na badanie - nawet w nocy.

Zdaje mi się, że pisałam już o niej więcej, więc nie chcę się powtarzać. Skazano ją na bezterminowy pobyt w obozie pracy gdzieś na Syberii licząc, że z uwagi na swój wiek nawet tam nie dojedzie. A mnie się zdaje, że ona nie tylko dojechała, ale chyba i wróciła względnie dostała się gdzieś na Zachód.

Teraz zanotuję te wiersze, których nauczyłam się w więzieniu, a których nigdzie w druku nie spotkałam. Chcę je utrwalić, żeby nie zapomnieć, bo bardzo mi się podobają:

STO LAT

Sto lat się tłukł po wszystkich częściach świata
Legionów marsz i polskich armat grzmot.
Wstawała z krwi legenda przebogata,
Królewski lot, srebrzysto-orli lot.

I przez sto lat szlochały matek piersi
I stygła krew ze sommo-sierskich szarż.
A w gromach dział ginęli co najszczerzi,
Gdy górą grzmiał ten bohaterski marsz:
Że żyje wciąż, że jeszcze nie zginęła.
Na grotach lanc czerwono-biały znak.
Rozszumiał się do królewskiego dzieła
Na skrzydłach swych ten nasz herbowy ptak.

A myśmy szli przez Rzym i San Domingo
Przez krwawy szloch listopadowych lat.

Piechurów hart ze szwoleżerską klingą

W zawody szedł na wskroś i wszecz przez świat.

I furda to, że boso i o głodzie

Kamienie dróg wbijały się do stóp,

Bo taki los w żołnierskim tym zawodzie,

Że w marszu trud, a w pierszwyj bitwie grób.

Poraby już żelastwo w stos ułożyć

Z proporców-szmat wiekowe zetrzeć łązy.

Poraby dziś mocarstwo dłuta stworzyć.

Dość było łez i dość przelanej krwi.

Ale nie nam o szczęściu złote baśnie

I jasnych marzeń cudną przędzę snuć,

Bo los żołnierza, to los Polaka właśnie:

Na mieczu ledz i mieczem przyszłość kuć...

"Krzyżyk z Olszynki" Or-Ota i "Śmierć Słowika - Lenartowicza już odnalazłam w druku, więc ich przepisywać nie będę, ale Iłłakowiczówny "Kto jak On" - nigdzie nie spotkałam, więc przypomnę:

BRYGADIER

Kto jak On - nasz Brygadier Piłsudski

Polskę w sercu, śmierć w tornistrze nosił

Kto jak On tak u Boga wyprosił

By stąd odszedł najeźdźca kałmucki.

Kto jak On tak się z Bogiem targował

Pod Łowczówkiem z krzywą szablą w ręku

O tę Polską, którą wróg rabował,

O tę Polskę pełną krwi i jęku.

Dzieciomswaim w kolebkach przekażcie,

Że podjąwszy wysiłek nadludzki

Jak kapitan w czas burzy na maszcie

Stanął w Polsce Brygadier Piłsudski.

WIGILIA POWSTANCÓW

Było to w dzień wigilii. Dzień był po nowiu mroźny,
Więc suty ogień palił się w alkwie na kominku,
Przy którym zwykle dziadek siadał
Prawił o Bonapartym, bitwy opowiadał,
Tub nam wnuczętom zbrojne udającym szyki
Kazał na cześć cesarza wydawać okrzyki.
Sam "Vive l'Empereur!" - wołał zacierając ręce
Nim się przy Dąbrowskiego rozczulił piosence.
I odprawiwszy nas malców klękał do pacierza.
Tego dnia jakiś smutek spłynął na żołnierza.
Siedział chmurny, milczący w głuchym zamyśleniu
Bujając się w krześle, jak jeździec w strzemieniu,
Który gdzieś na straconej stawiony pikiecie,
Unosi się w siodle, pozgląda po świetle
Nadsłuchując od której strony wróg uderzy.
Nam malcom pilno było zasiąść do wieczerzy.
Więc zaniechawszy z dziadem codziennej gawędy,
Poszliśmy wigilijne podziwiać obrzędy:
Choinkę, stoły białym nakryte obrusem
Z maleńką szopką i Małym na sianku Jezusem,
Z pastuszkami, Kacperem, Baltazarem.
Raz po raz spoglądamy ku ścianie z zegarem,
Czekając rychłoli pożądaną wydzwoni godzinę.
Raz po raz wznosim oczy na przestworza sine
Szukając tej gwiazdy betlejemskiej, co Dzieciątku świeci.
Wreszcie błysnęła złota nad pobliskim borem.
"Bóg się rodzi" zagrzmiało staroświeckim dworem.
Wnet dziadek i babka - my dziatwa pospołu
Zasiedliśmy do suto nakrytego stołu.

Dziad wziął opłatek. Właśnie z wysuniętą ręką
Zaczął zwykłe życzenia drżącym głosem składać,
Przyjmować wzajem i znów wzajem odpowiadać,
Gdy nagle ktoś w zamarżłe zastukał okienko.
Po chwili gajowy - chłop z uciętą dłonią -
Wpadł do pokoju szepcząc: "Panie, naszych gonią"
Była bitwa za borem. Tamci przyszli wkupie.
Rozbili. Kilku rannych skryłem w swej chałupie.
Tnni jadą do dworu. Już ich patrzeć ino!"
Zgiął się do kolan. Płową potrząsnął czupryną.
"Trza ich schować jaśnie panie! Trza ich schować duchem!
Snieg pada, to i ślady przysypie kiej puchem."
Choć bez słów oczyma w dalszym ciągu prosił.
A już przed chatą tentent kopyt końskich się roznosił.
Dziad skoczył jak ongiś z faszyn wolskich szańców.
Otworzył drzwi ścieżajem - Ujrzałem powstańców!
Nie jedliśmy wieczerzy. Nie palili drzewka.
Zamarła nawet w ciszy kolędowa śpiewka.
Dziad nakazał milczeć o tym, co się stało.
Snieg padał. Całą ziemię przykrył płachtą białą.
Przysypał wszystkie ślady, prócz ran i cierpienia.
TYL E I AT MINEŁO. TYL E I AT M I L C Z E N I A .
TYL E N O W Y C H N A D Z I E T Z A P A I A Ł O Z O R Z E .
A jednak o każdej wigilijnej porze
Widzę ich jak na jawie na dziadowskim progu.
DZ I S M O W I E O T Y M L U D Z T O M , C O M O W I Ł E M B O G U .
I C T E S Z E S T E , Ż E D Z I S M O W I C M O G E , Ż E Z A W I E K C I E R P I E N I A
M A M C H O C I A Ź J E D N O P R A W O - P R A W O N I E M I L C Z E N I A !

W wierszu tym podkreśliłam to, co stanowi całość uczuciową tytułu
meo pamiętnika i najlepiej oddaje moje obecne odczucia zmian jakie
zaszły w Kraju.

Mam jeszcze Tłakowiczówny "Testament Marszałka" i nieznanego autora "Raport duchów" - o bitwie pod Timanową. Pierwszy z nich napewno się teraz ukáže, a drugi jest za długi, żeby cytować w tekście. Może stanowić co najwyżej załącznik. Ale wracając do moich notatek:

"O ile się nie mylę - pisałam o okresie po zakończeniu mego śledztwa i po wyjeździe transportu w dniu 20 września 1940r.

Od dłuższego czasu zaczęłam się modlić o wiadomości z domu i o paczkę. I nagle, gdy o tym wcale nie myślałam, to znaczy 10 października 1940r. dostałam ją. A było to tak: Zjadłyśmy śniadanie i ja żeby zaoszczędzić trochę chleba do zupy, a więc żeby nie jeść drugiego śniadania - położyłam się spać, bo w ten sposób najlepiej było oszukać głód. Nie zdążyłam zasnąć, gdy wszedł dyżurny i zapytał jak zwykle:

- Kto sdiēs na bukwu es?- Kto tu jest na lūterę s?

Odzywało się wiele. Ja milczałam nie mając nadziei, że to o mnie chodzi i bojąc się rozczarowania. Wreszcie Iza, która wczoraj otrzymała paczkę od cioci Maryli, powiedziała moje nazwisko.

- Nu da - skomentował dyżurny

- A imia otczestwo? - A imię ojca?

Po otrzymaniu wyczerpującej odpowiedzi wyszedł. Zaraz znalazła się moc różnych "przyjaciółek", które zaczęły mię wypytywać czy nie domyślam się od kogo może być ta paczka, a co w niej może być? A ile? itp.

Żeby się od nich odczepić powiedziałam, że to pewnie wznowienie śledztwa i żeby nie musieć dalej z nimi rozmawiać, a także by nie okazać wzruszenia, jakie mię ogarnęło, kładę się po prostu znowu spać. Znow jednak nie sądzonym mi było zasnąć, bo wkrótce potem zjawił się dyżurny z paczką. Pomimo, że nie zasnęłam chleb został zaoszczędzony, bo wzruszenie odebrało mi apetyt i to tak skutecznie, że całkowicie odechciało mi się jeść.

Paczkę przyniósł nasz dobry dyżurny, któregośmy wszystkie lubiły. Dostałam ubranie i litrowy kubek słoniny przetopionej z cebulką i pieprzem. Kiedy on przeglądał wszystkie rzeczy wypadł medalik. Podniósł go i ze śmiechem zgniótł. Jak oni nienawidzą wszystkiego, co jest sprzeczne z ich ideologią i sloganami - nawet tacy niby dobrzy ludzie jak ten dyżurny, a cóż mówić o innych?!!!

Szczególnie zadowolona jestem z jaśka i kocyka. Zaraz też zaczęłam przymierzać ciepły szlafrok, sukienki, spódniczki. Tak jak dotąd byłam bardzo biedna, teraz w jednej chwili nagle stałam się bardzo bogata. Podobno wyglądałam bardzo komicznie kiedy z entuzjazmem i ze łzami w oczach oglądałam każdą znaną mi drobnostkę przypominając jej historię i każdą rzecz nową, nieznaną mi uprzednio starając się zgadnąć skąd może pochodzić. Cały dzień minął mi na rozpakowywaniu i składaniu paczki po wiele razy. W konsekwencji kawałek chleba został zaoszczędzony tak skutecznie, że został mi aż na następny dzień. Teraz przynajmniej wiem, że rodzina jest na miejscu. Jak się dowiedziałam po powrocie do domu paczkę tę przywiozła mi od mamusi pani Bakłanowa i tylko jej sprytowi zawdzięczam, że dostałam tłuszcz, bo nikt inny nie dostał absolutnie nic z żywności.

Nagle w rytmie więziennego życia zdarzyło się coś nowego. A mianowicie te "granicznice"/to znaczy te, które siedziały za przejście lub chęć przejścia granicy/, które zostały przez granicę przerwucione przez Litwinów, zaczęły dostawać wezwania na oczny sąd. Sądzymy, że pójdą na wolność. Z naszej sekcji dostała wezwanie pani Julia Juralewicz z Lidy. Dajemy jej swoje adresy i prosimy o zawiadomienie rodzin. Ja proszę, żeby mamusia przysłała mi list w kołnierzu bluzki. Pani Julia obiecuje wszystko załatwić.

Żegnamy je wszystkie bardzo czule. Nawet się pocałowałam ze Stęfką Leskic - starostą naszej celi. Była ona naprawdę bardzo podła. Jeżeli zauważyła coś niedozwolonego u którejś z naszej paczki "inteligencji"

to zaraz donosiła władzom więziennym. Potem zresztą byłam w porządnym strachu, że się z nią pocałowałam, bo wyszło na jaw, że Stefka miała wszy łonowe.

Z powodu tych wszy była u nas w celi straszna awantura. Marycha Jurewicz-chodząca dobroć i szlachetność -miała takiego pecha, że kiedykolwiek pojawiała się w celi jakakolwiek choroba, to ona musiała się nią zarazić. Tak było ze świerzbem tu zwanym "czesotką". Tak stało się i teraz z tymi wszami. Pomimo to Marycha przychodziła do naszego "mieszkania" czyli na nasz koc i drapała się. Gdy tylko odchodziła my zaczynałyśmy sobie oglądać oczy. Aż wreszcie po walnej naradzie stwierdziłyśmy, że nie możemy dłużej wytrzymać w takim napięciu i że ja /jako że byłam z Marychą per ty, chociaż ona miała 33 lata, a ja zaledwie skończyłam 20/ mam jej powiedzieć żeby do nas nie przychodziła zanim nie pozbędzie się wszy i żeby poprosiła "miedsiestru" /pielęgniarkę/ o maść.

Misja była szalenie delikatna i trudna i zaledwie z niej wybrnęłam. Pamiętam przeziębiam się i leżałam chora. Marycha przyszła mię odwiedzić. Natychmiast Iza, Kazia i Genka ulotniły się "z domu". Zostałyśmy sam na sam. Ja zaczęłam udawać senną. Myślałam, że ona odejdzie, a tymczasem Marycha rozplakała się i zapytała czy nie chcę z nią rozmawiać. Cóż miałam robić?

Wyjaśniłam jej wszystko - starając się zrobić to jak najdelikatniej, ale i tak sprawiłam jej dużą przykrość. Jej odpowiedzią było krótkie "tak!" i długi, długi sznur łez. Tak trudno! Życie nieraz bywa brutalne i bezkompromisowe.

Natomiast z tym świerzbem zwanym przez nas z rosyjska "czesotką" /bo po polsku jeszcze wtedy takiego słowa nie znałyśmy/ było tak: W celi zapanował wszechwładny król brudu: - świerzb. Nas wszystkie ogarnęła panika. Jakimś cudem "miedsiestra"/pielęgniarka/, która w ogóle bardzo rzadko do nas zaglądała, tym razem odwiedziła nas.

Odrązu zgodnym chórem zawołałyśmy więc o maść od "czesotki". Otrzymałyśmy sporo czarnej - chyba dziegciowej - maści. Ja i Iza - chociaż, nie odczuwałyśmy najmniejszego swędzenia i nie widziałyśmy u siebie nigdzie świerzbu - wysmarowałyśmy się od stóp do głów. Skutek był dość szybki. Nazajutrz swędziało nas całe ciało, ale nie od świerzbu, tylko od poparzenia maścią. Na nasze szczęście dzień potem wzięto nas do łaźni i po kąpieli swędzenie minęło. Po tym gorzkim doświadczeniu postanowiłyśmy nie smarować się żadną maścią - nawet gdybyśmy się zaraziły świerzbem. Swierzb jest to rodzaj pasożyta skóry - jakby mały kleszcz, lokujący się we wszystkich zgięciach na początek: pomiędzy palcami, pod pachami, w zgięciu łokci, kolan itd. i powodujący okropne swędzenie, co pociąga za sobą drapanie tych miejsc i rany. Zaniedbany jest czymś okropnym.

Ponieważ wspomniałam tu już o łaźni, muszę opisać jak ona wyglądała, a także jak wyglądało mycie się w niej. Wchodziło się do pierwszej izby, gdzie był piec i palacz. Dalej był przedsionek, z którego na prawo szło się do łaźni. Na lewo była szatnia. W szatni musiałyśmy się rozebrać i przechodzić nago przez przedsionek, gdzie dyżurny wydzielał nam mydło. Naturalnie myśmy się zbuntowały i chodziłyśmy się kąpać w bieliźnie i ręcznikach."

Bo trzeba pamiętać, że były to czasy kiedy nikt o top-lessach i streep-teasach nie śnił nawet. Zmuszanie nas do pokazywania się nago było dla nas obelgą i poniżeniem. Kobieta musiała być skromną, a mężczyzna okazywał jej szacunek szanując tę skromność. Była to więc dla nas jedna z licznych tortur moralnych.

"Poza tym jeszcze walczyłyśmy z oddawaniem rozmaitych rzeczy do dezynfekcji w parówce. Buntowałyśmy się przeciwko braniu do parówki futer i jedwabi. My je chowałyśmy w rozmaitych skrytkach, a oni wyszukiwali je i zabierali.

Myliśmy się pod prysznicami, w których bardzo często brakowało wody i wtedy dyżurni wchodzili coś naprawiać, a my tutaj już byliśmy bezbronni, bo mokre, czasem z namydlonymi głowami i oczami pełnymi mydła. Myślę, że oni specjalnie zakręcali wodę.

Oprócz tych "rozrywek" w łaźni miałyśmy jeszcze jedną, tym razem prawdziwą i radosną: a mianowicie łaźnia była centralną pocztą. Na ścianach łaźni i szatni znajdowały się całe elaboraty, a prywatne listy ukrywało się w uzgodnionych miejscach przyklejając mydłem lub miąższem chleba. Ponadto łaźnia była okazją do rozmów z pracującymi tam więźniami - naturalnie zazwyczaj baranowickimi kryminalistami, z którymi połączył nas więzienny los niwelując poziomy wydawałoby się nie do przebycia. Pracując zdobywali oni wiadomości nie tylko ze świata więziennego, ale i zewnętrznego, których nam bardzo brakowało.

Jeżeli chodzi o kąpiele to pamiętam jeszcze taki przypadek. Byłam chora /pewnie wtedy kiedy była ta przykra historia z Marychą/. Przyszła jakaś Żydówka-lekarka i kazała mi iść się kąpać, bo my jesteśmy brudne. Tego mi było za dużo, więc powiedziałam, że ona sama jest brudaską, że dobrzeby było żeby ona od święta była tak czysta jak my na codzień i to nawet w więzieniu. Przeziębici to oni potrafią, ale leczenie to dla nich rzecz zbyt trudna itd. Nie mogę powiedzieć, żebym mówiła to cicho i grzecznie. Wszystkie myślały, że pójdę do karceru, ale skutek był odwrotny od spodziewanego. Lekarka wyjątkowo zbadała mnie i jeszcze jedną chorą i nawet dała nam jakieś lekarstwa - napewno nie maść od świerzbu i nie olej ry-cynowy.

Oni sami gdzie tylko trzeba i nie trzeba "rugają" /wymyślają ordynarnie/ i nawet lubią, gdy się ich "ruga". Najbardziej denerwuje ich nasz spokój, nasz wyniosły ton "panów".

Strasznie odbiegłam od tematu. Pisałam, że Julia i inne - było ich razem cztery - wybierają się na sąd. Myślałyśmy, że pójdą na wolność, ale niestety omyliłyśmy się. Dostały po roku i po dwa lata. Nie udało nam się ustalić czy wyrok zależał od wieku, czy od wzrostu czy też od jeszcze innych kryteriów, bo "przestępstwo" było to samo: nielegalne przekroczenie granicy litewsko-sowieckiej. O wyrokach dowiedziałyśmy się od nich samych, bo po wyroku prowadzono je koło naszych okien i one pokazały nam na palcach. Jednak po prawie miesiącu to znaczy 8 listopada 1940r. sąd apelacyjny uwolnił je. Pani Julia wyszła, a my zaczęłyśmy się ludzi, że wreszcie rodziny dowiedzą się co się z nami dzieje. Cella nasza - jak w ogóle więzienia sowieckie - obfitowała w wariatki. I te prawdziwe i te symulantki.

Były więc u nas:

- jedna co była we Francji i w domu wariatów,
- Agatka, co wiecznie spała z głową przykrytą kocem i pod kocem paliła papierosy, a ponadto stanowiła wyjątek, bo lubiła się myć, a wariaci z zasady nie znoszą wody;
- Gala ulicznica;
- babuszka, której spódnice same się ruszały, tyle w nich było zwierzątek. Ona to zawsze odczuwała fizjologiczne potrzeby gdyśmy zasiadały do jedzenia. Czasami stukwała do dyżurnego i mówiła: "Puści da chaty. Michalina musi iść u pole". Michalina - jej córka - była owocem gwałtu, który spowodował jej pomieszenie zmysłów. O gwałcie tym opowiadała w małej celi w NKWD - więc trudno było jej nie słyszeć - z najdrobniejszymi szczegółami, dokształcając nas w zakresie uświadomienia seksualnego. To była moja podstawowa szkoła w tym zakresie - jakby to się dziś powiedziało. Nieraz od tych opowieści puchły uszy, a że było to w celi, gdzie siedziałyśmy w 10-12 osób nieraz wolałam być na śledztwie niż w celi.

Czasem gdy szliśmy do "ubornej"/WC/ obejmowała na korytarzu dyżurnego i chciała z nim tańczyć;

- Olga Rynkier czyli as wariatów. Ona wszystkich znała. Znała każdą z nas i historię rodziny każdej z nas. /Naturalnie taką historię jaką jej fantazja w danym momencie podsunęła/. Mieszkała gdzieś pod Grodnem - podobno w majątku Maselany. Gdy tylko mnie zobaczyła uznała, że jestem córką pana Maselańskiego /czy to było nazwisko czy przymiotnik od nazwy majątku - nie wiem/.Przy czym mój ojciec był równocześnie księciem hiszpańskim. Iza natomiast była córką mego ojca, ale z nieprawego łoża. Tto. Ttd. O każdej z nas mogła opowiadać godzinami i to pozornie zupełnie do rzeczy. Twierdziła na przykład, że zawsze chodziła na odpust, a wróg postawił na drodze granicę i nie puścił jej do Matki Boskiej - chyba w tych właśnie Maselanach. Oskarżona była rzeczywiście z artykułu 120 /nielegalne przejście granicy/.

Kiedyś znów, gdy któraś z "parafii" odprawiała różaniec przerwała im nabożeństwo mówiąc, że powinny postawić mnie na oknie i modlić się do mnie, bo jestem Matką Boską Maselańską. Okazało się potem, że w tych Maselanach była figura Matki Boskiej, a bolszewicy ją rozłukli, więc ona uważała, że teraz Matka Boska zjawiała się w celi, żeby ją pocieszyć. W ogóle lubiła zwną rozmawiać, bo się z niej nie naśmiewałam tak, jak to robiły inne więźniarki.

Ale nie daj Boże, jeżeli ktoś ją rozzłościł. Zaczynała tak "ruga" - zupełnie jak sędzia śledczy -, że trudno było wytrzymać. Rzucała też wszystkim, co jej pod rękę wpadło. Kiedyś pobiła się ona ze starą złośnicą Rancewą o... polano drzewa. Olga była ne-
dantką i pod głową pod równo ułożonymi szmatami zawsze miała kilka nolan, które za każdym razem przenosiła ze sobą ilekroć zmieniała "miejsce zamieszkania", a czyniła to bardzo często. Tle-

kroć gdziekolwiek zwalniało się miejsce, natychmiast rozpoczynała przenrowadzkę.

Rancewa zauważyła te nolaną i doszła do wniosku, że są wyjątkowo suche i wspaniałe ndają się do podpalania w niecu. W wyniku bitwy z polana stanowiącego kość niezgody zostały tylko drzazgi, a obie przeciwniczki solidnie się poturbowały."

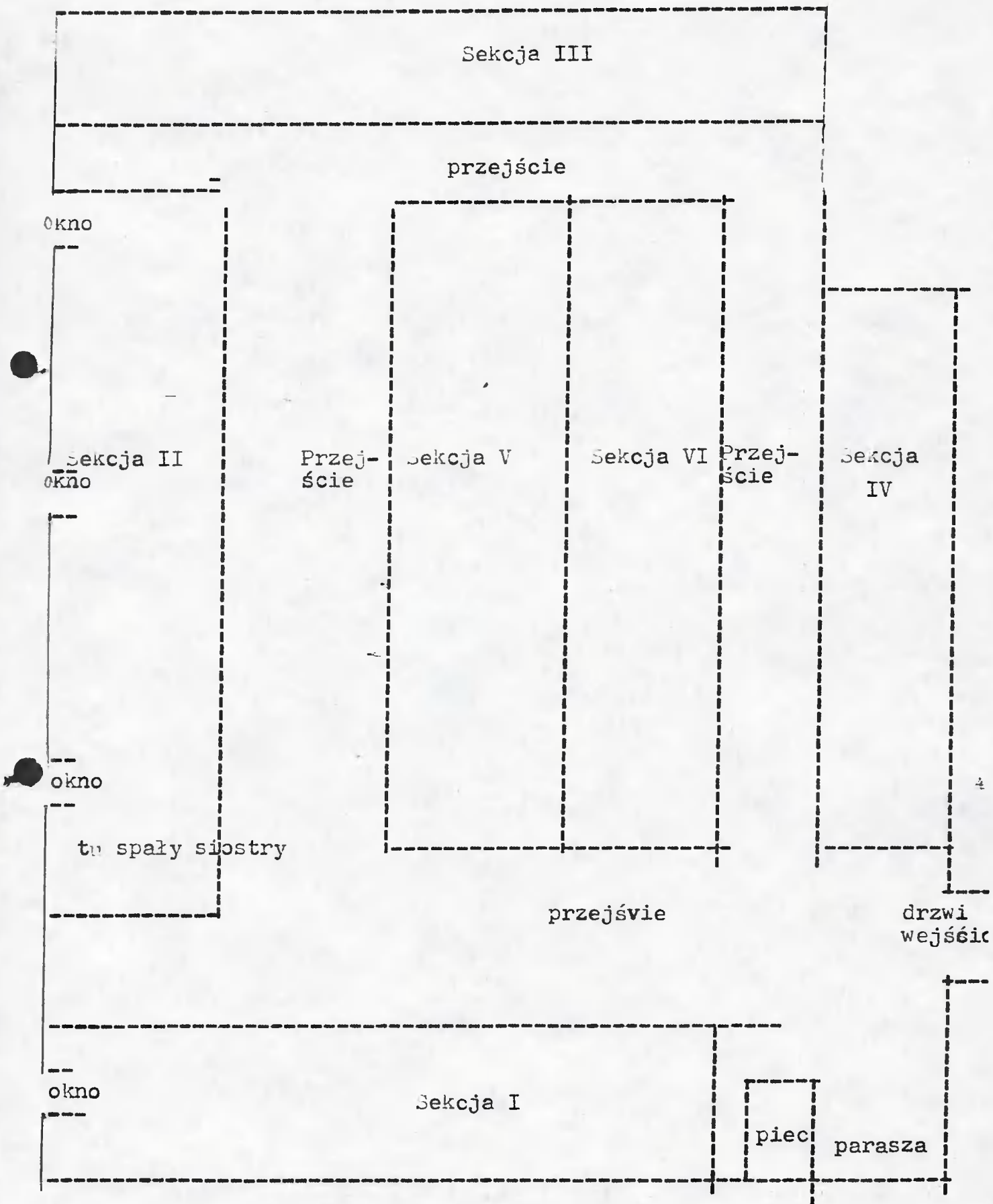
Ciekawe, że pamiętam, w którym miejscu był w celi piec. Przypominam też sobie, że bywał ciepły, bo suszyłyśmy przy nim "pranie", ale pomimo najusilniejszych starań nie mogę sobie przypomnieć momentu podpalania go, tak jak i nie przypominam sobie nic ze sprzątania korytarczy, "ubornej" /WC/ itd. w więzieniu centralnym. Najprawdopodobniej nie należało to nigdy do obowiązków naszej sekcji. Ja zresztą tej czynności nigdy w życiu nie opanowałam, pomimo że życie wielokrotnie usiłowało mię tego nauczyć. Byłam jednak bardzo odporna na wszelkie palenie, podpalanie itp. Wykazałam w tym zakresie wyjątkowy hart ducha i ciała. Jakoś tak się składało, że zawsze znalazł się ktoś bardziej pozytywnie wobec tej czynności nastawiony i zrobił to za mnie - z paleniem papierosów włącznie.

"Druga wielka bitwa w celi miała miejsce pomiędzy sekcją trzecią /Gala, Põla, Stefka z Warszawy/, a Franią wariatką. Wtedy to kilka menażek drogocennej zupy i wody wymalowało na ścianie przepiękny widoczek. Była to ściana przeciwległa do naszej sekcji, więc miałam okazję podziwiania pięknej oazy na Sacharze. Skończyło się tym razem nawet bez interwencji dyżurnego."

Ani samej bitwy, ani jej przyczyn dziś już nie pamiętam, ale gdy przymknę oczy wyraźnie widzę wspaniałe palmy wymalowane zupą. Musiał to chyba rzeczywiście być udany malunek, jeżeli go dotychczas pamiętam, chociaż wiele innych bardziej istotnych rzeczy zapomniałam.

" Kiedyś Olga stała się nieznośna, więc postanowiłyśmy ją nastraszyć, bo to był jedyny na nią sposób. Ja przebrałam się za diabła, bo w związku z żałobą po ojcu miałam jeszcze wiele czarnych rzeczy.

Plan celi kobiet w więzieniu centralnym w Baranowiczach-Wiśniczu



Zupełnie dobrze wyglądałam - nawet miałam z pończochy ogon i rogi. Biegałam po celi z pomrukami, bo hałasowanie stanowiłoby niebezpieczeństwo ściągnięcia dyżurnego. Olga była wystraszona i twierdziła odtąd, że u nas w celi skądś pojawił się diabeł. Tym razem impreza udała nam się bez inspekcji dyżurnego.

Ale kiedy następnym razem przebrałam się za diabła, a Janka Sylwestrowicz za anioła wszedł do celi "Zgolona Brewka". Jemu się te nasze wygłupy podobały, więc zawołał "korpusnego" /kierownika bloku/ "Łapę". Ten jednak potraktował to zupełnie inaczej i chciał nas zabrać do karceru. Tymczasem zaś zamknął w "ubornej"/WC/, bo ja nie okazując skruchy powiedziałam:

- Wielkie rzeczy, pójdę do karceru. Karcer też dla ludzi.

Po pięciu minutach przyszedli po nas obaj i "Łapa" wygłosił całe kazanie na temat konieczności przestrzegania regulaminu więziennego i porządku w więzieniu. Janka stała za mną i pękała ze śmiechu, a "Zgolona Brewka" stał za "Łapą" i też pękał ze śmiechu. "Łapa" z zupełnie niezrozumiałych powodów wyobrażał sobie, że ja jestem rozsądniejsza w ich pojęciu, bo całe kazanie zwrócił do mnie. Powody takiego wyobrażenia są tym bardziej niezrozumiałe, że Janka była nie tylko starsza ode mnie, ale wyglądała^{no} o wiele starszą i była bardziej doświadczona życiowo. Ja przy niej wyglądałam jak dziecko. Efekt końcowy całej imprezy był taki, że "Łapa" przekonał się, iż my się wcale bezustannie nie smucimy, że wierzymy w lepsze jutro i żyjemy nadzieją, a życie codzienne urozmaicamy sobie jak możemy. Nie wiedząc co z nami w takiej sytuacji zrobić puścił nas - pewnie na skutek sugestii "Zgolonej Brewki" - po udzieleniu kilku zbawien-nych rad i wskazówek na zakończenie ... do celi."

Ciekawe, że ja po pierwszej nocy, kiedy ogarniał mię paraliżujący strach przed karcerem - takim, jakim go sobie wyobrażałam - po skonfrontowaniu z mniej przerażającą rzeczywistością, nigdy się potem kar-

ceru nie bałam i może dlatego nigdy potem do niego nie trafiłam, chociaż wielokrotnie w ich pojęciu zasłużyłam. Dwie najstraszniejsze kary więzienne - karcer i konfrontacja - nie robiły na mnie wrażenia - chyba właśnie dlatego, że moja o nich wyobraźnia była o wiele straszniejsza niż rzeczywistość. Ostatnio czytałam wiele na temat przeżyć więziennych i ani razu nie spotkałam takiego jak moje podejścia do tych kar. Ja na tym dobrze wyszłam, a to najważniejsze.

" I znów płynęły dni szare, monotonne jak pieśni ludu, pełne żalu i tęsknoty za tym, co minęło.

Czasem kogoś zabrano na śledztwo, albo ktoś dostał paczkę. Innego znów dnia ktoś poszedł do karceru lub usłyszał jakieś wiadomości ze świata rozciągającego się tuż za murami, a jakże dalekiego. Ze świata, z którego my jako "wragi naroda" /wrogowie ludu/ zostaliśmy wyłączeni, wykluczeni. Zresztą nic nowego. Czas skracamy sobie robieniem na drutach i szydełkowaniem. Ze starych podartych trykotowych koszul robimy nowe śliczne bluzki.

9 listopada 1940r. wywołują Izę, ale paczki nie dają. Dlaczego? Może była sama żywność, więc ją sami pożarli? Żydówki dostają żywność, pomimo że jest to zabronione.

11 Listopada 1940r. obchodzimy uroczystości. Wszystkie ubieramy się odświętnie. Po śniadaniu wspólna modlitwa. Potem "Akademia" /wiersze patriotyczne, opowiadania, piosenki/. Tego dnia żadna z nas nie bierze roboty do ręki.

Przedtem coprawda dyskutowaliśmy nad tym czy święto to nadal pozostanie aktualne czy nie i zdania były podzielone. Ale w dniu 11 listopada wszystkie świętowałyśmy.

W dniu 23 listopada 1940r. znów dostałam paczkę, tym razem bardziej obfitą w żywność /przetopiona słonina, masło, polędwica, sucharki, cebula, czosnek, czekolada i cukierki. Radość nasza była ogromna, bo brak żywności - szczególnie witamin - porządnie odczuwamy".

Coś tu mi się jakoś trochę nie zgadza. " listopada 1940r. pisałam, że doręczanie żywności jest niedozwolone, że dostają ją tylko Żydówki, a tu już 23 listopada 1940r. sama dostałam tyle żywności. Najprawdopodobniej zawartość paczki była każdorazowo określana według widzi mi się tego, kto ją kontrolował. Wygląda na to, że byłam antysemitką. Rzeczywiście nie lubiłam starych Żydówek z "pod ściany płaczu" w VI sekcji /bogate żony fabrykantów/, ale w naszej sekcji była Rywa i bardzo dobrze ze sobą żyłyśmy. Tak wtedy myślałam, a ile w tym było słuszności, to już odrębna sprawa.

"29 listopada 1940r. urządzamy sobie "Andrzejki". Palimy papier topimy wosk itp. /Nie wiem skąd był ten wosk, ale pamiętam, że był/. Ciągłe nam wychodzą jakieś działa, jakieś tanki /czołgi/, samoloty, wojsko. J¹enym słowem wróżymy sobie na następny rok upragnioną, oczekiwaną wojnę- wybawicielkę. Kładziemy się spać z jak-najlepszą nadzieją, a hałas myszy w nocy bierzemy - senne - za upragnione działa.

Z tymi myszami to było tak:

Budzę się kiedyś w nocy, a coś mię drapie w głowę. Podnoszę rękę do głowy i chwytam za ogon... mysz!!!. Od tego czasu zaczęły u nas w celi grasować myszy. Bywały więc tragiczne wypadki kiedy niektóre mieszkanki celi bały się podejść do "praszy"/kibla/, bo w koszu na śmieci stojącym obok siedziało kilka myszy. Zawsze kiedy dyżurny przychodził wieczorem na "prowierkę" /apel wieczorny/ mysz wyłaziła. Czasem to tylko my udawałyśmy, że ona wyłazi i z piskiem uciekałyśmy z tego miejsca przeszkadzając solidnie w "prowierce" /liczeniu nas/. Prosiłyśmy zawsze o zabicie dziury w podłodze, gdzie była mysia nora. Prośby nasze nie odnosiły żadnego skutku, więc pewnego wieczora same urządziłyśmy wielkie polowanie i tryumfalnie wyrzuciłyśmy złapaną mysz za okno na mróz. Odtąd myszy znikły.

30 listopada 1940r. Rano wszystkie kobiety poszły do "bornej"/WC/. Zostałam tylko ja i jeszcze kilka innych, którym nie chciało się wstać. Wszedł dyżurny i wprowadził do nas nową, prosząc byśmy się nią zajęły. Obejrzałam ją i stwierdziłam, że należy do nas. Zabrałam więc do siebie do naszej sekcji.

Z rozmowy dowiedziałam się, że się nazywa Janina Słonko i pochodzi z Prużany. Siedziała przez miesiąc sama jedna w kolejowym NKWD. Została aresztowana na podstawie artykułów 64 i 76. Tak jak i ja. Teraz skorzystała z mego zaproszenia i rozlokowała się obok mnie. Dziewczęta obecne w celi były tym oburzone i powiedziały:
- Jeżeli przyjdzie ktoś lepiej ubrany, to one zaraz biorą do siebie, a obdartusów odsyłają do nas."

Trochę racji miały, ale nam nie o ubranie chodziło, a o poziom intelektualny, czego one zrozumieć nie potrafiły. Dla nich strój świadczył o poziomie człowieka. Dzieliły ludzi na : lepiej i gorzej ubranych. Inne kryteria do nich nie docierały. My dobierałyśmy się bardziej według paragrafów oskarżenia niż strojów.

" Była jedna nieprzyjemna rzecz. Ina miała w głowie sporo "zwierzątek", które po nocy wędrowały do mnie. Dlatego też codziennie rano odbywało się staranne "iskanie" i czesanie głów gęstymi grzebieniami. Akcja ta trwała ponad tydzień, to znaczy tak długo dopóki Ina nie oczyściła całkowicie głowy. Teraz oczekujemy na przybycie koleżanki Iny - Dzidzi Cypryńskiej /chyba pełne imię Halina/. Zamim jednak zjawiła się Dzidzia, przywieziono z więzienia NKWD nowy transport kobiet. Między nimi była moja znajoma z Lidy Werka Mozol."

Dziś już o Werce Mozol nic powiedzieć nie potrafię. Ani nie pamiętam jak wyglądała, ani skąd ją znałam. Napewno nie była koleżanką z gimnazjum. Najprawdopodobniej poznałam ją w organizacji. Zapomniałam szybciej niż niektóre spotkane tylko przypadkowo w więzieniu. Na przy-

kład Wisię C. żonę porucznika i starszą ode mnie chyba o 7 lat. Chociaż nie pamiętam jej nazwiska, bo wtedy nie zanotowałam widzę ją taką jak wtedy wyglądała. Może dlatego, że posiadała cechy które mi imponowały. Była zaradna. Nie bała się dyżurnych i zawsze ostro im się "stawiała". Umiała skontaktować się z mężem, ryzykując pobyt w karczerze, którego - tak jak i ja - nie bała się.

"Ponieważ obok mnie nie było miejsca Werka położyła się obok Wisi w **IY** sekcji. Od niej dowiedziałam się wielu szczegółów związanych ze śledztwem."

Jaka szkoda, że ich wtedy nie zanotowałam przez ostrożność. Gdybym wiedziała, że ten pamiętnik doczeka wolności w USA napewno pisałabym inaczej i dziś miałby on większą wartość jako dokument. Ponadto wtedy wylawało mi się, że wystarczy jedna litera nazwiska, krótka wzmianka o pewnych faktach, abym ich nigdy nie zapomniała. Stało się jednak inaczej.

" Werka też powiedziała mi, że mój "kochany" Iwańkow nie żyje. 5 grudnia 1940r. Obiad. Stoimy w ogonku po zupę i właśnie wtedy weszła Dzidzia. O ile Ina jest miłą dziewczyną, taką, którą się lubi od pierwszego wejrzenia, o tyle Dzidzia robi niesympatyczne wrażenie. Jest wręcz odpychająca. Jest owszem bardzo inteligentna i mądra, ale jeszcze bardziej zarozumiała i apodyktyczna. Ogólnie jednak trzeba przyznać, że jest typem dodatnim. Umie ona tak ładnie opowiadać jak rzadko kto. Po prostu porywa słuchaczy.

Ulokowałyśmy ją początkowo pomiędzy Litwinkami, ale potem Werka pokłóciła się z Wisią C. i wyniosła się do II sekcji do Janek z Werenowa, więc Dzidzia przeszła do Wisi. Litwinki się obraziły, ale Dzidzia i Wisia bardziej do siebie pasowały.

Dzidzia nauczyła nas wiersza K. Wierzyńskiego, ułożonego we wrześniu 1939r. Nigdzie go potem nie spotkałam, więc cytuję:

DUMNYM BĄDŹ

Wrześniowym rankiem poszłeś w bój
Gdy pierwsze padły strzały
Tak, jak ojciec i jak dziad Twój
Ojczystej bronić chwały.

Dziś nie ma Ciebie!
Spisz cicho wśród kolegów.
A ponad młodą śmiercią Twoją
Chyli się polskie niebo.

Chylą się białe brzozy
Na martwe czoło trzęsą łzy.
Na poczerńnię, krwiste wrzosa
Siadają blade sny.

Sny, co dziś niosą wieść tajemną,
Od której serce drży
Że Polska nasza nieśmiertelna
Z Twojej powstanie krwi.

Więc, że Twa młoda krew przelana
Ma taką dziwną moc,
Że przez śmierć Twoją Polska wstanie
Żołnierzu dumnym bądź!

Już teraz nie pamiętam, co oznaczał zanotowany dalej wiersz, ale
też chyba był z repertuaru Dzidzi, więc go jednak przepiszę:

"Szczęście to. iaki nad brzegami wód przejrzystych nie miłość twoja.
Miłość Twoja, to smutek mój.

Szczęście - to wzgórza gajami zielonymi porośłe - nie uśmiech Twój.
Uśmiech Twój - to moja tęsknota.

Szczęście - to pierwszy dzień wiosny paki rozwijający - nie poca-
łunki Twoje.

Pocałunki Twoje - to rozkosz pragnień nigdy nie nasyconych.

Ale, ani w pierwsze dni wiosny, ani wśród wzgórz zielonych,
Ani nad brzegami wód przejrzystych nie ma szczęścia bez Ciebie!

" 11 grudnia 1940r. Iza dostała paczkę, a w paczce chusteczkę z napisem Maryla. Wiedziała więc teraz, że ta paczka była od ciotki Maryli z Rzeszucka.

Zapomniałam napisać, że ja w drugiej paczce w kołnierzu czarnej sukienki dostałam od mamusi list. Pisze, że nie tracą nadziei, że się wkrótce zobaczymy. Reginka pracuje u fryzjera. Staszek na dawnym miejscu. Niunia Wojtuszkiewicz i Lena Bakłan aresztowane. Popłakałam nad nim /nad listem nie nad Staszkiem/. Ale co robić? Nic zmienić nie potrafię.

Ja też wysyłam do nich wiadomości lub listy przez rozmaite osoby. Właśnie ten był odpowiedzią na moje ustne informacje przekazane przez panią Julię Juralewicz.

Po moim przypadkowym przebraniu się za diabła, żeby nastraszyć Olgę, wpadamy na pomysł urządzenia przedstawienia. Na papierze - zdobytym nie pamiętam gdzie - układamy wierszyki do melodii kujawiaka na całą celę. Niektóre z nich były zupełnie udane. I któregoś wieczora Janka Sylwestrowicz przebrała się w białe spodnie męża Rywy, która była w naszej sekcji. Włożyła też mój czarny kapelusz. Wyglądała wspaniale - zupełnie jak jakiś Hiszpan. Ja włożyłam krótką jedwabną spódniczkę zrobioną z materiału Kazi i bluzkę upiętą ze szkockiej wstążki Izy. Na głowie miałam też kolorowy szaliczek.

Przedstawienie udało się - chyba tylko dlatego, że nie ja śpiewałam - a niektóre wierszyki przetrwały w mojej pamięci, bo nie wiem co się stało z kartkami. Ja ich w każdym razie nie zachowałam.

Teraz więc przytoczę niektóre z nich:

Klub czyli Sekcja I: Jest Klub Starych panien w celi za wyjątkiem
Izabeli
Rywa, chociaż męża miała, starą panną tu została.

/Najstarsza z Klubu Marycha miała 33 lat, ja 20, Iza 17, reszta 27-28 lat/.

Iza: Jakże czasy się zmieniły. Chodzi sprzątać - Boże miły!

W cudze suknie się ubiera. Ot i córka inżyniera!

Kazia: Gdy ktoś leci do paraszy, buldog krzykiem swoim straszy.

Inne z Klubu pomagają, chociaż same też siadają.

Genia: Nogi słonia, twarz dzieciaka. Chociaż umrzeć skraść buziaka

Oczy ma koloru nieba, tylko jej pamięci trzeba!

Joaska: W politykę się bawiła, za to do tiumy trafiła,

Gdzie za lubym tak tęskniła, że się suchot nabawiła.

Janka: Na wolności talent miała. W tiumie go nie zmarnowała.

Widać dobrze zabiegała, Starszą od bajców została."

Janka była w Wilnie fordanserką w lokalu. Ja w rzeczywistości nie byłam chora, tylko drobna i szczupła, jedynie sekcja II twierdziła, że mam gruźlicę. Nie pamiętam dlaczego Gence zarzuciłyśmy brak pamięci, ale napewno jak większość zarzutów było to związane z krytyką III sekcji. To samo zresztą dotyczy Kazi określonej jako buldog. W tych wierszykach same podkreślałyśmy te cechy, z których wyśmiewały się koleżanki z innych sekcji. Taka autokarykatura.

" Trzecia sekcja, której przygadałyśmy do jej dewocji i wróżbiarstwa obraziła się i po zakończeniu naszego programu wystąpiła Halinka Surudo - Jedna z tych, co to miały śpiewać na 17 września "Pomniat psy i atamany" - z następującym wierszem:

Pierwsza sekcja to wariatki, piszą jakieś wiersze kartki.

Gdy Ojczyzna we krwi tonie, one skaczą na jej łonie! itd.itd. aż do łez.

Oburzyła nas ta ich hipokryzja. Czy myśmy zrobiły coś złego? Chciałyśmy tylko urozmaicić czy uprzyjemnić życie w celi! Czyż mamy cały czas płakać, poddać się uznać się za zwyciężonych, pokonanych? O wiele gorszy byłby pokłon naczelnikowi więzienia i odśpiewanie

"Pomniat psy i atamany , pomniat polskije pany". Nasz program obejmował poza wierszykami, odśpiewanymi ^{pieśniami} na zakończenie inscenyzację "Dziada I Baby", "Na Wójtowej Roli" i kilku innych, o charakterze rozrywkowym, a bardzo polskim.

Nie! Nie złamią nas! Naszą dewizą było zawsze pokazywać pogodną twarz nawet wtedy kiedy strach lub lęk paraliżował wnętrza. Niech wiedzą, że nas nigdy nie zgnębia, bo żyje w nas polski duch, bo wierzymy w zmianę na lepsze, bo wiemy, że koło historii obróci się na naszą korzyść. I wiem, że to właśnie naszych wrogów najbardziej irytowało. Nie mogli znieść naszej pogody ducha, naszej wyniosłości w stosunku do nich, naszej "pańskości". Starali się nas zgnębić, ale te właśnie cechy, które chcieli w nas złamać, równocześnie chyba najbardziej im imponowały.

Byliśmy dla nich zawsze polskimi "paniami". Pamiętam, że ilekroć spisywali personalia zawsze pytali:

- Wy iz pomieszczyków? Wy pochodzicie z obszarników?

A kiedy przeczyłam twierdzili, że jak zwykle kłamie. Im wydawało się, że kultura to tylko atrybut arystokracji. Nie wiedzieli wcale o istnieniu zwykłej sobie inteligencji nie wyzyskującej nikogo a po prostu pracującej. U nich inteligencji wtedy jeszcze nie było, bo ich szkoły inteligencji wykształcić nie mogły.

Wydaje mi się, że taka postawa jest o wiele lepsza i godniejsza Polaka niż zalane łzami oczy i pokorna mina mówiąca bez słów:
- prastitie grażdanin diżurnyj! - Wybaczcie obywatelu dyżurny!
A poza tym, jeżeli one były dobrymi Polkami, a my błądziłyśmy to powinny były nas delikatnie pouczyć, zwrócić uwagę w sposób kulturalny i przekonać, że źle robimy. Napewno doszłybyśmy wtedy do porozumienia, bo albo my byśmy ustąpiły, albo udowodniłybyśmy, że nie mają racji. Teraz jednak przestrzeń dzieląca sekcję trzecią od pierwszej - pseudo-inteligencję od inteligencji - zmieniła się w przepaść nie do przebycia.

Od tej chwili Halinki Surudo nie uznawałyśmy, a jej bez nas było jednak bardzo źle.

W tym okresie również ja posprzeczałam się z Dzidką. Nie wiem już o co nam poszło, ale od tego czasu nasze stosunki stały się - że tak powiem - wyłącznie "służbowe".

Teraz przypuszczam, że podłoże sporu miały względy emocjonalne, chyba byłyśmy do siebie zbyt pod pewnymi względami podobne. Ja nie byłam tak bardzo zarozumiała jak ona, ale skromnością też chyba w tamtym czasie nie grzeszyłam. Do jej przyjścia byłam pupilką, bo najdłużej byłam w śledztwie, cierpiałam rozłąkę z ukochanym, umiałam recytować i opowiadać i byłam "duszą towarzystwa". Przyjście Dzidki zmieniło sytuację. Dzidka recytowała i opowiadała o wiele lepiej niż ja, więc chyba po prostu byłam zazdrosna o swoją dawną pozycję.

To takie bardzo ludzkie, z czego jednak wtedy nie zdawałam sobie sprawy.

Więzienna wigilia

Wśród tych wielu wydarzeń zupełnie nieoczekiwanie szybko nadszedł grudzień, a z nim oczekiwanie najradośniejszych Świąt w polskich rodzinach. Zaczęliśmy się powoli zastanawiać jakie one dla nas będą i:

"15 grudnia 1940 roku Ina dostała z domu paczkę - pierwszą od kiedy siedzi w więzieniu. Oprócz ubrania i żywności dostała w kieszeni fartucha OPLATEK. Tak więc wigilię będziemy miały normalną - wigilię staropolską z opłatkiem i maksymalną liczbą dań.

A Święta już tak blisko. Tuż! Tuż!

Na tydzień przed Świętami zyczynamy oszczędzać chleb, żeby na Święta mieć do syta. To znaczy, żeby na pierwszy dzień Świąt każda z nas miała trzy porcje zwane tutaj "pajkami". Oszczędzamy również cukier. Mamy go mieć również po trzy porcje, to znaczy po dziewięć łyżeczek, co jest bardzo dużo zważywszy, że cukru nie dostawałyśmy codziennie.

W wigilię Bożego Narodzenia wzięto nas do łaźni. Zabieramy się naturalnie "so wsiemi wieszczami" - z wszystkimi rzeczami. Najwpierw - jak zawsze - siedzimy ze dwie godziny w karczerze czekając na swoją kolejkę, gdyż jesteśmy w drugiej grupie. Zazwyczaj dzielą nas na trzy grupa po 30 - 35 kobiet w każdej. "

W szatni znajdujemy życzenia świąteczne od mężczyzn."

Jakie to dla nas typowe oszczędzałyśmy z głodowych porcji, żeby na Święta mieć obfitość. Tak bardzo chciałyśmy mieć złudzenie prawdziwych Świąt. Zastaw się, a postaw - nawet w więzieniu. My znalazłyśmy życzenia świąteczne...

" A w celi dyżurni znajdują : w szufladzie stołu kartki z naszymi wierszykami /dlatego też ja ich nie miałam/ i nie wiem gdzie krawieckie nożyce oraz pocięte koce, przygotowane do zrobienia z nich wojłaków. Tagedia! Przychodzi naczelnik. Dopóki się nie przyznamy nie pozwolą nam wychodzić do "ubornej"/WC/. Co robić? Do kartek my się odrazu przyznajemy. Ale z nożycami i kocami jest gorzej, bo "przestępczynie" wiedzą, że za to grozi surowa kara. Już przedtem kilka z nas siedziało w karcerze za prucie koców na skarpetki i rękawiczki. Nawet ułożyliśmy wtedy taki wierszyk: /ale nie pamiętam o kogo to chodziło/

Otwiera się wizyterka. Dyżurny wciąż przez nią zerka.

Wszystkie śpią ona pracuje... Na skarpetki nici pruje.

Poza tym przy tej okazji naczelnik przypomina sobie również, że ktoś kiedyś pisał w "ubornej"/WC/. Nawiasem mówiąc Wisia C. siedziała już za to w karcerze. Naczelnik jednak skumulował sobie przy tej okazji wszystkie nasze "przestępstwa". Sytuacja wydawała się beznadziejna. I to w wieczór wigilijny...

Najniespodziewaniej jednak chmury się rozwiały. Nie wiadomo jakim cudem? I komu należało dziękować, że ominęła nas kara. W naszej prostocie dziękujemy więc Temu, Który nas zawsze ma w Swej Opiece.

Zmrok... Szykujemy się do wigilii. Po kąpieli jesteśmy czyste fizycznie i chcemy też być czyste duchowo.

Najwpierw na kocu rozściełamy serwetę Izy. Te które były złapane na granicy miały przy sobie spory bagaż w przeciwieństwie do aresztowanych w domu. Na serwecie /chyba obrusie/ ustawiamy: opłatek na małej serwetce, chleb, sucharki, masło, cukier, ciastka, cukierki zamiast śliżyków - typowych dla domów kresowych Wileńszczyzny. Do osłodzonej wody wrzucamy sucharki. Zupa z obiadu przepłukana "kawą" i osłodzona stanowi "kutię" lwowską.

Na nasze szczęście w dniu tym w zupie była kasza - chyba pencak. Tak więc wieczerza wigilijna była wspaniałą ucztą z mnóstwem dań, nie ustępującym liczbą daniom przedwojennym, a o jakości nie myślimy wcale. Po ponad półrocznym wygłodzeniu nawet ta jakość jest zresztą dla nas wspaniała, bo już zapomnieliśmy o właściwym smaku potraw wigilijnych. Ilość zastępuje nam jakość, którą uzupełmiamy sobie wyobraźnią. Dawno już nie widzieliśmy tylu przysmaków. Dawno też nie było ich na naszym więziennym "stole". Błysnęła pierwsza gwiazdka i wtedy zasiadliśmy do tego naszego "suto nakrytego stołu". Wokół niego zamiast krzeseł ułożone były "poduszki". Najwpierw podzieliliśmy się opłatkiem pomiędzy sobą a potem z całą celą."

Musiały to być mikroskopijne kawałeczki opłatka, bo przecież Ina chyba nie dostała więcej niż jeden opłatek, a nas było w celi ze 100 kobiet. Ale chyba nie zmniejszyło to naszej radości, jaką dał nam ten kawałeczek opłatka, pozwalając sobie wyobrazić, że jesteśmy ze swoimi najbliższymi w tym najdroższym dla serca każdego Polaka dniu roku. Tu napisałam pani Irena Arciuszkiewicz, a przedtem było Irena Arciszewska i nie wiem kiedy się pomyliłam. Teraz już sprostować tego nie potrafię.

"My to znaczy: pani Irena Arciuszkiewicz z Lidy, Wisia C. Fursza Rodkiewicz z Nowogródka /chociaż mahometanka/, Kazia Siwiec i Gienia Bieńko z Wilejki, Janka Sylwestrowicz z Wilna, Lusia K. Werka Mozol z Lidy, Iza Świętochowska z Baranowicz, Marychna Jurawicz z Nowogródka, Dzida Cypryńska i Ina /Janina/ Słonko z Pruzany, no i ja. Wydaje mi się teraz, że była również Stacha Karmen, ale tego nie jestem pewna. Życzenie nasze jest jedno, jednakowe: jak najszybciej być w domu ze swoimi i w wolnej Ojczyźnie. Rywa - chociaż Żydówka - też brała udział w wigilii. Smutno...

Wspomnień jasny korowód ciśnie się do głowy. I choć każda stara się wyobrazić sobie, że lepszych Świąt nigdy nie miała - że są to najpiękniejsze Święta w jej życiu, to jednak łązy nie wiadomo poco chcą ujrzeć celę, chcą przesłonić nasz cudowny "stół" i otoczenie. Ale nie! Nie damy się! Żadna z nas nie zapłacze! To nie dla nas! Musimy być silne! Kto wie co nas jeszcze czeka? Co zgotował nam los?

Po wigilii Lusia mówi wiersz "Wigilia powstańców", Wisia - Or-Ota "Krzyżyk z Olszynki", ja - "Smutno mi Boże", "Chorał" i inne. Potem Dzidka opowiada moją "Opowieść wigilijną". Ułożyć tę opowieść to ułożyłam, ale Dzidka opowiedziała ją o całe niebo lepiej niż ja bym to zrobiła. Była to opowieść dość naiwna - o powstańcu i czekającej nań we dworcu narzeczonej - w stylu bohatercko-narodowym i dlatego wtedy wszystkim nam bardzo przypadła do gustu.

Na zakończenie - jak zwykle - zaśpiewaliśmy kolędy. Po wigilii i kolędach wzięłam po trochę ze wszystkich potraw i zanosłam Oldze, którą była tym bardzo wzruszona i zaczęła mi opowiadać całkiem z sensem jak jej było w życiu źle. Opowiadała dużo i szczegółowo i wszystko było do rzeczy. Aż trudno było uwierzyć, że jest nie-normalna. Tak się tym własnym opowiadaniem rozczuliła, że się w końcu rozplakała. Ale i to przecież objaw jak najbardziej normalny. Początkowo nie chciała wziąć ode mnie tego, co jej przyniosłam twierdząc, że ja sama będę głodna, a więc też całkiem logicznie...

W Pierwszym Dniu Świąt spotkała nas miła niespodzianka. Wisia C. dostała paczkę. Wywoływano ją kiedy jej grupa była w "ubornej"/WC/, więc obawialiśmy się, że jej już nie dostanie. Może się wydawać dziwnym, że piszę, iż niespodzianka spotkała nas a nie tylko Wisię, ale tak było naprawdę. Żadnej z nas nawet nie przyszłoby do głowy

myśl, że otrzymana paczka nie jest w równych częściach wspólną własnością - poza odzieżą.

Tym razem paczka była świetna - naprawdę świąteczna, bo zawierała: babkę, szynkę, konserwy, masło, czekoladę itd. Naturalnie w takiej sytuacji świąteczne śniadanie było jeszcze wspanialsze niż wigilia, bo nie musiałyśmy uzupełniać go fantazją, a dzięki oszczędnościom przedświątecznym nawet chleba miałyśmy dosyć.

Gdyśmy w Święta szły do "ubornej"/WC/ to pod każdą celą krzyczałyśmy: "Wesołych Świąt". Halinka Surdo omal za to do karceru nie trafiła. W dniu tym wystroiliśmy się wszystkie w najlepsze sukienki. Nawet dyżurny kiedy wano wszedł do celi zamiast zwykłego "zdrawstwujcie" - dzieńdobry, powiedział: "z prazdnikom was pozdrawlaju" czyli odpowiednik "wesołych świąt".

Dzień ten uprzyjemniła nam ponadto wspólna modlitwa i wieczorny spacer. "Pregułkarzem" /wartownikiem prowadzącym na spacer/ był wówczas "Zgolona Brewka" - fircyk w zalotach. Dla kobiet miał on wiele wyrozumiałości i dobroci, więc chcąc nam zrobić przyjemność zabrał nas na "pregułkę" - spacer - wieczorem. W dodatku nie pilnował żebyśmy szły parami. Skorzystałyśmy z tego. Rozbiegłyśmy się na wszystkie strony, na bardzo coprawda ograniczonej przestrzeni, wywracając się w śniegu, bijąc się śnieżkami. Jednym słowem zachowywałyśmy się jak bydełko wypuszczone po zimie po raz pierwszy na wiosenną trawkę.

A księżyc świecił jasno i patrzył z politowaniem na te przeważnie dorosłe istoty, co skaczą jak młode cielątka na pastwisku pod okiem pasterza. Zapomniałyśmy na chwilę o ceki, o więzieniu w ogóle, o zupie na zgniłej rybie i ceglanym chlebie. Było tylko szafirowe niebo, księżyc, gwiazdy, śnieg i my. To złudzenie trwało nadzwyczaj długo, bo zamiast regulaminowych 10 minut byłyśmy na spacerze prawie godzinę. Regulamin przewidywał spacer 10-minutowy łącznie z dojściem do celi i to nie codziennie.

Może właśnie dlatego, że był to wyjątkowy jedyny spacer jeszcze dziś widzę ten śnieg i księżyc i tę cudowną noc Bożenarodzeniową. Nigdy przedtem, ani potem takiego spaceru nie miałyśmy. Odbynał się on w takiej samej ogrodzonej klitce jak zawsze, ale fakt, że nie musiałyśmy chodzić w kółko parami rozszerzył granice zagrody. Ciekawe, że dziś z centralnego więzienia w Baranowiczach pamiętam tylko naszą wielką celę /jestem w stanie ją narysować/, ten spacer, prysznic w łaźni, a także w mniejszym stopniu bramę więzienną. Nie pamiętam ile dokładnie okien miała nasza cela trzy czy cztery, ale widzę je wąskie, wysokie z lufcikami u góry, normalne okna mieszkaniowe, które nie miały więziennych osłon - może dlatego, że nic za nimi nie było - nawet malutkiego drzewka, chyba tylko mur więzienny i strażnice. Nie pamiętam wcale układu korytarzy i cel a przecież mam zanotowane, że Iza chodziła sprzątać, więc i ja na pewno też; sprzątanie korytarzy mi się jednak zawsze tylko z więzieniem śledczym NKWD. Do "ubornej" chodziłyśmy dwa razy dziennie, do łaźni też od czasu do czasu, a jednak nie widzę dziś dojścia do nich z celi, tak jak nie pamiętam gdzie był karczer. Gdyby nie posiadane notatki na pewno nie wiele mogłabym odtworzyć. Plan więzienia NKWD mam naszkicowany w 1941r. Pamięć przechowała pewne fakty, miejsca tak jak i ludzi wybiórczo i trudno mi powiedzieć dlaczego takiego wyboru dokonała.

" W październiku przyszła do nas baranowicka złodziejka Jadźka. Miała ona sporo nieznanych nam artykułów-paragrafów między innymi prostytucję. Dogadałam się z nią jednak pomimo wszystko i dowiedziałam się, że rodzice Sława są w Baranowiczach. Mama była właśnie chora. Okazało się, że Jadźka często u nich bywała, bo jej koleżanka była tam służącą. A może waczej Jadźka była pacjentką ojca lekarza-wenerologa. Kiedy Jadźka miała iść na sąd Kazia Siwiec prosiła ją, żeby zawiadomiła jej gospodynię w Lidzie

i prosiła o przysłanie paczki. Ja również dałam jej swój adres. Przed wyjściem na sąd Jadźka chciała żeby któraś z nas dała jej swój płaszcz. Ale o tyle głupią żadna z nas nie była. Jadźka nie wytrzymała jednak, żeby czegoś nie ukraść. Pożyczyła od Izy igłę - w więzieniu skarb nieoceniony wart kilka porcji chleba - i nie oddała, a kiedy już wychodziła powiedziała, że igła została u Gali. Ta ostatnia oburzona tym, że żądamy igły wydała współniczkę i pokazała, że Jadźka ma igłę wpiętą do sukienki. Tak więc jej ostatnia kradzież w celi nie udała się.

Za swe oficjalne przewinienia dostała tylko dwa miesiące i w końcu stycznia wyjdzie z więzienia. Gdy się nie jest politycznym, a złodziejem to bramy tego więzienia łatwo się dla niego otwierają."

Po wyjściu z więzienia Jadźka wykorzystwała nasze adresy, ale dla własnych celów: zabrała paczkę niby dla Kazi, od mamy Sława wzięła sporo rzeczy dla mnie, a od mojej mamusi omal nie wyłudziła ostatnich pieniędzy, opowiadając o mnie niestworzone historie. Mamusię uratowała bardziej krytycznie patrząca pani Bakłanowa.

"Była też u nas w celi druga baranowicka złodziejka Olga Annowna. Trochę głupia, prosta dziewczyna. Nie tyle zła, co wzrosła w złych warunkach. Uczyłam ją nawet pisać, bo nie umiała. Ona to - jak dowiedziałyśmy się później - dostarczyła do celi nożyce i czasem za namową mądrzejszych czy raczej sprytniejszych donosiła naczelnikowi więzienia co się u nas dzieje i za to dostawała drugi "pajok" - porcję - chleba. Pewno dlatego w wigilię ominęła nas kara, czego wtedy nie rozumialiśmy.

Potem, gdy ją już osądzono roznosiła zupę i chleb, a nam często dodatkowo przynosiła najróżniejsze wiadomości od mężczyzn i ze świata z grypsami włącznie. Wiadomości miałyśmy również przez pralnię, gdzie stykały się dwa światy: więźniów i tak zwanych wolnych, którzy się w każdej chwili mogli tu wśród nas znaleźć.

Niektóre kobiety z naszej celi chodziły do prania i nieraz mogły wiedzieć bardzo dużo obserwując, co się dzieje w bramie, bo właśnie brama miała bardzo poważny wpływ na nasz los. Tam było widać przygotowania do transportów, tam przywozili nowych więźniów itp."

Niestety żadna z nas do prania nie chodziła, bo po prostu nie dałybyśmy sobie rady. Nie wiem jak było z naszą bielizną, ale chyba te kobiety, które chodziły prac zabierały ją ze sobą. Niestety nic na ten temat nie pamiętam. Wydawało mi się, że zawsze prałyśmy same w "czaju" lub w najlepszym przypadku w wodzie.

"Często nasze "praczk" przynosiły bieliznę znajomych mężczyzn - mieliśmy uzgodnione oznakowanie - do naszej celi dla dokonania naprawy.

Od Świąt Bożego Narodzenia straciłam apetyt. Zaczęłyśmy więc z Izą wymieniać chleb na cukier. Poza tym za jeden "pajoł" - procję - kupiłam sobie na własność igłę. Zdobyć ta była wprost bezcenna. A propos chleba: rozdawała go u nas zawsze sekcja dyżurna. Administracja wewnętrzna celi była świetnie zorganizowana już kiedy po raz pierwszy przyjechałam do więzienia centralnego. Nie było biurokracji i zbędnej hierarchii, ale regulamin porządkowy był opracowany bardzo dokładnie i ściśle przestrzegany.

Zdarzyło się kilka razy, że zabrakło chleba. Ginał gdzieś w niewytłumaczalny sposób albo przed albo w trakcie rozdania. Po prostu znikał jak kamfora, wsiąkał jak woda w ziemię. A co oznaczał brak porcji chleba wie tylko ten, kto sam był głodny. Wtedy Janka Sylwestrowicz zrobiła ważną i groźną minę i zabrała się do rewizji. Nawiasem mówiąc bardzo jej to imponowało. A kiedy odnajdywała chleb patrzyła na winowajczynię zabiernym wzrokiem i mówiła coś pogardliwego. Potem z tryumfem odnosiła chleb do sekcji dyżurnej.

Wkrótce jednak zaczął u nas ginać chleb z toreb, a także zawartość paczek. Było to tak: kilka osób nie zjadło chleba więc został im na

noc. Pewnego razu jedna z tych więźniarek nie znalazła rano torby z chlebem. Rozpoczęły się poszukiwania. Szukano wszędzie, ale bezskutecznie. Nigdzie nie znaleziono. I odtąd co noc zaczęły ginąć worki z chlebem. Aż kiedyś była dyżurną jakaś pedantka i postanowiła dokładnie wyszorować podłogę za "paraszą": kibel/. Gdy tak się w kącie grzebała zobaczyła nagle za piecem wszystkie zaginione torebki od chleba. Chleb naturalnie zginął bez śladu. Po wnikliwym przeprowadzeniu śledztwa - znów przez Jankę - okazało się, że sprawczynią kradzieży była druga duża Jadźka - córka sierżanta WP.

Po strasznych i głośnych awanturach chleb przestał ginąć, ale za to zaczęły ginąć inne rzeczy. A to bielizna rozwieszona do suszenia przy piecu i zapomniana tam na noc, a to jakaś część garderoby nie schowana. Najbardziej jednak nęciła bielizna przy piecu, chociaż i innymi rzeczami złodziejka nie pogardzała.

Raz kiedyś Kazia Siwiec obudziła się i zobaczyła, że kulawa ciotka zdjęła nasze ręczniki, więc wstała i bardzo grzecznie podziękowała jej za ich zdjęcie, boby się poprzypalały. Paczek musiałyśmy od tego czasu kolejno pilnować, albo na noc brać pod głowę. Jakiś szczególny sentyment czuły złodziejki do inteligencji, ale że nie mogły się wkraść pomiędzy nas, bo myśmy żyły solidarnie, nic im z tego nie wychodziło."

Miało tu też poważne znaczenie nasze "położenie geograficzne", bo głowy w sekcjach I, II, III i IV znajdowały się przy ścianie, a więc były trudno dostępne, a w sekcjach V i VI więźniarki stykały się głowami, więc złodziejki miały ułatwione zadanie.

"Skoro raz zaczęłam to będę dalej pisać o tej drugiej dużej Jadźce. Zazwyczaj Iza i ja wieczorem bardzo długo nie zasypiałyśmy. Przyzwyczaiłyśmy się do "nocnych rodaków rozmów" i opowiadałyśmy sobie wtedy bajki, przeczytane książki lub wspomnienia z dawnych, dobrych czasów, które wydawały nam się teraz bardzo odległe, chociaż od rozpo-

częcia wojny upłynął zaledwie rok. Nieraz właśnie wieczorem czytaliśmy listy od jej ojca lub Heńka Jeziorka. Te listy to były grypsy więzienne. Albo same coś pisałyśmy. Za papier służyły nam resztki ukradzionych w trakcie sprzątanania kartek papieru, brzegi gazet lub papierki gilzowe z wypalonych papierosów. Ołówki przechowywałyśmy przeważnie oklejone mydłem dla niepoznaki, bo ołówek był przedmiotem równie zakazanym jak i igła.

Takiego to jakiegoś wieczora nie spały również Litwinki. Litwinki to dziewczęta mieszkające we wsi polskiej, ale narodowości litewskiej. Chciały przejść granicę do Wilna, no i wpadły. Tego wieczora jedna z nich chciała podejść do "paraszy" /kibla/ i nagle stanęła nad Jadźką i zaczęła dawać znaki współtowarzyszkom. Te tajemnicze znaki przyciągnęły również naszą uwagę. Zwolna wszystkie się podniosły i z mimami uczestniczek seansu spirytystycznego na palcach zbliżały się do Jadźki. Nie byłybyśmy z Izą kobietami gdybyśmy - wiedzione ciekawością - nie ruszyły ich śladem. Oczom naszym ukazał się dziwny widok. Jadźka rozkryła się przez sen i widać było na jej udach rany i wrzody. Stanęłyśmy zdziwione. Co to? I nagle z czyichś bardziej uświadomionych ust wypełza jak wąż z sykiem straszne słowo - "syfilis".

Boże! Jeszcze jedna plaga więcej! Czy naprawdę zasłużyłyśmy aż na taką karę? Co robić?! W tej chwili wydaje nam się, że to już koniec świata, że nic gorszego spotkać nas nie może, że wszystko skończone. To nasze "epokowe" odkrycie jawi nam się w danej chwili jak największa tragedia. Wydaje nam się, że już nie ma dla nas ratunku. Teraz rozumiemy dlaczego Jadźka zawsze kąpała się w łaźni w kąpielówkach. Idziemy spać pod wrażeniem strasznego ciosu, jaki spadł na nasze i tak już zbiedzone głowy.

Nazajutrz powiedziały o tym Jadźce, która schowała się po tym pod koc i nawet nie chciała nic jeść. Od samego rana zaczęłyśmy się też domagać przyjscia lekarki. Ale "darema żale, próżny trud!"

Bezsilne też były nasze złorzeczenia. Po kilku jednak dniach zjawiała się "miedsiestra" czyli pielęgniarka i powiedziała, że chyba się mylimy. Naturalnie - my w krzyk!!! Więc, żeby nas uspokoić obiecała zrobić analizę krwi Jadźki. To nas trochę uspokoiło. Jak zwykle cała sprawa skończyła się na obietnicy.

Ale - jak zwykle - czas wszystko leczy. I my z czasem zapomnieliśmy o całym wydarzeniu, które w pierwszej chwili tak bardzo nami wstrząsnęło; tyle tylko, że byliśmy potem ostrożniejsze w obcowaniu z nowymi osobami...

W tym też mniej więcej czasie dała nam się we znaki niejaka Elżunia - starosta celi, istota o wiele sprytniejsza i podlejsza od swojej poprzedniczki Stefki... Podczas, gdy Stefka słuchała, co jej mówiły inne, sprytniejsza Elżunia sama podburzała głupsze i przez nie donosiła władzom więziennym sama pozostając w cieniu. Nie była więc "donoszczykiem"/szpiclem/, a cała złość celi skierowana była nie przeciw "ręce", lecz przeciw "ślepemu mieczowi".

Najważniejszym tematem "donosów" była nasza korespondencja z mężczyznami, a głównym objektem nienawiści - Wisia, najczęściej korespondująca z mężam. Nie miałyśmy więc spokoju. Każdy list był wyjmowany i wkładany do skrytki według ściśle opracowanego planu strategicznego wykluczającego możliwość podglądu ze strony Elżunki i jej poplecniczek. A czytałyśmy i pisałyśmy listy tylko w nocy lub kiedy przeciwny obóz był w "ubornej"/WC/, bo za korespondencję groził w więzieniu karcer.

Ponadto Elżunia i jej kompania toczyły z nami walkę o lufciki. Nie raz powietrze w celi było tak ciężkie, że można było zawiesić się, a one bojąc się przeziębienia sprzeciwiały się otworzeniu lufcików. Niejednokrotnie sprawa opierała się aż o dyżurnego i wtedy my najczęściej wygrywałyśmy sprawę, bo nawet on rozumiał, że przy stłoczeniu 100 kobiet w jednej sali bez wietrzenia trudno wytrzymać.

Kiedys któraś z nich posunęła się wręcz do Oświadczenia, że woli umrzeć od smrodu niż z przeziębienia. Skończyło się jednak pomyślnie dla nas. Raz wieczorem, gdy Wisia otwierała lufcik jedna z nich - Zofia Antropik - chciała zamknąć i tak trzęsnęła, że ku naszemu zadowoleniu wybiła szybę. Cella ta była w mojej praktyce więziennej jedyną, w której były normalne okna z normalnymi parapetami i lufcikami, tylko bardzo wysokie, ale nawet bez drewnianych osłon za oknami - może dlatego, że i tam nic tam poza murem więziennym nie było widać.

Zośka Antropik słynęła z tego, że zawsze się zgłaszała, gdy dyżurn pytał:

- Kto sdiēs na bukwu "ja" - Kto tu jest na literę "ja"? Litera "ja" to ostatnia litera rosyjskiego alfabetu.

- Ja - zgłaszała się Zośka.

- A kak zwat'?' - A jak się nazywasz?

- Zofia Antropik - odpowiadała.

To był jej stały repertuar, a dyżurni jakoś się ciągle nabierali. Ponieważ już zaczęłam mówić o Elżuni muszę opowiedzieć o jeszcze jednym jej wyczynie. Była u nas w celi jedna 78-letnia staruszka pani Gasztołd-Goworek z Puszczy Nalibockiej. Siedziała ona z artykułów 64 /organizacja/ 76 /niezadowolony z władzy radzieckiej/ 70/24 /morderstwo/pomoc w nim/ i 80/24 /partyzantka czyli bandytyzm/pomoc/. Żyła ona od nas zdala jako osoba starsza i Białorusinka. Zbliżyła się natomiast odrazu do pani Leny Mielnikowej - Rosjanki-emigrantki siedzącej z artykułu 76 /niezadowolony z władzy radzieckiej/, gdyż była córką białego generała Rosjanina. Lena udawała teraz lojalną obywatelkę Sowieckiego Sojuszu. Zawsze podkreślała, że jest secundo voto żoną zwykłego chłopca Założuka. Z drugiej jednak strony nie przeszkadzało jej to na podkreślanie również jednomyslności z nami. Do czasu jednak dzban wodę nosi, a szydło siedzi w worku. Kiedys w

złości powiedziała, że wszyscy Polacy-partyzanci to bandyci. Tego nam było za wiele. Od tej chwili żadna z nas nie odzywała się do niej ani słowem, a ona użalała się na naszą niesprawiedliwość, jako że zawsze starała się Polkom pomagać będąc w ścisłym kontakcie z NKWD. Chyba tylko donosząc o tym co się u nas dzieje - taki był do tego nasz komentarz. "

Lena była jedyną osobą w celi mówiącą płynnie po francusku więc przed tym wypadkiem często z nią rozmawiałam po francusku, żeby nie wyjść z wprawy. Było to korzyścią i dla niej i dla mnie. Potem jednak ^{wyżek-} ^{tam} się nawet tej drobnej przyjemności, bo oburzenie moje było silniejsze niż wszelkie przyjemności.

"Tak więc pani Lena zaopiekowała się babcią Goworek. Początkowo wszystko szło dobrze, ale w końcu się pokłóciły. Wtedy pani Lena sprzymierzyła się z Elżuńką i zaczęła ją podburzać przeciwko babci. Co ta biedna staruszka przecierpiała trudno opowiedzieć. Wystarczy chyba jeżeli powiem, że na każde jej słowo Elżunia odpowiadała najordynarniejszym "ruganiem"/wymysłami/. Byłyśmy tym oburzone, ale nie miałyśmy na postępowanie Elżuńki najmniejszego wpływu. Nasza interwencja odniosłaby odwrotny skutek.

W swojej karierze więziennej spotkałam nawet jedną prawdziwą morderczynię. Była nią niejaka Czertok. Poprzednio pisząc o wyjeździe z więzienia NKWD napisałam, że została Maryna i morderczyni Car, ale teraz już nie dojdę czy ona nazywała się Car czy Czertok. Nie ma to zresztą żadnego znaczenia. Sprawa jej przedstawiała się mniej więcej tak: Miała ona 15-letniego syna, którego z niewiadomych nam powodów zabiła nożem. Potem zaś powiedziała, że uczyniła to niechcący 12-letnia córka. Nie wiem również jakim sposobem zmusiła to dziecko do wzięcia winy na siebie. Kiedy jednak NKWD dało dziewczynce trochę cukierków po odseparowaniu jej od matki i śledczy przemówił do niej ciepłymi słowami, których może ta mała nigdy nie słysza-

ła, a nie wiedziała ile w nich fałszu i obłudy, wyznała całą prawdę. Wszystko to opowiadała nam z całym cynizmem sama zbrodniarka. A wygląd jej?

Była zupełnie podobna do kobiety z plakatu, który wywieszono w Lidzie do filmu: "Oskarżam cię matko!.. " Wysoka, szczupła, w czarnej kortowej spódnicy i takiejże bluzce. Z pod dużej, czarnej również spłowiałej i podartej chusty wysuwają się niegdyś ciemne, a dziś już na wpół siwe kosmyki włosów. Lecz najciekawszą w niej rzeczą jest jej twarz i ręce. Ręce długie o paluchach chudych, zaledwie obciągniętych skórą, pooranych pracą i wiekiem, z długimi pazurami zagiętymi tak jak i same palce. To nie ręka człowieka, a szpony drapieżcy.

A twarz?

Podobnej twarzy nie spotkałam w swym - niedługim jeszcze coprawda - życiu. Czoło niewysokie, ale i nie niskie, pofałdowane zmarszczkami. Brwi? Czy one w ogóle były? Nie zauważyłam. Oczy zapadłe tak głęboko, że trudno wprost określić ich kolor, ale myślę, że są szare. Nie umieją one patrzeć wprost. Ciągłe biegają niespokojne, szukając wroga, wietrząc niebezpieczeństwo. Oczy nieufne, nieszczerze, chytne, podejrzli we. Co je takimi uczyniło?

Czy brak ciepła rodzinnego w młodości? A może stały się takimi już w chwili poczęcia? Nos ostry kpi sobie ze wszystkich i śmiało występuje naprzód z twarzy chudej, sino-żółtej, z zapadłych policzków. Usta - tak jak i brwi - są u tej kobiety niedostrzegalne. Widzi się tylko długą poziomą kreskę. Poza tym nic. Wargi nie istnieją. Na koniec suchy i ostry tak jak nos podbródek nadaje tej kościstej twarzy wygląd śmierci-kostuchy.

Ile ona może mieć lat? Nie wiem. Może trzydzieście kilka, a może i pięćdziesiąt. O ile twarz jej wskazuje na wiek starszy, o tyle figura dziś jeszcze zgrabna i chód lekki nawet prawie elastyczny każą zaliczyć ją do młodszych.

Jakie były koleje jej losu? Co przeżyła? Co zmusiło ją do czynu nie tylko nieludzkiego, ale nawet takiego, na jakie dzikie zwierzę by się nie zdobyło?

Gdybym czytała to w książce uważałabym to za zwykłą fantazję autora. A jednak to jest życie. Matka zabija swe dziecko!

Czy to jest istota normalna? Z pewnością nie!. Ale czy ona się taką urodziła? Czy taką zrobiło ją życie? Czy społeczeństwo nie ponosi za nią odpowiedzialności? Trzeba pozbyć się wszystkich ludzkich uczuć, aby móc w ogóle zabić. Ale zabić tego kto jest częścią mnie samej, tego kogo sama urodziłam, wykarmiłam i wychowałam?!

Owoc licznych nocy bezsennych, może posiłków niespożytych, owoc często wielu łez wylanych, a może i owoc miłości; miłości, która była treścią życia - dziecko! Dziecko! Nie tak słodko brzmi słowo "ukochany" w ustach kochanki, jak "dziecko" w ustach matki.

Sądziła ją, lecz nikt nie zapytał jakie było jej życie. I myśmy ją osądziły: "wyrodna matka". Nawet Iza i ja bałyśmy się w nocy iść pojedynczo do "paraszy"/kibla/, bo ona spała w pobliżu. W razie potrzeby budziłyśmy się na ajem. Nigdy nie pomyślałyśmy, że może genezy tej wielkiej zbrodni należy szukać w zaraniu jej życia. Oburzał nas tylko jej cynizm, jej brak wyrzutów sumienia. Dla Olgi, Agatki, babuszki Ameryki, Frani miałyśmy wiele wyrozumienia i współczucia a ona czyż nie była bardziej anormalna niż one? Czyż ona nie zasługiwała również na współczucie? Czyż należała jej się tylko pogarda? Czy społeczeństwo nie ponosi - przynajmniej częściowo - winy za jej czyn?!

Od Bożegonarodzenia jest nie wiele czasu do Sylwestra, więc układamy plany spotkania Nowego Roku. Umawiamy się kto z kim będzie tańczyć. Moim partnerem ma być Rywa. Niestety 30 grudnia 1940r. Rywę zabierają na "wyrok". Dostaje 5 lat i siedzi w celi osądzonych."

Z tą Rywą to ciekawa historia. Była z nami jako jedna z nas, chociaż w sekcji czwartej była spora grupa Żydówek, ale ona z nimi nie miała nic wspólnego. Tamte były starsze - jakies żony fabrykantów. Jedna z nich była wręcz nienormalna na skutek utraty całego majątku. Pamiętam, że któraś z nich czy też kilka chorowało na wątrobę i przed wojną były na ścisłej diecie: czerstwa biała bułeczka, mało tłuszczu itp. W więzieniu jadły wszystko: zupę na zgniłej rybie, ochłapy, chleb-ceglę i nic im nie było. Głód to najlepsza dieta i lekarstwo. Nie wiem dlaczego grupę tę nazywałyśmy: ściana płaczu. I nie powiem żebyśmy je lubiły. A Rywa była Żydówką, ale równocześnie jedną z nas.

" Tego dnia czyli 30 grudnia mamy również "banię" /kąpiel-prysznic/ Cieszy nas to niezmiernie, bo nie liczyłyśmy w tym roku jeszcze na kąpiel, a jednak udało się, że Nowy Rok spotkamy czyste. W związku z wyjazdem Rywy plany nasze musiały ulec pewnym modyfikacjom, ale i tak wszystko się udało.

Po krótkim przemówieni babci Gasztołd-Goworek wszystkie złożyłyśmy sobie nawzajem życzenia. Jeszcze w czasie wigilii zbliżyłyśmy się do babci i odtąd była między nami "sztama", pomimo różnicy poglądów. Złożyłyśmy życzenia nawet Sowietce Gali Karpowiczównie, która nam życzyła nawzajem wolności w wolnym kraju. Była to komunistka-idealistka, istota bardzo miła i życzliwa, a więc powszechnie lubiana. Gdy szła na sąd wzięła od nas wiele listów do rodzin. Niestety dostała 3 lata i nasze listy znów nie dotarły do adresatów. Po życzeniach noworocznych w końcu sali przy sekcji III odsunęłyśmy posłania tej sekcji, piątej i szóstej i tańczyłyśmy do "prowierki"/apel wieczorny/, a potem spać. Tylko Iza i ja - jak zwykle - oczekiwałyśmy północy i jak zwykle gawędziłyśmy, bo tematu nigdy nam nie brakowało. Nowy Rok minął bez głębszych wrażeń jak każdy dzień świąteczny. Nowy Rok - nowe nadzieje, a wiara wciąż ta sama, niezłomna. Co on nam przyniesie? Czy wysłucha próśb?

7 stycznia 1941 roku. Znów dostałam paczkę. Kiedy dyżurny mię wywołał powiedziałam do Izy:

- Tak bym chciała dostać pomarańczkę i trochę czekolady.

Po godzinie dyżurny woła mię po paczkę na korytarz i widzę, że na pierwszym planie na szafce leży pomarańcz. Dostałam wtedy: masło, smalec, ciastka, cukierki, czekoladę, no i tę upragnioną pomarańczkę. Poza tym były tam śniegowce, trochę nici do szycia - dyżurny jakoś je przeoczył - ranne pantofle, bielizna, spódniczka itp. Byłam bardzo rozczarowana faktem, że nigdzie nie było listu, chociaż wszystko dokładnie przeszukałam. Wysnuwałam z tego jak najgorsze wnioski."

Po powrocie do domu dowiedziałam się, że pomarańcz i czekolada zostały przywiezione przez Edka Wojtuszkiewicza z Wilna, bo w Lidzie takich smakołyków nie było. Tak wygląda prawdziwa przyjaźń!

"Miałam teraz 2 pary rannych pantofli, bo przedtem uszyliśmy sobie z Izą bardzo ładne jednakowe paputki z rękawów /chińskich/ jej szlafroka.

Dziś również to jest 7 stycznia 1941 roku przyjechała do naszej celi z więzienia NKWD Halina Drucko-Podberezka. Mówi, że śledczy wysłał jej sprawę do Moskwy i że ona jutro tam pojedzie. Kim była Halina? Księżniczka z nazwiska. Wychowana bez matki. Dziecko z bardzo bujną wyobraźnią. Nie przygotowana absolutnie do życia - do tego stopnia, że sama nie umiała sobie zapleść warkoczy. Pomimo swoich 18 lat istota nie szynująca tak swoich, jak i cudzych rzeczy - po prostu nie znała wartości przedmiotów. Ogólnie biorąc typ raczej ujemny. Skąd Lolek ją wytrzasnął? Wydaje mi się, że mieszkała gdzieś w rejonie Puszczy Nalibockiej.

Ona to potrafiła pożyczać od niektórych osób ubranie, bo na przykład jej sukienki były brzydsze, pobrudzone lub zniszczone względnie w nieodpowiadającym jej w danej chwili kolorze. Naturalnie pożyczonych

rzeczy nie szanowała bardziej niż swoich. Na nią więc ułożyliśmy taki wierszyk:

Kto chce może w nocy spać, a ja wolę w karty grać.

W lisie pięknie wyglądała, lecz go więcej nie dostała.

8 stycznia 1941 roku dałyśmy Halinie, co która mogła i Halina pojechała do... Moskwy!

Spotkałam ją potem w Mińsku. Była włączona do sprawy Lolka i razem z nim sądzona. Jak i skąd Lolek się z nią skontaktował nie dowiedziałam się, bo o sprawach rozmawiało się tylko z dobrze znanymi osobami, ale fakt, że mieszkała daleko od Lidy świadczy o tym, że nasza organizacja miała raczej szeroki zasięg.

Ciekawe, że Halina spędziła z nami tylko jeden czy dwa dni 7-8 stycznia 1941r., a wydarzyło się tak wiele, że mnie się wydaje, iż była z nami przez czas dłuższy. Gdyby nie czarno na białym sama bym nie uwierzyła, że to było tak krótko. Wiele szumu narobił ten lis, którego Halina zniszczyła. Tego lisa pamiętam dobrze. Poszła w nim chyba do "ubornej"/WC/ i coś tam urwała. Aż trudno mi dziś uwierzyć, że był to tylko jeden dzień, ale mam dokładne daty w pamiętniku. W ciągu jednego dnia zdążyła: pożyczać sukienki i lisa, w nocy grać w karty, okazać się niezaradną i tak bardzo utkwic w naszej pamięci, że ułożyliśmy na nią wierszyk. To sukces niebywały!

"10 stycznia 1941r. Obiad. Południe. Otwarły się drzwi i weszła Renia Mizgier, koleżanka z gimnazjum, która mieszkała w Lidzie Na Baskach. Dyżurny aż usta otworzył patrząc jak się witamy.

Moje pierwsze słowa były:

- Reniu, i ty tu? - chociaż wiedziałam już, że ona jest aresztowana z listu mamusi. Naturalnie pytaniom, odpowiedziom i opowiadaniom nie było końca. Renia ulokowała się za Iną. Od niej dowiedziałam się między innymi, że u mnie w domu były trzy rewizje, że rozwalili piece i nic nie znaleźli, że Reginka pracuje i Staszek też, że Iri jest

na Litwie, że Mary i Nel są aresztowane. /Maria Wijtuskiewicz i Helena Bakłan siedziały do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w Lidzie, ale w różnych więzieniach; jedna na Kamionę, a druga na Syrokomli./

Renia miała "oczną stawkę" z Lolkiem i broni go. Zresztą moja pierwsza złość już minęła. Ale najważniejsze, co mi Renia powiedziała, to to, że jechała razem ze Sławem i rozmawiała z nim w bramie. Sław miał wznowione śledztwo /pewnie w związku z aresztowaniem Lolka/ i teraz wracał. On Reni nie poznał. Pytał jak nieznajomą czy nie siedziała ze mną, a ona odpowiedziała:

- Będę siedziała, Panie Sławku!

Zdziwił się skąd go zna. Ta drobna pozornie wiadomość była dla mnie szalenie cenna. Przynajmniej miałam pewność, że ciągle jest tutaj blisko mnie. Przez cały czas siedziałyśmy z Renią i gadałyśmy o śledztwie, o znajomych i o tym, co się dzieje w Lidzie i co na szerokim świecie. Jeszcze raz Renia opowiedziała mi o aresztowaniu Lolka. Przedtem już szczegółowo opowiadała mi to Benia Lach. Renia mówiła mi, że trud nie był daremny, że inni ludzie jeszcze spokojnie w biurach i fabrykach pracują."

To ostatnie zdanie w pamiętniku zawierało zakamuflowaną informację, że organizacja nadal istnieje i ludzie dalej działają. Tak mię jednak w nieufności wyćwiczyli, że nawet w pamiętniku bałam się napisać otwarcie. Pisząc ten pamiętnik liczyłam się z możliwością wpadnięcia w ich ręce i stąd tyle pierwszych liter nazwisk, których dziś już nie umiem zidentyfikować. Najbardziej męczy mię Wisia C. Na szczęście w jednym miejscu napisałam Staszka Karmen, zamiast Staszka K., bo robiła mi na drogę rękawice i szalik, ale wcale jej już nie pamiętam. Czemu jest tak dziwnie z tą pamięcią, że zostają w niej ludzie, na których nam nie zależało, a ludzie naprawdę bliscy, których nigdy nie powinniśmy zapomnieć zupełnie niespodziewanie wymazani są z pamięci?

Wyjazd do Mińska

"Nadchodzi 20 stycznia 1941 roku. Ponieważ do 19-go nas nie zabrano jesteście pewne, że w tym miesiącu wyjazd nas ominie. Ominął, ale nie mnie."

Nie wiem skąd miałyśmy niektóre pewniki, ale - jak teraz widzę z pa-
← miętника - zawodziły one nas wielokrotnie. Napisałam, że przeka-
← zywanie w paczkach żywności było regulaminem zabronione, a potem
← podając zawartość naszych paczek prawie w każdej wymieniam żywność,
← więc coś tu nie gra. To samo też dotyczy transportów. Przecież Ry-
wę też zabrano 30 grudnia 1940r., a nie 19-go.

"20 stycznia 1941r. Jeszcze jest ciemno, a już nam każą iść do
"ubornej"/WC/. Tym razem i ja się wybrałam. Gdy wróciłyśmy kobiety,
które zostały w celi mówią mi, ^{dziurny} byli pytał czy mam ciepłe ubranie,
żeby jechać do miasta. Myślę, że bujają żeby mnie nastraszyć, ale
niestety zasnąć już nie mogłam. Zazwyczaj Iza i ja jeszcze sobie
śpimy do śniadania. Na śniadanie zjadłam tylko jedną "przyłepkę"
od chleba i popiłam odrobinę "kawy", to znaczy tego jakiegoś nie-
określonego płynu, który my przezwałyśmy "kawa". Staszka Karmen ro-
bi mi z kostiumu kąpielowego rękawiczki i szalik. Rękawiczki są
tweedowe - żółte z czarnym - a szalik czarny z końcami z czarnej
angory w biało-czerwone kropki i z moimi inicjałami."

Jak dziś jeszcze widzę zakończenie szalika z monogramem w kole i krop-
-kami, natomiast rękawiczek nie pamiętam wcale. Szalik był wykańcza-
zbiorowo i w wielkim pośpiechu, kiedy już było wiadomym, że wyjeżd-
żam, a jednak to wykończenie monogramem w kole było wspaniałe.
Dziś aż trudno uwierzyć jak bardzo byłyśmy zżyte, a poza Benią Lach
/zdaje się, że jej bratowa była kuzynką mego ojca/ i Renią Mizgier
← z którą, współpracowałam potem w AK - żadnej z nich nigdy więcej nie
← spotkałam. Najczęściej naturalnie myślę o Izie, która stała się dla
← mnie w więzieniu prawdziwą siostrą, ale przecież i wiele, wiele in-

nych było mi bardzo, bardzo bliskich. O Gence Kawnetis wiem, że znajduje się w Anglii w jakimś zakładzie, bo jej siostra studiowała i przyjaźniła się z moją siostrą.

A reszta? - Może teraz dzięki działalności Instytutu Wschodniego uda mi się kogokolwiek odnaleźć.

"Zjadliśmy obiad i zaraz zjawił się dyżurny każąc mi "sobiratsia s wieszczami - so wsimi" /przygotować rzeczy - wszystkie/. Coś źle!!! Ale jeszcze się łudzę, że to tylko wznowienie śledztwa, że pojedę tylko do NKWD.

Niestety wchodzi do celi "Andruszkiewicz" i zapytał czy mam kwity na rzeczy zarekwirowane. Nie wiem dlaczego tak go nazywałyśmy, bo w rzeczywistości nazywał się Bolszow. Dałam mu kwity i teraz już niestety wiedziałam, że pojedę do innego miasta. Ponieważ Renia powiedziała mi, że Lolek miał jechać do Wilna, więc łudziłam się, że i ja za nim pojedę. Albo może do Mińska?

Zaczęłam żegnać się z całą celą po kolei, co przy takiej liczbie kobiet nie trwa krótko. A tymczasem Kazia, Genka, Iza i Staszka wyszywają mi szalik, żebym miała gotowy na drogę.

W przewidywaniu wznowienia śledztwa umawiam się z Renią co można ewentualnie powiedzieć, a czego koniecznie trzeba się wyprzeć, to znaczy co Renia już powiedziała. Wisia radzi, żeby nadal do niczego się nie przyznawać. Proszę Izę, żeby mi zaśpiewała moją ulubioną piosenkę, którą tak często śpiewała:

Uliczkę znam w Barcelonie pachnącą kwiatem jabłoni.

Bardzo lubię chodzić po niej, gdy mnie już znuży śródmieścia gwar. Tam kroki własne me słyszę i wiatr tam liśćmi kołysze.

Zresztą nic nie ma ci ciszy uliczki mojej. W tym tkwi jej czar.

Boże jakże dawne to czasy, kiedy tu codziennie przychodziłam,

By się spotkać w tajemnicy gdzieś za rogiem tej ulicy

Z pierwszym panem moich snów.

Tylko jabłoń to widziała ilem się nacałowała nie żałując ^{słów.} czułych
Bo kochałam jak już nigdy potem. Z całej duszy, całą ^{kres.} serca mocą,
Radością wiosny i młodych lat polotem. Lecz niestety wszystko ma
Dziś przychodzę po wspomnienia dawne pod tę jabłoń,
Co szumem swych liści mówi, że przeżyłam w jej cieniu
Tyle chwil pięknych, że teraz nie szkoda łez.
Iza zamiast śpiewać rozplakała się. Jakiś złośliwy chochlik pod-
szepnął mi jeszcze żebym powiedziała, że wyjeżdżam dlatego, iż
Iza wczoraj wieczorem nie rozmawiała ze mną. Nie pamiętam o co
posprzeczałyśmy się i Iza poszła do Tali, a ja odwróciłam się do
Iny i zasnęłam. Tak więc beznadziejnie głupio zmarnowałyśmy os-
tatni wspólny wieczór. Czy się jeszcze kiedy zobaczymy?
Na końcu żegnałam się ze swoją paczką. Pani Ola dała mi na drogę
kawałek kiełbasy, Renia - cukier, Werka - cukierki. Oprócz tego mam
dwie porcje swojego chleba.
Teraz zaczęłam umawiać się z nimi jak je zawiadomię dokąd jadę.
I choć ból ściska mi serce udaję bohaterkę. Śmiałam się twierdząc,
że się wkrótce zobaczymy, że nasz zjazd będzie 15 pierwszego mie-
siąca po wojnie.
Boże! Jak strasznie, jak panicznie bałyśmy się wtedy opuszczenia
własnej Ziemi. Wydawało nam się, że nawet w więzieniu ona jednak
nas ocali, że mamy się czego uchwycić. Tam zaś na dalekiej wrogiej
ziemi będziemy zdane tylko na własne siły bez żadnego oparcia -
głównie moralnego.
Aż się teraz sama dziwię, jak bardzo potrafiłyśmy się do siebie
przywiązać i stworzyć jakby wielką polską rodzinę.
Już czas iść!
- Do zobaczenia w wolnej, niepodległej Ojczyźnie! - to są moje os-
tatnie słowa w celi.
Janka Sylwestrowicz wycosi moje rzeczy na korytarz. Wtedy Bolszow
pyta mię

- Wy dumajecie czto tak budiet? Czy wy myślicie, że tak będzie? Odnosi się to do moich ostatnich słów w celi.

- Razwie wy tak nie dumajecie? - A czy wy tak nie myślicie? - odpowiadam zdumiona.

Na korytarzu oczekuje na mnie naczelnik konwoju /chyba należy po polsku powiedzieć dowódca konwoju/ jakiś kapitan czy major. Powtarzają się już znane stereotypowe pytania słyszane tyle razy:

- Familia ? - Nazwisko?
- Imia? - Imię?
- Otczestwo? - Imię ojca?
- God roždienija ? - Rok urodzenia?
- Stat'ja ? - Paragraf, z którego jest się oskarżonym?
- Kiem arestowan? - Kto aresztował?
- Nationalnost' ? - Narodowość?
- Socjalnoje proizchoždienije? - pochodzenie społeczne?
- Data aresta? - Data aresztowania?

Itd.itd.

Odpowiadam na nie bardzo głośno - za głośno jak na korytarz więzienny. Chcę, żeby cela Nr.16 /Heniek i Kazik/ słyszała, że wyjeżdżam. To odrazu źle ustosunkowuje do mnie naczelnika konwoju. Krzyczy na mnie, żebym mówiła ciszej, a potem prawi mi kazanie na temat zachowania się w podróży:

- Nie powinnam rozmawiać z mężczyznami i z dyżurnymi - to coś nowego, nawet swoim już nie wierzą;
- Nie wolno rozglądać się ani odzywać się do ewentualnie spotkanych osób;
- Wykonywać dokładnie wszelkie polecenia konwoju.

Zapomniał dodać : Nie głaskać psów, bo nie przyszło mu nawet do jego zakutego łba, że może być więzień, który się tych groźnych wilczurów nie boi. A ja się ich nie bałam."

Ala Skowronek- Dmuchowska, którą spotkałam teraz w Warszawie, a z którą siedziałam w Mińsku mówiła mi, że nawet teraz po 45 latach nienawidzi wilczurów, a mnie te psy nie utkwiliły w pamięci jako istoty wrogie - może dlatego, że towarzyszyły mi tylko raz w podróży do Mińska. Zresztą one nie odnosiły się też do mnie wrogo - może dlatego, że miałam swoje własne ubranie nie przesiąknięte jeszcze więziennym czy obozowym zapachem. Włogie wilczury to dla mnie te z filmów o Oświęcimiu oglądane w kinie. W trakcie przejazdu do Mińska owszem towarzyszyły nam, ale nie zapamiętałam ani wyszczerzonych zębów, ani wściekłych oczu.

" Potem naczelnik konwoju pyta Bolszowa czy robiono mi rewizję. Bolszow odpowiedział, że wczoraj była u nas rewizja ogólna, co absolutnie nie zgadzało się z prawdą. Chciał mi oszczędzić jeszcze jednej przykrości związanej z wyjazdem. Wśród nich byli jednak też ludzie.

Z tymi rewizjami to było u nas tak:

Pierwszą miałam w dwa tygodnie po aresztowaniu. Byłam przez 3 dni chora na niestrawność. Przyszła "Mara" /żona naczelnika więzienia NKWD/ i zobaczyła u mnie na ręce pierścionek. To nasunęło jej myśl, że są wśród nas takie, którym nie robiono rewizji. Kazała nam więc kolejno wychodzić do sąsiedniej celi i tam "diełała ob'isk"/robiła rewizję/. "Mara" zdarła mi z ręki pierścionek, zabrała spinki i wstążkę od medalika sodalicyjnego, klucze od biurka i ...znaleziony niedawno przy sprzątaniu - kawałeczek ołówka. Niestety okazało się, że rewizję robiono nie tylko nam nowym, ale i wszystkim pozostałym więźniarkom. Tak więc również mój zegarek trafił w ręce "Mary". Dostałam na wszystko kwit.

Powodem drugiej rewizji było odkrycie dziurki w ścianie.

Skutkiem trzeciej było przeniesienie nas do więzienia centralnego.

Czwartą uświęcono wigilię 17 września 1940r. Odbывała się ona pod

gołym niebem w kojcu "pregułkowym" /spacerowym/. Zabrano nam wtedy karty i orła Izy.

Piąta była ku czci 7 listopada zamiast spodziewanej amnestii. Byłyśmy wtedy jeszcze o tyle naiwne, że wierzyłyśmy w amnestię dla więźniów politycznych. Było to tak: dzień minął bez większych wrażeń - szary, jednostajny dzień więzienny jak wiele, wiele innych. Wszystkie już zasnęły spokojnie, tylko Iza i ja - jak zwykle - rozmawiałyśmy. Nagle otwarły się drzwi, wszedł dyżurny i zrobił nam awanturę z powodu bezprawnego zgaszenia jednej, jedynej lampki. Potem kazał nam się wszystkim zlekka ubrać. Zdziwione tą niespodzianką sądziłyśmy, że będą to zastrzyki od tyfusu, bo mieli zwyczaj robić takie rzeczy w najbardziej nieoczekiwanej porze dnia lub nocy. A tyfus zaczął się już u nas szerzyć.

Na wszelki jednak wypadek Kazia schowała igły, szpilki oraz ołówki itp. Zapomniałyśmy jednak o żyletce. Ja jako chora zostałam w celi. Weszły 3 baby i 2 "bajcow" /żołnierzy/ i rozpoczęli rewizję sekcjami. W ostatniej chwili przypomniałam sobie o żyletce i rzuciłam ją pod nogę stołu. Dla nas skułek rewizji jest bardzo pomyślny, bo nie tylko nic nam nie zabrano, ale jeszcze dyżurny zostawił nam 2 szpilki i czarną wstążkę.

"Sciana płaczu" czyli komplet starych Żydówek - żon bogatych fabrykantów z Grodna czy z Bałegostoku, która tak jak i ja została w celi, czyni wiele hałasu. Po godzinie znów w celi zapanował spokój.

Było jeszcze kilka rewizji z rozmaitych okazji, ale tych jakoś nie zapamiętałam. Pewnie niczym specjalnym się nie wyróżniały i nic nam nie zginęło. Ostatnia była coś przed Nowym Rokiem. Ale wracając do wyjazdu. Naczelnik konwoju przejrzał moje papiery - przy okazji zobaczyłam swoje więzienne zdjęcie - i kazał Bolszowowi wyprowadzić mnie. Gdyśmy wyszli z budynku Bolszow zapytał mnie

współczującym tonem:

- Nie хочzetsia wam jechat'?' - Nie chce wam się jechać?

A ja ze złością odpowiedziałam, jakby to on był winien.

- Łutsze w piekło czem w wasz Sibir - Lepęj do piekła niż na wasz Sybir.

Wtedy on zaczął mię pocieszać, że jadę tylko do Mińska na sąd.

- Możet was pustiat? - Może was wypuszczą?

A ja mu na to:

- Kawo wy puszczajetie? Worow, banditow nie nas. - Kogo wy wypuszczacie, złodziei, bandytów nie nas.

On znów chcąc mi dodać otuchy powiedział:

- Wy za granicu sieditie? - Wy siedzicie za przejście granicy?

- Niet - odpowiedziałam - Za politiku, za organizacju. Nie - powiedziałam - za politykę, za organizację.

- No wy nie sostojali! Ale wyście nie należeli! - powiedział on. Ale ja znowu zaprzeczyłam:

- Da ja sostojała. Ja Polka. Eto moja obiaznost'. Tak, ja należałam. Jestem Polką. To mój obowiązek.

Z tymi słowami weszłam do kancelarii. Tam dostałam zegarek i pierścionek. Włożyłam na rękę i nakręciłam. Szedł jak nowy. Jeszcze nie zdążyli zmajstrować.

Wychodzimy i on mi pokazuje z kim mam jechać. Jest nas 16 osób: Sław, Maćka, Gambir, Bolek, Żemojtuk itd. Proszę go, żeby powiedział dziewczętom, że pojechałam do Mińska."

Dziwię się jak mogłam być taka ostra dla naprawdę dobrego człowieka. Nie świadczy to o mnie zbyt dobrze. Ale zbyt byłam zrozpaczona, żeby zastanowić się, że złość na Sowietów wylewam na niewłaściwego człowieka. Jestem przekonana, że powiedział dziewczętom, iż pojechałam na sąd do Mińska. Może dobry Bóg odpłacił mu za jego dobre serce dla mnie w jakiejś ciężkiej chwili jego życia.

"Załadowali mię do "sabacznika" /samochód do przewożenia więźniów/ mińskiego i ruszyliśmy. W pewnej chwili jakiś drab zdjęty litością powiedział:

- Otkroj jej wołczok / wizyterka, judasz/, bo zadusitsia - Otwórz jej judasza, bo się udusi.

Na co ja zareagowałam z pogardą:

- Rańsza wy podochnietie czem my. My bolsze piereniesiom czem wam każetsia. - Szybciej zdechniecie wy niż my. My zniesiemy więcej niż wam się wydaje.

Mówiłam to specjalnie głośno, żeby Sław usłyszał.. Kiedy otworzono mi wizyterkę /judasza/ zobaczyłam, że Sław siedzi naprzeciwko mnie w ogólnej przegrodzie. Ciekawa byłam czy nas tak aż do Mińska powiozą. Jednak po jakichś 15 minutach auto stanęło i eskorta kazała nam powyłazić i pokłękać na śniegu.

Wyskakując z samochodu Sław powiedział do mnie:

- Jane, trzymaj się!

Byłam oburzona. Jak on śmie tak do mnie mówić. To tylko ja mam prawo moralne im tak powiedzieć. Ale nauczona przykrym doświadczeniem zachowałam swoje poglądy dla siebie, a zamiast tego odkrzyknęłam tylko:

- Pisz!

Koło mnie stanął naczelnik konwoju z wilczurem i zaraz potem padł rozkaz:

- Biegom! - Biegiem ! Do pociągu.

Koło pociągu znów kazali nam pokłękać w śniegu i zaczęli pojedynczo wpuszczać do pociągu. Ja byłam na końcu, a Sław w drugiej czwórce, ale powoli zaczął się opóźniać i zbliżać do mnie, tak, że w końcu znaleźliśmy się blisko siebie.

Jak wygląda taki wagon więzienny?"

Teraz, gdy już wiele czytałam na temat przewozu więźniów w Sowie-

tach, wiem że wagony takie nazywano stołypinkami, ale wtedy opisałam go swoimi słowami, jak ktoś kto nigdy nic na ten temat nie słyszał.

"To po prostu zwykły wagon pasażerski z oknami zabezpieczonymi grubą kratą, przy czym przedziały są oddzielone od korytarza również grubą kratą z ciężkimi żelaznymi drzwiami. Wewnątrz przedziału jest u góry małe okienko i trzy piętra półek, tak, jak w normalnych wagonach sypialnych - z tym, że półki te są ze zwykłych desek i że w jednym przedziale zmieściła się cała nasza szesnastka.

Gdy weszłam do przedziału wydało mi się, że są tylko dwa piętra i że Sława nie ma ze mną. Ale kiedy się położyłam na ławce na parterze - kazano nam to uczynić natychmiast po wejściu do przedziału - zobaczyłam go na najwyższej półce i radość moja nie znała granic."

Teraz zastanawiam się czy rzeczywiście Sław nie miał możliwości zamienienia się w czasie podróży na pierwsze piętro i kto był na drugiej ławce obok mnie. A może byliśmy tak szczęśliwi mogąc patrzeć na siebie, że nie ośmielaliśmy się chcieć więcej?

"Była godzina czwarta po południu, gdyśmy ruszyli z dworca centralnego w Baranowiczach. Pociąg szedł trochę naprzód, a trochę w tył.

Kiedy się ściemniło mężczyźni zaczęli prosić o chleb, bo od śniadania nic nie jedli. Wartownicy odpowiedzieli na to, że jeszcze nie nadeszła pora na jedzenie. Wtedy ja zapytałam czy mogę się z nimi podzielić tym, co mam.

- Niet! - Nie! - zabrzmiała odpowiedź, ale wartownik-dyżurny odszedł do drzwi drugiego przedziału.

Zrozumiałam co to znaczy i podałam jedną porcję chleba i trochę cukierków Maćkowi do podziału. Drugą zaś z kilkoma sucharami, cukierkami, cukrem i kawałkiem kiełbasy zawinęłam w ręcznik i posła-

łam Sławkowi, dołączając jeszcze nowy szalik z moim monogramem, który mi dziewczęta wykończyły w ostatniej chwili. Sław nie chciał tego przyjąć. Ostentacyjnie jednak chlebem i cukierkami podzielił się z kolegami, a resztę chciał mi koniecznie zwrócić. Potem była "ubornaja"/WC/. O Boże! jak to przykro być w takim przypadku jedyną kobietą wśród mężczyzn. Po "ubornej"/WC/ spać rozkazuje mężczyznom Starszy dyżurny, a mnie pyta czy nie chcę trochę pospacerować...

Nie!Nie!Nie! Nawet gdyby za tym spacerem kryła się wolność. Cena na to za wysoka!!! Wiem o tym. Teraz rozumiem dlaczego naczelnik był dla mnie taki zły. Przewidywał takie możliwości znając swoich podwładnych. Ale jeżeli chodzi o mnie nie ma najmniejszej obawy. Dla nikogo i niczego nie zechcę sobie skracać kradzionych chwil szczęścia ze Sławem. Nawet nie chcę spać, aby nie stracić najmniejszej okazji wymiany spojrzeń. Jeżeli nie możemy mówić słowami gdy dyżurny-wartownik stoi zbyt blisko, to rozmawiamy oczami, każdym tchnieniem. Teraz nie rozumiem jak mogłam kiedyś na śledztwie powiedzieć, że go nie Kocham. Kocham go szalenie. Kocham go każdą kroplą krwi, każdą myślą, każdym słowem. Każdym spojrzeniem wyznajemy sobie tę prawdę, tak nam znaną od dawna, ale teraz jakby nową. I tak nam dobrze, że zapominamy o wszystkim. Znikają półki i pięciu współwięźniów, znikają kraty i dzieląca nas odległość. Jesteśmy tylko my i nasza wielka, czysta miłość, miłość zahartowana w cierpieniu i utrwalona rozdzieleniem. Przychodzi mi na myśl spotkanie Ligii z Winicjuszem w więzieniu. Oni wierzyli i wiara ich uratowała. My też wierzymy w spotkanie i wspólną szczęśliwą przyszłość."

P przednio napisałam, że cała nasza szesnastka pomieściła się w jednym przedziale, ale się pomyliłam. Było nas tylko sześcioro i 3 piętra, ale łącznie z parterem.

"Przechodzi korytarzem naczelnik konwoju więc mężczyźni proszą go o palenie i chleb; jest dla nich - w przeciwieństwie do strażników - o wiele lepszy niż dla mnie. Przynosi im machorkę i gazetę, a chleb obiecuje na rano. Całe szczęście, że ja miałam trochę tej rezerwowej żywności. Zresztą jedzenie wcale mi nie w głowie. Chyba nic nie mogłabym przełknąć z wrażenia.

Ten naczelnik konwoju to rzeczywiście człowiek rzadko spotykany, bo zawsze oni są niby łagodniejsi dla kobiet. Naturalnie jedynie w sensie fizycznym, bo moralnie znęcają się nad nami o wiele bardziej - może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, jako że ich mentalność i moralność są diametralnie różne od tych, w jakich ma wyrosliśmy.

Starszy dyżurny, który przedtem przyniósł z pośród moich rzeczy cukierki i jakiś koc, teraz po stwierdzeniu, że palę dał mi gruby papieros. Pociągnęłam za ledwie parę razy dla zachowania pozorów - omal się przy tej okazji nie udusiłam - i resztę szybko oddałam Sławkowi. To dyżurnego bardzo oburzyło.

Opowiedziałam Sławkowi, że jego rodzice są nadal w Baranowiczach, że Iri i Ed są w Wilnie, że u mnie w domu były trzy rewizje z rozwalaniem pieców włącznie, że miałam z domu trzy paczki itd. Potem zapytałam gdzie jest jego płaszcz, bo był bez płaszcza, a aresztowano go w płaszczu. Chciałam też wiedzieć dlaczego nie pisał.

- Nie pytaj. Kiedyś opowiem. - brzmiała odpowiedź. Co ona znaczyła?"

Jeszcze dziś po prawie pół wieku od tej chwili jeżeli mi się Sław przyśni to zawsze we śnie pytam co się z nim działo? Gdzie jest? itp. I zawsze słyszę tę samą odpowiedź: "Nie pytaj .Odpowiem kiedyindziej". I zawsze jest pomiędzy nami jakaś przeszkoda nieokreślona. Przy innych osobach, których los jest mi nieznany fanta-

zja podsuwa najrozmaitsze sytuacje, a tu te dwa zdania stoją na straży jakiejś tajemnicy, której progów nawet moja fantazja we śnie nie może przekroczyć. Zawsze jest pomiędzy nami ta jakaś

nieuchwytna przeszkoda i coś, co nie pozwala na wyjawienie prawdy. Nie zmieniło się nic w moich snach nawet po 1967 roku kiedy jego matka na pismo skierowane do Chruszczowa otrzymała lakoniczną odpowiedź od sowieckiego czerwonego krzyża: "Zmarł na terenie Związku Radzieckiego 17 lutego 1941 roku". Moja fantazja nie potrafiła nawet we śnie wybrać miejsca jego śmierci, ani jej rodzaju.

" Ale wracając do naszej rozmowy w pociągu. Co miałam robić? Skrzywiłam się tylko, bo wiedziałam co znaczy podobna odpowiedź: nie wszystko było tak, jak ja lubię. Płaszcz został prawdopodobnie wymieniony na tytoń, ale na to już nic poradzić nie mogłam, poza martwieniem się, że zmarznie.

O godzinie 4 nad ranem mężczyźni dostają po 1 kg chleba, a ja biały chleb i słodki placek. Nadal nic nie mogę jeść. Część otrzymanego prowiantu znów posyłam Sławkowi.

Swita. Okazało się, że ciągle jeszcze manewrowaliśmy po Baranowiczach. Teraz nareszcie ruszyliśmy. Chcę, żeby mężczyźni wiedzieli, że jedziemy do Mińska, więc pytam dyżurnego-wartownika:

- Skoro li budiemy w Minskie? Czy prędko będziemy w Mińsku?
- A wy otkuda znajetie czto my tam jediem? - A wy skąd wiecie, że my tam jedziemy? - słyszę zdziwioną odpowiedź.

Potem informuję chłopaków, że jedziemy do Mińska na sąd. Jest w tym samym przedziale, co i ja sympatia jednej z dwóch Janek z Werenowa, więc mu o niej opowiadam. Maćkowi mówię o żonie i dziecku itd. Jednym słowem przekazuję wszelkie posiadane informacje z za krat.

W końcu dano nam do picia wodę.

Przed samym wyjazdem z Baranowicz wsadzono do nas na drugą ławkę

na dole obok mnie jakiegoś nauczyciela oskarżonego z artykułu 74 /agitacja kontrrewolucyjna/, który jest pewien "razstrzela" /rozstrzelania/. Smiejemy się tylko z niego. My takiej ewentualności w ogóle nie bierzemy pod uwagę."

A jednak ona była. Rozstrzelowano za mniejsze przewinienia niż - nasze. Tylko nasza naiwna wiara usuwała przed nami tę wizję. Powszechnie mówiło się, że skazują na karę śmierci tylko dlatego - żeby Stalin mógł okazywać łaskę i "pomikować" /ułaskawić/. Teraz jednak kiedy wreszcie o tamtych zbrodniach można mówić i pisać okazuje się jak bardzo byliśmy w błędzie.

"W południe dają nam znów po pół kilograma chleba. Ponownie oddaję go mężczyznom. W trakcie wyprowadzania do "ubornej" /WC/ w południe dyżurny otwierając drzwi Sławkowi odwrócił się na sekundę i wtedy Sław pogłaskał mię po włosach. Ile uczucia było w tym szybkim, kradzionym ruchu i jakie szczęście mię ogarnęło potem trudno to wypowiedzieć. Żeby to zrozumieć trzeba przeżyć tyle, ileśmy przeżyli. Dawniej gdyśmy zawsze byli razem nie odczułabym tak głęboko tej pieśczoły, ale teraz było to szczytem moich marzeń. Modlę się chociaż o chwilę nieuwagi dyżurnego. W międzyczasie posyłamy sobie całusy - chociaż na odległość. Och! Jak ja go bardzo kocham! Jak trudnym będzie to nowe rozstanie! Dlaczego ta podróż nie może trwać w nieskończoność?!!!

Kiedy znów idziemy do "ubornej" /WC/ dyżurny zatrzymuje mnie i pyta skąd mam ołówek. Ponieważ wypieram się zaczyna mi grozić. Ja jednak twierdzą swoje, bo wiem, że tego ołówka, który był w mydle nie mógł znaleźć. Ostatecznie dał mi spokój. W końcu po dłuższych rozważaniach przypomniałam sobie, że miałam potarty węgiel drzewny do czyszczenia zębów, zamiast proszku. On wziął to chyba za ołówek.

21 stycznia 1941 roku. Wieczorem przyjechaliśmy do Mińska. Mężczyznom kazano zejść z półek i usiąść na dolnej ławce /mojej i nauczyciela/. Naturalnie oni tak manewrowali, że Sław znalazł się tuż przy mnie. Zwrócił mi to, co mu dałam, a ja ponownie wpakowałam mu jedzenie do kieszeni marynarki. Zobaczył to dyżurny i zapytał co mu podaję. Moje "nic" utwierdziło go w przekonaniu, że to tylko czułe pożegnanie narzeczonych.

To bliskie obcowanie ze Sławem pozbawiło mię na tyle energii, że powiedziałam ze skargą:

- Sław, tak mi źle. Tak bardzo czuję się samotna i opuszczona. Wiedziałam, że i on też tak wiele wycierpiał i teraz sama nie wiem dlaczego, nie potrafiłam się opanować, chociaż zawsze znosiłam więzienie raczej dzielnie.

Sław przyrzekł mi, że będzie do mnie pisać, o ile to tylko będzie możliwe. Potem pocieszał mię jak umiał.

W końcu zaczęto nas wywoływać po nazwiskach. Sław pocałował mię oficjalnie w rękę i wyszedł. Chciałam biec za nim, bić dyżurnych, gryźć, ale nie potrafiłam się na nic zdobyć. Potrafiłam tylko bezsilnie usiąść na ławkę i czekać...

Nie odpowiadałam ani na zaczepki dyżurnych, ani na kpiny z czułego pożegnania z lubym. Zdjęłam tylko z ręki sygnet Sława /sygnet uczniów Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni/, ucałowałam tam, gdzie Sław przed chwilą pocałował i włożyłam sygnet na palec u nogi. Może nie zauważą.

Po pewnym czasie również mnie kazano się ubrać, zabrać koc i wyjść. Starszy dyżurny powiedział mi na odchodnym:

- Nie obieżajties na mienia! - Nie gniewajcie się na mnie!

Nie zrozumiałam wtedy o co miałabym się gniewać. Dopiero potem okazało się, że on ukradł z moich rzeczy wszystką bibułkę do palenia.

Nie wiem skąd i poco miałam tę bibułkę, ale wiem napewno, że nie służyła mi ona w swoim właściwym celu. Pewnie używałam do pisania listów czyli grypsów, a może pisałyśmy właśnie na niej nasze wiersze? Niestety nic się pisanego z Baranowicz nie zachowało. Zbyt wiele było w tym czasie rewizji. Przetrwał jedynie list od mamusi pisany na płótnie. Zdaje się, że zagżyłam go potem w płaszczu, który wrócił do domu.

Jaki musiał być poziom tych strażników, jeżeli kradli nawet więźniom i to tak drobne przedmioty jak bibułka do papierosów. Gdybym była palaczką byłaby to dla mnie strata niepowetowana. A dla niego to był groszowy zakup dostępny w każdym sklepie, bo papierosy były u nich bardzo tanie. A może jednak u nich dobrej bibułki nie było? Skąd więc ja ją miałam?

"Powitanie" w Mińsku

"Wyszłam z wagonu. I nagle wydało mi się, że weszłam do jakiejś jaskini zbójców, tak bardzo czerwono-ołowiane niebo przypominało mi sklepienie ponurej groty, oświetlonej słabym płomieniem ogniska. Wszystko dookoła wywierało na mnie przygnębiające wrażenie. Załadowano nas w dwa "sabaczniki" zwane tu "czornyj woron" /czarny kruk/. Były to samochody przystosowane do przewozu więźniów. I ruszyliśmy do więzienia."

Pamiętam, że przejeżdżaliśmy przez wiele, wiele torów kolejowych - chyba więc jechaliśmy jakimś wiaduktem, ale tego dziś nie jestem ← już tak bardzo pewna. Ciągle tylko widzę tę przygnębiającą noc ponure niebo bez gwiazd i tory kolejowe, mnóstwo torów. Nawet nie zauważyłam śniegu, chociaż powinien być być, a może był tak brudny, że nie kojarzył mi się ze śniegiem, a z błotem. Z odjazdu w Bara- ← nowiczach pamiętam, że musieliśmy klęczeć w głębokim śniegu. Tam jednak wsiadaliśmy na jakiejś bocznicy, a w Mińsku wysiadaliśmy na dworcu głównym. Mińskie niebo na zawsze kojarzy mi się raczej ← z czerwienią, ołowiem niż błękitem, bo i potem w trakcie ewakuacji widziałam je w płomieniach.

"Wjechaliśmy w bramę więzienną, która się za nimi z hukiem zamknęła. Najpierw wyprowadzono z samochodu do podjazdu mężczyzn, a na końcu mnie. Oni stali w szergu, a ja musiałam przed nimi przedefilować i wtedy któryś z nich przyznał się do koca, ale nie pozwolono mi go oddać właścicielowi.

Jeszcze raz pożegnaliśmy się ze Sławem|wzrokiem i ja przeszłam do korytarza po prawej stronie. Tam też dostałam celę Nr. 109 /karcer/. Była to izba 1,5 m x 2 m i 7-8 m wysokości z malutkim okienkiem dla wentylacji u góry, z grubymi drzwiami i ścianami grubości 1 metra. W środku było łóżko z grubych żelaznych prętów wmurowane w ścianę. Kamienna podłoga, kaloryfer i moc napis-

sów w wielu językach świata uzupełniały tę dziwną celę. Znalazłam parę znajomych nazwisk i dopisałam w kilku miejscach swoje. Potem się rozgościłam w moim nowym mieszkaniu. Pukałam do drzwi chcąc oddać koc, ale nikt się nie zgłaszał. Chyb zupełnie o mnie zapomnieli. Okazało się, że był to skutek mojego "baranowickiego dobrego wychowania". W Mińsku się nie puka - jak się potem dowiedziałam - tylko wali z całej siły pięściami w drzwi, jeżeli się chce być usłyszonym. Ale o tym nie miał mię kto wtedy poinformować. W jakiś czas potem bez mojego wołania wszedł dyżurny i kazał mi iść za sobą.

Weszliśmy do podjazdu i wtedy ja się cofnęłam nie chcąc iść dalej, bo stali tam moi współtowarzysze zupełnie nago. Dyżurny jednak uważał to za najzupełniej normalne i pozwolił mi tylko ręką zasłonić oczy, a za drugą chwycił i pociągnął jak kozę na sznurku do kancelarii. Tam poskarżyłam się lejtnantowi na takie nieodpowiednie traktowanie mnie. Lejtnant zaś po upewnieniu się, że jestem "diewuszka"/panna/ zrugął dyżurnego i kiedy miałm iść z powrotem poszedł sprawdzić czy mężczyźni są już zupełnie ubrani. Zapisywał on to samo co i zawsze i co już tyle, tyle razy zapisano, że na pamięć znałam kolejność pytań.

Jak zawsze zapytał:

- Wy iz pomieszczyków? - Wy pochodzicie z obszarników?

Potem pozwolił mi obejrzeć moje więzienne zdjęcia. Jest zupełnie ładne - wyglądam na nim na nie więcej niż 12 lat. Nie spodziewałam się, że tak wypadnie, bo przecież ja się strasznie przy tym fotografowaniu wygłupiałam. Ale fotograf uchwycił widocznie najodpowiedniejszy moment. To był zresztą dobry baranowicki fotograf, bo oniby tego tak nie potrafili zrobić.

Gdy wróciłam do celi przyszła do mnie jakaś baba na rewizję. Zwa-
no ją Wiera. Zaczęło się zwyczajne wyrzucanie rzeczy. Na wstępie

zapytała mnie czy mam jakieś niedozwolone przedmioty.

- Iszczytne pożałujsta! - Proszę szukać! - odpowiedziałam.

Znalazła jakiś gwóźdź, o którym ja sam nie wiedziałam i zegarek. Bałam się, że ona wie o tym, iż mam zegarek i pierścionek, więc poświęciłam zegarek, żeby ocalić pierścionek. A mogłam schować i jedno i drugie. Ale mądry Polak po szkodzie. Zabrała mi też nici i chciała powypruwać zamki błyskawiczne od sukienki i botków gumowych. W końcu jednak zrezygnowała. Potem obmacęła mię na wszystkie strony, a gdy z drżeniem serca, ale bezczelnie zapytałam czy mam widać pończoch - popatrzyła ... popatrzyła ... i odpowiedziała:

- Niet nie nužno! - Nie nie trzeba!

Pierścionek ocalał. Na zegarek i pas od pończoch dostałam "kwitancję", po którą znów chodziłam do kancelarii. Na widok dobrego szwajcarskiego zegarka omal tym bandytom oczy na wierzch nie wylazły. Ciekawam kto go zabrał? Bo ja przecież już nigdy go więcej nie zobaczyłam."

Tu chciałabym przypomnieć, że w latach 1939-41 jeszcze przemysł zegarmistrzowski w Związku Radzieckim nie istniał. Gdy przyszli do nas we wrześniu 1939r. kupowali /bo wtedy jeszcze nie zabierali, jako że mieli pełne kieszenie pieniędzy/ namiętnie wszelkie czasomierze. Swój przemysł precyzyjny rozbudowali na bazie wywiezionych w 1939r. z Kresów Wschodnich Polski - maszyn.

"Nad ranem dyżurny zabrał mię i zaprowadził do głównego "korpusu"/bloku/. Byłam zła jak osa, bo byłam przekonana, że wejść do celi, gdzie będą same Sowietki. Dlatego też posta owiłam powiedzieć nie "zdrawstwujcie", a na złość im : "dzieńdobry". Dyżurni zaczęli pomiędzy sobą żartować gdzie mnie wpuścić czy do celi Nr.37 czy też Nr.38. Cella Nr.37 była celą, w której siedziały "małoletki" czyli nastolatki.

W końcu ten, co mię prowadził otworzył drzwi celi Nr.38 i od razu omal nie nadepnęłam na śpiącą kobietę. Na moje "dzieńdobry" odpowiedziały również po polsku.

- Więc tu są również Polki ? - zdziwiłam się.

- Same Polki! - odpowiedziały zgodnym chórem.

Zaraz też poznałam panią Jagę Pikciunas. Rozmowom nie byłoby końca gdyby nie dyżurny, który kazał nam jeszcze spać.

Ta cela miała jakieś 1,80 m. szerokości, 3 m długości i 4 m wysokości. Okienko 20 cm x 10 cm umieszczone było pod sufitem a więc światło paliło się przez całą dobę : noc i dzień bez przerwy. W tej to celi razem ze mną musiało się pomieścić 18 kobiet!!! Nazajutrz przybyły jeszcze dwie niewiasty, a potem jeszcze trzy, czyli razem nas było 23. W konsekwencji spać mogliśmy tylko na zmianę, bo nie mogliśmy się położyć wszystkie równocześnie.

Tego też dnia był "Łariok" /kiosk czynny w więzieniu/ i kobiety, które miały na koncie ruble kupiły sobie mydło, cukierki, pierniczki, słoninę. Pod tym względem w Mińsku było o wiele lepiej, ale tylko tym, które miały pieniądze. Mogły one raz na dwa tygodnie kupić sobie w "łarku" /kiosku/ jedzenie, mydło, papierosy i skarpety - ogółem na sumę 75 rubli. Ja niestety nie miałam ani kopiejki.

Zaczęłyśmy - mińskim zwyczajem - krzyczeć, że jest nam bardzo ciasno w tej celi, więc trzy ostatnio przybyłe i ja zostałyśmy przeniesione do III korpusu /bloku/ do celi Nr. 174. Żał mi było opuszczać celę Nr. 38, bo kobiety były bardzo miłe. Prawie wszystkie to młode dziewczęta polityczne i na odpowiednim poziomie. Było dużo śpiewów, opowiadań czyli tak zwane więzienne życie kulturalne, a co mię w nowej celi czekało nie wiedziałam. Tala Sierzputowska ślicznie deklamowała, więc dzień mijał bar-

dzo przyjemnie i szybko. Po prostu zapominałyśmy gdzie jesteśmy - bo młodość ma swoje prawa i łatwo daje się ponieść marzeniom.

Była tam też siostra zakonna ze Szczuczyna. Ona wszystkim, co miała - nawet najdrobniejszymi resztkami - dzieliła się z biedniejszymi od siebie."

Naprawdę kochała bliźniego i Boga, a do przepisów reguły mniejszą przywiązywała wagę. Pocięła swój obowiązujący habit zakonny / na który zużyto bardzo dużo materiału/ i zrobiła z niego dwie /choć nie przepisowe/sukienki dla siebie i dla drugiej więźniarki, która marzła w lekkiej sukieneczynie, bo była aresztowana latem. Na zawsze pozostanie dla mnie wzorem zakonnicy, a nie te, które
← były ze mną w Baranowiczach. One gdy się modliły wymagały ci-
← szy nawet od chorej starej jęczącej Żydówki i chętnie przyjmo-
← wały najgęściejszą zupę, chociaż - muszę uczciwie przyznać -
← same o to nie zabiegały.

"Cela Nr. 174 jest kontrastem poprzedniej to jest Nr. 38 tak pod względem wyglądu, jak i towarzystwa. Ma ona wymiary 3m x 3m x 6m. Okienko 50 cm x 50 cm wysoko pod sufitem. Ze względu na to okienko światło w dzień jest zgaszone, a w celi panuje półmrok. Ze ścian spływa wilgoć, a na środku celi stoi kałuża wody. Za posłanie łuży wilgotnej wiązka słomy, na wilgotnym cemencie i przy wilgotnej ścianie. Przypomina więc poza rozmiarami bardziej karczer niż normalną celę. A towarzystwo? Pożał się Boże! Ciągłe się ze sobą kłóć o byle co, o byle głupstwo. Jest tu tylko jedna moja znajoma referentka z DOKP3 Grodno - Kazia Jaworska. Pani Lipka Zeitzowa /Olimpia/ adwokat z Baranowicz na kilka minut przed moim przybyciem została zabrana na sąd. Ależ u nich porządki! Wywieźli ją z Baranowicz do Mińska 20 lipca 1940r., a jeszcze w grudniu 1940r. szukali jej w naszej celi,

przypuszczaliśmy, że siedzi nadal w Baranowiczach, gdzieś w jakiejś osobnej celi. A ona już oddawna była w Mińsku. Późnie szukali jej w Baranowiczach właśnie w związku z sądem.

Na moje szczęście w celi Nr. 174 spędziłam tylko jedną dobę. " A mnie się teraz - podobnie jak w przypadku Halinki Drucko-Podbe-rezkiej - że byłam w tej celi wieki całe. Tak bardzo utkwiała ona w mej pamięci - o wiele bardziej niż karcer, w którym siedziałam sama z żelaznym łóżkiem bez żadnego posłania. O karcerze przypomnia-ły mi teraz dopiero notatki, a celę 174 widzę zawsze ilekroć przy-mknę oczy i pomyślę o więzieniu.

"W dodatku do rozpaczki doprowadzał mię fakt, że w celi Nr. 38 zostawiłam kubek i mydło z wgniecionym w nie pierścionkiem"

Przygotowania do sądu

"Na moje szczęście już w sobotę 25 stycznia 1941r. zabrano mnie i przewieziono do więzienia śledczego NKWD zwanego "Amerykanką" z uwagi na względnie kulturalne warunki w nim panujące. Był to okrągły nowoczesny budynek. Po środku nie było sufitów pomiędzy parterem, a pierwszym piętrzem. Był tam tylko post, na którym stali dyżurni. Na pierwszym piętrze było 18 cel pojedynczych, a na parterze 4 cele ogólne i 4 cele w suterynie. Na parterze i pierwszym piętrze są "uborne"/WC/- a w suterynie łaźnia i kuchnia. Suteryna jest oddzielona od parteru sufitem/podłogą opartą na grubej kolumnie. Ten nowoczesny budynek posiada w podziemiach również średniowieczne sale tortur."

Tym razem nic nie zanotowałam o naszym przejeździe z więzienia centralnego do "Amerykanki". Musiał on być bardzo mało znaczący wśród wielu wydarzeń tych dni. Najprawdopodobnie nie miałam żadnego kontaktu ze Sławkiem, bo inaczej coś bym zanotowała. A przecież przyjechaliśmy jak zwykle w komplecie, bo dalej opisuję:

" Chłopcy musieli iść do łaźni /nie w celach higienicznych, ale z braku celi/, a ja usiadłam na kamiennej ławie otaczającej kolumnę podtrzymującą sufit. Drzwi od łaźni były otwarte. Naprzeciw siebie miałam Sława, więc naturalnie rozmawialiśmy - niestety głównie na migi. Nawet żarty były nam w głowie. Chłopcy dokuczali mi, że przez miłość siedzę w ciupie itd. Pokazałam im 5, a oni myśleli, że spodziewam się wyroku 5 lat. Przeciagnęli więc ręką po gardle pokazując akt oskarżenia, który już każdy z nich miał w rękę. Naczelnik więzienia przy NKWD ciągle brał któregoś z nich i ten wracał z papierem to jest aktem oskarżenia. Jak zwykle mnie wzięto jako ostatnią.

Przywitał mię w miłym gabinecie, urządzonej polskimi meblami, Komisar Wnutriennych Dieł Biełarusi /Minister Spraw Wewnętrznych Białorusi/, w towarzystwie kilku enkawudzistów. Odrazu sam mi się przedstawił. Oni zawsze bardzo lubili chwalić się swoim tytułem lub stanowiskiem. Zawsze podkreślali to swoje stanowisko, żeby ktoś - nawet taki smarkaty więzień jak ja - nie pomyślał, że on jest byle kim. Potem wręczył mi 16 kart zadrukowanego papieru. To był mój akt oskarżenia.

Wróciłam i usiadłam na dawnym swoim miejscu. Przejrzałam pobieżnie akt oskarżenia i teraz dopiero zrozumiałam, co chłopcy mieli na myśli, kpiąc z moich 5 lat.

Potem chłopców zabierano kolejno z zamkniętej tym razem łaźni do poszczególnych cel, a kiedy już wszystkich rozlokowano mnie wsadzono na ich miejsce do łaźni /również nie w celach higienicznych, lecz gwoli odosobnienia./. Czekałam trochę przeglądając obszerny akt oskarżenia w języku rosyjskim, co utruniało zadanie.

W końcu jednak zażądałam celi. Dali mi Nr. 23 w suterynie. Duży wycinek koła z dwoma oknami o wymiarach 50 cm x 50 cm. Był tam jeden siennik i dwa koce. Zaraz się więc rozlokowałam. Przeczytałam nawet wiszący na ścianie regulamin i zabrałam się teraz do dokładnego studiowania mego "obwinitelnego zakliuczenia" czyli aktu oskarżenia.

Jeszcze przedtem dyżurny zapytał mię czy dostałam dziś chleb i cukier. Nie wiem poci odpowiedziałam uchciwie "tak". Kolacji nie dostałam i po "prowierce"/kontrolnym liczeniu/ poszłam spać. Zimno było niemiłosiernie i trudno było usnąć. Ale w końcu zwinęłam się w kłębek jak kot, przykryłam obu kocami i futerkiem i jakoś usnęłam.

Nazajutrz dyżurny obudził mnie już o godzinie 4 rano. Ubrałam

się, trochę się pomodliłam, pogimnastykowałam i poszłam do "ubornej"/WC/. Po "ubornej" zjadłam śniadanie, odmówiłam normalny więzienny pacierz poranny i zaczęłam powtarzać wszystkie znane wiersze, albo spacerując, albo leżąc w płaszczu pod kocami, ze względu na panujące w celi potworne zimno pomimo dwu kaloryferów.

Dzień minął mi jednak dość szybko tymbardziej, że co godzinę albo i częściej wpadał ktoś pytając:

- Familia? - Nazwisko?
- Imia? - Imię?
- Imia otczestwo? - Imię ojca?
- God roźdienia? - rok urodzenia?

I szedł dalej.

O godzinie 12-tej był obiad. Kolacja o 20-tej czyli 8 wieczór. o 21-szej "Ubornaja"/WC/. I nareszcie o 22-giej można było spokojnie iść spać. Tak spędziłam dwa dni wcale się w samotności nie nudząc. To były dwa wspaniałe dni odpoczynku po celi Nr.174. Gdyby jeszcze to potworne zimno tak bardzo nie dokuczało! Wszyscy więźniowie uważają samotność za najgorszą karę, a dla mnie była ona prawdziwym relaksem."

Zdarzało mi się i później w moim życiu spędzać dłuższe okresy w samotności i nigdy się nie nudziłam, tym bardziej, że w tych innych przypadkach miałam już towarzystwo książek. Sama nigdy się nie nudziłam. . Natomiast zdarzyło mi się dwa razy, że musiałam być w towarzystwie ludzi, których wszelkie zainteresowania życiowe można streścić w dwóch zdaniach: "chluśnięm, bo uśnięm", "łyknęm bo odwyknęm". Wtedy naprawdę się nudziłam piekielnie i nie dałam się namówić na powtórzenie takiego spotkania, chociaż było one wskazane.

"W poniedziałek 27 stycznia 1941r. dostałam awans; "powyszenie" - jak żartował naczelnik. Przeniesiono mnie na piętro do celi Nr. 17. Spotkałam tam dwie panie. Właśnie miały iść na sąd. Jedna z nich to jakaś histeryczka. Mówiła, że odbędzie się proces miliona młodzieży z "Zapadnoj", to znaczy z polskich Kresów Wschodnich, że pewnie będziemy na sądzie razem, że nas wszystkich rozstrzelają. Strasznie mnie pocieszyły !!!

Wreszcie wyszły. I znów odetchnęłam doceniając własne towarzystwo. Zostałam sama w celi o dwóch łózkach wmurowanych w ścianę i dość dużym oknie. W ogóle poczułam się tu dość dobrze, bo i zimno już mi nie dokuczało. Lecz co dalej?

Moje szczęście w samotności nie trwało długo, gdyż już o godzinie 21-szej czyli o 9 wieczór wprowadzono do celi Anię Kalinowską, panią Borkowską z Lidy i jedną z Łomży w męskim ubraniu. Ta z Łomży zaraz zaczęła wyśpiewywać: "Jeśli mordą nie nabita nie dostojny ja bandyta", co chyba już wystarczy za opinię o niej. Chociaż siedziała z artykułu 64 /organizacja/ i 76 /niezadowolenie z władzy sowieckiej/ to jednak ta piosenka była w sam raz dla niej - szczególnie kiedy "założyła ruki w briuki" /włożyła ręce do kieszeni spodni - to dalszy urywek z tej piosenki/. Ania też nie należała do istot spokojnych. Ponieważ wzięto je z centralnego więzienia bez kolacji, więc teraz zaczęły domagać się zupy. Gdy pertraktacje z dyżurnym nie odniosły pożądanego skutku zażądały widzenia się z naczelnikiem "tiumy". W 10 minut potem naczelnik był już w celi. Tu jednak panuje inny porządek niż w więzieniu centralnym lub w Baranowiczach. Tam można było prosić o zaprowadzenie do naczelnika przez całe miesiące - bez żadnego rezultatu. Zupy jednak nie dostały z uwagi na spóźnioną porę. Naczelnik wytłumaczył im to bardzo grzecznie. Nawet przeprosił za to, że są głodne.

Zaledwie ułożyliśmy się do snu, gdy znów przyszedł naczelnik i kazał mi iść z sobą. Zaprowadził mię do drugiego budynku na parterze pokój Nr.85 - pokój dość duży. Posiadał jedno weneckie okno osłonięte polską firanką, kanapę, biurko, krzesła i polskie dywany."

Teraz wydaje mi się, że to była z mojej strony wręcz obsesja, że wszędzie widziałam polskie rzeczy, jeżeli to było coś gustownego. Rzeczywiście we wrześniu-październiku wywozili od nas wszystko, co im w ręce wpadło, ale na przykład dywany zawsze mieli ormiańskie lub gruzińskie w doskonałych gatunkach - nie gorsze niż nasze przedwojenne. Ja jednak uparcie wszędzie widziałam to, co nam ukradli.

"Powitał mię znany mi już Narkom Wnutriennych Dieł Biełarusi /Minister Spraw Wewnętrznych Białorusi/. Mówił zupełnie poprawnie po polsku. Przede wszystkim zapytał czy jestem narzeczoną Bogusława Wężyka, który niedawno był u niego. Wchodząc do niego do pokoju spotkałam wychodzącego Gambira. Potwierdziłam.

Wtedy rozpoczął coś w rodzaju śledztwa, ale w tonie przyjacielskiej pogawędki, która jednak - jak zawsze - była sowiecką propagandą i jak każde śledztwo odbywała się w nocy.

Potem pytał mię czy wszystko w akcie oskarżenia rozumiem. Powiedziałam, że nie wiem dlaczego wstawiono mi tępść artykułu 68 /szpiegostwo/ kiedy w śledztwie nie było o tym mowy. /Oj, było, było, ale na zakończenie Iwańkow nie wpisał mi tego artykułu/.

- Chyba jednak coś było, jeżeli wam to napisano - odpowiedział. Naszą "konferencję" zakończył wywiadem na temat warunków więziennych i życiorysem Joanny d'Arc /mojej patronki/.

Byłam wprost zaskoczona. Skąd on to zna? Przecież oni kompletnie ignorują wszelkie nauki i książki zagraniczne. A tu "Narkom" /minister/ opowiada mi życiorys świętej..."

Pewnie chciał mi zaimponować "erudycją". Zakończył stwierdzeniem, że ja chciałam być taką polską Joanną d'Arc. Z akt mego śledztwa - jeżeli je czytał - wynikało, że byłam prawą ręką Lolka, bo chłopcy w swoich zeznaniach bardzo poważnie mnie obciążali. Jedynie Sławek starał się mnie ochraniać i brał na siebie moje "przewinienia". Nie miałam nic przeciwko takiemu stawianiu sprawy, bo zaraz na początku odkryłam, że jestem silniejsza i wytrzymalsza od nich. Na tym nasze spotkanie się zakończyło i mogłam pójść spać, chociaż już nie na długo.

" Nazajutrz przyjechały do nas do celi z celi Nr.38 w więzieniu centralnym: Miła Akimowa, Wala Żero, Janka Jabłońska i pani Zofia Stefańska. One też chodziły kolejno do "Narkoma"/ministra/. Wszystkie po przeczytaniu mego aktu oskarżenia milkną. Rozumiem. W nocy z 28 na 29 stycznia 1941r. przyjeżdża pani Grażyna Lipińska. Ja zbyt byłam zmęczona poprzednią nocą i nie wstaję na jej powitanie. Poznajemy się więc dopiero rano. Ona mię tak wyściskała skacząc koło mnie, iż myślałam, że to osiemnastoletnia pаниenka, tym bardziej że z pod bandaża nie było widać jej już trochę szpakowatych włosów. Bardzo przypadłyśmy sobie do gustu."

Najwyższa Sąd Wojskowy ZSSR i Wyrok

"Zaledwie wstałyśmy a już dyżurny kazał mi się ubrać i czekać aż mnie zawołają. Czekanie to trwało dosyć długo, bo zabrano mnie dopiero po śniadaniu. Ubrałam się na ten sąd specjalnie dziecinnie. Włożyłam krótką granatową w różyczki chłopkę z białym kołnierzykiem "bobo", na nogi - gumowe botki. Włosy zaplotłam w moje mizerne warkoczyki-mysie ogonki i podwiązałam niebieskimi kokardkami zrobionymi z batystowej sukienki Marychy Jurewicz jeszcze w Branowiczach. Wyglądałam mniej więcej na 15-16 lat a raczej mniej niż więcej. "

Dziwię się, że w niej nie zmarzłam, bo sukienka ma krótki rękawek. Sukienkę tę przekazałam już do Instytutu Wschodniego wraz z grypsami i innymi drobiazgami.

"Zeszłam na parter. Tam kazano mi zostawić wszystkie rzeczy, bo już miałam duży worek zrobiony na plecak. Do tego "plecaka" przyczepiono kartkę z moim nazwiskiem. Luksus!. Potem dwóch "młodzianów" z widelcami" /to znaczy żołnierzy z bagnetem na karabinie/ wzięło mnie pod ręce i poprowadziło do drugiego budynku na pięć do pokoju 103. Było tam, 5 lejtnantów. Dookoła ścian tego pokoju stały krzesła. Kazano mi usiąść na pierwszym z nich. Zaraz też zaczęli "schodzić się" inni oskarżeni. Na końcu przyprowadzono Sława. Naturalnie usiadł naprzeciwko mnie. Jak przy każdej takiej okazji tak i teraz rozpoczęliśmy rozmowę. Nie pamiętam już o czym mówiliśmy. Wystarczy chyba, że byliśmy blisko, a o czym mówiliśmy to nie było istotne, bo każde słowo było ważne.

W pewnej chwili jeden z enkawudzistów zwrócił na nas uwagę i kazał Sławkowi odwrócić się do mnie plecami, dodając komentarz:
- Czto ty smotrisz na niejo kak koszka na krisu? - Co tak patrzysz na nią jak kot na mysz?

Sław wykonał rozkaz z podwójną gorliwością, bo zamiast zrobić pół obrotu zrobił cały obrót. I znów siedzieliśmy tak jak przedtem.

Inny z piątki enkawudzistów zapytał mnie czy mogą zapalić, czy mi dym nie przeszkadza i czy napiję się z nimi piwa. Popatrzyłam jak na wariata i odmówiłam. Wszedł "naczelnik śledczasty" /naczelnik wydziału śledczego/ i zabrał kilku chłopcom akty oskarżenia. Następnie jednego z nich zabrał ze sobą każąc mu uprzednio zostawić czapkę i płaszcz.

Tak wychodzili i wracali kolejno wszyscy. Sław po powrocie powiedział mi, że to był sąd. Ostatnią z kolei wezwano mnie."

Nasza grupa obejmowała 16 osób. Nie włączono do niej ani Lolka, - mimo że w naszym śledztwie ciągle była o nim mowa, ani Reni Mizgier, ani wielu innych osób. Ich pewnie też połączono w nową szesnastkę. Ciekawe dlaczego oni tak bardzo tę szesnastkę lubili, bo i potem kiedy podstępnie aresztowali nasz rząd podziemny to też sądzili ← szesnaście osób. Czy to jakaś ich cyfra magiczna czy tylko zwy- ← kły przypadek?

"Poszłam bez płaszcza w samej tylko letniej sukience. Najwpierw dyżurny zaprowadził mnie do gabinetu, gdzie była reszta chłopców z naszej grupy. Tam czekałam z 10 minut. Potem wprowadzono mnie do sali sądowej - dużej o trzech weneckich oknach. Drzwi, przez które weszłam znajdowały się w odległości 2-3 m. od lewej ściany, w której były mniejsze pojedyncze oszklone drzwi. Tymi oszklonymi drzwiami wchodził i wychodził sąd. Na ścianie wisiały portrety. Jak zawsze cała galeria... I duży ścienny zegar, który aktualnie wskazywał godzinę 10,30.

Stół przykryty zielonym suknem, a za nim prezes sędziów gruby jak beczka, jakiś generał o niemieckim nazwisku Ulrych czy jakoś tak, prokurator i dwóch sędziów, a z boku sekretarz Żyd. Pozosta-

Że trzy ściany są obsadzone "śledowatielami" /sędziami śledczymi/. Jest ich ze 30-40 sztuk. Najbliżej drzwi wejściowych siedzi tłumacz".

Dziś wiem, że Ulrych był tylko pułkownikiem, ale musiał być tak obwieszony medalami - a ja się na ich stopniach absolutnie nie znałam, on zaś nie przedstawił się - że awansowałam go do stopnia generała. Wydawał mi się wtedy szalenie antypatyczny. O wiele bardziej niż prokurator, któremu dzielnie sekundował "obrońca z urzędu". Wydaje mi się również, że na pokazywanych z procesu naszego podziemnego rządu zdjęciach rozpoznałam . . . mego prokuratora, ale może - się mylę. Może się sugeruję tym, że skoro był ten sam sędzia, to i prokurator też ten sam. Sądził nas wtedy Najwyższy Sąd Wojskowy ZSSR /Wierchownyj Wojensud/ na sesji wyjazdowej w Mińsku.

Była to niesamowita farsa - szczególnie w w moim przypadku - do czego się w znacznym stopniu przyczyniłam i strojem i zachowaniem. Bardzo skutecznie wcieliłam się w dwunastoletnią dziewczynkę naiwną i niewinną i nareszcie wygarnęłam im wszystko, co myślałam, ale w takiej formie, że nie mogli tego potraktować jako agitację kontrrewolucyjną.

"Po środku sali stało krzesło i dwóch "bajcow" /żołnierzy/ z karabinami - jak zwykle z bagnetem na broni. Wskazali mnie to krzesło, więc usiadłam. Okazało się jednak, że się pomyliłam, bo zaraz powiedzieli mi:

- Pożałujsta wstańcie! - Proszę wstać!
- Izwinitie! - Przepraszam! Z dygiem ośmioletniej kobietki wsta-
ję i wdzięcznie przechylam główkę wkładając paluszek do buzi.
Komicznie wygląda to "dziecko" stojące przed Najwyższym Sądem
Wojskowym z Moskwy na sesji wyjazdowej w Mińsku jako "wróg ludu"
/wrah naroda/. Widocznie to samo myślą sędziowie, bo uśmiechają
się do mnie z politowaniem. Na stole leżą cztery tomy protokołów
badania-śledztwa.

Rozprawa sądowa rozpoczyna się od spisania personaliów. A potem następuje pytanie:

- Priznajolieśli k ? Czy przyznajecie się do ...? - tu następuje odczytanie aktu oskarżenia.
- Niet! - Nie!
- A k czemu wy priznajotieś ? - A do czego przyznajecie się?
- Tolko czto prinadleżała, no niczewo nie diełała! - Tylko, że należałam, lecz nic nie robiłam!
- Poczemu wy prinadleżali? - Dlaczego należeliście?
- Eto maja obiaznost'. - To mój pbowiązek. Razwie wy mogliby smotret'czto wasza mokodioż i dieti nie mogut uczytsia na swoim rodnom jazykie? Czy moglibyście patrzeć, że wasza młodzież i dzieci nie mogą uczyć się w swoim ojczystym języku? Razwie wy mogliby stierpiet'cztoby sdies' priszli Kitajcy i zastawili was goworit'na kitajskom jazykie? - Czy moglibyście znieść, żeby tu przyszli Chińczycy i kazali wam mówić po chińsku?

Tu wtrącił się sekretarz-Żyd:

- Wied'że wy mogli uczytsia na polskom jazykie! Przecież mogliście się uczyć po polsku. Nikto wam nie zapreszczajet. - Nikt wam nie zabrania.
- Prastitie, no w takoj Lidie trydcat' tysiacz nasielenija i niet ni odnoj polskoj szkoły! Wybaczcie, lecz w takiej Lidzie trzydzieście tysięcy mieszkańców i ani jednej polskiej szkoły. Potem mówiłam o złych warunkach pracy, o niekompetentnym dyrektorze itp. Nareszcie sobie użyłam! Wygarnęłam całą prawdę. Przemówienie moje było tak długie, że oni spojrzawszy na wiszący zegar nie zadali mi już więcej żadnych pytań. Przekroczyłam przeznaczony dla mnie limit czasu na rozprawę. Nawet pozbawili mnie możliwości wypowiedzenia ostatniego życzenia, na co pozwolili wszy-

stkim chłopcom.

Wróciłam znów do Sława, ale zaraz wszedł "woźny trybunału" i kazał mnie i czterem chłopcom przygotować się /ubrać się/. Nie wiedziałam, że nas tak szybko zabiorą, więc się nawet ze Sławem nie pożegnałam.

Wprowadzili nas do sali sądowej. Ustawili na środku sali. Ja na prawym skrzydle. "Woźny trybunału" zawołał głośno jak trąba jerychońska:

- Wstaj suki idioty! - Wstać sąd idzie!

Potem dowiedzieliśmy, że za przewinienia przewidziane w paragrafie 64 i 76 Kodeksu Karnego ZSSR zostajemy skazani na pozbawienie wolności w więzieniu na lat⁵ lub w isprawietielno-trudowych łagierach /poprawczych obozach pracy przymusowej/ chłopcy na lat 8, a ja na lat 5 oraz na pozbawienie praw /liszenie praw/ - chyba publicznych i honorowych, bo tak się to w całym świecie nazywa na dalsze lat 3.

Jestem zdumiona łagodnym wyrokiem. Po prostu nie mogę uwierzyć, że to nie kpiny i nie podstęp. Po zapoznaniu się z aktem oskarżenia spodziewałam się kary "wyszewo nakazanija"/najwyższego wymiaru kary/ albo co najmniej 15 lat więzienia, a tymczasem..."

Niestety nie pamiętam jak to się stało, że nagle zniknął z mego aktu oskarżenia paragraf 68/szpiegostwo/, co do którego interweniowałam u Narkoma /ministra/, bo w wyroku już nie było o nim mowy. Pozbawienie praw w związku sowieckim to po prostu zsyłka, ale pi-
← sząc pamiętnik w latach 1941-44 jeszcze o tym nie wiedziałam.

Niejednokrotnie jest to nawet gorsze niż obóz pracy. Na szczęście Bóg oszczędził mi tych doświadczeń.

Na stronie 277 "Archipelagu Gułag" Solżenicyn pisze: "...Niektórzy przeszli na emeryturę dla zasłużonych, tego i owego usunięto /Ulrych, jeden z najwybitniejszych katów, jak się okazuje usunięty

został jeszcze za Stalina w 1950r. za ...mięczakowatość/.

" Po odczytaniu wyroku kilku "z widelcami" chwyciło nas pod ręce i zaprowadziło do "Amerykanki" /więzienie śledcze NKWD/. Tam otrzymaliśmy z powrotem swoje rzeczy. A że wszystkie cele były chwilowo zajęte ulokowano mnie w "ubornej" /WC/. Dostałam wygodny fotel i czekałam tam ze dwie godziny. Potem załadowano mnie do "sabacznika" /kibitka więzienna, rodzaj zakratowanego i podzielonego na przedziały autobusu/ i odwieziono do więzienia centralne^{go} w zamku Sapiehów. "

Chłopców już nie widziałam i nigdy nic o nich nie usłyszałam. Żaden z nich nie odezwał się w łaźni czyli na "poczcie centralnej". Dziś już . . . większości z nich nie pamiętam nawet imion i nazwisk, chociaż często - szczególnie ostatnio - o nich myślę. Data śmierci Sława jest podana jako 17 lutego 1941r, a więc w niecałe trzy tygodnie po rozprawie sądowej. Nic więc dziwnego, że nie miałam żadnej od niego wiadomości, ale inni? Gdybym na sądzie przypuszczała, że to rozstanie na zawsze na pewno niezależnie od konsekwencji pożegnałabym się z nim. W najgorszych snach nie przypuszczałam, że się więcej nie zobaczymy.

Skończył się drugi etap życia więziennego i teraz przed nami stanęła groźba wyjazdu w głąb kraju gdzieś do dalekiej Azji. Coprawda wyrok brzmiał alternatywnie i miałam nadzieję, że jednak zostanę w więzieniu w Mińsku.

Na zamku Sapiehów czyli w więzieniu centralnym

"Trafiałam znów do trzeciego korpusu /bloku/. Tym razem do celi Nr.154. Spotkałam tu panią Lipkę /Olipmpię Zeitz/ adwokata z Baranowicz, Wandę Nowotarską z Pińska, panie Jadwigę Taniukiewicz i Lichwierowicz z Lidy. W celi jest - jak zwykle - ciasno. Wieczorem zabierają od nas gruzliczkę, która dotychczas była w celi, więc robi się trochę luźniej.

Czuję się bardzo źle. Boli mię żołądek. Kompletnie nie mogę jeść pencaku. Dziś dali kapustę, to znaczy, że w kotle na 25 osób pływa jakieś 6 liści kapusty - i to jest kapusta, to znaczy kapuśniak.

Jest z nami bardzo miła panienka Irka O./chyba Orzechowska/. Ma śliczny głos i często śpiewa piosenkę królewicza z "Królewny Snieżki", co mnie szczególnie wzrusza, bo śpiewał ją Sławek. Drugą jej ulubioną piosenką jest: "Nie zawsze chcieć to znaczy móc".

W nocy przechodzą do nas jeszcze: pani Borkowska z Lidy aresztowana na kilka dni przede mną wraz z mężem, pani Grażyna Lipińska, Ania Kalinowska i Miła Akimowa. Z drugiej strony "wyzywają" z naszej celi "na etap"/transport/. Żadna jednak z tych, co miały oczny sąd nie jedzie.

Dowiedziałyśmy się, że kobiety z celi Nr.38 w bloku głównym są przeniesione do nasz "korpus"/blok/ do celi Nr. 164. Proszę więc dyżurnego, żeby zabrał od Wili Jastrzębskiej mój kubek i mydło. Otrzymałam. Natychmiast pierścionek zakleiłam w kawałku chleba i zasuszyłam, z kilku innymi sucharami dla niepoznaki. To pewniejsze ukrycie niż mydło.

Transport wyjechał 3 lutego 1941 roku i tegoż dnia po "bani" /kąpieli w łaźni/ przeniesiono nas do celi Nr. 162.

Na trzecim "korpusie" /bloku/ wszystkie cele są jednakowe. Tylko po tej stronie, po której znajdują się cele 162 i 154 jest mniej wilgoci.

Zabrałyśmy swoje łóżka i właśnie miałyśmy je rozstawić, gdy nagle dobiegła nas czyjaś rozmowa, a potem:

- Ałło, Ałło dziewczuki! - Halo, halo dziewczęta!

Stanęłyśmy zdziwione. Skąd to? Ale nie byłyśmy już nowicjuskami, więc po chwili stwierdziłyśmy, że w ścianie jest mała dziurka przez którą można świetnie rozmawiać.

W celi siedzieli sowieccy kryminaliści tak zwani "błatniacy" - a może należałoby raczej powiedzieć "błatniaki". Była to cela 161. Odtąd stale z nimi rozmawiałyśmy. Dostawałyśmy od nich - jako lepiej sytuowanych w więzieniu - papierosy, cukierki, gazety, igły itp. drobiazgi.

Ania Kalinowska stale rozmawiała z ich hersztem Wasią. Pewnego dnia ja stałam przy "karmuszcze" /okienko w drzwiach służące do podawania jedzenia i zamknięte na zasuwkę z zewnątrz/ i pukałam do dyżurnego chcąc poprosić o wodę. Gdy "karmuszka" się otworzyła powiedziałam - nie patrząc kto tam stoi :

- Dyżurny dajcie pożałujsta wady - Dyżurny proszę dać wody.

Okazało się jednak, że nie był to dyżurny tylko Wasia z kompanią, jako, że kryminaliści pozwalali sobie bezkarnie na o wiele więcej niż my "wragi naroda". Po powrocie do celi zaczęli prosić, żebym ja zechciała z nimi porozmawiać. Wydelegowali do rozmowy ze mną najinteligentniejszego z pośród nich niejakiego Lonię lat 27 syna nauczyciela z zawodu buchaltera. Siedział za "niedoczot" /manco/ w kasie.

Powiedziałam mu, że jestem wrogiem komunizmu, że nie umiem mówić po rosyjsku. Nie udało mi się jednak zraz ę go do rozmowy ze mną. Pomimo moje wszystkie tego rodzaju oświadczenia chciał koniecznie ze mną rozmawiać i to koniecznie codziennie. Rzeczywiście odtąd rozmawiałam z nim dość często i nawet zapomniałam, że nie mówię po rosyjsku. Opowiadał wiele o sobie i o życiu w

Sowietach w ogóle, a ponieważ już był w więzieniu i nie bał się aresztowania mówił wiele ciekawych rzeczy.

Sielanka trwała do czasu kiedy mi napisał o "lubwi" /miłości/. Wtedy powiedziałam zdecydowanie dość. Na drugi dzień - na moje szczęście - zabrano ich "na etap", to znaczy wywieziono do obozu przymusowej pracy. Pisał mi Lonia, a właściwie na imię było mu Kola, że u nich ludzie niecierpią komunizmu, że tęsknią za życiem piękniejszym, że wielu wierzy w Boga, tylko boi się do tego przyznać. Jego matka była praktykującą chrześcijanką do 1935 roku."

Ile w tym było prawdy, a ile chęci przypodobania się mnie - trudno dziś powiedzieć. Ja jednak wtedy chciałam wierzyć, że i u nich są jeszcze normalni ludzie, że nie wszyscy są tacy, z jakimi ja się dotychczas zetknęłam. Teraz uważam, że jednak w tych opowiadaniach Koli było więcej załotów niż prawdy. Poznałam ich po 1957 roku i stwierdziłam, że nad wszystkim panował strach i uwielbienie dla Stalina, no i powszechna wiara, że wszystko co najlepsze to komunistyczne, że gdzieindziej panuje nędza, wyzysk i ciemnota.

"Gdy myśmy się modliły nigdy nam nie przeszkadzali. Nawet twierdzili, że siedzą przy dziurce i słuchają".

Myślę, że po prostu imponowałyśmy im najbardziej naszym pozornie znienawidzonym przez nich "państwem", tak jak i obsłudze więziennej.

"Po nich do celi 161 wsadzili dziewczęta "błatniaczki". Towarzystwo o wiele mniej sympatyczne. Nie dbały wcale o nasze upodobania i "rugały" /przeklinały używając niecenzuralnych słów i zwrotów, w które obfituje język rosyjski/ ile wlezie, aż nam uszy więdły. Nasza Sonia - krakowska Żydówka - ma ciągle z nimi jakieś kłopoty. W końcu widocznie dokuczył im kontakt z nami - bo wyjawily istnienie dziurki naczelnikowi. Po krótkich bada-

niach zalepiają nam porządnie wszystkie głębsza otwory w ścianie i koniec!

Wynalazłyśmy teraz nową rozrywkę. Wala Zero spotkała brata swego znajomego, a może to był znajomy brata, ale to ważne. Naturalnie "spotkanie" odbyło się w ten sposób, że Wala wypisała swoje nazwisko w "ubornej"/WC/, a on poznał je i podpisał się pod spodem. Bardzo sprytny młodzieniec. Ciągłe miał jakieś wiadomości ze świata i bardzo nas pocieszał. Siedział od przyjscia Sowietów i dotąd ciągle był jeszcze w śledztwie. Pół roku leżał w szpitalu po jednym z podobnych do siebie przesłuchań. Pan Wit - Józef Szczepański, bo tak się właściwie nazywa - ma znajomych w każdej celi. Zna go cały trzeci "korpus"/blok/. Przed szóstym marca przychodzi do naszej celi babcia /babuna/ Czarnocka. Jest wspaniała w swej wyższości. Dyżurnych i naczelników traktuje z góry, nieraz nie racząc odpowiedzi na ich pytania. Ponieważ ma pieniądze więc kupuje w "łarku" /kantyna więzienna/ wszelkie możliwe artykuły żywnościowe - nie było ich jednak tam zbyt wiele - i obkarmia mię nimi. Przyszła do celi w nocy i kiedy dowiedziała się, że ja tu jestem siedziała do rana czekając aż się obudzę, co chyba nie przyszło jej z trudnością, bo jeszcze w Baranowiczach lubiła spać w dzień, a urzędować w nocy.

W ogóle jak dawniej tak i teraz darzy mnie szczerą sympatią. Nawet miałam wyrzuty sumienia, że jej tak dokuczaliśmy w Baranowiczach budząc ze snu dziennego jednym zdaniem: "i on ją pocałował", na co babcia niezmiernie reagowała: "że co, że jak?" wywołując naszą serdeczną radość. Nie pamiętam czy już napisałam, że babcia stale podkreślała, że jest panną i dziewicą, bo była tak brzydka, że nikt nie zdecydował się jej poślubić. Raz znalazł się amator jej majątku, ale kiedy ją zobaczył zrezygno-

wał nawet z posagu, który był nie najmniejszy i za posiadanie którego babcią teraz cierpiała. Mieszkała z bratem, który prowadził również jej majątek i uwielbiała ciotecznego wnuka, który nazywał ją babuna. Stale podkreślała, że nie nazywa się Czarnecka /jak Czarnecki/ a Czarnocka od czaru nocy.

Ona ^{przypominała mi} babcię z wiersza Or-Ota "Krzyżyk z Olszynki", choć tamta w młodości "lśniła urodą". Taka patriotka. Tak rozumie wszelkie porywy młodzieży - jak rzadko kto ze starszego społeczeństwa. Skazano ją na osiedlenie się w Nowosybirsku - bezterminowo. Terminu nie ustalali, bo byli pewni, że ona tam nawet nie dojedzie. Ja jednak jestem przekonana, że ona wszystko przetrzyma pomimo swego wieku i wróci, bo jest w niej jakaś niespotykana moc i siła witalna.

Kiedy wyjeżdżała z Baranowicz myślałyśmy, że zaraz umrze, a tymczasem ona żyje i czuje się nawet lepiej niż poprzednio. Mamy w celi cztery przedstawicielki świata sowieckiego. Jedna z nich to Polka z Mińska Jadwiga Ochotnicka. Do dnia dzisiejszego modli się i rozmawia po polsku. Zna Sienkiewicza, Mickiewicza, Prusa i innych polskich klasyków. Ciągłe nas prosi żeby jej opowiadać o Marszałku, o Legionach, o naszym życiu. Ale i na niej stosunki sowieckie zostawiły piętno w postaci skrytości i ciągłej obawy przed donosicielstwem.

Jej współpracowniczka ze sprawy garbuska to typ sowieckiej komsomołki ciemnej i głupiej, która nie umie na nic patrzeć normalnie, a tylko przez założone jej sowieckie okulary, co nas wręcz denerwuje. Nawet w sowieckim więzieniu w warunkach jakich nikt w cywilizowanym świecie sobie nie wyobraża twierdzi, że życie sowieckie jest rajem, a wszędzie poza nimi panuje nędza, głód i wyzask. Od niej nie usłyszy się nic innego. Powtarza w krąg to samo jak nakręcona katarynka.

Do niej świetnie pasuje ten kawał: Do partii przychodzi jakiś obywatel i skarży się, że ma tylko jedną parę spodni. Komisarz odpowiada mu na to, że murzyni chodzą w ogóle bez spodni. Wtedy obywatel słomentował to tak - to tam komunizm napewno panuje dwa razy tak długo jak u nas.

Dziś wydaje mi się, że do niej ten kawał absolutnie nie pasował. Ona napewno winą za brak spodni u murzynów obciążyłaby kapitalizm i stwierdziła, że należy jak najszybciej wyruszyć im z pomocą. Nie wiem skąd u mnie wtedy gdy pisałam ten pamiętnik pojawiło się takie skojarzenie. Przecież oni wszystkie braki w życiu codziennym tłumaczyli tym, że w kapitalizmie jest jeszcze gorzej i nie wierzyli, że przed wojną żyliśmy dostatnio nie będąc kapitalistami-wyzyskiwaczami.

Muszę też wyjaśnić "określenie współniczka ze sprawy". Nie znaczy to wcale, że osoby te miały ze sobą coś wspólnego poza jednoczesnym aresztowaniem i oskarżeniem w tej samej sprawie. Objęcie wspólnym aktem oskarżenia mogło nastąpić z bardzo różnych powodów.

Na przykład mogły mieszkać we wspólnym mieszkaniu, pracować w tej samej instytucji czy fabryce, albo wiedziały o jakimś przestępstwie i nie doniosły względnie jedna wiedziała o przestępczej działalności drugiej i nie doniosła. Dziś już nie pamiętam, co każdej z nich zarzucano i co je łączyło. Wykluczona była jedynie przyjaźń i pokrewieństwo. W każdym razie sprawa ich była sprawą polityczną i obie one podpadały pod określenia "wraha naroda", chociaż były tak diametralnie różnych poglądów. Jak już jestem przy ich poglądach to od Jadwigi Ochockiej dowiedziałam się, że Mińszczanie uwielbiając Marszałka Piłsudskiego czuli jednak do niego żal za oddanie Mińszczyzny Sowietom, za pozostawienie ich odciętych od Kraju w okropnych warunkach komunistycznego ustroju bez możliwości kontaktu z Krajem i swoimi bliskimi.

"Trzecia Sowietka - Tarchowa - żona enkawudzisty zachwyca się "błatniakami" /kryminalistami/. Imponuje jej ich życie niezależne, ich solidarność, a nawet ich nienawiść do sowieckiej władzy /władza sowieckiej/. Często śpiewała taką błatniacką piosenkę: "Zaczem barołsia ja za swabodu, kogda po rańszemu, po prieżniemu ja wor" /Dlaczego biłem się za wolność, skoro jak dawniej, jak uprzednio jestem złodziejem/? Ona byłaby idealną królową bandytów.

Początkowo zawsze nam przeszkadzała w modlitwie, ale w końcu kiedyś poprosiła, żebyśmy i za nią też się pomodlili, bo chyba modlitwa sprawia, że my tak cierpliwie znosimy więzienne warunki, chociaż byliśmy przyzwyczajone do lepszego życia i większość z nas jest taka młoda. Wyznała nam również, że oni nienawidzą nas za to, żeśmy żyli "kak ludi" /jak ludzie/.

Więc jak oni żyli? Imponuje im i wzbudza zawiść i nienawiść nie to żeśmy mieli jakieś specjalnie dobre warunki, że byliśmy bogaci, ale po prostu tylko to, żeśmy żyli jak ludzie".

Świat kryminalny w Sowietach może najbardziej przypominał świat wolny, demokratyczny, a raczej był zorganizowany na wzór amerykańskich gangów i "rodzin" w niczym nie przypominając społeczeństwa sowieckiego.

Szczególnie dobrze był zorganizowany w obozach i bardzo często to nie NKWD rządziło obozami pracy /łagierami/, a raczej kryminaliści. Pamiętam, że Lonia-Kola opowiadał mi, że w pewnym obozie "błatniaki" grali w karty i kiedy któryś przegrał wszystko co miał postawił do "banku karcianego" naczelnika obozu. Przegrał go, więc mu poderżnięto gardło. Nawet nie wiem czy zasługiwał na to czy nie. Po prostu stał się karcianą ofiarą.

Jeżeli jakaś dziewczyna w obozie wpadła w oko kryminaliście i była powolna jego życzeniom miała rajskie życie. Nie potrzebowała praco-

wać, nie mówiąc już o zwolnieniu od ciężkiej pracy, a miała wszystko o czym zamarzyła z biżuterią i futrami włącznie. Jeżeli się natomiast sprzeciwiła to lepiej było dla niej jeżeli natychmiast popełniła samobójstwo. Wszystkie takie opowieści spowodowały, że bardzo bałam się wywiezienia do obozu i stale gorąco się modliłam o jak najdłuższe pozostawanie w więzieniu jak najbliżej Kraju. Raz, że byłam pewna wybuchu wojny i przyjscia naszych wojsk na te tereny, a dwa, że na skutek opowieści bardzo bałam się obozów, bo już miałam takie szczęście, że wpadałam w oko najbardziej niemiłym mi - delikatnie mówiąc - osobnikom: kryminalistom, pięćdziesięcioletnim staruszkom itp. W tym czasie staruszkami byli dla mnie już mężczyźni dwudziestokilkuletni. Uznawałam tylko swoich rówieśników, to znaczy z różnicą kilku lat, bo większość chłopców u nas w klasie była starsza o rok lub dwa od nas, z uwagi na powtarzanie klas. Przy mojej wielkiej wszechogarniającej miłości do Sława nie było miejsca na jakiegokolwiek zainteresowanie się kimkolwiek. Teraz przypominając z Ireną tamte czasy zastanawiałyśmy się z nią jak wyglądał Lolek. Irena powiedziała, że był przystojny i wszystkie dziewczyny były nim oczarowane. Wtedy nagle zdałam sobie sprawę, że jak bardzo blisko byłam związana z Lolkiem, to nigdy nie przyszło mi do głowy zastanawiać się czy był przystojny czy nie. Był przywódcą i już! Nie widziałam w nim mężczyzny! I chyba nie tylko Sław był tego powodem, bo przecież Irena też już była zakochana w swoim późniejszym mężu. Ze staruszków 30-letnich /gdy ja miałam lat naście/ kpiłam, ksiądz i żonaty nigdy nie byli dla mnie mężczyznami, więc można sobie wyobrazić jak bardzo bałam się ewentualnych zalotów "błatniaków".

" I ostatnia z naszych Sowietek to wariatka Żydówka Bragina - dentystka z zawodu. Siedzi za to, że kiedyś niechcący na jakimś "mitingu" /masówce/ pochwaliła carskie czasy. U nich można było nawet narzekać na warunki, w jakich żyją pod warunkiem, że

się stwierdzi, że gdzieindziej jest jeszcze gorzej, że inni mają jeszcze gorsze życie. Najgorszym grzechem czy wręcz zbrodnią było stwierdzenie, że gdzieindziej jest lepiej.

Teraz Bragina wszystkich wokoło przeprasza i ciągle staje pod drzwiami i rozmawia "z korytarzem" o swojej sprawie. Myślę jednak, że ona tylko symuluje.

Na tym samym korytarzu siedzą również Polki-sowiecki za organizację propolską, a antysowiecką. Byli oni aresztowani w 1937r. iw 1939r. skazani na śmierć, a potem ułaskawieni. Korespondujemy z żoną kierownika tej organizacji /politruk/ Bronią i jej krewną Emilką.

O ile się nie mylę - a podytłu latach o to nie trudno - mąż Broni był naczelnikiem NKWD w Mińsku. Organizacja ta działała przez czas dłuższy zanim wpadła. Miała ona na celu doprowadzić do połączenia Mińszczyzny i Witebszczyzny z Polską. Podobna organizacja istniała również w Kijowie. Nie są to jednak wiadomości zaczerpnięte ze źródeł historycznych, a jedynie z informacji więziennych przekazywanych ustnie. Bronia i Emilka - a może również Jadwiga Ochotnicka i garbuska - były sądzone w tej samej sprawie. Po kilku latach pobytu w obozie zostały przywiezione do Mińska na "pieresużdzenie" ← czyli powtórny sąd. Ten powtórny sąd nie oznacza wcale zmniejszenia wyroku, czy sprawiedliwego rozpatrzenia sprawy., w świetle nowych dowodów, dokumentów, świadków itp., lecz wręcz przeciwnie zadaniem tego sądu jest nowy dodatkowy wyrok. Zazwyczaj dzieje się tak kiedy więzień już odsiedział swój wyrok, albo zbliża się ← do jego ukończenia. Nowy wyrok bywa bardzo często równy poprzedniemu- chyba w zależności od zapotrzebowania na siłę roboczą.

"W tym czasie byliśmy coś ze dwa razy na "pregułce" /spacerze/. Warunki spacerowe są tu jeszcze gorsze niż w Baranowiczach. Mamy klitki po jakieś 5 m², a idzie nas na spacer 20 kobiet. Poza

tym spacer trwa tu tylko dziesięć minut licząc od chwili wyjścia z celi do powrotu. Ale i taka przyjemność spotyka nas zaledwie dwa razy na miesiąc .

Na Prima-Aprilis mamy niespodziankę /1.4.1941r./ - przeprowadzka do celi Nr. 46 "korpusu" głównego / bloku. Warunki w tej celi są o wiele lepsze niż w bloku trzecim. Cella większa. Okno niżej i też większe. Ale najważniejsze jest to, że nie ma wilgoci. Rozlokowujemy się. Ja chcę spać z Grażyną Lipińską, ale ona kładzie się z panią Borkowską. Mam spać z Iwonką Grabowską z Białegostoku i jeszcze jakimiś dwiema. Ale, że tymi dwiema są Rosjanka z Baranowicz i Anna /podobno kuzynka Marychny Jurewicz/, ja jestem zła i nie chcę tam spać. Teraz już mi jest wszystko jedno, wszystko obojętne, więc kładę się przy drzwiach z Julką Paszkiewicz z pod Radoszkowicz - straszną komunistką. Iwonka jest tym bardzo dotknięta i kładzie się również przy drzwiach, ale w dość dwuznacznym towarzystwie.

Znów płynie życie szare, jednostajne, przerywane takimi wydarzeniami o "wszechświatowym" dla nas znaczeniu jak nie przyjęcie zupy, karcer i temu podobne.

3 kwietnia poszliśmy do ubornej /WC/ i Ania Kalinowska zaczęła krzyczeć do mężczyzn z trzeciego "korpusu"/bloku/ z celi 166. Skutki - jak zwykle. Dyżurny nie tylko ją usłyszał, ale i zobaczył, więc zabrał natychmiast bez płaszcza do karceru.

My - poczuwając się do solidarności - twierdziłyśmy, że "nikto nie pierekrkiwałaśia" /nikt nie krzyczał/, a tylko my wszystkie hałasowałyśmy, bo jedna odkręciła nie ten co trzeba kran i woda nas obryzgała. Nasze tłumaczenia jednak nie pomogły. Ania została w karcerze. Zyskałyśmy tylko tyle, że dano jej płaszcz.

Nazajutrz miał służbę nasz najlepszy dyżurny "Ukrainiec". Przyniósł nam chleb, a my - chociaż nie chciałyśmy się z nim kłócić - nie wzięłyśmy. Przyniósł więc cukier i namawiał do przyjęcia, ale my uparcie nie wzięłyśmy. Na obiad przyniósł nam "pyszna" zupę, jaką tylko raz w więzieniu widziałam /pencak z prawdziwymi czerwonymi pomidorami/ i zaczął kusić. My jednak wytrzymałyśmy i nie wzięłyśmy. Przyniósł ją potem po raz drugi i trzeci, prosząc, strasząc, grożąc. Ale nic nie pomagało. Byłyśmy nieugięte, uparte w swej urażonej dumie i żądałyśmy powrotu Ani do celi.

W końcu stało się to, co nam przepowiadał dyżurny. Przyszedł naczelnik "korpusu"/ bloku/ Gardienko i oświadczył, że dostajemy 6 dni "karcernego położenija".

Karcer i "karcernoje położenijs" to tak jak "gripp i gripoznoje położenijs" /grypa i stan grypowy/ nie wielk różnią się od siebie. Grypa i stan grypowy są łatwo zrozumiałe, ale nie umiem znaleźć polskiego odpowiednika dla "karcernogo położenijsa". Polega ono mianowicie na tym, że zamiast w karcerze siedzimy w sōjej celi, ale stosuje się do nas ws' ystkich pozostałe ograniczenia mające miejsce w karcerze. Najgorszym chyba jest zakaz wychodzenia do "ubornej"/WC/. Ma ono zastosowanie wtedy, gdy ukarana jest cała cela, a nie poszczególne jednostki.

" Oznacza to, że przez 6 dni nie mamy prawa wychodzić do "ubornej"/WC/ i że będziemy otrzymywać tylko 20 deko chleba rano oraz jeden litr gorącej i 2 litry zimnej wody dziennie.

Ale nie było nam tak źle jakby się wydawać mogło i jakby być powinno. Przyszły bowiem w okresie kary do naszej celi dwie nowe więźniarki i im należała się normalna zupa, jako że nie brały udziału w naszym wybryku. Nasz dobry dyżurny daje nam zamiast dwóch porcji - aż czternaście, a więc jakoś sobie trochę podjadamy.

Ania natomiast siedziała w karcerze całe 3 dni i wróciła rozpromieniona. Flirtowała tam już z jakimiś bandytami czy złodziejami. Dostawała od nich papierosy i cukierki. Naturalnie flirt był bardzo, bardzo platoniczny, bo przez ścianę lub przez drzwi. A my przez nią prawie głodowałyśmy!!!

Teraz wracam do tych dwóch nowych. Jedna z nich to jakaś samozwańcza akuszerka z pod Trab /powiat wołożyński/ - niejaka USS. Kładą ją koło mnie na łóżku, bo sama też jest w ciąży.

Druga jest bardzo ciekawym typem. Wtedy wydawała mi się głupią wiśniaczką, wirzącą jedynie w sny, męża i dzieci. Dziś jednak patrzę na nią inaczej. Kim była trudno to określić.

Ona to weszła do naszej celi z płaczem i ogromną paczką jedzenia, które nas podtrzymywało na ciele i duchu w czasie przymusowego postu. Katia to typ, jakiego nie spotkałam ani w życiu ani w książce. Pozornie jej dusza jest otwarta i pusta i prosta jak dusza białoruskiego chłopca, ale w rzeczywistości tak nie jest. Ona ma w sobie coś więcej. To czym inni chwalą się ona najbardziej ukrywa. Chce być - nawet dla nas zaufanych - prostą chłopką i niczym więcej. I udaje jej się to doskonale. Jest dla nas prostą, głupią chłopką prawie do końca.

Ciekawe były na przykład historyjki, które nam opowiadała. Charakterystyczny jest jej opis przybycia do więzienia w Mińsku. Przywieziono ją zamkniętym autem, więc myślała, że ją na śmierć wiozą. Potem dyżurny otworzył izbę i kazał jej wejść do leżących szeregiem pozabijanych nagich kobiet, więc ona zaczęła go błagać, żeby jej pozwolił jeszcze przed śmiercią trochę się pomodlić. W końcu dyżurny zrozumiał o co jej chodzi i zbudził "pozabijane" kobiety.

Okazuje się, że z uwagi na panujący w celi upał spały one w staniczkach i majteczkach /przeważnie różowych/, co powodowało że robiły wrażenia trupów. Wrażenie takie potęgował jeszcze fakt, że leżały obok siebie ściśnięte jak śledzie w beczce. Nie potrafię tego tak barwnie jak ona to opowiadała używając mińskiego narzecza /gwary/ opisać.

Inny przykład to jej wrażenia ze śledztwa.:

Kiedys sędzia śledczy zostawił ją samą w gabinecie, a po powrocie pytał czy ona nie wie czegoś o "harmanizacji" /organizacji/.

- Nie, panoczek /nie panie/ - odpowiada.

- Iszczytie! - Szukajcie!

I sniałaja wopratku, ale jon każe: - I zdjęłam ja okrycie, ale on mówi:

- Durnaja ty, harmanizacija eto gdzie mnoha ludziej sobierałasia i pro szto wy tam hutaryli? Głupiaś ty, organizacja to gdzie dużo ludzi zbierało się i o czym wyście tam mówili?

Zastanawia się chwilę babina a w końcu odpowiada:

- Nu tak, panoczku, my wsie chodyli na konce wioski i w krinku kartoczki kidali. - Tak, panie my wszyscy chodziliśmy na koniec wioski i do skrzynki rzucaliśmy kartki.

Chodziło jej naturalnie o głosowanie i tak też to śledczy zrozumiał. Rozzłoszczony, że nic mu się nie udaje odesłał babę do celi.

Zaczęłam ją uczyć polskiego. Odrazu nauczyła się wyrażenia "będzie świetnie", a jaki z tego zrobiła użytek opowiem później."

Kiedy dziś po tylu latach wracam do Katii myślami mam wrażenie, że była nie tyle prostą kobietą, co świetną aktorką, która za prostą kobietę uchodzić chciała, podobnie jak ja udawałam naiwne dziecko. Tak jak większość mieszkańców pogranicznych osiedli była najprawdopodobniej konfidentką naszego KOP-u i jako taka została aresztowana. Do roli tej musiała jednak być oskonale przygotowana, bo wywiodła w pole nie tylko sędziów śledczych, ale i nas, do których - jakby się wydawało - miała zaufanie. Podawała nam wszystkie najradośniejsze wiadomości, jakie uzyskiwała, ale w formie snów, o których prawdziwości przekonaliśmy się kiedy jej już z nami nie było. Przecież nie jest rzeczą możliwą, żeby jej sny jak na zawołanie tak dokładnie się sprawdziły. I to wszystkie!

" Następnie 7 kwietnia w poniedziałek o godzinie 9 rano przyszła do nas pani Helena Wojtuszkiewicz. Strasznie mnie to ucieszyło. Jakby nie było "teściowa". Nie chciała uwierzyć, że Mary jest aresztowana. Opowiadaniom jak zawsze w takiej sytuacji nie było końca."

Tu muszę wyjaśnić, że córka Maria i syn Edward pani Heleny należeli do grona moich najbliższych przyjaciół. Mieszkaliśmy blisko siebie. Pani Helena była Przewodniczącą Akcji Katolickiej w Lidzie i jako taka bardzo się udzielała w pracach tej organizacji, za co została aresztowana. A że i pan Wojtuszkiewicz - jako dyrektor PKO często bywał poza domem najczęściej zbieraliśmy się u nich. Jakby powiedziała dzisiejsza młodzież mieliśmy do dyspozycji do godziny 20-tej "chatę", z tym że nasze "szkło" stanowiła herbata z konfiturami, których pani Helena przygotowywała znaczne ilości i to w doskonałej jakości. Pani Helena była wspaniałą gospodynią. Jeszcze do dziś pamiętam jej wspaniałe wielkanocne sękacze, nie wiem dlaczego u nas na Wschodzie nazywane z niemiecka baumkuchami czy też baumkuchenami.

Przez kilka ostatnich lat przed wojną stanowiły najbliższe grono przyjaciół "Jolemage" czyli Joanna Stankiewicz, Lena Baklan, Maria Wojtuszkiewicz, Genka Puciato. Lena i Mary były o klasę niżej ode mnie, Genka - o dwie, a Edek - najwpierw o klasę wyżej, a potem przez kilka lat w tej samej klasie. Z reguły w naszym gimnazjum chłopcy uczyli się dokładniej niż dziewczynki, powtarzając klasy i stąd przeważnie byli starsi niż dziewczynki w danej klasie. W ostatnich latach do grona tego dołączyła moja najbliższa przyjaciółka Irena Kleindienst. Już w szkole. została sympatią, a w czasie wojny żoną Edka.

Nic więc dziwnego, że miałyśmy sobie wiele do opowiedzenia, bo pani Helena została aresztowana wraz z mężem dzień po mnie i nie zetknęła się w tym czasie z nikim kto miałby jakiegokolwiek wiadomości z Lidy o jej najbliższych i znajomych.

Już przedtem modliłyśmy się w niedzielę wspólnie, ale były to tylko najróżniejsze znane nam modlitwy. Pani Helena wprowadziła w niedzielę rozważania Mszy Sw., co potem na podstawie opowiadań córki

utrzymała wierszem matka Grażyny Lipińskiej. Wiersz ten został zamieszczony w książce Grażyny Lipińskiej p.t. "Jeśli o nich zapomnę".

Ponadto pani Helena nauczyła nas modlitwy, którą do dziś odmawiam:

Bogurodzico Tyś świadkiem mej doli.
W boleściach serca ze łzami proszę:
Daj mi cierpliwość ulec Boskiej woli,
A krzyż mój ciężki niech go mężnie znoszę.
Nieraz ja Twojej doznałam opieki,
Pociechy w smutku, wsparcia w potrzebie.
O Matko! Podnieś łaskawe powieki
I spojrzysz na proszącego Ciebie.

Wszak znasz co boleść o Matko Jedyna!
Tyś siedem mieczów miała w swoim łonie
Kiedyś na Krzyżu zobaczyła Syna
Ach pociesz w smutku! Wejrzyj ku obronie!
Spojrzysz na żal nie na winę
Spojrzysz na serce smutkiem obciążone!
Ach pociesz dzisiaj i w śmierci godzinę
Gdy się uciekam pod Twoją obronę.

" W Mińsku zapanował tyfus, dali nam więc trzy zastrzyki przeciwtyfusowe: 12.4.1941r.; 19.4.1941r.; i 26.4.1941r. Drugi zastrzyk solidnie przechorowałam z temperaturą 41°C, utratą przytomności i ponad tygodniową chorobą. W chorobie tej opiekowała się mną bardzo serdecznie Ania Kalinowska. Nie rozumiem skąd się u niej ta opiekuńczość wzięła. Przecież ja już byłam po śledztwie i po sądzie i nic się nowego ode mnie dowiedzieć nie mogła. Mówią, że Ania jest "donoszczykiem"/szpiclem, donosicielem/."

Mówią... A może pomówienia te były niesłuszne i tylko krzywdziły Bogu ducha winną dziewczynę. Może po prostu lubiła midrzyć się do dyżurnych z braku innych mężczyzn w pobliżu?

Może dla niej byli również tylko mężczyznami, a nie wrogami?

Może chciała tylko na nich wypróbować swe wdzięki?

Przekonałam się potem w życiu nieraz, że bardzo często pozory mylą i przedwczesnym osądem można człowieka bardzo skrzywdzić.

Nie pamiętam za co Ania siedziała, ale napewno nie była jedną z nas politycznych -nawet jeżeli miała polityczny paragraf na przykład 120 - przejście nielegalne granicy . Nie oznacza to jednakże, że musiała współpracować z NKWD.

WIELKANOC NA ZAMKU SAPIEŻYNSKIM W MINSKU

"Ale wracam do Wielkiego Tygodnia. W środę 9 kwietnia 1941 roku skończyła się nasza kara to jest "karcernoje położenije" czyli karcer w celi.

W Wielki Czwartek to jest 10 kwietnia 1941 roku zaczęłam myśleć o uprzyjemnieniu nam Świąt i wieczorem kiedy wszystkie kobiety już spały napisałam wiersz pod tytułem "Zmartwychwstanie" i "Dialog anioła z diabłem". Nigdy potem nic nie pisałam, ale więzienie wyzwoliło we mnie nie tyle talent co chęć zapisania i utrwalenia naszych przeżyć. Moja "twórczość" ma więc nie tyle wartość artystyczną, co historyczną, bo jest autentyczna.

W Wielki Piątek 11 kwietnia 1941 roku postanowiłam - pomimo sprzeciwu starszych pań - pościć całkowicie, zgodnie z moją rodzinną tradycją. W moim rodzinnym domu post ścisły zachwywano w Środę Popielcową, w Wielki Piątek i w Wigilię Bożego Narodzenia. Nie piliśmy nawet wody.

Wieczorem w Wielki Piątek zabrano nas do "bani". "Bania" to było pomieszczenie z prysznicami. Na rurach pod sufitem znajdowały się prysznice z łańcuszkiem do pociągania, jeżeli się chciało puścić wodę."

zupełnie takie same widziałam potem w Oświęcimiu, tyle, że tam puszczano zamiast wody gaz "Cyklon".

"Ponieważ było jeszcze przed północą nie napiłam się wody pomimo szalonego pragnienia. W konsekwencji zrobiło mi się trochę słabo.

Zaraz po powrocie do celi położyłam się do łóżka, ale gdy już minęła północ nie miałam siły wstać samodzielnie, żeby napić się wody.

Dopiero rano po wypiciu tak zwanej "kawy" zrobiło mi się lepiej, więc nadal przygotowywałam świąteczne przedstawienie.

Wielka Sobota 12 kwietnia 1941r. Dzień ten upłynął nam prawie jak w domu pod znakiem wielkanocnych przygotowań. Zrobiliśmy tort z chleba, herbatników, odrobiny cukru, cukierków i chałwy oraz białego chleba. Tort był dla nas naprawdę wspaniały, bo trochę słodki. Chyba żaden - nawet mój ulubiony makowy czy chlebowy - nie smakował mi bardziej w całym moim życiu, tymbardziej, że porcje niestety były skromne, bo było nas wtedy w celi chyba 26.

A oto przepis na ten wspaniały tort:

Porcja więziennego chleba /chyba 60 deko po odliczeniu skórek/ ugniecioną na ciasto i rozwałkowana daje nam dwa placki. Jeden kładziemy na spód. Na to dajemy pół porcji więziennego chleba posiekanego i przesączonego osłodzoną wodą. Na ten chleb kładziemy warstwę chałwy, a na nią warstwę białego chleba również posiekanego i wymieszanego z posiekanymi cukierkami. Całość przykrywamy drugim plackiem chleba. Ubrać można pokruszonym ciastkiem i cukierkami. Nasz był udekorowany bardzo ładnie.

Ponieważ jednak w południe zaaplikowano nam pierwszy zastrzyk tyfusowy wszystkie czułyśmy się mocno nieswojo. Pomimo to jednak nadal przygotowuję przedstawienie.

I tak nadszedł dzień 13 kwietnia 1941r. Wielkanoc! Zaraz po rannej toalecie dwie deski ułożone na przeciwległych łózkach nakryłyśmy prześcieradłem /te z nas, które zostały aresztowane na przejściach granicznych miały ze sobą spory bagaż m.i. prześcieradła/, tworząc w ten sposób stół, na którym ustawiliśmy malutkie święcone. Czego tam nie było? Wszystko było zrobione z ugniecionego chleba pomalowanego proszkiem do zębów na biało albo "streptacytem"/ środek do płukania gardła, używany przez nas do farbowania/ na pomarańczowo-czerwono. Były tam więc kuszące kiełbaski, szynki, balerony i inne wę-

dliny, a nawet świńska głowa z napisem "Wesołego Alleluja". Były też małe kolorowe pisanki, i króliczki, i zajączki, i kurczątka, mazurki i babeczki i torty, a nade wszystkim królował napis: "Stare polskie Święcone".

Oprócz tego święconego na pokaz, miałyśmy też conieco do jedzenia. Pani Zuzanna Kozodojowa z Grodna dostała od ojca mieszkającego w Mińsku świąteczną paczkę i stąd pochodziła chałwa, kielbasa, cukierki i herbatniki oraz cukier itp. Aresztowano ją za to, że w trakcie odwiedzin u ojca w Mińsku powiedziała, że przed wojną w Polsce było jej dobrze i nic nie brakowało, że nie umierała z głodu. Ktoś z uczynnych sąsiadów doniósł i to wystarczyło, żeby podzieliła nasz los.

Po uroczystym nabożeństwie odprawionym przez panią Helenę Wojtuszkiewicz podzieliłyśmy się prawdziwym święconym jajkiem z paczki, zjadłyśmy kanapki z chleba i prawdziwej kielbasy lub słoniny. Potem każda dostała po 3 herbatniki i 5 cukierków do "kawy" Deser stanowił tort.

Po tym wspaniałym śniadaniu zadeklamowałam im swoje:

ZMARTWYCHWSTANIE

Biją dzwony duże, małe,
Biją dzwony z wież kościołów.
Wszystkie głoszą Bożą chwałę
Niosą Stwórcy modły tłumów.

Tak bywało od lat wielu.
Dzisiaj wszystko się zmieniło.
Dziś zamilkły dzwony w żalu
Rozpacz radość w nas zabiła.

Kraj rozdarty we krwi tonie.
Miasto dzwonów brzęczą więzy.
Miecz boleści w każdym łonie,
Miast radości - trwoga nędzy.

Dla nas smutne Zmartwychwstanie,
Bo w sowieckim m śmy raj.
Za kratami na obczyźnie
Ślemy myśliswe do Kraju.
Stajemy u wrót kościołów.
Czy otworzą nam się one?
Czy przez ręce bezbożników
Nie są dzisiaj zbe. zczeszczone?
Co się dzieje z relikwiami?
Dobry Boże! Litościwy!
Ty; dziś zlituj się nad nami!
Daj zwycięstwo sprawiedliwym!
Dziś klęczymy tu - o Panie!
Prosząc - "Wybaw nas" - w pokorze,
Lecz Twa wola niech się stanie
Wszechmogący, Wielki Boże!
Muszą milczeć dzisiaj dzwony,
Tak jak muszą cierpieć ludzie.
Dzwony szepczą : "Pochwalony!"
Ludzie wierzą: "Bóg nagrodzi!"

Myślę, że nikt inny nigdy by tego lepiej nie powiedział, bo nie była ^{to} deklamacja, to był ból mej duszy, to była prawda, to była żywa krew mego serca, a nie słowa. Wiem też, że nikt nigdy nie miał wdzięczniejszych słuchaczy. Łzy, ból, radość wszystko to było wspólnym uczuciem zakutych, lecz rwących się do lotu dusz.

Potem było przedstawienie. Ania w nocnej koszuli i prześcieradle z rozpuszczonymi blond włosami wyglądała jak rafałowski aniołek, ja zaś jako diabeł wyglądałam jakbym się dopiero co wymknęła z walki, bo mój ogon /czarna pończocha/ smętnie zwisał, a brak rogów pokrywał czarny kapelusz i gęsta do piersi woalka. Nikomu to jednak nie przeszkadzało, bo wszyscy członkowie naszego szlachetnego zgromadzenia odrazu poznali /a raczej poznały/, że mają to być anioł i diabeł. Nikomu nie przeszkadzało również to, że aniołek mówił grubym altem, a diabeł popiskiwał sopranikiem:

WIELKANOCNY DIALOG

Diabeł: Jestem sobie Belzebub; mam pod sobą milion słu.
Taki jestem wesół rad. Mój dziś będzie cały świat!
Wszystkie państwa podburzyłem, nienawiść tam wprowadziłem.
Wre Europa, bije się, kłóci. Ona mnie nigdy już nie porzuci.
Teraz trzeba sługi słać. Wkrótce będę plony rwać.
Ale... /widzi nadchodzącego Anioła/

Trzeba szybko Zmiatać. Anioł gotów je pobratać.
Trza żelazo kuć gorące, bo on pośle zgody słońce.
Trza rozmnożyć Żydów plemię. Przez nich ja posiadam ziemię.
No, w Sowiatach nie mam pracy; to już moi niewolnicy.
Lecz o innych strach!

Anioł: Czego tu krążysz o duchu czarny, tyś nad piekłem tylko
mocarny.

Bo wiem serc ludzi anioł strzeże, one do Pana tylko należą

Diabeł: Mylisz się! Spójrzysz czyje królowanie! Każdy przede mną
tutaj głowę skłania.

Wre Europa, bije się, kłóci. Ona mnie nigdy już nie porzuci!

Anioł: Nie bądź tak pewny o duchu zły, bo nie posiadzisz świata
raz ty!

Czy chcesz wtargnąć do serc tych, co nie myśląc o bliskich
swych,

Porzucili dom, by ojczystych bronić stron?

Nie dla ciebie oni są. Pod opiekę przeszli ma!

Diabeł: Bierz se Zachód! Tam mych trudów wielce szkoda.

Zato tutaj mam wygodę.

Nie dbam o nich. Sami dbają by przypadkiem nie być w raju.

Swój tron z piekła tu przenoszą, bo mnie o to bardzo proszą.

Anioł: Tobie służą komisarze, o mnie myślą zaś nędzarze!

Wciąż płacze ich serce, że są w ciągłej poniewierce.

Diabeł: Cóż ci mali? Ja tu rządę przez największych. Spójrz!

Głód, nędza i brudy moralne - to ich dzieło liberalne.

Zamiast szkół mają więzienia - to idee oświecenia!

Znikły kościoły i figury - to dowód ich kultury.

Nim jesienne wzejdą zorze przygotuję w piekle łoże,

Potem przyjdę zabrać dusze...

Anioł: Ja dobrocią złość ich skruszę.
Nagrodzimy sprawiedliwych. Nawrócimy tych co krzywdzą.
Dużo szczęścia dam i radości, by nie było nigdzie złości.

Grunt, że chęci były szczere. Wad nikt nie chciał wiedzieć, więc ich nie było.

Zapomniałam powiedzieć, że ściany były obwiedzone szlafrokami przykrywającymi inne części barwnej garderoby i tworząc kolorowe "boazerie". Sciana przy drzwiach była udekorowana z jednej strony biało-czerwoną chorągwią i małym prawdziwym krucyfiksem, z drugiej zaś białym orłem na czerwonym tle.

Teraz już naprawdę nie wiem z czegośmy tego orła zrobiły, bo papier był przecież zawsze artykułem niedostępnym - a w dodatku biały i może sztywny? Najlepszym dowodem niedostępności papieru są nasze listy-grypsy, które jakimś naprawdę cudem przechowały się u mnie do dziś, a pisane były na gільzach wypalonych papierosów. Najważniejsze jednak było to, że ORZEŁ był, a jak i z czego powstał to mało ważne, bo na pewno nikt sobie tego nie przypomni.

" W trakcie święconego wchodził do naszej celi dyżurny z lekarką i oboje byli zachwyceni naszą pomysłowością.

Na wspomnieniach i opowiadaniach minął nam szybko Pierwszy Dzień Świąt. Poniedziałek Wielkanocny czyli 14 kwietnia 1941r. obył się śmigusu-Dyngusu z uwagi na brak wody, ale za to urozmaiciłyśmy go sobie patriotyczną akademią.

Przeszłyśmy cały okres 120-lecia niewoli aż do czasów obecnej wojny. Rozpoczęłyśmy deklamacjami:

- "Na Krakowskim Rynku" - przysięga Kościuszki,
- "O roku ów" z "Pana Tadeusza";

Dalej były wiersze związane z powstaniem listopadowym:

- "Reduta Ordona",
- "Emilia Plater" i na zakończenie
- "Krzyżyk z Olszynki"

Wiersze przeplatałyśmy piosenkami. Między innymi "Grzmia pod Stoczkiem armaty".

Następnym okresem było Powstanie Styczniowe. Był to u nas okres bogaty w piosenki, ale urozmaicony tylko jednym wierszem, a mianowicie Asnyka: "Leci liście z drzewa".

Najbogatszą część programu stanowiły legiony Marszałka Piłsudskiego. Zaczęliśmy wierszem Mączki: "Ta co nie zginęła" i Iłkacowiczówny "Kto jak on nasz brygadier Piłsudski". Potem były wiersze nieznanych nam autorów: "Raport duchów" i "Sto lat się tłukł po wszystkich częściach świata". Z kolei odśpiewaliśmy wiele, wiele piosenek legionowych i zakończyliśmy "Testamentem Marszałka" Iłkacowiczówny.

"Praca" - M. Konopnickiej odzwierciedlała dwudziestoletnią działalność pokojową, a Wierzyńskiego "Święty Boże" i "Dumnym bądź" kontynuację walk o wolną Polskę i nasz byt niezależny.

Akademia miała nastrój podniosły, uroczysty i prawie święty. Czuliśmy, że wracają dawne lata kiedy brałyśmy udział w akademiach urządzanych z okazji rocznic patriotycznych z wielkim szumem i staraniami, które jednak nigdy nie były tak wzruszające, pełne uczuć jak ta nasza więzienna zaimprovizowana i zrealizowana środkami bardziej niż skromnymi przez nas nie mających w tym zakresie żadnego doświadczenia."

Traz tylko nie bardzo rozumiem jak to się mogło stać, że nikt nie zabronił nam śpiewania - normalnie zakazanego w więzieniu i nagrodzanego karcerem. Przypuszczam, że wzruszyła ich nasza akademia, bo przecież nawet ^{tura} byli ludzie i po prostu udawali, że nic nie słyszą.

"Po akademii zjawiała się u nas w celi komunistka z pod Trab niejaka Uss, skazana za amatorską akuszerię. Ponieważ sama była w poważnym stanie Julka ustąpiła jej miejsca na łóżku i tym samym skazała mię na pokutę za wszystkie grzechy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe.

Dobrze, że nie przyszła wcześniej, bo zepsułaby nastrój."

Nadał w więzieniu centralnym w Mińsku

A oto jak zanotowałam na grypsach, które przetrwały do **dziś**, kwietniowe przeżycia:

"6 kwietnia 1941r. Mińsk. Dziś Palmowa Niedziela. Od 4 kwietnia 1941r. mamy "karcernerne położenie". Ania Kalinowska w karczerze za krzyczenie przez okno do 169. My upominałyśmy się o nią. Głodowałyśmy i teraz mamy karcernerne. Mamy lepszą celę 46 w pierwszym korpusie, dużo miejsca. Często chodzimy do bani. Jestem pełna nadziei, chociaż nic nie wiem o Sławie. Czuję, że on tu jest. Hala G. jest skazana na śmierć. Wszystkie obywatelki polskie są w naszej.../str.2/ ...celi, a Sowietki w 172. Mamy książki /rosyjskie/ Szijemy. Farbujemy. Wyszywamy. Pani Hel. W jest w 54. Pisała w bani. Spodziewamy się etapu. Jest nas 18. Co mogło się stać z moimi chłopcami? Domagałam się widzenia ze Sławem, ale wczoraj był naczelnik tiumry i powiedział, że to niemożliwe. Towarzyszki względnie znośne. Tęsknię za Polską, za domem, Iri, Edem i Sławem. Wracza dawno nie było."

Tu winnam mały komentarz do tego grypsu. Naczelnik miał rację, że widzenie ze Sławem było niemożliwe, bo jak w 1967 r. podał Radziecki Czerwony Krzyż "Bogusław Wężyk zmarł na terenie Związku Radzieckiego w dniu 17 lutego 1941r.", to znaczy za ledwie w trzy tygodnie po rozprawie sądowej. Do chwili obecnej nie udało nam się uzyskać informacji ani gdzie dokładnie zmarł, ani w jakich okolicznościach. Niestety nie mogę sobie przypomnieć nazwiska Hali G. i czy została "pomiłowana"! Wśród nas panowało powszechne przekonanie, że oni wyroków śmierci nie wykonują. Skazują na karę śmierci torturując w ten sposób skazańców, a potem Stalin "pomiłowuje" /okazuje łaskę/. Ogólnie uważaliśmy, że wyroki śmierci wydaje się głównie po to, by Stalin miał okazję wykazania swej dobroci i łaskowości. W świetle obecnie poznanej literatury przekonanie to wydaje się bezpodstawne. A może autorzy najbardziej popularnych książek /Sołżenicyn/ nie byli jednak dokład-

nie poinformowani, bo my jakoś nie słyszeliśmy o wykonywaniu wyroków. Najczęściej mówiło się o skazaniu i "pomiłowaniu".

Sprzeczne ze sobą są też dwa zdania, że wszystkie obywatelki polskie są w naszej celi, a Sowietki w 172, bo zaraz potem piszę, że pani Helena Wojtuszkiewicz jest w 54 czyli na naszym bloku, ale pewnie chodziło mi o większość, z którą zetknęliśmy się.

Co znaczy książka wie tylko ten, kto był jej pozbawiony przez 10 miesięcy. Nic więc dziwnego, że nawet rosyjskie książki i to nie najbardziej interesujące pasjonowały nas. Słowo pisane było dla nas czymś bardzo cennym. W ten sposób poznałam nie tylko Gogola, Obłamowa, Tołstoja, lecz nawet ... Lenina. Nigdy potem nie przyszło mi do głowy, że mogłabym go przeczytać po polsku. Ale w oryginale przeczytałam wszystko, co było możliwe. Każda z nas brała za każdym razem książkę i czytałyśmy wszystkie na zmianę, bo wymiana ich nie miała miejsca zbyt często.

Gazety nadal były niedostępne i wiadomości ze świata zewnętrznego docierały do nas głównie poprzez nowo-aresztowanych, albo przez kryminalistów pracujących w więzieniu i mających kontakt ze światem "ludzi wolnych". Trudno co prawda tych ludzi nazwać wolnymi, bo to my byliśmy wolni od strachu przed aresztowaniem. To oni drżeli, że pod byle pretekstem, nawet nie za byle co, za byle jakie przewinienie /niedoczet czyli manko, preguł czyli spóźnie^{wc} się do pracy/ znajdą się wśród nas.

Szyjemy. Wszywamy. To łatwo zrozumieć. Ale wyjaśnienia wymaga "farbujemy". Otóż jak już pisałam do farbowania używałyśmy "stretacytu". Lek ten był dla nas bardziej farbą niż lekiem. Farbowałyśmy nim materiały, ale najczęściej chleb, z którego zrobiłyśmy "święcone", a potem wyrabiane masowo w maju-czerwcu różańce. Chyba dwa takie różańce przyniosłam do domu. Niestety tak jak i guziki przy sukience, w której byłam sądzona były nieodpowiednio przechowywane i po pewnym czasie spleśniały.

14 kwietnia 1941 r. ogarnął mnie jakiś smutny nastrój i napisałam wiersz:

MATENKO MOJA!

Ja wciąż cię widzę oczyma mej duszy.

Wśród głębokiego smutku i rozpacz

Twarz Twoja dobra każdy ból mój głuszy,

A Twoje oczy wszystko mi tłumaczą.

Był osiemnasty maj. Pamiętam ten dzień.

Tak z godnością Polki i spokojnie tak

Żegnałaś nas odchodzących w więzien cień.

I tylko czułam długo Twój krzyża znak.

A pocałunek złożony na czole

Mym talizmanem już na wieki się stał.

Dał mi hart ducha na tę ciężką dolę

I moc ukojenia na smutne dni dał.

Łzy, któreś potem z tęsknoty wylała

Chciałabym znizać niby perły cenne,

By znaleźć potem to, coś w nie wkładała,

Twą duszę czystą, Twe serce promienne.

Mińskie wciąż widzę niebo ołowiane.

Nigdy tak nie jest jak u nas gwiazdziste.

Nigdy nie bywa jak nasze, kochane,

Tak szafirowe, tak bardzo przejrzyste.

Więc kiedy bardzo ono mnie przygniata

Zamykam oczy, klękam na kolana,

Dzielący nas myślą szmat przebiegam świata

I tulę się do Ciebie - Moja Ukochana!

Wiem przed Ostrobramskiej jesteś obrazem.

Prosisz ją bardzo długo i gorliwie,

By pozwoliła nam znowu być razem.

Czynię to krócej, lecz równie żarliwie.

Wierzę, że się los nasz dziś tak złowrogi

Jutro w radosne zmieni powitanie.

Z Bogiem pobijem wszystkie nasze wrogi.

Polska potężną jak niegdyś się stanie!

Znów wracam do pamiętnika:

"19 kwietnia 1941r. Wstrzyknięto nam po raz drugi tyfus. Ten zastrzyk przechorowałam przy temperaturze 40,7°C. Ania Kalinowska opiekowała się mną tak serdecznie, że aż mi się to wydało podejrzane. Może i nie mamy racji, ale podejrzewamy Anię o donosicielstwo.

26 kwietnia 1941r. otrzymuję trzeci i ostatni zastrzyk tyfusu i nazajutrz to znaczy 27 kwietnia 1941r. ja otrzymuję "bolniczne" to znaczy dodatkowe kartofle lub kaszę i chyba cukier."

Pogniecionych kartofli używałyśmy do smarowania i okładania chleba, co stanowiło bardzo atrakcyjne kanapki. Pamiętam, że była u nas w celi jedna kobieta, która zawsze zostawiała sobie kartofle z zupy na deser. Potem nie mogła ich już zjeść i płakała z tego powodu ale metody jedzenia nie zmieniała.

"Bolniczne" czyli "chorobowe" należałoby chyba na polski przetłumaczyć jako dieta, ale dieta to ograniczenie w odżywianiu, podczas gdy bolniczne było dodatkiem do wyżywienia. Było więc dla nas bardziej atrakcyjną formą leczenia niż podawane leki i chyba bardziej skuteczną. Ziemniaki stanowiły najbardziej atrakcyjny składnik obiadu i chyba dlatego jeszcze dziś je bardzo lubię.

" Na górze nad nami siedzieli mężczyźni i pewnego razu - już nie pamiętam w jaki sposób - udało nam się z nimi porozumieć i nawiązać kontakt. Od tego czasu oni opuszczali nam co wieczór sznur z listami, a my im posyłamy zbędny chleb. Od nich dostałyśmy wzamian też igły produkowane z cienkich gwoździ lub drutu i inne drobiazgi własnej produkcji.

Jest u nich - wśwód samych Polaków - również dwóch Francuzów więc z nimi koresponduję. Niestety ja piszę po francusku o wiele lepiej i prawidłowiej niż oni. Jedyna korzyść, że po raz pierwszy zetknęłam się z gwarą przedmieść Paryża, skąd obydwaj pochodzą. Zapraszają mnie do siebie bardzo serdecznie. Byli w niewoli niemieckiej. Uciekli... na wschód i wpadli z deszczu pod rynnę...

Zbliża się uroczyste święto 1 Maja, a że u nich każde święto musi być uczczone rewizją, więc się po trochu do niej przygotowujemy. Rzeczywiście każą nam się ubrać i wyjść z celi, a sami robią porządki. Gina nam chustki do nosa, nici, itp. drobiazgi. Rewizja osobista jest bardzo szczegółowa. Dyżurne zabawiają się nawet w ginekologów. Po nieudanej - bo nic zabronionego nie znajdują - rewizji przychodzi do naszej celi Sonia.

Naturalnie od razu wiemy o co chodzi i jesteśmy z nią bardzo ostrożne. Była ona z powodu chorób wenerycznych stale w szpitalu, a tylko dla szpiegostwa przysyłano ją do celi.

Życie płynie nam stale jednakowo. Szare, jednostajne jak paciorki różańców, które produkujemy z chleba, oczekując czegoś lepszego.

11 Maja 1941r. Poniedziałek. Dziś monotonnaść życia przeprawała nam przeprowadzka. O ile jako dziecko przepadałam za przeprowadzkami i czułam żal do rodziców, że tak rzadko to robili, o tyle teraz nienawidzę ich. Nie ma chyba nic gorszego niż rozwracanie wszystkich ośmiu naszych sienników, łóżek i innych ruchomości. Tym razem jednak wiadomość ta zmartwiła nas jeszcze bardziej, gdyż przenoszono nas do trzeciego "korpusu"/bloku/ do celi /sąsiadującej z celą 174, a więc taką samą/. Również w dniu dzisiejszym kończy się moje "bolniczne".

Z prostego wyliczenia wynika, że od 27 kwietnia do 11 maja to dwa tygodnie czyli, że "bolniczne" przyznawano przeciętnie na dwa tygodnie. To chyba nie było nawet takie niedostateczne.

"Zaraz wieczorem po przeprowadzce przychodzą do naszej celi po ułaskawieniu z przedśmiertnej celi Wala Wieremiej i Hela Fomina. Należą one do sprawy Żorża Bakłana."

Nie oznacza to wcale, że Żorż stał na czele tej grupy czy był najważniejszą w niej osobą. Po prostu należał do tej grupy sądzonej łącznie, a że przy tym był bratem mojej przyjaciółki stąd dla mnie był główną osobą tej grupy.

"Wala i Hela opowiadają nam wiele strasznych rzeczy o podziemiach tego więzienia. Na korytarzu jest krata, którą naczelnik więzienia zamyka za dyżurnym, tak że nawet on nie może wyjść z podziemia kiedy zechce. Poza tym więźniom skazanym na karę śmierci nie pozwalają wychodzić do "ubornej"/WC/.

Światło pali się dzień i noc, gdyż cele te znajdują się w basztach zamku bez dostępu światła dziennego. Podobno jeżeli kogoś zabierają o godzinie 4 rano to na rozstrzał. Wszelka inna pora oznacza ułaskawienie. Jednakże w tych warunkach trudno jest określić jaka to właśnie jest pora i trzeba mieć stalowe nerwy, żeby w tych warunkach nie zwariować oczekując tygodniami, a nieraz i miesiącami na śmierć lub ułaskawienie.

Ci podli - jak zwykle - tak się urządzili, żeby rozstrzeliwać wtedy, gdy wszyscy śpią nerwowo, oczekując z niepokojem czy kroki ominą drzwi jego celi czy też zatrzymają się i klucz zgrzytnie w zamku. Trzeba wiedzieć, że tak jak matka jest wyczulona na płacz niemowlęcia nie reagując na inne nawet o wiele głośniejsze hałasy, tak więźniów nie budzi nawet najgłośniejsza syrena alarmowa, ale zrywają się nawet na najcichsze włożenie klucza do zamka drzwi celi.

Ale wracając do przeprowadzki. Żeby ją sobie uprzyjemnić część niewiast zebrała się w kącie celi i rozpoczęła występy chóralne. Na korytarzu było dość głośno, więc one rozpoczęły pianissimo, ale następnie zaczęły przechodzić do forte, zapominając zupełnie że "Karmuszka" jest otwarta. Skutki? Jak zwykle. Artystki wędrują do karceru. Ale co najlepsze, to to, że w gronie poszkodowanych czy raczej ukaranych znajdują się lizus Anna i Julka Paszkiewicz. Kara ich nie trwa jednak długo. Po dwóch godzinach wracają przyrzekłszy poprawę...

Tego samego wieczoru zabierają od nas sześć kobiet do innej celi; gdyż w naszej jest za ciasno - nawet w ich pojęciu. Nie wiemy jeszcze gdzie one są.

17 maja 1941r. Sobota. Część nas znów przenoszą do celi 161. Tu spotykamy się z poprzednio zabraną szóstką. Tak więc pani Helena Wojtuszkiewicz i pani Borkowska są znów ze mną. Grażyna Lipińska

i Wala Wieremiej zostały w celi 172. Wala dała mi na pożegnanie wszystkie posiadane czekoladki.

Ponieważ gryps pisany 21 czerwca 1941r. mówi o tych przeprowadzkach zacytuję jego treść już tutaj /str.3/:

" 21 czerwca 1941r. Tak dawno nie pisałam. Nie wiem czy pisałam coś o Świętach, które były cudowne. Miałyśmy święcone. Były wiersze i dialog. 11 maja 1941r. przeniesiono nas do celi 172. Jeszcze w 46 robiono nam zastrzyki przeciwtyfusowi /12.IV - 19.IV - 26.IV./ Od 27 kwietnia 1941r. miałam bolniczne do 10 maja 1941r. W 172 byłam tydzień. Brudna okropna cela. Potem rozdzielono nas na dwie cele. Ja jestem /str.4/ w 161, a inne w 163. Nasza lepsza. Mamy 7 łóżek. Jest nas 13. Dostyc spokojna cela...

Wczoraj Katia miała "świdanie" i cudne wiadomości, tak że mamy nadzieję szybko wrócić. Teraz jest alarm. Cudownie. Chwila wybawienia jest blisko. Ostrobramska wybawi nas. Koresponduję z Walą Wieremiej. Bardzo miła korespondencja. Była tu Ala Skowronek z Warszawy i uczyła mnie.../str.5/ niemieckiego. Już dużo umiem. Teraz wyszywam prezenty wszystkim moim bliskim. Sny mam cudowne. Napisałam wiersze: "Zmartwychwstanie" "Mateńko Moja" i "Przyjaciołom". Najlepszy - "Mateńko Moja". 24 maja dostałam 20 rubli i więcej nic. Teraz dostaję od Wali-Mimi cukierki; po 2 w każdym liście..../str.6/... Ja jej zrobiłam różańczyk z torebką, a ona przysłała serduszko, ale "na poczcie" zginęło. Lol miał sąd w końcu maja i pewnie siedzi w przedśmiertnej celi. O Sława się martwię, bo nic o nim nie wiem i dlatego martwię się. Hel.W. wyjechała 2.VI.41r. do lagrów. Kończę z nadzieją."

Te 20 rubli to było sprawdzenie gdzie jestem, bo w ten sposób rodziny sprawdzały, gdzie znajduje się ktoś aresztowany. Wysyłano drobne kwoty do kilku więzień i skąd nie wróciły tam była poszukiwana

osoba. Mamusia wysłała pieniądze do Baranowicz, Mińska i Wilna.
Z Baranowicz i Wilna wróciły.
W celi 161 III bloku w dniu 11 czerwca 1941r. napisałam wiersz:

PRZYJACIOŁOM

Zły los rozerwał świeże blizny
I ręce znowu skuł Ojczyzny.
Niewoli wrócił czas!
Konrad Wallenrod, Filareci
I ci, co uświęcili Maj Trzeci
Do czynu pchnęli nas!
W śmiertelnej walki z wrogiem boje
Stanęły, Polsko, hufce Twoje!
W podziemnej pracy trud!
Wczoraj dalecy, a dziś już bliscy
I jedną myślą złączenie wszyscy:
Nasz oswobodzić lud!
Pamiętam była noc grudniowa,
Lol, Tyś powiedział wtedy łowa:
"Nigdy nie zdradzić nic!"
A miały one tyle mocy,
Że w dzień na śledztwie czy też w nocy
Zmuszały prawdę kryć.
Śledztw przeszliśmy drogę krzyżową.
Zroszoną krwią, lecz honorową.
Stwardnieliśmy na stal.
Dziś wśród łagierów rozproszeni,
Nie jesteśmy jednak zgnębieni
Tylko nam pracy żal!
Co się dziś z wami Drodzy dzieje?
Jak ukarali Was "dobrodzieje"?
O Twój się Lolku boję los!
O Ciebie wciąż ogarnia mię lęk!
W przedśmiertnej celi siedzisz może
I w miłosierdzie ufasz Boże!
I drżysz na klucza brzęk.
Imion Waszych wymieniać nie chcę,
Lecz myślami do Was wszystkich lecę.
Wśród wspomnień błąkam się.
Przed oczyma stajecie wszyscy.
Tak znani, kochani, tak bliscy. I smutek ogarnia mię.

Czas nadziei

Znów wracam do pamiętnika:

"Teraz już zaczynają się alarmy lotnicze. Wtedy wkręcają nam fioletową lampkę, która wytwarza świetny nastrój do deklamacji i marzeń. Naturalnie za każdym razem wykorzystujemy takie okazje. Prowadzę teraz rozległą korespondencję z Walą Wieremiej i Grażyną Lipińską. Z Grażyną koresponduję po francusku pisząc na resztkach gilz od papierosów i przesyłając listy w "bani" lub "ubornej"/WC/. Piszemy o wszystkim, a jakaś babska kłótnia urasta w naszych oczach do rozmiarów problemów międzynarodowych."

Listy były umieszczane w z góry ustalanych miejscach, albo w miejscach podanych szyfrem na ścianie pomieszczenia, w którym była skrytka. Listy przymocowywałyśmy klejem zrobionym z chleba lub mydła. Poza tym listy były sygnowane pseudonimami i często w treści zawierały informacje mylące władze więzienne na wypadek wpadki. Wala podpisywała się Mimi, a do mnie zwracała się per Sławo; Grażyna zwracała się do mnie per "Ma Petite", a podpisywała się Ż,na.

"Nad zedł koniec maja. W tym to czasie przyszła do nas do celi Ala Skowronek. /Hala Lityńska, Warszawa ul. Koszykowa 22/. Ona mówi mi, że Lolek ma mieć sąd 24 maja 1941r., czyli w moje imieniny. Siedziała ona również w jednej celi z Halinką Drucko-
-Podberezką.

Imieniny moje obchodzimy akademią, bo tylko na to nas stać. Jako prezent imieninowy dostaję wszystkie posiadane w celi cukierki. Maj to miesiąc najbardziej dla mnie znamienny datami do zapamiętania. Datami szczęścia i klęsk. A jednak, tak jak i inne miesiące mija bezpowrotnie. Nadchodzi czerwiec. Zielone Świąta 2 czerwca 1941r. Po zakończeniu świątecznych nabożeństw zabierają panią Helenę Wojtuszkiewicz na etap. To znaczy na wyjazd do jakiegoś obozu pracy na Syberii lub w Kazachstanie. Żal mi jej bardzo".

Pani Helena Wojtuszkiewicz była skazana na 8 lat obozu. Kiedy po odpracowaniu wyroku powróciła do rodziny na Łotwie, gdyż w Lidzie nie miała już nikogo, aresztowano ją ponownie za bezprawny przyjazd na Łotwę. Do Kraju mogła przyjechać dopiero po 1956 roku. Zmarła 16 lipca 1964 roku w Sopocie i tam jest pochowana na cmentarzu katolickim razem z synem Edwardem, który zmarł 16 września 1987 roku.

Jeszcze w celi 46 przyszła do nas pani Zofia Stefańska. Grażyna Lipińska nazywa ją "sumieniem celi". W mojej pamięci pozostała ona raczej jako apodyktyczna dziwaczka. Była działaczką POW, a w więzieniu starała się zachować dystans od pozostałych więźniarek uważając się za coś lepszego. Co mi najbardziej utkwilo w pamięci to to, że twierdziła, iż nie powinniśmy nic od Sowietów przyjmować poza minimum niezbędnym do życia. My natomiast byliśmy zdania, że oni u nas tyle narabowali, iż nigdy nie zdołamy tego odebrać choćbyśmy brały jak najwięcej. Kiedyś któraś z nas - może nawet ja sama - w przypływie serdeczności zwróciła się do niej per: "Pani Zosieńko". Pani Zofia stwierdziła z oburzeniem, że dla nikogo nie jest Zosieńką, a tylko "panią Zofią". W przeciwieństwie do wielu starszych pań nie była w celi lubiana za swój pryncypializm. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że wspólne więzienie wiele w stosunkach międzyludzkich zmieniło.

Z Grażyną Lipińską byłam po imieniu, do pani Wojtuszkiewicz - matki moich przyjaciół mówiłam, tak jak i wszyscy: "Pani Heleno", chociaż przed więzieniem byłoby to nie do pomyslenia z uwagi na różnicę wieku. Grażyna była już przed wojną dyrektorką gimnazjum, a ja tylko uczennicą.

"Ala Skowronek zna świetnie niemiecki, więc zaczyna mię uczyć. Jestem zdania, że niezależnie od wyników wojny niemiecka literatura ma swoją stałą pozycję w kulturze światowej, więc chcę

wykorzystać czas na nauczenie się czegoś, poza czytaniem literatury rosyjskiej w oryginale. Wszystkie ściany zapisuję słówkami, ale nauka idzie mi łatwo. Nauka niemieckiego zawsze będzie mi się kojarzyć ze zdaniem: "Fruehling ist der schoenste Zeit des Jahres". Nie dano mi jednak zbyt dużo się nauczyć, bo już 4 czerwca 1941 roku również Ala wyjechała do obozu. Zna ona dobrze ten raj, bo już była "dobrowolnie" wywieziona ze Lwowa do Kazachstanu do kołchozu Klary Zetkin. I właśnie za ucieczkę z tego kołchozu została w Mińsku aresztowana i skazana na 5 lat obozu. Jakimś cudem udało jej się dotrzeć aż do Mińska, ale tu ją wylegitymowano i ... Opowiadała straszne rzeczy o warunkach, w jakich znajdują się tam Polacy. Ponieważ teraz było obok mnie wolne miejsce Kazia Orzechowska z Augustowa przenosi się do mnie. Jest to bardzo miłe dziewczętko. Trochę mi przypomina Izę Świętochowską, ale jest szalona różnica pomiędzy ich poziomem umysłowym. Podobne jednak są do siebie młodością i dziewczęcnością - tym naiwnym, prostym podejściem do życia, tym patrzeniem - nawet w tych warunkach - przez różowe okulary.

Robimy razem różańce z chleba, kręcimy ze sprutych nici sznurki do nich i wyszywamy serwetki. To są wszystkie przygotowania do powrotu do domu. Każda chce przygotować jakiś prezent swoim bliskim. Ja wyszywam Sławkowi papierośnicę i parę malutkich torebek; Mamusi - torebkę do nici i do różańca.

Coś około 15 czerwca zaczęłam nową serwetkę - na pomarańczowym tle kwiaty - i twierdziłam, że jej nie skończę przed wyjściem z więzienia. Część kobiet kpi z mojej naiwności, inne zaś są podobnego co i ja zadania, gdyż powietrze jest bardzo podminowane, co daje się odczuć nawet w więzieniu. To wiemy nawet my - więźniowie. Dostałyśmy te wiadomości od Wita Szczepańskiego

On jest takiego samego zdania co i ja."

Serwetkę jednak skończyłam, chociażby dlatego, że nie mając innych zajęć wyszywałam dość szybko; ale tak ta serwetka jak i kilka małych torebek zapakowałam wychodząc z więzienia w trakcie ewakuacji do dużej torby, którą musiałam rzucić. Ocalała jedynie papierośnica Sławka, jeden woreczek do cukru z moim monogramem i ściereczka, na której zrobiłam kwadrat toledo z moim monogramem. Krzyżykowe róże na papierośnicy i moje imię wyhaftowane krzyżkami bardzo się już wytarły. Wróciłam do domu w sukience, w której byłam sądzona, jednak przy pierwszym praniu zniszczyły się chlebowe guziki, bo mamusia nie wiedziała, że są z chleba. Splesniał niestety również różaniec. Tak, że do Archiwum Wschodniego przekazałam: sukienkę, papierośnicę, woreczek na cukier, ściereczkę i napisane na kawałkach pomarańczowego materiału wiersze; przy czym jeden kawałek płótna jest bardzo pocerowany przed napisaniem na nim wiersza.

" W tym też mniej więcej czasie rozpoczyna się okres dziwnych, tajemniczych i proroczych snów. Tłumaczymy sobie tak, jak która umie, ale wszystkie oznaczają, że zbliża się radosna chwila odzyskania wolności.

Mnie na przykład śniło się, że nasz ludzki kościół był zawalony deskami, a ludzie tłumnie zeń wychodzili. Wytłumaczyliśmy to sobie tak: więzienie się zawali, a my wyjdziemy.

Pani Borkowskiej śniło się, że świny poszarpały czerwony sztandar.

A Katia? Ta miała co chwilę, co pięć minut jakiś wróżebny sen. Tych nie zdołałam nawet zapamiętać, bo ona miewała sny na zamówienie. Utkwiło mi w pamięci jej powiedzonko: "Położuś - czy raczej mówiła - lagu sonku sośnić" /położę się, żeby coś przysnić. I rzeczywiście zasypiała, nawet nie na długo, po-

tem opowiadała sen, który wyraźnie wskazywał na wojnę i wolność. I trzeba dodać, że wszystko się potem sprawdziło, co ona mówiła. Aż dziw! Chyba była świetną aktorką i agentką polskiego wywiadu. Prawdy nigdy nie dowiedziałyśmy się.

Sniko mi się również w tym czasie, że jechałam pod górę rowem. Było mi bardzo trudno. Wszyscy nasi chłopcy z klasy dziwili się, że ja tak wytrwale jadę; że ja w końcu dojechałam tam, dokąd oni nie mogliby dojechać. Wytłumaczyłam to sobie tak: czeka mię bardzo ciężka droga przekraczająca moje siły, którą jednak przebędę szczęśliwie i będę z tego niesłychanie dumna. Dziwnym trafem sny te były jakby jasnowiedzeniem tego, co się niedługo później stało.

Ogdzieś od 10 czerwca 1941r. dostajemy prawie co drugi dzień "pregułki"/spacery/ i obiady z dwóch dań, na które składały się zupa z potwornie śmierdzącym olejem w ilości pół litra na osobę, 2 łyżki nieokraszonej kaszy i 10-20 pięciocentymetrowych rybek bardzo słonych, które nazywano "kamsa".

Na spacerach nareszcie rozprostowujemy kości i przygotowujemy się do powrotu w rodzinne strony. Ćwiczymy nawet biegi i dlatego pierwsze spacery odczuwamy bardzo boleśnie, bo nieprzyzwyczajone do ruchu mięśnie ostro protestują przeciwko pracy."

Mówiło się, że więzienie nasze odwiedzała jakaś Międzynarodowa Komisja Czerwonego Krzyża czy innej organizacji międzynarodowej i że skutkiem tej wizyty było przyznanie nam spacerów co drugi dzień i obiadów z dwóch dań. Ile jednak w tych wiadomościach było prawdy - nie wiem, bo ja żadnej komisji międzynarodowej nie wiedziałam, to znaczy żadna komisja nie odwiedziła naszej celi.

"Również w połowie czerwca zjawia się u nas w celi potwór-karaluch. Wylazł z rury od wentylatora-ogrzewacza /bardzo rzadko czynnego/ służącego do ogrzewania celi i siadł pod sufitem w rogu prościuténko nad naszym łóżkiem. Siedział sobie zupełnie

spokojnie nie przejmując się ani naszymi krzykami ani polowaniem na niego. Nie wiem czy Krakowianie bardziej bali się swego smoka zabitego potem przez Kraka czy my naszego karalucha. Z uwagi na wysokość celi nasze polowanie na niego nie miało najmniejszych szans. Urządziłyśmy sobie z Kazią z mego szlafroka rodzaj baldachimu nad łóżkiem, żeby nam przypadkiem karaluch nie spadł na głowy. Poza tym woreczek z chlebem zdejmowałyśmy na noc ze ściany i kładłyśmy do szafki. W dzień śledziłyśmy uważnie każde jego poruszenie - bo cóż oprócz tego miałyśmy do roboty. Nie wiem czym on tam żył krążąc na przestrzeni jednego metra kwadratowego. Bo chyba on też bał się zniżyć do nas. Aż pewnego dnia zniknął tak samo tajemniczo jak się pojawił.

W sobotę 21 czerwca Katia dostała paczkę i miała "świdanie" /widzenie/ z siostrą. Jak się teraz okazało nie była ona wcale taka głupia jak się nam wydawało. Doskonale porozumiała się z siostrą i dowiedziała się od niej o prawdopodobnym wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Poza tym w słońcinie była dobrze ukryta kartka z wiadomością, że Niemcy wysłali Sowietom trzydniowe ultimatum to znaczy do niedzieli 22 czerwca 1941r., żądając opuszczenia wszystkich krajów nadbałtyckich, Polski i w ogóle wszystkich ziem zabranych, oddania im polityki zagranicznej i nafty. Było rzeczą jasną, że takie ultimatum nie mogło być przyjęte. A więc oczekujemy rezultatu. Naturalnie list ten czytamy tylko my wtajemniczone.

Katia wracając do celi spotkała wracających z "bani" polskich oficerów więc powiedziała im swoje dwa najlepiej przyswojone polskie słowa: "będzie świetnie". Szczęście jej z powodu możliwości takiego wykorzystania nauki języka polskiego, nie miało granic. Uczyła się przez przeszło miesiąc i wreszcie miała oka-

zję zrobić tak wspaniały użytek z nabytych wiadomości. To nie byle jakie wydarzenie w jej życiu. Czekamy niecierpliwie tej wojny, modląc się jak Mickiewicz: "O wojnę powszechną ludów prosimy Cię Panie!". Wiecorem przynieśli zasłony. Są już ćwiczenia przeciwnalotowe, więc dobrze. Może jednak będzie ta upragniona wojna. Wala oblewa mię w listach zimną wodą."

Ciekawam skąd siostra Katii - a więc chyba prosta kobieta - wzięła tę wiadomość o niemieckim ultimatum i takich warunkach, kiedy powszechnie mówiło się, że napaść niemiecka na Związek Sowiecki była zupełnym zaskoczeniem.

Nie wiem jak to się działo, ale w tych ostatnich dniach przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej nasze kontakty wewnątrz-więzienne stały się bardzo częste i nie napotykały tylu przeszkód co dawniej. Wiadomości zdobywane przez jednych ze świata zewnętrznego krążyły natychmiast - jak nigdy przedtem - po całym więzieniu i dlatego do wybuchu wojny byliśmy przygotowani. Nie wiedzieliśmy natomiast nic na temat tego co w takim przypadku szykują nam władze więzienne. Musiały one już wtedy patrzeć przez palce na nasze kontakty, do czego przyczyniła się nie tylko domniemana wizytacja organizacji międzynarodowej, ale także a raczej przede wszystkim przedwojenne rozluźnienie dyscypliny więziennej.

Coprawa kiedy w Lidzie Niemcy zbombardowali pociąg NKWD przygotowany do ucieczki, powszechnie twierdzono, że "eto naszyje cze-rez oszybku" /to nasi przez pomyłkę/.

Zakłamanie było w tym ustroju częścią składową życia tak ściśle z nim powiązaną, że obywatele rzeczywiście nie orientowali się gdzie się kończy prawda, a zaczyna kłamstwo. Dopiero od bardzo niedawna podawane są cyfry absolutne z gospodarki narodowej. Przedtem zawsze wszystkie informacje o gospodarce narodowej wyrażane

były we wskaźnikach, co prowadziło do takich nonsensów, jak to, że towar zanim został wyprodukowany już został skonsumowany. 22 czerwca 1941r. przewidując ewentualność wojny i wyjście z więzienia napisałam do Sławka list, podając mu wszelkie możliwe adresy gdzie mamy się szukać. List ten nie został wysłany i jakimś cudem przetrwał do dziś z jedną stroną nieczytelną. Najprawdopodobniej stało się tak dlatego, że albośmy nie szli "do Bani", albo Sław nie odpowiedział na moją informację, gdzie list umieściłam i ja sama potem go zabrałam. W każdym razie jest. A zaczęłam go od "Kochany Braciszku!"

"24.czerwca 1941r. Wtorek. Dziś Jana. Wit przysłał Jankom śliczne laurki. Ja wytrwale wyszywam serwetkę dla mamusi i jak już powiedziałam mam przecucie, że jej nie skończę. Produkuje ponadto masowo różańce z chleba szykując się do powrotu do domu."

Tu muszę uzupełnić, że w ostatnich dniach różańce te były produkowane taśmowo. Jedna ugniatała chleb "na glinę", Druga robiła większe paciorki. Trzecia - drobne. Następna przekłuwała w paciorkach dziurki i układała je do suszenia. Ktoś inny kręcił z nici ze sprutej jedwabnej bielizny sznureczki do różańców. Najtrudniejszym zadaniem było robienie krzyżyków. Po wysuszeniu paciorków i krzyżyków nawlekało się wszystko na sznureczek wiążąc pomiędzy paciorkami supełki. Gotowe różańce suszyły się dalej. W konsekwencji każda z nas miała po kilka różańców. Więzienny chleb doskonale nadawał się do tego celu, bo był gliniasty i łatwo dawał się ugniatać nie krusząc się wcale.

Wracając jednak do wtorku 24 czerwca 1941r. to jest do dnia który spełnił nasze modlitwy.

"Zjadłyśmy śniadanie i hurra!!! Słyszemy świst bomby i strzelaninę. To rozbita nasza brama i raniony Gardienko /naczeln-

nik naszego bloku/ No, więc wojna!!! Przeżywamy gorący dzień,..
Jest 12 nalotów na dzielnicę, w której się znajdujemy. Już nie
ma ani światła, ani wody. Wieczór. Ciemno. Mińsk cały w płomie-
niach. Co z nami będzie? "

W słowach tych brzmi tylko radość z wybuchu wojny. Wręcz euforia!
Żadna z nas ani przez chwilę nie myśli, że bomby nie wybierają ofiar,
że w każdej chwili możemy zginąć, że nadchodzi drugi wróg, a nie
przyjaciel, że to przecież Niemcy pierwsi wywołali wojnę.
O ich zakulisowych porozumieniach z Sowietami jeszcze wtedy nic nie
wiedziałyśmy. W trakcie ponad rocznego pobytu w więzieniu sowieckie
bestialstwa już zdołały nam przesłonić fakt, że Niemcy byli pierwszym
wrogiem. Teraz czekamy na nich jak na wybawicieli.

"Już nie ma dyżurnych. Wybijamy "karmuszkę". "Błatniaki" są już
na korytarzu. Namawiają nas do wyjścia. Boimy się i ich i niez-
nanej sytuacji. Kilka bardziej obytych z kryminalistami kobiet
wyłazi przez "karmuszkę" na wywiad. Rozeznanie negatywne. Wit
radzi - a wszystkie mamy zaufanie do jego doświadczenia życio-
wo- więziennego - siedzieć w celi. Tak będzie bezpieczniej.
Czekamy co zrobi cela Nr.163, czyli ta gdzie siedzą: Grażyna
Lipińska, pani Borkowska, Wala Wieremiej. Przed wieczorem już
jesteśmy spakowane. Wkładam na siebie jedwabną bieliznę, chłop-
kę - to znaczy sukienkę, w której byłam na sądzie - bo ma ona
guziki zrobione z chleba, pewnie dlatego, że zamek błyskawiczny
mi wypruto. Na sukienkę zakładam sweter, płaszcz-pelisę szcze-
gólnie cenny, bo w nim jest zaszyty medalik sodalicyjny, wszy-
stkie wiersze napisane na kawałkach płótna i posiadane grypsy.
Na głowę wkładam chustkę, a na nogi rzymki i gumowe botki. Jak
na czerwiec ubrana jestem za ciepło.
Wszystkie pozostałe rzeczy wkładam do dużego worka stanowią-

cego rodzaj plecaka uszytego z brezentu przez mamusię. Chleb, nocną koszulę, ręcznik, sucharki , między którymi znajduje się jeden z zasuszonym pierścionkiem zaręczynowym czyli sygnetem Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni i inne drobiazgi wkładam do małej torebki- woreczka, na której są wyhaftowane wszystkie ważniejsze daty mego więziennego życia."

Krwawy Etap

Środa. 25 czerwca 1941 rok. Właściwie to jest jeszcze noc z 24 na 25 czerwca 1941r. Przychodzi milicja obywatelska i wypędza nas z cel w pochód. Otacza nas ścisły konwój "z widelcami" na sztorc. Jest ich bardzo dużo. "

Ciekawe dlaczego oni zawsze nosili bagnet na broni jakby mieli iść do ataku? Czyżby rzeczywiście wierzyli w to, że może zaistnieć konieczność ataku z bagnietami na więźniów? W ramach panującego zakłamania mogli w nich wmówić nawet to.

"Pędzą nas jak bydło. Jaki okropny widok!!! Miasto w płomieniach! Wokół czerwone niebo! Dym! Groza! Strach przed konwojentami! Obawa przed bombami! Strzelają do nas! Rzucamy rzeczy. Zostawiam duży worek! Żal mi bardzo serwetki, którą wyszywałam dla mateńki. " To czerwone niebo będzie prześladować mnie jeszcze wiele, wiele lat potem, powracając w nocnych zmorach.

A mojej serwetki poszukiwałam na targu mińskim, kiedy w czasie okupacji niemieckiej bywałam w Mińsku w latach 1942-43. Chodziłam uparcie na targ, gdzie można było dostać majrozmańsze rzeczy, z nadzieją, że ktoś to znalazł wraz z całym workiem i serwetkę zechce sprzedać - jako mało użyteczną. Kupiłabym ją za każdą cenę. Niestety nigdy jej nie spotkałam. Może worek zginął w płomieniach, może pod guzami, a może znalazcy tak się serwetka spodobała, że nie chciał jej sprzedać? Jeszcze więc raz to słowo "nigdy", którego w moim życiu tak bardzo się bałam i które mnie zawsze przerażało i zasmucało, pojawiło się na moim horyzoncie, chociaż w tak bardzo drobnej sprawie jak serwetka, która miała być więzienną pamiątką dla matki za jej nieprzespane noce, za jej łzy, cierpienie i troskę o mnie.

Wtedy martwiła mnie utrata serwetki, nie przeczuwałam bowiem ile o wiele gorszych "nigdy" pojawi się potem w moim życiu. Jak trudno będzie

to "nigdy" zrozumieć i pogodzić się z nim. Ch ciał - Nie! Nigdy go nie rozumiałam i nie pogodziłam się z nim. Przepaść, którą ono przede mną otwiera staram się zapełnić fantazją, marzeniami. Jeszcze teraz pożegnanie na dworcu kolejowym czy lotniczym wprawia - mnie w zadumę i smutek. Rozwój komunikacji, zmniejszenie^{się} odległości pomiędzy poszczególnymi częściami świata wysuszyły coprawda moje łzy, które dawniej zawsze płynęły przy rozstaniu, bo dawały nadzieję ponownego spotkania, ale smutku rozstania nic nie potrafiło zagłuszyć. Pod tym względem nigdy nie dorosłam. Poznane w dzieciństwie francuskie powiedzenie: "partir c'est un peu comme mourrir" to jest "odjechać to trochę jakby umrzeć" tkwi w mojej mentalności nadal.

Ale to są już rozważania osoby, która wiele przeżyła i zobaczyła. Lepiej więc wrócić do tych wtedy tak strasznych chwil kiedy nas pędzono przez oszalały wojną i ogniem Mińsk, a kres naszej drogi i jej cel nie był nam znany,

" Co chwila słychać strzały. To padają^{ci,} ~~co~~ chcieli uciekać. A ucieczka wydawała się pozornie tak łatwą, bo pędzono nas obok, a raczej wśród ludzi wolnych tłumu. Chyba i oni ginęli od tych strzałów, jeżeli się zbytnio do nas zbliżyli, o co nie było trudno, bo szliśmy wśród ruin, nie wiedząc gdzie jest jezdnia, gdzie chodnik, a gdzie były domy. Miasto zorane bombami, więc idziemy potykając się o gruzy, uskakując od spadających płonących głowni- a jeżeli wali się cała ściana budynku, to wielu ginie pod jej gruzami.

Konwój pędzi nas krzycząc bez przerwy:

- Biegom - Biegiem!

- Dawaj skorej! - Prędezej! Szybciej!

- Nie odstawaj! - Nie pozostawaj w tyle!

A jeżeli komu brak sił - to kula...

- Dokąd nas tak pędzą? Gdzie? Poco?

Ja, po ponad rocznym siedzeniu prawie bez ruchu wprost ustaję. Już jesteśmy za miastem. Pewno idziemy na Mohylów. Tak przynajmniej stwierdził ktoś znający Mińsk, albo ktoś zasłyszał coś od konwojentów - żołnierzy. W każdym razie wiść rozniosła się lotem błyskawicy. Pędzimy, a za nami zbliżają się strzały armatnie. Boże! Boże! To Niemcy a^znimi wyzwolenie. A my się ciągle oddalamy.

Świta... Najkrótsza noc w roku dla nas była chyba najdłuższą. Już chyba przeszliśmy z 20 kilometrów. Odpoczynek. Zrzucam z nóg gumowe botki, bo to nie pora na zimowe obuwie i dalej idę w samych rzymkach."

Tak się przed wojną nazywały sandałki, które miały całe pięty i czubki, a reszta pantofelka była powycinana w rozmaite wzory. Były więc one bardziej zabudowane niż dzisiejsze sandałki. Moje miały ponadto kwadratowe obcasy i z uwagi na śmierć ojca zostały przemalowane z białych na czarne. W nich więc przeszłam dalszą drogę, dopóki nie musiałam również ich zdjąć i iść bosą z nogami tylko owiniętymi szmatami.

"Czuję się tragicznie! Pić! Pić! Boże strzeż nas!!!

Niestety odpoczynek trwa tylko 5 minut. Wit pomaga mi iść. Niedługo potem puszczają panią Borkowską, pewni że daleko nie ujdzie. Dziwne, że jej nie zastrzelili, jak to na ogół robili ze słabymi. Pani Borkowska na złość im przeżyła to wszystko i wróciła do Lidy. Grażyna Lipińska - nie wiem jak to jest możliwe - czuła się silniejsza, więc zabrała moją paczkę i płaszcz z zaszytymi skarbami.

Wala Żero - to jej brata Wit Józef Szczepański był przyjacielem - i ja rozmawiamy z dwoma litewskimi lotnikami. Są skuci. Obiecuję dać im na pierwszym postoju papierosy. Niestety niedługo potem

słychać kilka strzałów i dowiadujemy się, że oni już zabici." Zupełnie nie rozumiem skąd i poco miałam te papierosy, bo nigdy się palić nie nauczyłam, ale skoro tak jest zanotowane w pamiętniku, to napewno tak było. Może przygotowałam je na wypadek spotkania ze Sławem, a może ktoś mi je dał.

"Przeszliśmy nieduży kawałek drogi, gdy znów w mych oczach jakiś "bajec" /sowiecki żołnierz/ zabił w moich oczach ustającego człowieka. Ponieważ z przerażeniem zasłoniłam sobie oczy i załkałam wołając Boże!Boże!, powiedział do mnie:

- Smotri kakaja dielikatnaja polskaja pani, chcesz to i ty możesz tak otdochnut?? Zowiosz Boha, a gdzie etot' twój Boh? Na niebie mogut pokazatsia tolko giernanskije samaloty! - Spójrz jaka delikatna polska pani, chcesz to i ty możesz tak odpocząć? Wzywasz Boga, a gdzie jest ten twój Bóg? Na niebie mogą pojawić się tylko niemieckie samoloty!"

Niemieckie samoloty rzeczywiście pojawiały się. Wtedy konwój uciekał do lasu lub rowu, a my staliśmy na środku szosy bezbronni, stłoczeni - doskonały cel dla bomb lub broni pokładowej. Ciekawe, że Niemcy ani razu nas nie ostrzelali. Przeciwnie niż we wrześniu 1939r. w Polsce.

Zanotowałam zamordowanie człowieka w kilku tylko zdaniach nie wiele mówiących czytającemu, ale, a we mnie za każdym razem wywołuje - nawet teraz po prawie 50 latach - obraz staruszka, a ten staruszek mógł mieć nie więcej niż 40 lat, ale był wyniszczony więzieniem, śledztwem i głodem i był nieogolony. Ja zaś miałam tylko 20 lat. Widzę tego skłaniającego się staruszka i bezlitosny strzał, po którym więzień upadł w pył drogi zwinięty w kłębek, więc strzał musiał być wymierzony w brzuch. I dziś jeszcze widzę, jak wokół niego tworzy się nagle pustka, bo inni więźniowie z przerażeniem go omijają. Nikt - ze mną włącznie - nie odważał się schylić, by mu okazać współ-

czucie czy zamknąć powieki, bo obok stał konwojent Żyd z bronią gotową do dalszych strzałów.

" Na szczęście strzały usłyszał naczelnik konwoju, szybko przyszedł do tego konwojenta i zabronił zabijania na własną rękę. Na chwilę strzały umilkły.

Doszliśmy wreszcie do jakichś bagien i tu miał być nasz odpoczynek, ale okazało się, że woda nie nadaje się do picia, więc popędzono nas dalej. Niektórym z więźniów udało się jednak napić z dołków zrobionych krowimi racicami."

Dla eskorty ta woda nie nadawała się do picia, ale dla nas po co najmniej rocznym siedzeniu w więzieniu - właściwie bez ruchu - taki marsz był prawdziwą torturą i pragnienie było silniejsze od wszystkich stwierdzeń o nieprzydatności wody do picia. Najważniejsze było to, że była mokra i rozkosznie zwilżała spragnione usta. Piliśmy i nic się nam nie stało. Jak wiele się od tego czasu zmieniło. Dziś nawet z pozornie najczystszej rzeki woda nie nadaje się do picia. A my piliśmy z bagien!!!

"Uszliśmy znów ze 3-4- kilometry i zatrzymaliśmy się nad rzeką na 4-godzinny odpoczynek. Już napiliśmy się wody, zjedliśmy trochę z posiadanych zapasów sucharów i stwierdziliśmy, że jesteśmy okropnie zmęczeni.

Na około 2.000 osób rozdano z 10 bochenków chleba, czyli jeden kilogram na 200 osób. Naturalnie, że chleb dostali tylko "błatniaki" /kryminaliści/. My nawet nie próbowaliśmy się do niego dostać wiedząc z góry, że nasze usiłowania byłyby bezskuteczne. Rzeką tą musiała być Świsłocz lub jakiś większy jej dopływ - jak to z mapy wynika. Przy okazji zjadania sucharów wyjęłam suchar z syngnetem Sławka i włożyłam go na rękę. Narazie nie zanosilo się na to, żeby nasi opiekunowie interesowali się posiadаныmi przez nas przedmiotami. Moim syngnetem zainteresował się natomiast kto inny, a

a mianowicie uczeń Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, kolega Sława Bogusław Zieliński. Niestety nazwiska nie jestem już zbyt pewna, bo zanotowałam wtedy tylko Bogusław Z. Otóż Bogusław Z. należał do grupy niemieckich dywersantów. Ja uważałam, że byli Polakami-faszystami, ale Grażyna Lipińska, która się w tych sprawach lepiej ode mnie orientowała, twierdzi, że byli to faszyci białoruscy szkoleni w Niemczech. Rzeczywiście jeden z nich Jarek Stankiewicz tą swoją znajomością białoruskiego, poznaną na szkoleniu niemieckim wpakował nas w nielada kabałę w drodze powrotnej. Niektórzy z tych dywersantów byli dziećmi znanych działaczy białoruskich. Ten Jarek - Niestety o tym samym nazwisku co ja, ale zupełnie z nami nie spokrewniony - zjawił się u mamusi w latach okupacji w niemieckim mundurze pytając o mnie. Mamusia początkowo bardzo się przerażyła i ucieszyła, że nie mieszkam w Lidzie. Potem na szczęście Jarek wyjaśnił mamusi skąd się znamy i uspokoił ją. Przewrotnie jednak nic mu o mnie nie powiedziała poza tym, że jestem u dalekich krewnych gdzieś na wsi.

Tak więc przy pomocy sygnetu znalazłam dobrych opiekunów, bo oni siedzieli bardzo krótko i jeszcze byli pełni sił.

"Dalej ruszyłam pod opieką niemieckich dywersantów, ale Polaków. Jeden z nich to kolega Sława ze Szkoły Morskiej - Bogusław Z. Drugi jest z Lidy - to Jarek Stankiewicz. Jest też kuzyn Kona-rzewskiej /żony kapitana V Pułku Lotniczego w Lidzie/ właścicielki OPLA-Kadet, co przed wojną nie było zbyt częstym przypadkiem, więc wszyscy ją znali - Tkacz. Innych nie pamiętam, ale było ich więcej. Oni jeszcze pełni są sił, bo siedzieli zaledwie kilka dni, a więc opieka ich jest bardzo skuteczna.

Oprócz wspomnianej już rzeki mieliśmy jeszcze dwa postoje i wreszcie po przejściu około 50 kilometrów zatrzymaliśmy się w lesie na noc. O jedzeniu znów ani mowy. Po prostu tylko spać.

Zresztą sen był najbardziej upragnioną rzeczą. Padliśmy gdzie kto stał i tak zasnęliśmy. Nie obudziły nas ani komary ani wilgoć ciągnąca od ziemi.

26 czerwca 1941 r. Czwartek. Zrana dają chleb, ale znów tyle samo i tak samo jak poprzednio wczoraj, a więc znów nie dla nas. Zresztą nawet "błatniaki" pobili się o ten chleb. Rano ruszamy, ale już wolniej niż wczoraj, bo konwojenci też są zmęczeni. Teraz dają nam częściej odpoczywać, ale i strzały do nas też są częstsze. Te kobiety, które były najsłabsze - między innymi Fomina - wzięto na auta. Ja idę dalej. Znów mamy kilka odpoczynków nad rzekami i w lesie. Są one jak powiedziałam częstsze z uwagi na konwojentów nie na nas.

Wreszcie w samo południe dochodzimy do Czerwieni /dawniej Ithumén/. Upał. Brak wody. Okropność!"

Pamiętam, że kiedy pędzono nas przez miasto ludzie patrzyli na nas z politowaniem i starali się podać coś do jedzenia lub picia i nie wydaje mi się, żeby konwojenci w tym zbytnio przeszkadzali. Znów jednak dostali coś ci, co byli spryniejsi i bezwzględniejsi, a więc znów chyba "błatniaki"/ kryminaliści/.

Wszyscy jesteśmy już u granic wytrzymałości. Marsz po wielomiesięcznym pobycie w więzieniu, brak odpoczynku i jedzenia, a co najważniejsze szalony czerwcowy upał i pragnienie wykończyły nie tylko nas, ale i konwojentów.

"Pędzą nas przez miasto i za miastem znajduje się więzienie. Tam nas umieszczają na podwórku. Rozlokowujemy się pod ścianą budynku więziennego, gdzie jest trochę cienia, więc jest to strona północna - dość blisko od bramy wejściowej. Tu rozdzielono kobiety od mężczyzn. Mężczyźni są osobno. My osobno. Nareszcie dostaliśmy po kubku wody i 200 gram chleba, tym razem wszyscy, a "błatniaki"/kryminaliści/ dostali więcej chleba i zupę.

Potwornie bolą poranione nogi. Przychodzi "miedsiestra" /pielęgniarka/ i daje nam po odrobinie wazeliny. Smarujemy się i spać pod ścianę.

Samoloty wciąż latają i rzucają bomby, ale nam to we śnie nie przeszkadza. Nadchodzi późny wieczór.

Pojawia się naczelnik konwoju i sprawdza ile kto ma lat, jaki wyrok i za co siedzi. My mówimy półprawdę. Ja mam 17 lat. Wyrok 3 lata obozu poprawczego i siedzę za organizację, ale nie wiem jaką".

Zawsze uważałam, że w stosunku do nich półprawda jest najskuteczniejsza. Większość z nas podaje paragraf 120 - to jest paragraf pogranicza paragrafów politycznych i kryminalnych. Niektórzy - jednak - szczególnie mężczyźni - podają prawdziwe wyroki bojąc się, że naczelnik może sprawdzić. I źle na tym wychodzą.

"Tym z większymi wyrokami każą zgrupować się pod płotem. Wciąż słychać warkot samolotów, huk bomb i strzałów oraz ruch samochodów.

Znów trochę zasypiam, a budzi mnie rozmowa.

To już świt 27 czerwca 1941 roku. Piątek.

Jest jakiś mężczyzna, który mówi nam, że straży nie ma, a bramy są otwarte. Nie wierzymy... Boimy się podstępów... Okazało się, że oni zabrali mężczyzn zgromadzonych pod płotem, to jest tych z większymi wyrokami na samochody i pojechali. Wszystkie kobiety zostały."

Ciekawe, że w czasie marszu wielokrotnie pojawiały się nad nami niemieckie samoloty - Dornieri lub Heinkle, wtedy się na tym dobrze jeszcze znałam, ale ani razu nas nie ostrzelano, ani nie bombardowano. Konwojenci w czasie takiego nalotu uciekali i chowali się w lesie lub w rowach, a my staliśmy ściśnięci na środku szosy jak stado baranów stanowiąc doskonały cel dla bomb bezbronni i

bezradni, ufni jedynie w opiekę boską, która nas nigdy nie zawiodła. Teraz w to trudno nawet mnie uwierzyć, że Niemcy wiedząc że to więźniowie oszczędzali nas. Przecież w Polsce ostrzeliwali i mordowali bezbronnych ludzi wszędzie, gdzie tylko ich spostrzegli. Może rzeczywiście Goebels chciał, żebyśmy uważali ich za swoich wybawców i dobroczyńców. Cel osiągnął, jeżeli tak było.

"Naradzamy się z mężczyznami. Po mnie przychodzi ten Jarek Stankiewicz z Lidy. Jakoś został. Co z innymi nie wiem. Jarek zdobywa 3 bochenki chleba i trochę cukru w kawałkach i ruszamy: Wala Żero, Wala Wieremiej, Wanda Kojrowicz z Radoszkowicz, Zocha ~~Krystowska~~..... i ja oraz Jarek."

To ruszenie i zdobycie chleba nie odbyło się tak szybko i prosto jakby z tych kilku zapisanych w moim pamiętniku zdań wyglądało. Brama była otwarta, a zaraz przy wejściu przez bramę z lewej strony były magazyny żywnościowe / bo innych chyba w ogóle w świątecznych więzieniach nie było/. Po stwierdzeniu, że nie ma straży więźniowie zaraz rzucili się na magazyn i rozbili go. Można sobie wyobrazić jakie sceny tam się rozgrywały, bo przecież było to stado wygłodniałych wilków, które nareszcie dorwało się do żar-cia. Każdy walczył o zdobycie jak największej ilości jedzenia, bo nie wiadomo było na ile ma ono wystarczyć. Napewno żadna z kobiet - szczególnie politycznych - nie zdobyłaby ani okruszynki. Jeszcze ciągle byliśmy sparaliżowane strachem, po tym makabrycznym nocnym sprawdzaniu w niewiadomym celu. Nie znałyśmy bowiem jego rezultatów, ani skutków.

A potem to straszne wyjście. Ten wrzeszczący tłum grabiący magazyn. Ta niepewność co czeka nas za bramą. Jedno słowo w pamiętniku "...Ruszamy..." nie oddaje naszych ówczesnych przeżyć w najmniejszym nawet stopniu. Nie wyglądało to ani tak prosto, ani nie

nie przebiegało tak szybko jakby się z mojego telegraficznego zapisu wydawać mogło. "Ruszamy..." to znaczy przebijamy się przez podniecony tłum, w którym teraz rej wodzą "błatniaki" /kryminaliści/ i nie łatwo jest dotrzeć do bramy wyjściowej. Wychodzimy jednak i zaraz za bramą zdarza się cud, który później uratuje nam życie po raz trzeci. Polega on na tym, że w piachu drogi znajduję 3 ruble /słownie trzy ruble/. Nie była to wcale suma poważna, a raczej tylko symbolizująca posiadanie pieniędzy, ale jakże znamienne okazała się w skutkach.

Powrót pod prąd

Aby nie odróżniać się od tłumu uciekinierów zwanych z rosyjska "bieżeńcami" przybieramy sobie z rosyjska brzmiące imiona i ustalamy, że ja Ania, jako najlepiej mówiąca po rosyjsku i najmłodziej wyglądająca będę występowała w imieniu całej grupy. Jarek, który nauczył się białoruskiego w jakiejś berlińskiej szkole, jest niestety bardzo pewny siebie, a mówi tak fatalnie, że każdy od razu pozna, iż nie jest Sowietem.

"Po wyjściu z więzienia pędzimy byle najszybciej do najbliższego lasu. Tam zjadamy śniadanie i idziemy błąkać się po lesie. Tę włączymy się cały dzień. Na noc dochodzimy do kołchozu na drodze do Czerwieni z Borysowa. Tam stara babuszka daje nam wiadro kartofli i trochę cebuli, za co my jej dajemy komplet ciepłej becherowskiej bielizny Wali. Myjemy się i śpimy w domu kołchozowym, gdzie są tłumy "bieżeńców" /uciekierów/. My też udajemy "bieżeńców" z Mińska.

Jarkowi jednak było zbyt duszno w sali, gdzie spał tłum nieomytych chyba od tygodnia /a może i dłużej/ "bieżeńców", więc wyszedł się przewietrzyć nie zastanawiając się nad tym, że lepiej się nie wystawiać na pokaz. Naturalnie zaraz go aresztowano i była niemiła historia. Budzą mię. Udaję rozespaną, chociaż oprzytomniałam natychmiast. Nasze zeznania niezupełnie się zgadzają. Ja potwierdzam coprawda, że jest moim bratem, ale inne szczegóły...? Tylko dzięki naszej modlitwie udaje nam się ująć od kuli. Każą nam jednak iść do Berezyna. Więc udajemy, że idziemy, a potem okrężną drogą zawracamy na Mińsk." Przygoda ta wymaga jednak komentarza. Ta "niemiła historia" była owiele bardziej niemiłą niżby się z tych kilku zdań wydawało i mogła skończyć się dla nas tragicznie.

Skończyła się natomiast bardzo pomyślnie, bo Jarek pozbył się swego tupetu i już nigdy więcej nie wystawiał się na pokaz, a wręcz przeciwnie nie chciał ani na chwilę odejść od nas. Zdał bowiem sobie sprawę z tego, że jego białoruski nie ma nic wspólnego albo przynajmniej bardzo mało z językiem jakim mówi miejscowa ludność.

Dokładnie przygoda ta wyglądała następująco:

Po wspaniałym posiłku u babuszki, bo zdaje się, że poza ziemniakami i cebulą dostaliśmy od niej jeszcze po blinie, którego nie widzieliśmy przez przynajmniej rok, umyliśmy się przy studni i udaliśmy się na spoczynek w domu kołchozowym. Dom kołchozowy to rodzaj klubu z salą teatralno-kinowo-zabawową. W tej wielkiej sali ściśnięci jak śledzie w beczce /albo jak więźniowie w sowieckich więzieniach/ spaliśmy na podłodze z conajmniej setką innych "bieżeńców" nie mytych conajmniej od tygodnia. Powietrze w tej sali było więc takie, że rzeczywiście można było zawřsić siekierę bez większego ryzyka.

My byliśmy do takich warunków już przez ponad rok przyzwyczajone, ale Jarek z kilkudniowym więziennym doświadczeniem nie zdołał się jeszcze z tym dokładnie zapoznać i nie mogąc znieść smrodu postanowił się przewietrzyć. Wszedł przed dom i natknął się na patrol "razwiedki" /wywiadu zwalczającego szpiegów, których w tym ustroju widziano w każdym człowieku nawet mniej podejrzanym niż Jarek./ Postanowiono go wylegitymować. Brak dokumentów w tych dniach nie był niczym nadzwyczajnym. Ale brak dokumentów z jego językiem był najprostszym dowodem szpiegostwa. Skonfrontowanie z nami jemu nie pomogło, a nas pociągnęło za nim. "Niemiała historia" - jak ją określiłam w pamiętniku - polegała na tym, że aresztowano nas i jako szpiegów wyprowadzono za stodołę dla rozstrzelania. Postawiono

pod ścianą, a trzech żołnierzy szykowało się do wykonania wyroku. Zrezygnowana odmawiałam tylko "Pod Twoją obronę" i modlitwę Sw. Bernarda "Pomnij o Najlitościwsza..."

Kiedy nie wiedzieliśmy dla siebie już żadnej nadziei przybiegł jeszcze jeden żołnierz krzyząc:

- Sukinsy,ny taka ich schowali całą bańkę spirytusu!!!

A do nas:

- Stać i nie ruszać się z miejsca, zaraz wracamy!

I wszyscy gdzieś pobiegli, zostawiając przy nas jednego wartownika. Spirytusu nie musiało być mało, bo długo nie wracali. Wartownik kazał więc nam iść spać do rana. Nazajutrz albo zupełnie zapomnieli o nocnej historii - a może to byli inni żołnierze - bo kazali nam tylko iść do Borysowa, gdzie był zborny punkt uciekinierów. "Niemiała historia" skończyła się więc względnie pozytywnie, ale cośmy przyżyli tego nikt nie cofnie.

Po raz drugi uniknęliśmy śmierci również cudem. Gdyśmy błąkali się po lesie kierując się jednak na zachód, napotkaliśmy najwpierw dziwnych żołnierzy "radzieckich", mówiących podobnie jak Jarek. Byli to pewnie niemieccy dywersanci. Poszukiwał ich jak się potem okazało oddział sowieckiej "razwiedki", ale zamiast na nich wpadł dwukrotnie na nas, kierujących się na zachód. Wiele osób mniej podejrzanych zastrzelono na miejscu nie czekając wyjaśnień. My uszliśmy cało. Uwierzono nam - może przyczynił się do tego mój dziecienny wygląd - że zbłądziliśmy i radośnie przyjęliśmy ich towarzystwo w drodze do Berezyna tym razem. Na szczęście im się spieszyło do pościgu tych dywersantów niemieckich, do spotkania z którymi nie przyznaliśmy się. Po pewnym czasie wspólnej wędrówki na wschód opuścili nas wskazując jedynie właściwy kierunek drogi na Berezyno.

Pamiętam jak w lesie - starym więziennym zwyczajem - starałyśmy się zawsze usiąść tyłem do drzwi; do drzwi, których tu nie było, ale z

czym ciągle trudno nam było się oswoić kiedy miałyśmy coś przyszyć albo spruć. Przyzwyczajenie to weszło nam w krew, bo w więzieniu w ten właśnie sposób miałyśmy czas schować igłę lub inne niedozwolone narzędzie ^{zanim} zaglądną do celi przez judasza /my mówiłyśmy przez wizyterkę/ zdążył otworzyć drzwi, żeby sprawdzić co robimy siedząc tyłem. Zawsze byliśmy już niewinne kiedy do nas dotarł. W lesie takie wiercenie się wokół własnej osi wyglądało bardzo śmiesznie.

"28 czerwca 1941r. Sobota.

Samoloty uparcie bombardują drogę na Berezyno-Borysów. W pobliskim sowchozie gotujemy nasze kartofle. Dają nam bezpłatnie kwas i 3 bliny. I znów w drogę, a wokoło groźnie walą bomby i tym razem Niemcy ostrzeliwują las z broni pokładowej. Czekamy w lesie z pół dnia. Potem nocujemy w jakiejś zaczętej i niewykończonej chacie zamieszkałej głównie przez komary. Burza. Deszcz. Zimno. Jesteśmy we wsi Grabionka. Są tu uciekinierzy Polacy. Chyba też więźniowie".

Myślę, że właśnie w Grebionce w tej niewykończonej chacie przyłączyli się do nas jeszcze inni mężczyźni, między innymi jeden Szwajcar, który wydobył się z pod stosu ciał rozstrzelanych pod Czerwienią. Zawsze trzymał jedną z nas za rękę i powtarzał: "Nie pajdiosz, bo strelat" /Nie pójdziesz, bo strzelać/. Czy kiedykolwiek wrócił do zmysłów i co się z nim potem stało - nie wiem. Nie wiem również kim był, ale coś mi się wydaje, że tak jak i Jarek miał jakieś powiązania z Niemcami.

Wiem jedynie, że mężczyźni ci trzymali się nas kurczowo jakby czując, że z nami nic się złego im stać nie może. Do tej chwili tkwi mi w pamięci, że wreszcie chciałyśmy się umyć całe nago, a przecież kościułów kąpielowych nie miałyśmy. Wydawało się nam, że już wręcz cuchnęłyśmy. Właśnie dotarliśmy do jakiejś szerszej i głębszej rzeki. Chyba był to jeden z licznych dopływów Berezyny. Natychmiast podjęłyśmy decyzję

kąpieli, ale niespodziewanie natknęliśmy się na nie do przewyciężenia opór ze strony mężczyzn. Za nic nie chcieli nam pozwolić odejść nawet na krótko.

Jak w końcu zorganizowałyśmy to nasze upragnione mycie się - nie wiem. Pewnie na raty. Ale dotychczas tkwi mi w pamięci ta nasza wręcz złość na nich za tę ich ślamazarność. Ciekawe, że nie chodziło im wcale o podpatrywanie nas. Wszystkie byłyśmy młode i zgrabne. Ale oni nie widzieli w nas kobiet, a tylko jakąś bezpieczną osłonę przed śmiercią. Spaliśmy razem skuleni, a nikomu nie przyszło do głowy, że to jest kobieta, a tamto mężczyzna. W chłodzie nocy było to po prostu drugie ciało chroniące przed zimnem. Przez całą drogę nikomu ani razu - nawet mężczyznom - nie przyszło do głowy, że jesteśmy odmiennej płci, z tym jedynie, że my nie rozbierałyśmy się przy nich.

" 29 czerwca 1941 r. Niedziela.

My idziemy ciągle naprzód, ale niestety pod prąd na zachód, co bardzo utrudnia naszą sytuację. Często musimy udawać, że zbłądziliśmy i zawracać. Ludzie są dezorientowani. Nie wiedzą co się dzieje i zdarza się, że pytają jak wygląda sytuacja, na co niezmiennie odpowiadamy "naszyje bjut wragi udirajut" /nasi biją wrogowie uciekają/. Dla nas i ci i ci są wrogami, a nasi są niestety daleko.

Niektórzy patrzą na nas podejrzliwie jak na szpiegów. Na szczęście Jarkowi wystarczyła jedna lekcja i teraz siedzi cicho, więc jakoś nie zatrzymują nas. Najgorsze, że pomimo więzienia mamy wygląd "zapadników" /tak nazywano ludzi z zachodniej Białorusi i Ukrainy/ Doszliśmy wreszcie do Draczkowa. Duża wieś gminna. Podobno "bieżencom" /uciekinierom/ dawano tu chleb. Jest tu jednak niestety również wojsko, więc pomimo głodu idziemy dalej co prędzej. Zatrzymujemy się w zaścianku Maszenna Draczkowskiego Sielsowietu w stodole Michała Filipowicza. Dostaliśmy chleba i słoniny. W ogóle dobrzy

ludzie. Karmią nas. Nocujemy tu z 29 na 30 i z 30 czerwca na 1 lipca 1941.r. Ta ostatnia noc i poprzedni dzień były okropne.

Byliśmy w samym ogniu na linii frontu. Z jednej strony Niemcy, a z drugiej Sowiety. Bomby. Kule. Piekło. Jednym słowem bitwa. Widzimy między innymi wybuch dwóch sowieckich czołgów. Piekło, z którego wyprowadziła nas cała tylko Ostrobramska."

Uzupełnienia wymaga nasz pobyt w zaścianku Maszenna. Napisałam krótko "dostaliśmy chleba i słoniny", bo wtedy bardzo się spieszyłam, żeby jak najwięcej zanotować, a było tego mnóstwo, stąd bardzo często zamiast opisywać jakiś fakt notowałam go stylem telegraficznym. Ale pobyt w Maszennie zasługuje na specjalny rozdział. Jest tam bowiem tyle zdarzeń niecodziennych, że to cała historia.

Szybko opuściliśmy głodni Draczków, chociaż była tam nadzieja na otrzymanie chleba. Jednak obawa wylegitymowania przez wojsko była silniejsza niż głód. Wiedzieliśmy już bowiem, że schwytanych więźniów rozstrzelują nie za szpiegostwo, a za sam fakt, że byli więźniami. Wmieszani w tłum dotarliśmy do stodoły Michała Filipowicza w Maszennie i tam ulokowaliśmy się. Jak z zapisków wynika spędziliśmy tam tylko trzy dni i 2 noce, a mnie się ten pobyt wydaje o wiele dłuższym, dlatego, że wydarzyło się tam tak wiele.

Po pierwsze chyba już w pierwszym dniu pobytu podsłuchaliśmy w stodole rozmowę prowadzoną nazewnątrz. Jeden z mężczyzn stwierdzał, że chyba jesteśmy więźniami takimi jak ci, których rozstrzelano w Draczkowie. Drugi zaproponował, żeby nas sprawdzić. Napewno jesteśmy głodni i jeżeli jesteśmy zwykłymi uciekinierami, to mamy pieniądze i możemy coś kupić, a więźniowie pieniędzy nie mają. Rozumowanie całkiem słuszne. Tu odegrały swoją rolę trzy znalezione ruble. Rozstrzelani w Draczkowie więźniowie, to pewnie ci Polacy, co nocowali z nami w Grebionce. Byli tak jak i my głodni i liczyli, że uda im się dostać trochę chleba, a zamiast chleba dostali kulę.

Kiedy w pewien czas potem przyszedł do nas jeden z "litościwych" towarzyszy niedoli proponując zakup czegoś do jedzenia poprosiliśmy o dwa litry mleka dokładnie za posadane 3 ruble, bo wiedzieliśmy już o co mu chodziło. Zsyłając nam te 3 ruble Ostrobramska uratowała nam życie po raz trzeci w tej drodze krzyżowej.

Mleko nie rozwiązało jednak problemu wyżywienia. Nasze zapasy to znaczy 3 kg chleba i kilka kawałków cukru zdobytych w magazynie więziennym przez Jarka już dawno się skończyły wraz z posiadаныmi resztkami sucharów, kartoflami babuszki i cebulą. Przecież już 4 dni wędrujemy w 6-8 osób. Chyba w lesie były już jagody, ale jakoś nie pamiętam żebyśmy je zbierali, więc albo było ich nie wiele, albo nie było w tych lasach wcale.

Zapada jednogłośnie - poza mną - decyzja, że ja jako najmłodsza wyglądem i mówiąca po rosyjsku mam iść po prośbie czyli po prostu żebrać o kawałek chleba. Jarek wystraszony jedną przygodą siedział jak mysz w kącie i nie odzywał się wcale. Szwajcar trzymając jedną z nas za rękę przestał jęczeć swoje "nie pajdiosz, bo s'trelat'".

Musiałam poddać się decyzji większości. Z warkoczykami jak mysie ogonki wyglądałam na 12-14 lat. Przeżegnałam się więc i - jak zwykle - odmówiłam do Ostrobramskiej "Pod Twoją Obronę" i "Pomnij o Najmiłosierwsza Pani ..." i z drżeniem serca udałam się do domu pp. Filipowiczów. Weszłam do dużej izby, w której rogu królowała Najświętsza Maria Panna w swoich obrazach Częstochowskim i Ostrobramskim. Zwyczajem wsi kresowych obrazy święte umieszczane były w rogu izby nad stołem i ławami - niezależnie od tego czy był to dom katolicki czy prawosławny. Na środku izby stała gospodyni trzymając w rękach olbrzymi bochen wiejskiego chleba i kawał słoniny. Gdy weszłam wyciągnęła je ku mnie.

Co czułam i myślałam idąc żebrać wie tylko ten, kto sam był tak głodny, że musiał żebrać o chleb. Kiedy zobaczyłam ten chleb nie musząc

nic mówić, o nic prosić, wrażenie było tak silne, a odprężenie tak gwałtowne, że osunęłam się na podłogę, a z oczu popłynęły mi łzy. Całą duszą dziękowałam Bogu i dobrym ludziom za cudowny dar chleba. Oszczędzono mi poniżenia. Do śmierci tych ludzi nie zapomnę. Zawsze się za nich modlę, ale ciągle jeszcze boję się do nich napisać, żeby nie narobić im przykrości okazywaną wdzięcznością. Nic też chyba dziwnego, że widok chleba w śmietniku budzi we mnie nieomal fizyczny ból.

Kiedy w więzieniu byłam głodna przypominałam sobie jak z Iri zdrapywałyśmy ze zbyt grubo posmarowanej bułki masło i wyrzucałyśmy je do kosza. Czułam wtedy, że głód odczuwany to kara Boża za nie szanowanie jedzenia.

Zawsze reaguję podobnie na odprężenie, chociaż nie zawsze pozwalam sobie na luksus omdlenia. Tak było w czasie rewizji kiedy szukali broni i nie znaleźli jej chociaż była w zasięgu ich wzroku. Tak było gdy w czasie okupacji wędrowałam w listopadzie wieczorem 15 km po torze strzeżonym przez Niemiecką "sztajfę" przez las, w którym grasowały wilki i sowiecka partyzantka. Miałam na sobie tylko cienki gabardynowy płaszczyk, ale doszłam do celu mokra ze strachu. Kiedy wreszcie dotarłam do jasnej ciepłej izby zrobiło mi się słabo, bo obejrzałam się do tyłu i nagle poczułam się bezpieczna. Tak było, gdy przyjechałam z Wilna do Lidy z walizeczką pełną "SWITU" z pistoletem i parą skórzanych zelówek, a jeden z przeprowadzających rewizję Niemców powiedział do mnie: "Hej dziewczynko! Przechodź dalej!" /czyli, że nie będę kontrolowana/.

Nie wiem dlaczego nie skontrolowali mnie. Chyba - jak zwykle - Ostrobramska osłoniła moją walizeczkę przed ich wzrokiem. Tym razem tak, jak i przy aresztowaniu nie mogłam sobie pozwolić na słabość i tak w napięciu doszłam do domu, gdzie nastąpiła reakcja.

Wobec bezpośredniego zagrożenia jestem spokojna i opanowana, ale nerwy moje są napięte do granic wytrzymałości i stąd potem taka

reakcja. Ale to wszystko było w kilka lat później. Wracając do Maszenny to:

" 1 lipca 1941r. Wtorek. Front się przewalił. A my po serdecznych podziękowaniach dobrym gospodarzom ruszamy dalej do Mińska. Nie byliśmy już głodni ani spragnieni. Oglądamy nie tylko te dwa spalone czołgi, których wybuch widzieliśmy, ale i wiele, wiele innych, a także inne "przynależności pobiedimców" /uzbrojenie zwycięzców/, którzy boso i bez duszy uciekają. "

Można sobie wyobrazić naszą radość i satysfakcję, naszą z niemiecka mówiąc "Schaden Freude", że ci, którzy z nas tak bardzo kpili w 1939r. mówiąc:

- wot wy tancewali tango, a my diełali taki i wy wojnu projgrali -
oto wy tańcowaliście tango, a my robiliśmy czołgi i wy wojnę przegraliście!

A teraz oni tę wojnę przegrali szybciej niż my, bo już po 4 dniach Niemcy byli w Mińsku. W młodzieńczym wieku najtrudniej jest wybaczyć przegraną i poniżenie. "Wszystko zrozumieć to wszystko wybaczyć" - nie przemawia do młodych umysłów. Zdolności wybaczenia nabiera się z wiekiem i życiowym doświadczeniem.

Nareszcie wędrówka bez strachu

„Już w Piotrowiczach spotykamy Niemców, którzy są bardzo serdeczni i występują w charakterze naszych wybawców, robiąc nam ciągłe zdjęcia i obdarowując żywnością, o jakiej dotychczas nie marzyliśmy. Jesteśmy uszczęśliwieni. Wala gada z nimi, bo zna niemiecki. Teraz Jarek żegna się z nami i razem ze Szwajcarem pędzą gdzieś do sztabu.

My powoli dostajemy się do Opczaku i spędzamy tam noc z 1 na 2 lipca w szkole. Niemcy są uprzejmi. Rozmawiają z nami. Mówimy im, że jesteśmy więźniami politycznymi. Opowiadamy im wszystko. Całą naszą gehennę.”

Zachłysnęliśmy się wolnością i dobrocią Niemców, którzy w niczym nie przypominali Niemców, jakich poznaliśmy później. Wala mówiła niemieckim, ale ja mówiąca tylko francuskim mogłam rozmawiać tylko z arystokracją, albo przynajmniej z ludźmi o wykształceniu ponad przeciętnym. Nic więc dziwnego, że byli sympatyczni. Ja zresztą - na moje szczęście - nigdy nie zetknęłam się z Gestapo.

Niemcy traktowali nas jak dobroczyńcy swoich podopiecznych i my to akceptowaliśmy, wylewając przed nimi całą swoją nienawiść do Sowietów. Już wtedy zapomnieliśmy, że Niemcy nie tylko wywołali wojnę, która nam przyniosła wolność, wojnę, o którą modliliśmy się w więzieniu, ale i wojnę, która nas do tego więzienia wtrąciła.

Niemcy okazywali nam współczucie i podziw, a to takim smarkulom, jakimi wtedy pomimo wszystko byliśmy - imponowało. Pragnienie popularności i podziwu nie jest wynalazkiem dzisiejszej młodzieży. My mieliśmy inne możliwości i inaczej się to pragnienie objawiało, ale nie byliśmy go pozbawieni. Zainteresowanie, jakie wzbudziłyśmy u Niemców imponowało nam. Pewnie jeszcze dziś, gdzieś w archi-

wach kronik Liemieckich znajdują się zdjęcia i filmy, które wtedy nam robili, mieniając się wybawicielami narodu polskiego na wschodzie, który pod ciężarem sowieckiej okupacji zapomniał - przynajmniej chwilowo i częściowo - że to oni właśnie wspólnie ze Związkiem Sowieckim spowodowali falę nieszczęść, jakie zalały polski naród. Ja osobiście oszołomiona nagle odzyskaną wolnością zapomniałam, że to oni zabili mego ojca w pierwszym dniu wojny.

Pamiętam, już z okresu okupacji niemieckiej taki obrazek:

Jechałam pociągiem i przy okazywaniu dokumentów niemieckiemu oficerowi odezwałam się po francusku, na co oficer pod pozorem dokładniejszego zbadania dokumentów usiadł w naszym przedziale i chciał nawiązać ze mną rozmowę, na wszystkie pytania ja jednak odpowiadałam monosylabami. Oficer zorientował się, że ja nie chcę rozmawiać, więc zapytał wprost:

- Dlaczego wy Polacy tak nas nie lubicie? Przecież myśmy was oswobodzili od Sowietów!

- A kto nam ich sprowadził - odpowiedziałam.

Oficer był na tyle kulturalny, że na takie "dictum acerbum" oddał mi dokumenty i powiedział:

- Dziękuję. Wszystko w porządku.

I wyszedł z naszego przedziału.

Jakoś dziwnie nigdy nie bałam się Niemców. Może dlatego, że nigdy nie widziałam gestapo czy SS, bo okupację spędziłam na wsi lub w lesie zdala od ośrodków zajętych przez Niemców. Dochodziły do nas coprawda wieści o rozstrzelaniu Żydów, ale było to jeszcze wtedy gdy pamięć krzywd doznanych od Żydów w czasie okupacji sowieckiej była jeszcze bardzo świeża. Żydzi dali nam się bardzo we znaki podpisując listy Polaków na wywóz na Syberię, denuncjując i dręcząc w każdy możliwy sposób w myśl zasady: "skończyło się wasze prawo, teraz jest nasze".

Czas uleczył te rany i w miarę wzrostu cierpień narodu żydowskiego zapomnieliśmy o doznanych od nich krzywdach i pomagaliśmy prześladowanym w miarę naszych możliwości w imię miłości chrześcijańskiej. Ja zresztą zawsze stawiałam na niewłaściwego konia, bo moją sympatię wzbudzali ludzie słabi, pokrzywdzeni, prześladowani, a silnych zarozumiałych zwycięzców nie podziwiałam a lekceważyłam. Niemieckie bestialstwa poznałam dopiero po przyjeździe na Zachód Polski.

Kiedy po odkryciu grobów katyńskich Niemcy rozwiesili w Lidzie plakaty nawołujące Polaków z Kresów Wschodnich do współpracy, pisząc między innymi: " Polacy Sowietci dali wam Katyń, a my /tu następowały jakieś pozytywne propozycje/", jakieś nieznane ręce po "a my..." dopisały "Wawer, Oświęcim, Majdanek. Ale wtedy to były jeszcze dla nas puste słowa nie odzwierciedlające w pełni zawartej w nich treści. Czytaliśmy naprawdę naszą podziemną prasę, ale i ona nie mogła nam uzmysłwić całego bestialstwa hitlerowskiego w tych obozach.

Pamiętam, że po pierwszej wizycie w Oświęcimiu zabiłabym chętnie każdego Niemca, który stanąłby na mojej drodze. Łatwiej mi bowiem wybaczać winy popełnione wobec mnie niż wobec moich bliskich czy mojego narodu. Poza tym Goebels miał rację, że nawet największe kłamstwo sączone kroplami do umysłów przez czas dłuższy może stać się prawdą. Tymbardziej było to aktualne, że nam wpajano przez wiele lat prawdę o okrucieństwach Hitlera, pomijając milczeniem zbrodnie Stalina. Z czasem Hitler usunął w cień Stalina.

W ten sposób moje więzienne wspomnienia oddaliły się bardzo przez te 35 lat, bo musiały być szczelnie zamknięte w pamięci, jeżeli nie mogły być z niej wymazane i zastąpione innymi zbrodniami. Gdy po 35 latach dostałam spowrotem mój pamiętnik z zażenowaniem przeczytałam to, co pisałam o dobroci Niemców.

"2 lipca 1941r. Środa. Jakkolwiek po spotkaniu Niemców czułyśmy się bezpieczne i nie byłyśmy głodne, to jednak marsz na poranionych nogach był coraz bardziej uciążliwy.. Pamiętam, że doszliśmy gdzieś do domku dróżnika, gdzie na ścianie wisiał duży portret Stalina malowany na płótnie. Moja radość nie miała granic, bo mogłam wreszcie zdjąć sandały i owinać zbolące nogi płótnem. Nie szkodzi, że było zamalowane Stalinem. Narazie Stalin przyniósł mi pewną ulgę, ale nie trwało to zbyt długo. Ostatnie kilometry przed Mińskiem musiałam przebyć już częściowo na kolanach.

Tak więc jakoś nareszcie dotarłyśmy do Mińska.

Noc z 2 na 3 lipca /ze środy na czwartek/ spędzamy w domu milicji. Zajęłyśmy pokój jakiejś "milicjanierki" i nie wpuszczamy jej tutaj z całą satysfakcją. Szkoda, że teraz nie ma w Mińsku niemieckiej Komendantury, bo byśmy już tu dostały dokumenty. Gotujemy sobie w ogólnej kuchni kartofle "milicjanierki" rwiemy w ogródku rzodkiewki, cebulę i tym się żywimy.

Chodzę na kolanach, bo moje stopy są tak okaleczone, że nie mogę się nimi posługiwać. Jak już napisałam Stalinem malowanym na płótnie zawinęłam nogi, ale nie wiele mi pomógł. Marsz był zbyt długi i uciążliwy jak na nogi odwykłe od chodzenia. Pozostaję więc jako strażnik naszego "ogniska domowego", podczas kiedy one załatwiają wszystkie sprawy związane ze zdobyciem jakiejś żywności i gotują.

Znalazłam u "milicjanierki" jakiś "błok not nastolnyj" jako "kniga wysłannoj korespondencji 1941 god" z zapełnioną tylko jedną stroną i jakiś kawałek ołówka, więc wykorzystuję czas na odpoczynek i spisywanie wrażeń na świeżo.

To mnóstwo wrażeń z ostatnich dni wymaga natychmiastowego utrwalenia i - po raz ostatni w moim życiu - układa się w wiersz.

"Zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, że brak mi talentu, ale
tym razem nie o talent chodzi, ale o świadectwo prawdzie:

Mińsk 2 lipca 1941r.

Krwawy etap

Rozgorzała się burza na nowo.

Poląła się krew rubinowa.

Wrogie stanęły już potęgi...

"Niepobiedzimiec" choć był tęgi,

Za pierwszą kulą Niemca bosą

Ucieka. W krtani brak mu głosu.

NKWD zawsze troskliwe

O więźniów i wciąż dobrotliwe

Ustrzegło wszystkich od kul gradu.

Nocą gnało i dniem bez obiadu,

Bez chleba i wody kropelki.

Słabemu kula - trud niewielki.

Z pędzonych drogą dwu tysięcy

Zabili pięćset - może więcej.

Znaczyliśmy szlak purpurowy,

Bo położyło wielu głowy.

I biła w niebo ufna modlitwa:

"O Matko każdy z nas niech wytrwa!".

Liczni, dzięki Boskiej opiece

To, co ponad siły człowiecze

Znieśli i powitali jak promień

Słońca - etap wędrówki: Czerwień.

Dwieście gram chleba, kubek wody,

Podwórko - oto wszystkie wygody.

Lecz przyleciały samoloty,

A oni tracić głów ochoty

Nie mieli żadnej. Część Polaków

Zabrali w auta. Tych biedaków

Więcej już nie zobaczyli

Dla nas otwarte bramy były.

Przed nami wolność pożądana,

Lecz odstrasza ją - nieznana.

Wśród huku dział, gradu bomb i kul

W noc ruszyliśmy na nowy ból,
Na nowy trud. Do swego Kraju
Anieli drogę upraszczają.'

Nie jest to wiersz w prawdziwym słowa tego znaczeniu, ale omawia wydarzenia godne upamiętnienia. O jego walorach - jak już powiedziałam - nie decyduje wartość literacka. Jest on świadectwem wydarzeń widzianych oczyma 20-letniej dziewczyny. Prawdzic-Szlaski /późniejszy dowódca Okręgu Nowogródzkiego AK/ w opracowaniu "Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów" wydanym w Londynie nazywa ją "Marsz śmierci". Szliśmy w tej samej kolumnie, bo wspomina o pani Borkowskiej, ale on był już wtedy doświadczonym oficerem, a ja smarkulą, więc jego ocena sytuacji jest nieco inna niż moja. Poza tym jego wygnano z "Amerykanki", a mnie z więzienia centralnego. Ja oceniłam naszą grupę na 2.000 osób, a Szlaski na 3.000. Biorąc pod uwagę mój brak doświadczenia w tym względzie nie bardzo się pomyliłam.

"Wiersze lepiej się pamięta, więc dziewczęta nauczyły się mojego na pamięć. Ciekawam jak długo przetrwa w ich pamięci? Czy będą pamiętały autorkę? Czy będą mnie tak często wspominać jak ja je wspominam?

Kończę narazie, bo teraz mamy obiad, a raczej spóźnione śniadanie, bo jeszcze nic nie jadłyśmy pomimo, że dobiega południe. Jutro ruszymy dalej.

Milicjantka, która uciekła i teraz wróciła stwierdziła, że mieszkaniej jej splądrowano i okradziono /nie my/, a my jeszcze nie chcemy jej wpuścić do pokoju na noc, więc narzekała tymi słowy:

- Co za ludzie nie znają Boga ani grzechu!

Zdenerwowana takim niespodziewanym powoływanie się na Boga i grzech - chociaż nie odnosiło się to do nas - powiedziałam:

- Och! Jakie to dziwne! Dwa tygodnie wojny, a wy już poznaliście i Boga i grzech. Ciekawe, że nie wiedzieliście o tym kiedy przez miesiąc wywoziliście od nas wszystko dniem i nocą, kiedy rabowaliście mienie naszych ludzi na jesieni 1939r. i wtedy kiedy wywożono ich na Sybir?!!!

Noc z 3 na 4 lipca 1941r. spędzamy jeszcze w Mińsku.

4 lipca 1941r. Piątek. Wstajemy wcześnie. Smażymy placki ziemniaczane, a właściwie to odgrzewamy wczoraj usmażone. Pada deszcz, więc modlimy się o pogodę. Jest pogoda. Żegnamy się z Polką, która się nami tutaj tak serdecznie opiekowała i ruszamy. Ja zabieram wojsłaki "milicjónierki". "

Ciekawe, że ani tej Polki teraz już nie pamiętam, ani tych wojsłaków. Nie wiem paco były mi one w lipcu potrzebne - chyba dlatego, że nic innego na moje obolałe nogi włożyć nie mogłam. W każdym razie do domu ich nie dowiozłam. Pewnie zostawiłam w Radoszkowiczach u Kojrowiczów lub ich sąsiadów, którzy nas tak gościnnie przyjmowali.

"Milicjónierka" - to mogła być albo milicjantka, albo żona milicjanta.

" W tym domu milicyjnym poznałyśmy sławne radzieckie powiedzonko, które później słyszałam wielokrotnie:

- Budźże człowiekiem nie milicjónierom! - Bądźże człowiekiem nie milicjantem!.

Idziemy do rodziców Zuzi Kozodojowej. Spotykamy tam Grażynę Lipińską i Genkę ruban /Sroczyńską/. Udają bohaterki. Olek - ich kolega z "tiumy" /więzienia/ został zastrzelony w jakimś sowchozie przez "sowiecką razwiedkę" /sowiecki wywiad/. Biedny chłopak. Baby go zgubiły. Mówią, że mamy się spotkać jutro u Wandy. Wcale tego nie pragniemy. Jest nam dobrze samym. One nam opowiadały, że wszystkich mężczyzn, których Sowieci zabrali ze sobą z Czerwieni, wystrzelali karabinem maszynowym.

Potwierdziło to tylko trudno zrozumiałe opowieści naszego Szwajcara: "nie pajdziesz, bo strelat" /nie pójdiesz, bo strzelać/. Szkoda ich!"

Nie wiem dlaczego nigdzie nic nie napisałam o Gence Ruban - kuznierce Hubala, chociaż właśnie od niej dowiedziałam się o działalności Hubala po raz pierwszy. To ona nauczyła nas piosenki:

Hej partyzanci majora Hubala

Idziemy dziś na krwawy z Niemcem bój.

Pragnienie zemsty serca nam rozpala

A rkm niech sieje grad wokół.

Więc granat w garść a rkm przy boku

Na wrogów swych przypuśćmy dzielny szturm

Niech stal granatów razi ich głęboko.

.... dalej nie pamiętam.

Grażyna Lipińska twierdzi, że Genka - mnie się wydawało nie wiem czemu, że Hanka - przyszła do nas do celi w bloku trzecim w ubraniu "bajca" /sowieckiego żołnierza/. Ja tego nie pamiętam. Pamiętam natomiast inną chudą niewistą z biustem jak worki do kolan, która przyszła w sowieckim mundurze. Teraz nie wiem której z nas po tylu latach wspomnienia się poplątały. Ta druga ciągle śpiewała: "Założu ja ruki w briuki... - włożę ręce do kieszeni spodni" oraz "Jesli morda nie nabita nie dostojny ja bandyta" - jeśli gęba nie podbita nie godny ze mnie bandyta.

Mnie Genka kojarzy się - i za to rękę, że się nie mylę - poza Hubalem z granatowymi pantofelkami na koturnie. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam u niej właśnie pantofle na koturnie zamiast na obcasie. Koturn składał się z warstw obciążonych granatową skórą. Dziwne, że nawet teraz widzę wyraźnie te buty, a nie ich właścicielkę w celi trzeciego bloku, ale nie wiem w której. Dlatego trochę wątpię w ten sowiecki mundur, ale może buty miała

nie na nogach a w "bagażu". Genka przyszła do nas, gdy byliśmy jeszcze razem z Grażyną, a potem razem z Grażyną przeszła do celi 163, gdy ja została przeniesiona do celi 161. W tych celach doczekaliśmy wojny. Genka - jako kurierka Hubala i Warszawianka - dobrze znała Niemców, a Grażyna też wiedziała co o nich myśleć. My natomiast daliśmy się złapać na lew propagandy, a czasem zwykłej ludzkiej życzliwości. Nie wiem czy w czasie tej drogi czy przy innej okazji żołnierze frontowi mówili nam, że dopóki jest zwykłe dowództwo wojskowe nie jest tak źle, ale gdy przyjdzie gestapo i obejmie władzę będzie zupełnie inaczej o wiele gorzej. Widocznie sami Niemcy nie byli najlepszej opinii o gestapo.

"Przeszliśmy 16 kilometrów od Mińska, kiedy zatrzymali nas po polsku Niemcy. Musieli to chyba być Ślązacy, albo Pomorzacy. Zrobili nam dużo zdjęć. Patrzą na nas jak na nadzwyczajne okazy. Dają nam suchary. Nareszcie obżeramy się. Lokują nas we wsi u jakiejś kobiety, która ma syna na froncie i dlatego zajęła się nami bardzo gorliwie mówiąc:
- ja dam wam, a może Bóg da, że ktoś zlituje się nad moim synem.

Gdy odchodził do wojska na wojnę radziła mu: "synoczku poskarej zdawaj się w plen - syneczku jak najszybciej idź do niewoli."

Biedaczka nie wiedziała jak Niemcy potraktują sowieckich jeńców, a na współczucie dla sowieckich żołnierzy było jeszcze na Kresach za wcześnie.. Ludność kresowa jeszcze była pod wrażeniem aresztowań, wywózek i terroru sowieckiego, naturalnie winą obciążając nawet Bogu ducha winnych żołnierzy.

Pamiętam, że kobieta ta miała przygotować dla sztabu kury, a my miałyśmy dopilnować, żeby ich nie zatrzymała.

"Oficerowie sztabowi mówią po francusku, więc nareszcie również ja mogę opowiedzieć wszystko co przeżyliśmy. Skarżymy się okropnie na Sowietów. Obiecują zapłacić za nas. Uczą mię po niemiecku. Są bardzo sympatyczni.

Sanitariusz, który też mówi po francusku opatruje mi stopy. Muszę mu jednak wzamian za to oddać płótno z portretem Stalina, którym miałam owinięte stopy. Robili mi przy tym zdjęcia i kręcili film - napewno dla celów propagandowych - ale mnie było to najzupełniej obojętne. Najważniejsze były moje obolałe nogi, a los płóciennego Stalina był mi bardziej niż obojętny. Najchętniej dostarczyłabym go im żywego i zobaczyła potem martwego. Zupełnie zapomnieliśmy, że w 1939r. to byli nasi wrogowie oraz, że to dzięki porozumieniu Stalin-Hitler znaleźliśmy się w więzieniu. Teraz wiemy tylko jedno, że dzięki nim otworzyły się dla nas bramy więzienne.

Na kolację dostajemy chleb i masło. Wzamian tylko musiałyśmy dopilnować przyrządzenia 2 kur przez gospodynię. Zadanie nie było trudne, bo gospodyni nie miała najmniejszego zamiaru truc żadnego z Niemców. Ludność tych terenów witała Niemców nawet dość przychylnie, bo rozwiązali kołchozy i nareszcie każdy chłop dostał na własność ziemię i inwentarz.

Od sztabu dowiedziałyśmy się, że dziś wzięto do niewoli 30.000 "sołdatów"/żołnierzy/, a "komunistów-komisarów" rozstrzelano. Bieda teraz Żydom. Skończyło się ich panowanie i to szybciej niż się spodziewali, kiedy w 1939r. kpili z nas.

Z 4 na 5 lipca 1941r. nocujemy we wsi u tej kobiety w warunkach naprawdę domowych - pierwszy raz od 14 miesięcy, ale nie śpimy długo. Ruszamy o świcie bez pożegnania, bo Niemcy chcieli wziąć kołchozowego konia i dać nam, abyśmy dojechały gdzieś do kolei. Nie chciałyśmy zabierać konia chłopom, którzy naresz-

cie mieli coś własnego i bardzo się z tego cieszyli.

Już tylko 20 kilometrów dzieli nas od Polski. Przebywamy je i nareszcie jesteśmy w Radoszkowiczach. Radoszkowicze to przedwojenna stacja graniczna pomiędzy Polską, a Sowiecami.

O jakieś 10 kilometrów od celu spotykamy pana Edka lat chyba 18, sąsiada Wandzi Kojrowicz. On ma konia, na którego ładujemy nasze "wieszczy" /rzeczy/, a o 5 kilometrów od Radoszkowicz ja siadam na konia, bo stopy znów mi odmawiają posłuszeństwa. Wyglądam imponująco z "mysimi ogonkami". Wszyscy patrzą na mnie "z podziwem". Byłam niby jakaś Joanna d'Arc. Spotykający nas żołnierze niemieccy dają mi często czekoladę jak dziecku. Często też fotografują nas.

Niedaleko od Radoszkowicz spotyka nas rodzeństwo Wandzi. Dowiadujemy się tragicznej wiadomości, że Wandzi mama zginęła od bomby lotniczej. Tak więc wolność Wandzi opłacona została śmiercią jej matki.

Mijamy przedwojenne słupy graniczne. Jakie to rozrzewniające. Nareszcie znów na własnej ziemi. Wjeżdżam "tryumfalnie" do Radoszkowicz na plebanię. Jest tu obóz niemiecki. Złazę z konia z trudem i idę do kościoła. Jest zamknięty. Klękam, opieram głowę o drzwi i modlę się przepełniona radością i wdzięcznością do Opatrzności. Dziękuję za to, że danym mi było znieść tyle i wyjść cało z opresji, w których zginęło tylu, tylu więźniów. Nie modlę się słowami a całą moją duszą, całą moją istotą. Na plebanii przyjmuje nas ksiądz. Jest młody. Częstuje nas cukierkami, masłem, serem i kawą. Niemcy przynoszą chleb i dużo, dużo masła."

Nie mogę zrozumieć jak to się stało, żeśmy się natychmiast nie porchorowały po takim obżarstwie - biorąc pod uwagę skromne możliwości naszych żołądków przyzwyczajonych raczej do postu.

Ciekawe, że tak często natykałyśmy się na Niemców mówiących po francusku, a więc ludzi raczej wykształconych.

"Rozmawiam z Niemcami po francusku. Zajadamy. Noszę już otwarcie sygnet Sława na palcu. Jak to przyjemnie. To mój skarb, który przeszedł ze mną całe więzienie. Gdybym tylko jak najprędzej spotkała Sława. Co się dzieje z mamusią i dziećmi? Strasznie się o nich boję - szczególnie po tragedii Wandzi. Lida jest zbombardowana i spalona.

W Radoszkowiczach przyjmują nas wprost owacyjnie. To takie.... Nie mogę... Każdy chce nam coś dać. Każdy chce byśmy u niego spały. Pomagają nam wszystko prać. Kąpiemy się, myjemy włosy, czeszemy się, przebieramy w wyprane ciuchy i jesteśmy nareszcie trochę podobne do ludzi.

Jutro chcemy iść do spowiedzi i Komunii Świętej o 7,30, a potem pójdziemy jeszcze na sumę.

Podobno z Mołodeczna są pociągi do Wilna i Lidy. Może uda nam się nareszcie jechać. Byłoby cudownie, bo jednak to jeszcze ponad 100 kilometrów. Mamy zamiar ruszyć w poniedziałek...

Pan Edek obiecał nam zrobić zdjęcia.

6 lipca 1941r. Niedziela. Spałyśmy u pana Edka na kanapach. Jest cudownie. Rano idę do kościoła. One jeszcze śpią. Ile szczęścia daje spowiedź, Komunia Święta i możliwość słuchania Mszy Sw. zrozumie tylko ten, kto jak ja przez ponad rok był tego pozbawiony. Jestem szczęśliwa. Czję się leciuchno. Potem rozmawiam trochę z księdzem i wracam na śniadanie. Znow dosłownie obżeramy się. Naprawdę nas tu rozpieszczają.

Po sumie, na której byliśmy wszyscy, zaszłyśmy do ambulatorium, gdzie nam znow zrobiono opatrunki i dano na drogę wazeliny, wateę i bandaże.

Kościół jest bardzo miły. Jest tu śliczny obraz - a właściwie figura - Chrystusa Króla. Figura ta jest cudowna, słynąca łas-

kami. Modlitwa daje wiele ukojenia.

Teraz pędzą Żydów na roboty. Jestem z tego zadowolona, bo bardzo nam się ostatnio dali we znaki.

Narazie idziemy odpoczywać....

Około godziny 18-tej znów idziemy do kościoła i tam spotykamy Grażynę Lipińską i Genkę Ruban. Niestety już przyszły. W kościele jest różaniec. Już wrócił burmistrz-organista, więc gra na organach. Jest bardzo przyjemnie. Okazuje się, że burmistrz był w celi Nr. 93 i że cele Nr.Nr. 91, 92 i 93 wypędzono o świcie i że przed Czerwonią wszystkich rozstrzelano. Uratowało się tylko ... 16 osób.

Wróciłyśmy do naszych bohaterek. Wyglądają okropnie. Mają dużo rzeczy. Chodziły rabować więzienie. Mają jakąś mapę. Jest z nimi również Anna Czerepowicz.

My idziemy spać do pana Edka, a one do pana Piotrowskiego do stodoły. My udajemy, że się przeprowadzamy od Wandzi do pana Edka. One mają zostać na jutro.

7 lipca 1941r. Poniedziałek.

Gienia, Grażyna i ja idziemy do kościoła. One są oburzone, że na widok Niemców "wszyscy wpadli w cielęcy zachwyty". Naturalnie głównie oburzenie to koncentruje się na nas. W ogóle jesteśmy krańcowo różnych poglądów. Gienia radzi Grażynie pójść do księdza, przedstawić się "kim pani jest" i namawiać go do agitacji antyniemieckiej,

W kościele proszą bym poszła do księdza prosić o wyspowiedanie ich. Przy tej okazji uprzedzam księdza o możliwości spotkania się z Grażyną poza spowiedzią,"

Dziwi mię teraz, co napisałam o naszym spotkaniu z Grażyną Lipińską w Radoszkowiczach. Grażyna była starsza ode mnie o 20 lat. Już przed wojną była dyrektorką gimnazjum, bardzo lubiącą młodzież

w tym również mnie. W czasie, gdy siedziałyśmy w różnych celach korespondowałyśmy po francusku na gilzach wypalonych papierosów. Jeden taki "list" zachował się nawet do dnia dzisiejszego i został przekazany wraz z innymi moimi pamiątkami do Archiwum Wschodniego na ręce pani Barbary Muennich.

← Grażyna była już wtedy osobą o wyrobionych poglądach politycznych, więc taka smarkula jak ja nie była upoważniona do krytykowania jej. Wynikło to pewnie z ich /Grażyny i Genki/ krytycznego stosunku do naszego "cielącego zachwytu" wobec wyzwolicieli. Młodzież nie lubi być krytykowaną i zawsze uważa się za najmądrzejszą.

Z Grażyną spotykałam się potem w Mińsku w czasie okupacji i od niej dostałam tam wiersz "Msza więzienna" napisany przez jej matkę-poetkę na podstawie opowiadań Grażyny o rozważaniach Mszy ← Sw. prowadzonych przez panią Helenę Wołtuszkiewicz. Grażyna dała mi też wtedy wiersze pisane przez młodzież mińską najwpierw po białorusku, a potem po polsku. Dziwnym zbiegiem okoliczności wiersze te zachowały się tylko u mnie i to jedynie w wersji polskiej. Autorka jednego z wierszy uciekła przed nadejściem wojsk ← sowieckich - do Polski i wraz z bratem zginęła w powstaniu warszawskim.

Przez wiele lat potem nie wiedziałam co się z Grażyną dzieje. W mojej pamięci pozostała starszą panią o szpakowatych włosach po męsku obciętych oraz promieniejących młodością i radością życia oczach. Pomimo takiej różnicy wieku byłam z nią po imieniu i tylko nie rozumiem dlaczego z Genką, która była chyba ze dwa lata starsza ode mnie, były per pani.

Jeśli gdzieś pomiędzy tym, co pisze Grażyna w książce: "Jeśli o nich zapomnę", a moimi wspomnieniami zajdzie sprzeczność, to winę ← za to ponosi tylko czas, bo ja spisałam moje wrażenia już po dro-

dze lub natychmiast po powrocie, kiedy jeszcze inne wydarzenia nie przesłoniły tamtych dni, kiedy wszystko było tak świeże. Grażyna spisała swe wspomnienia o wiele później przy czym do wspomnień jej pierwszego pobytu w więzieniu dołączyły dalsze doświadczenia i stąd mogą pochodzić niezgodności. Przy czym Grażyna ma odziedziczone po matce zacięcie literackie, a mnie tego brak.

" Śniadanie jemy u pana Edka. Po obżarstwie ostatnich dni mój żołądek źle się czuje. Nie wytrzymał obciążenia pracą, od której przez ostatni rok się odzwyczaił. Spię więc prawie przez cały dzień z wyjątkiem obiadu, którego też prawie nie jem. Po obiedzie pan Edek robi nam dwa zdjęcia i ja idę dalej spać. Na kolację zjadam przezornie tylko spodek zsiadłego mleka i wypijam szklankę kwasu z sodą. I znów spać. Wprost nie czuję kiedy one przychodzą...

8 lipca 1941r. Wtorek.

Śnił mi się dzisiaj Sław. Coś mi się zdaje, że on już jest w domu. Chciałabym się jak najprędzej znaleźć w domu. Budzimy się i dowiadujemy się dość miłej wiadomości, że one już poszły. Anna Czerepowicz poszła już wczoraj rano.

Przykro mi, że nie byłam dziś w kościele, ale nie mogłam. Dziś coprawda czuję się już lepiej.

Zjadłyśmy śniadanie u pana Edka i on zrobił mi w izbie przy stole zdjęcie. Biedak musiał iść do pracy z ojcem, a jemu się tak nie chciało. On chciał być z nami. Po śniadaniu zrobiłyśmy sobie nawzajem opatrunki. Wala była w ambulansie. Żydzi są teraz nadzwyczaj uprzejmi.

One poszły na łakę, a ja zostałam spisywać wrażenia. Teraz zabiorę się do czytania "Pana Wołodyjowskiego".

Przyszedł pan Wit K. czyli Józef Szczepański i Wala Żero musi ruszać. Pomagamy jej się spakować i odprowadzamy ją. Potem

Zosia ~~Krotołowska~~ ^{Brzeź} ^{Łańcuch} ^{Myszny 2}, Wandzia i pani Marysia siostra Wandzi idą na cmentarz na grób mamy Wandzi a ja z drugą Wałą /Wieremiej/ - spać. Ja czytam. Pan Edek znów nam zrobił dwa zdjęcia. 9 lipca 1841r. Środa.

Śniadanie. Już przyjechał pan Stach i ruszamy. Szczęśliwie dojeżdżamy do Mołodeczna. Coprawda bardzo nam przeszkadzały samochody, do których ponadto koń nie był przyzwyczajony, więc się ich bał. Trudno jednak - to siła wyższa. W Mołodecznie proponują nam jazdę samochodem do Lidy, ale nam to zbytnio nie odpowiada. W zyta w Komendanturze nie daje żadnego pożądanego rezultatu.

Idziemy więc na stację kolejową i dzięki słowom, gestom i prośbom /Wali Żero, która znała niemiecki nie było już z nami/ dostajemy się na pociąg do Lidy. Maszynistą jest pan Juraga, który mówi mi, że nasz dom się nie spalił i że moja rodzina ocalała przed wywozem na Sybir.

Niemcy w pociągu są uprzejmi. Zawsze staram się rozmawiać z nimi po francusku, ale nie zawsze to się udaje.

Ruszamy i jedziemy całą noc. Do Lidy przybywamy, gdy jeszcze jest ciemno, więc musimy do rana czekać na posterunku, dokąd zabrał nas pan Juraga.

O piątej rano ruszamy do domu. Radość jest wielka. Nareszcie po 14 miesiącach witam swoich bliskich żywych i zdrowych."

Naturalnie z uwagi na sublokatorów, których w mojej garderobie - nie brakowało musiałam wszystko zdjąć na werandzie i część została wygotowana, a część - jak na przykład futerko - po wypruciu z niego skarbów w postaci medalika sodalicyjnego i wierszy pisanych na płótnie oraz grypsów - została spalona.

Dziewczęta - po kilkudniowym odpoczynku u nas - ruszyły dalej i pomimo szczerych zapewnień nigdy się więcej z nimi nie spotkałam.

" Tyle różnych osób, tyle odmiennych krańcowo typów przewinęło się w kalejdoskopie mego więziennego życia. Z jednymi łączyła mnie przyjaźń, obok innych przechodziłam obojętnie, innych znów nie lubiłam lub pogardzałam nimi, a jednak ze wszystkimi połączyła mnie wspólna dola czy raczej niedola. Wspólnie przeżyte cierpienia to łańcuch łączący nas na całe życie.

Prawdę mówi rosyjski poeta: "nie w szumnej biesiedzie druzja poznajutca, onie poznajuttca biedoj, kol gorie nagrianie i ślozy poljutca. Tot drug, kto zapłaczet s tobj" - nie w czasie hucznych biesiad poznają się przyjaciele, oni poznają się w biedzie, gdy nadejdą ciężkie czasy i łz-y się poleją. Ten przyjacielem, kto zapłacze z tobą. Dziś każda współwięźniarka wydaje mi się kimś bliskim, kims, kto jest z moją przeszłością nierozzerwalnie związany, kto stanowi jej integralną część.

Czy kogo jeszcze w życiu spotkam?

Jakie będą naszego życia koleje?

Nie wiem!

Wiem tylko jedno, że jeżeli kiedykolwiek któraś z nich stanie na drodze mojego życia z prośbą o pomoc, nie zawaham się ani chwili z podaniem jej bratniej pomocnej dłoni."

Zakończyłam spisywanie tego pamiętnika z posiadanych więziennych zapisków i notatek zrobionych natychmiast po powrocie do domu, w Ejtnach powiat Lida w dniu 11 listopada 1944 roku."

Wykaz osób , które pamiętam z więzienia w Baranowiczach w okresie
od 20 maja do 20 stycznia 1941r.

Cela Nr.4 w więzieniu śledczym NKWD Od 21 maja 1940 i Od 29.lipca 1940
Cela Nr. 9

1. Genowefa D. żona policjanta z Nieświeża § 120
2. Wanda L.
Hanka Bliźniak Warszawa, Krasickiego93
4. Młoda mężatka z Białegostoku, ul.Ukośna 9
5. Marysia Jurewicz z Nowogródka nauczycielka lat 33 § 72
6. Genowefa Kawnetis z Wilna - obecnie w Anglii § 120
7. Kazimiera Siwulec z Nowej Wilejki od 2 lipca 1940r. §120
8. Barbara Oszurko z Warszawy §120
- 9.Pani Ansilewska
10. Świętochowska Izabella lat 18 z Baranowicz - córka inżyniera §120
11. Genowefa Bieńko z Nowej Wilejki § 120 od 2 lipca 1940r. /obie/
12. Rosjanka Maryna z Brześćcia §68
13. Babcia Czarnocka - ziemianka lat 76 §76
14. Dwie Janki z Werenowa
15. Zyta, co lubiła piosenki kryminalne - chyba z Warszawy §120
16. Wanda.

Cela Nr. 9 we wrześniu 1940r.

1. Fursza Rodkiewicz z Nowogródka, Tatarka - kuzynka Gambira K.
2. Irena Arciszewska z Lidy
- 3, Weronika Mozol z Lidy

Cela Nr. 8 lipiec 1940

1. Zygmunt Barski

Cela Nr. 3 czerwiec 1940

1. Henryk Bojaruk z Białegostoku - artysta malarz

Cela Nr.11 Maj - Październik 1940r.

1. Bogusław Wężyk s. Andrzeja i Jadwigi, uczeń państwowej Szkoły Morskiej w Edyni za. w Baranowiczach ul. Staszica 15
2. Bolesław Stankiewicz z Baranowicz
3. Gambir K. - Tatar - z Baranowicz
4. Hajdul z pod Lidy chyba z Werenowa
5. Żemojtuk z pod Lidy.

Więzienie Centralne w Baranowiczach-Wisńniczu od 28.9.40 do 20.1.1941.

1. Jadwiga Domańska - aktorka z Bydgoszczy § 120
2. Wisia C. żona porucznika § 120 lat 27
- 3.Jaga Pikciunas.
4. Janka Sylwestrowicz - fordanserka z Wilna
5. Fursza Rodkiewicz z Nowogródka
- 6.Marysia Jurewicz z Nowogródka - nauczycielka lat 33 § 76
7. Genowefa Kawnetis z Wilna
8. Buba Oszurko z Warszawy w Krasickiego
9. Julia Juralewicz z Lidy
10. Salomea
11. Stefka Leskic w Warszawy
12. Janina Słonko -Ina - z Prużany § 64, 76
13. Dzidka Cypryńska - chyba Halina § 64, 76
14. Weronika Mozol z Lidy

Wykaz osób, które pamiętam z więzienia w Baranowiczach-Wiśniczu

15. Halina Surudo
16. Pani Irena Ałciuskiewicz z Lidy
17. Lusja K.
18. Stanisława Karmen
19. Rywa
20. Elżuńka
21. Zofia Antropik /dziewczyna ze wsi/
22. Babcia Gasztołt-Goworek z Nalibok, Białorusinka § 64,76,70/24
23. Lena Mielnikowa-Założuk, Rosjanka córka generała 80/24
24. Halinka Drucko-Podberezka z okolic Nalibok
25. Regina Mizgier z Lidy, obecnie zakonnica w Częstochowie
- Benia Lach /chyba Benedykta z Brah woj. wołyńskie
27. Tala
28. Pani Ola
29. Olga Rynkier wariatka z okolic Grodna /majątek Maselany/
30. Babuszka Ameryka - wariatka
31. Agatka - wariatka
32. Frania - wariatka
33. Gala Karpowiczówna - Sowietka
34. *Isabella Świętochowska Baranowicz Nasubonice 63 córka inżyniera 1761*
Cela nr. 16 - męska sierpień 1940 - styczeń 1941r.

1. Inżynier Świętochowski z Baranowicz - ojciec Izy
2. Henryk Jeziorek - kolega z gimnazjum w Lidzie zmarł a w-wie 89
3. Kazik K. - też kolega z Lidy / może Kołyszko, albo Kłyszejko /albo może to był Wacek Krupowicz, a pomyliłam imię/

Wykaz osób, z którymi zetknęłam się w więzieniach Mińska Litewsk.

Więzienie Centralne - Blok Główny, Cella 38 21.1.1941r.

Cela Nr. 38

1. Pani Jaga Pikciunas
2. Tala Sierżputowska
3. Wila Jastrzębska - chyba Wilhelmina
4. Miła Akimowa - Rosjanka z Brześcia
5. Wala Żero z Hajnówki
6. Janka Jabłońska
7. Pani Zofia Stefańska z Brześcia

Cela 174 Blok III 23.1. - 25.1. 1941

1. Kazia Jaworska referentka z DOKP Grodno
2. Pani Lipka /Olimpia Zeitz - adwokat z Baranowicz 23.1.1941
zabrana na sąd. Z Baranowicz wywieziona 20.7.1940r.
3. Siostra zakonna ze Szczuczyna

Cela 154 od 29.1.1941r. - Blok III

1. Pani Lipka Zeitz
2. Wanda Nowotarska z Pińska
3. Pani Jadwiga Taniukiewicz z Lidy
4. Pani Lichwierowicz z Lidy
5. Irka Płazak z Pińska
6. Pani Leontyna Borkowska z Lidy - wróciła do Lidy po 22.6.1941
7. Pani Grażyna Lipińska z Grodna - obecnie Wewa Nowotki 27
8. Ania Kalinowska z Brześcia
9. Miła Akimowa z Brześcia

Cela 164 od 30.1. 1941r. - Blok III

Wszystkie kobiety z celi 38 m.i. Wila Jastrzębska

Cela 162 od 3.2.1941 do 1.4. 1941r. - Blok III

Wszystkie kobiety z celi 154

1. Sońka - krakowska Żydówka
 2. Wala Żero
 3. Babcia Czarnocka od 5.3.1941.
 4. Jadwiga Ochotnicka - Mińszwzanka
 5. Garbuska NN - Mińszczanka
 6. Tarchowa - Mińszczanka Rosjanka czy Białorusinka
 7. Bragina - dentystka z Mińska
- Polki z Mińska Bronia i Emilia w innej celi na pieresudzienije.

Cela 46 - Blok Główny od. 1.1.1941r do 11.5.1941r.

Wszystkie z celi 162

1. Iwona Grabowska z Białegostoku
 2. Rosjanka z Baranowicz
 3. Anna - kuzynka Marychy Jurewicz z Nowogródka
 4. Julka Paszkiewicz - komunistka z pod Radoszkowicz
 5. Pani Zofia Stefańska
 6. Hala G.
 7. Anna Kozodoj z Grodna Zuzanna
 8. Wanda Kojrowicz z Radoszkowicz ul. Dąbrowska 15 pod Motodocym
 9. Pani Wojtuszkiewicz Helena z Lidy - przedtem w celi 54
 10. Katia Michniuk z nami od 7.4.1941 - do 2.6.1941 /lagier/
 11. Sońka prostytutka
 12. Zofia Krotowska Brześć, Zawłek Myszny 2
- Wit - Józef Szczepański Blok III
o Katarzyna Michniuk Wielki Las p-ta Lenin

Wykaz osób, z którymi zetknęłam się w więzieniach Mińska

Więzienie Centralne Blok III

Cela 172 od 11. 5. 1941r. do 17.5.1941r.

Wszystkie z celi 46

Wala Wieremiej ze sprawy Żorża Bakłana

Hela Fomina z Lidy -"-

Cela 161 od 17.5. do końca

Część z celi 172 m.i.

1. Ja czyli Joanna Stankiewicz z Lidy

2. Pani Borkowska Leontyna z Lidy

3. Pani Helena Wojtuszkiewicz z Lidy do 2.6.1941r. /Wywieziona/

4. Katia

5. Ala Skowronek -/Dmuchowska W-wa Żeromskiego 4d/ od końca maja

6. Kazia Orzechowska z Augustowa

Cela 163 od 17.5. do końca

Część z celi 172 m.i.

1. Pani Grażyna Lipińska

2. Wala Wieremiej *poczta krzywickie pow Wilejka*

3. Nelka

4. Pani Zofia Stefańska

Więzienie śledcze NKWD t.zw. "AMERYKANKA"

Cela 23 na parterze 25 do 27.1. 1941

Byłam sama

Cela 17 na I piętrze od 27- 29. 1.1941. /do sądu/

1. Ania Kalinowska

2. Pani Borkowska

3. Kobieta, co śpiewała "Jeśli morda nie napita" art.64 i 76

4. Miła Akimowa

5. Wala Żero

6. Janka Jabłńska

7. Pani Zofia Szczepańska

8. Pani Grażyna Lipińska

P.S - "Pani" używałam przy osobach od około 40 lat.

Wraz ze mną sądzeni byli:

1. Bogusław Wężyk uczeń PSM w Gdyni zam. w Baranowiczach

2. Maciej lat ok.30 z Juraciszek k/Lidy

3. Bolek Stankiewicz z Baranowicz

4. Gambir K. z Baranowicz

5. Hajdul z Gawii k/ Lidy

6. Żemojtuk z okolic Lidy

Łącznie 16 osób z Baranowicz lub Lidy i jej okolic.

Sąd miał miejsce 29 stycznia 1941r.

Najczęściej stosowane wobec Polaków aresztowanych w latach
1939-1941 paragrafy białoruskiego Kodeksu karnego /a może ZSSR/

Artykuł 64 Nielegalna organizacja

Artykuł 70 - Morderstwo

Artykuł 70/ 24 - Pomoc w morderstwie

Artykuł 72 - Agitacja kontrrewolucyjna

Artykuł 68 - Szpiegostwo

Artykuł 76 - Niezadowolenie z władzy radzieckiej. Na jego pod-
stawie aresztowywano: wszystkich ziemian, polskich
urzędników, wojskowych, policjantów itd.

Artykuł 80 - Partyzantka

Artykuł 80/24 - Pomoc partyzantom

Artykuł 120 - Przejście granicy nielegalnie

Artykuł 120/20 - Chęć, zamiar nielegalnego przejścia granicy

Kserokopie grypsów:

- Po francuzku od Grażyny Lipińskiej
- Mój do Sława zaczynający się od "Kochańy Braciszku!"
- Wali Wieremiej do mnie zaczynający się od Kochana Sławo!
a podpisany "Mimi"
- Moje notatki
- Powiększony gryps od Wali Wieremiej - pisany, na jakiejś kartce, z której został wymazany poprzedni "list", stąd po prawie 50 latach mało czytelny. Inne były pisane na listnikach wypalonych papierosów

alliés et je de-
teste nos ine-
mis. Vous me
conaissez
je pense

sire beaucoup
de cette guerre
J'aime mes
compatriotes
J'aime tout

placuje. Napiż mi do kład-
nie ja i sie i ile rzeczy ma
nawet ile wiecej. Soudigdie
jest placze, czemu nie bisali
Sto hem dlugi list. Wszystka
o sobie. Ile razy byles w
Kawce? za co ja nie
bylam. Co tam. Odpowiedz
mnie. Czy ja ciem? Give you very
many kisses, Jane yours.

2) le pays de
Tagiello et j'ai
me notre l'
Et j'ai
me aussi nos

23. Chère Petite
Je suis très in-
quiète de tout
cela qui se pa-
se. Je de-

pendant les
longues heures
des nuits, et
ma tête se
gonfle de

Stożony Braciszku!
Strasznie jestem ciekawa:
ile Ty dostales, bo ja stat. 96
myle, ze posiloki my najwy-
zej rok. Stat jestem w do-
hymorze. Napisz mi ile jemu
dostali, bo u nas stychac
Pisz od razu z tagu do Mary
Poulina. Siemnowobn na podaj
mi adresy, i tyfusie, zety o
na wypadek wykreszenia i
rodziny mierz kontakt. Moxe.

Czuj sie tak jak René
Cholewicz. Jaka ja
seule, seule sur la terre
gdzie sa moze blizcy, drogi
sercu o stante tez, nie
nie wiem. Boze jak to
szalone, wielkie uczucie
ja milosc. Matyle
pizka. Tyle upoj mego
wrocy, i przy kosisie
skrajnie dziecinego, boi
sie ludzi. Wszystko, co
pisze, jest tak samo
chaotyczne jak moje
mysli. Dziwiz sie, ze
nogo le stola urzadek

do czego plagne. Kierze,
a kiara H. S. z wycustia
Dziś zacząłem się uczyć
gramatyki niemieckiej
lasze HT. 59 - poprost.
ypone. Nauczyciam
sa wiele wiedzy. Moze
na koncu je wyucze
ale mam duzo obaw
po centymetrze gratitu
kawatę rózgi z męgi.
Oci siemnowobn spod ziemi
my sie bawi. Zabrano
nam 2 do szpitala ja
mam. Teva stan pod
gorączki.

5 III 41 r.
oprócz tego mam
na korytarzu sąsiadka
blatnyde i slyszę my
ciagle wepetycje ich stori-
hizta. Toza tym praple
narzda cela jest obdawa
na naj mnie jed na prosty
tki. Nasza zabrali do
szpitala, bo to sowietka i
żołnierka. Ciagle roz ma-
kiala z korytarem o
swojej sprawie, o obwi-
niowaniach, o niewch-
sucie, stale k ryczata

W ogóle czy je 5 III 41 r
Teraz chodzi o typach
i celi jest u nas 5 so-
witez. 2 sa mozliwe.
Krzyscy - tchorze jedno
z widzi to Polka, druga
żona Polaka. Jedna
miala ojca Polaka, a
sama jest? To ta co
ma maie przesladat
czy. Boje sie, ze pojde
i jej slady. Kiedyś
chciana spaci pod lozko
nasie. Gospozia typ?



Przepraszam cię za to, że nie
mogę cię odwiedzić. Jestem
bardzo zajęty. Mam nadzieję,
że kiedyś uda mi się do ciebie
pójść. W tym czasie proszę
cię o wyrozumiałość. Z
najlepszymi pozdrowieniami
od twojej siostry, Marysi.

Wszystko dobrze. Mam nadzieję,
że cię odwiedzę. Jestem
bardzo zajęty. Mam nadzieję,
że kiedyś uda mi się do ciebie
pójść. W tym czasie proszę
cię o wyrozumiałość. Z
najlepszymi pozdrowieniami
od twojej siostry, Marysi.

Przepraszam cię za to, że nie
mogę cię odwiedzić. Jestem
bardzo zajęty. Mam nadzieję,
że kiedyś uda mi się do ciebie
pójść. W tym czasie proszę
cię o wyrozumiałość. Z
najlepszymi pozdrowieniami
od twojej siostry, Marysi.

Przepraszam cię za to, że nie
mogę cię odwiedzić. Jestem
bardzo zajęty. Mam nadzieję,
że kiedyś uda mi się do ciebie
pójść. W tym czasie proszę
cię o wyrozumiałość. Z
najlepszymi pozdrowieniami
od twojej siostry, Marysi.

Przepraszam cię za to, że nie
mogę cię odwiedzić. Jestem
bardzo zajęty. Mam nadzieję,
że kiedyś uda mi się do ciebie
pójść. W tym czasie proszę
cię o wyrozumiałość. Z
najlepszymi pozdrowieniami
od twojej siostry, Marysi.

Przepraszam cię za to, że nie
mogę cię odwiedzić. Jestem
bardzo zajęty. Mam nadzieję,
że kiedyś uda mi się do ciebie
pójść. W tym czasie proszę
cię o wyrozumiałość. Z
najlepszymi pozdrowieniami
od twojej siostry, Marysi.

Przepraszam cię za to, że nie
mogę cię odwiedzić. Jestem
bardzo zajęty. Mam nadzieję,
że kiedyś uda mi się do ciebie
pójść. W tym czasie proszę
cię o wyrozumiałość. Z
najlepszymi pozdrowieniami
od twojej siostry, Marysi.

Przepraszam cię za to, że nie
mogę cię odwiedzić. Jestem
bardzo zajęty. Mam nadzieję,
że kiedyś uda mi się do ciebie
pójść. W tym czasie proszę
cię o wyrozumiałość. Z
najlepszymi pozdrowieniami
od twojej siostry, Marysi.

Przepraszam cię za to, że nie
mogę cię odwiedzić. Jestem
bardzo zajęty. Mam nadzieję,
że kiedyś uda mi się do ciebie
pójść. W tym czasie proszę
cię o wyrozumiałość. Z
najlepszymi pozdrowieniami
od twojej siostry, Marysi.

do owkon
So tal co do chraste
le ze trono wyjale
od wotraci a silu
dne potanie jeste
Kocham co cie
ke nas Bog ja
wy wrednie
Haze byc ze
a waze
Dobrze
sue
Hime

44
Rozważanie Mszy Świętej

Niedziela dn. 22 maja 1941 r.
Więzienie śledcze w *Kauzów Liberski*
Cela więzienna nr 163

Niedziela.- Poranek majowy...

Słyszycie, drogie moje? uciszcie rozmowy!
Słyszycie dzwony brzące nad błękitną rzeką?
nad Wisłą... Wartą ... Dniestrem ... i Niemanem... i Wilią...?
Od rzek tych - prawda - jesteśmy daleko,
ale te dzwony w naszych sercach biją.

Usiądźmy godnie na pryzkach u ściany,
zgernijmy nasze więzienne łachmany,
przyglądajmy włosy... zamknijmy powieki...
Za chwilę nasze dusze ulecą w daleki
ojczysty szlak.

Taa... Teraz opuszczamy celę,
wzdłuż korytarza idziemy ku bramie,
uchylamy drzwi cel sąsiednich. Zapraszamy
więźniów Polaków. Jest ich wiele... wiele...
Bierzemy wszystkich z sobą.

Schodzimy do łożów,
gdzie oczekują śmierci ludzie bladzi.
Mówimy im: - Niedziela... msza... lud się gromadzi
w kościołach... Otrząsnijcie się z podziemnych prochów
i pójdźcie z nami.-

wiejska dłoń wije się wśród klonów.
Nad nami słońce... niebo... i głos dzwonów.
Witają nas kwitnące po sadach jabłonki...
smukłe topole w majowej zieleni...
brzoźowe gaje... cudne jak warszenie.
I pozdrawiają nas wiosenne łąki.

Przed nami i za nami idą gospodarze,
kobiety w chustkach, młodzież, dziewczęta w warkoczach.
Mijają nas i lekko pochylają twarze:
- Niech będzie pochwalony... -

Lza serdeczna w oczach.

Ogród kościelny... wchód... brama szeroka.
Stare kasztany w wonnych, młodych pąkach...
Przed nami ławy... ścieżki w słonecznych korenkach...
Rozśpiewana dzwonnica - smukła i wysoka -
odcina od błękitu swą gołębią białość.

Wchodzimy do przedsionka i meczamy palce
w wodzie święconej: - W imię Ojca... Syna...
Ducha świętego... - Ojciec nasz! Oto godzina! -
Skupiamy myśli biedne - poszarpane w walce.
Strząsamy z naszych piersi krwawy ból i żalność.

Główny ołtarz tonie
w olbrzymich pąkach bzu. O, jakże słodko
przelewa się ta woni w nawę tęczołą...
Z bzu i zieleni jak sen się wyłania
Archanioł Gabriel, Maria z białą lilią w dłoni;
oboje w niabach, w boskiej cudnej aureoli...
oboje pełni szczęścia... Obraz zwiastowania.
U ścian konfesjonały. Kilka kobiet klęczy
i rozszeptane kora się przed spowiednikiem...
Kościelny swoim długim... długim zapalnikiem
bierze płomyk z lampy wieczystej, powoli
zapala świece.

Dzwonek.

Z jasnych anopów tęczę
wchodzi chłopczyzna z uszami i księdza siwowłosa.
Głos organu uderza w ołtarz i niebiosy!

- Confiteor. -

Panie, Ty znasz nasze winy...
Ty widzisz naszą słabość, gdy biją godziny
najcięższych prób... te długie, czarne śladstwa nocy...
Los ojczyzny wymaga, by w najtwardsze nocy
tętały serca nasze... Daj nam tę noc, Panie!
kiedy piekielnym wrzaskiem, piścią i torturą
wróg chce wymusić na nas skargę i zeznanie!
A jeśli... Boże... Boże... w tych nocach, co przeszły
zsiniałe wargi jakły pod grobą ponurą
i głos nasz załamany jakimś słowem zgrzeszył...
Przebacz nam, Panie...

- Dominus vobiscum...

Et cum spiritu tuo...-

Ewangelia -

Powstańmy. Milknie organ mszalny.
W tęczowych snopach krążą i pną się i snują
roścące ~~pyłki~~ światła, na wiedzę tam pochwalną.

- Ónego czasu rzekł Jezus uczniom swoim... -

O, Chryste! Gdzie słodycz błogosławieństw Twoich?
Gdzie balsam słów o wierze? o Człowieku - Bogu?
Gdy narodzeni dzisiaj włada człowiek - zwierzę,
gdy niebo jest jak całun śmiertelny, gdy w progu
Twoich ŚWIĘTYCH świątyni kłócą psy... o ziemia cała
jedną wytwórnią dzieł szarpiących ciała...

- ... Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam - ziemia
i niebo przeminają, ale słowa moje nie przeminają. -

Ofiarowanie. -

Błyszka na ołtarzu złoto
kielicha i pateny.

Panie, z tą ofiarą mszalną,
ofiarą Chrystusową - składamy Ciżmę oto
każdy nasz dzień męczeński i noc torturalną...
My młode matki, któreśmy szkło ostre
chwyciły w ręce i z żyły raniennej
toczyły krew, by poić na pryczy więziennej
małeńkie dzieci nasze, gdy konały z głodu
przy wyschłych naszych piersiach...

My żony i siostry,
których mężowie, bracia przepadają gnani
w lodowaty kraj śmierci na obozy pracy...
My córki, których ojcowie padli rostrzelani...
My - przed rokiem kwitnące, młode i urodne
świeżością warg i blaskiem falujących włosów...
dzisiaj opuchnięte z głodu i czarne od ciosów...
My - matki siwowłose, któreśmy w pogodne
dni września błogosławiły synów na bój,
a dzisiaj wiemy, że w lochach podziemi
ociekają krwią czarną z pod rozdartych

strzępów swych szat...

Przyjmiń ofiary nasze, o Panie Zastępów!

- Sursum corda i Sanctus... -

Szła organów rośnie.

W chórze młodzieńcze głosy, jak we wezbrana rzeka
leżąca z wyżyn, biją zwycięsko, radośnie!
Szum wzmag się! O wzmag tywiołem i spitem!
i zwolna, zwolna cichnie jak burza daleka...

- Oto jest ciało moje, które się za was dało...

Archanioł Gabriel, Maria z lilią w dłoni białą
promienieją z ołtarza nad bolesnym krzyżem.

- Oto jest krew moja nowego przymierza... -

Przeistoczenie. Chrystus Pan zstępuje na ołtarz.

Miłowania wielka tajemnica...

Naszyn jest Chrystus! Jako ten chleb biały,
jako ta zięta z naszych pól pszenica,
która nas żywi, karci i raduje...

- Rozkoszą naszą jest przebywać z synami człowieczymi...

Dzwonek... Klęczymy wszyscy. Cisza... Podniesienie...

Wzduż i wozers nawy biegnie jakoby dreszcz fal
Jęk ekstatyczny - długie, błagalne westchnienie...
To chwila wielka! Chwila, w której nad potopem stali
wzbija się biała Hostia i rozprasa ziemi... cienie...

- ... tonący we łzach, oślepli od łkania

będą pocieszeni...

a którzy cierpią ból prześladowania

błogosławieni będą... -

Chwila ~~siły~~ naszej! Cud oczekiwany

rwie oddech, pręży płuca jak wicher eoleki!

Błagajmy Boga! Głos nasz będzie wysłuchany!

Błagajmy o rzecz wielką, o rzecz nam najbliższą...

nad wszystkie inne droższą i świętszą i czystsą -

bla-gajmy Boga o zwycięstwo Polski!!!

Memento za umarłych... -

Snąje się poprzez kościół orszak bojowników, -
wodźów... żołnierzy naszych... partyzantów śmiałych,
którym Bóg dał najskłodszą śmierć na polu chwaly.
I dłuższy, dłuższy jeszcze orszak męczenników
zasypanych gruzami... rozszarpanych krwawo...
zanęczonych po łożach... Oto idą zjawą
promienną, jak tej tęczy światłość rozedrgana...
Oto idą jak biali pasterze kolendy -
Anioł Boży ich wiedzie w jasny gród legendy...

- Oremus -

Módlmy się słowami Pana:

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje...-

O, święć się Two Imię na niebies błękitnie!
Święć się Two Leska w wiosennym rozkwicie
wianolowych sadów i pszenicznych łanów...
Święć się Two dobroć jak słoneczne morze...
Święć się Two mądrość i Twój sąd, o Boże!
Święć się noc Twoja nad orgią szatanów!
I sprawiedliwość Twoja!

- Przyjdź Królestwo Twoje... -

O, przyjdź królestwo światła, po mgłach i upiorach!
Królestwo tchu wolnego po dźwięcych zmorach...
Królestwo śmiałych wlotów, ekstatycznych pieśni,
po więzach, które gniotą od piekieł boleśniej...

- Bądź wola Twoja... -

Bądź wola Twoja - Wołany czasu mąk i trwogi,
bo choć nieprzeniknione te ścieżki i drogi,
którymi wiedziesz ludy ku spełnieniu zadań,
choć łamią się oręże dociekań i badań,
choć w walce z szatanami dłoń odpada chrobra -
wiemy, że wola Twoją - jest zwycięstwo Dobra!

... chleba naszego, powszedniego... -

Boże, ^{masz} zmięć chleb więzienny
na chleb ojczystych łanów! A jeśli nie możesz
tak stać się - daj tam w Polsce zdrowy chleb codzienny

ojcom, matkom i z dziećmi...

my goręco przyjmieni w pokorze...

- ... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy... -

Odpuszczamy?... Chryste, odpuszczaj krwiożercom,
tym, którzy dzieci małe, od głodu przejrzyste,
katowali, by wynoc na matkach zeznania?
Odpuszczaj sądom śledezym? Odpuszczaj mordercom
naszych mężów i braci? sprawcom ich konania?

..... Niechże się stanie według słów Twoich, Chryste.....

- ... i nie wódt nas na pokuszenie... -

O, gdy uderzy wolańci godzina,
broń nas! paku Broń przed pokusą zemsty, co się czai
na dnie serc naszych, jak jaszczurka sina
i jak wilczyca wściekła, aby kąsać. Niechaj nam ojęzyste gaje
przypomną, żeśmy Polki...

- ... ale nas zbaw ode złego... -

Zbaw nas od nieweli, Panie,
i od podłości strachu...!

Amen. - Niech się stanie... -

- Agnus Dei...-

- Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata... -

Chryste! Grzechy świata są jak ocean!
Zgląda je z powierzchni ziemi! i w sercach ludzkości,
ludzkości zschłysłonej krwią i w proch zdeptanej
abudź szaloną tęsknotę do słowa miłości!

- Komunia. -

- Non sum dignus... -

Nie jesteśmy godne,

by promień Hostii krzepił nasze usta głodne,
lecz rzekłaś, iż rozkoszą Twoją jest przebywać
z synami człowieczymi...

- Corpus Domini nostri... -

Zwolna podnosimy głowy...

- Custodiat animam tuam... -

O, żadnymi słowy
nie możemy ciszy. Oto jak nęła się rozplywa
w tej ciszy kłęb więziennych wspomnień...

- Dominus vobiscum... -

- Et cum spiritu tuo... -

Potężnieje głos chóru. Oto organ mszalny,
hucząc aż pod sklepienia gwiaździstą plejadę,
składa ostatni skord - swój hymn pożegnalny.
Ksiądz, odwrócony ku nam w jasnych blaskach słońca,
oddaje nam ostatnią swą pieśń kaskadę:

- Ite missa est. -

Msza dobiega końca.

Błogosławieństwo. Przeniesienie mszału.

Ostatnia Ewangelia. Wstajemy pomazku...

- Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga,
a Bogiem... -

Tss...

Drgnęła ściana.

Pod wilgotnym mrokien
judaszowe okienko błyska wściekłym wzrokiem:

- Zamiełzcie!! -

Jesteśmy w celi...



ПРОКУРАТУРА СОЮЗА ССР

ПРОКУРАТУРА
Беларуской ССР
ПРОКУРАТУРА
Белорусской ССР

220849, г. Минск,
вул. Интернацыянальная, 24
220849, г. Минск,
ул. Интернацыянальная, 24

03.91 № 13/79-89

На № _____ от _____

Министерство юстиции Республики Польша
Департамент Прокуратуры
г. Варшава

© ARCHIWUM WSCHODNIE

II/1660/1k

Прокуратура Белорусской Советской Социалистической республики свидетельствует о своем уважении Министерству юстиции Республики Польша и обращается с просьбой о нижеследующем.

В Прокуратуру Белорусской ССР обратилась гражданка Республики Польша Янушак (Станкевич) Иоанна Брониславовна с заявлением о реабилитации ее и Венжика Богуслава Андреевича.

Изучением уголовного дела, по которому Станкевич И.Б., Венжик Б.А. и другие были осуждены Верховным Судом СССР 29 января 1941 г. за участие в контрреволюционной повстанческой организации, целью которой было свержение Советской власти, установлено, что вина Станкевич (Янушак) И.Б., Венжика Б.А. и других лиц, проходящих по делу, доказана.

В соответствии с Договором об оказании правовой помощи по гражданским, семейным и уголовным делам между Союзом ССР и Республикой Польша от 28 декабря 1957 г. и дополнительным протоколом к Договору от 23 января 1980 г. прошу сообщить Янушак И.Б. (г. Гдыня 81-317 ул. Варшавская, 25, кв. 23), что Прокуратура Белорусской ССР не находит оснований для ее реабилитации.

С уважением

Старший помощник Прокурора
Белорусской Советской
Социалистической республики

И.И. Суховерх



Zgodność odpisu z oryginałem
poświadczam
Gdansk, 1991-05-22

№ 02.738/91

АРХИВНАЯ СПРАВКА

В документах Центрального государственного архива Октябрьской революции и социалистического строительства БССР имеются сведения о том, что Венжик Богуслав Андреевич, 1920 года рождения был арестован 21 мая 1940 года Управлением народного комиссариата внутренних дел Барановичской области по статье 64 УК БССР и осужден 29 января 1941 года выездной сессией коллегии Верховного суда (статья не указана) к высшей мере наказания.

Директор Центрального государственного архива Октябрьской революции и социалистического строительства БССР

Селем

В.Д.Селемене:

№ 41

15 января 1991 года.

II / 1660 / АК

Прокуратура Союза ССР
Прокуратура
Гродненской области

Прокуратура Союза ССР
Прокуратура
Гродненской области
231671, г. Гродно, ул. Докатера, 2-а

10.07.91 № 13/134-91

На № 738/91 от 13.05.91 г.

Польская Республика

00-95/33, г. Варшава, ул. Аллеи Уяздов-
ске, д. 11

Министерство Справедливости

✓ Польская Республика

81-317, г. Гдыня
ул. Варшавская, д. 25, кв. 23

гр-ке Янушак Иоанне Брониславовне

Сообщаю, что Янушак И.Б. была осуждена Военной Коллегией Верховного Суда СССР 29 января 1941 года по ст.ст. 64 и 76 УК БССР к 5 годам лишения свободы.

В местах лишения свободы она находилась с 20 мая 1940 года по 26 июня 1941 года. Сведений о ее эвакуации не имеется, так как эвакуация в город Червень осуществлялась после начала Великой Отечественной войны.

Осужденный по данному делу Венжик Богуслав Андреевич был приговорен к высшей мере наказания - расстрелу. Приговор в отношении него приведен в исполнение 17 февраля 1941 года в г. Минске. Место захоронения Венжика Б.А. неизвестно.

Прокурор области
государственный советник
юстиции 3 класса



Л.П. Терещенко

© ARCHIWUM WSCHODNIE

II / 1660 / 1K

Grzegorz Łatuszyński
TŁUMACZ PRZYBIĘGŁY JEZYKÓW SŁOWIAŃSKICH
ROSYJSKIEGO, SERBSKO-CHORWACKIEGO, CZESKIEGO
Al. Niepodległości 15 m.8
02-653 Warszawa
Tel.: 48-36-54

© ARCHIWUM WSCHODNIE

II/1660/1k.

TŁUMACZENIE Z JEZYKA ROSYJSKIEGO

Blankiet urzędowy z herbem państwowym i napisem
Prokuratura Związku SRR - Prokuratura Białoruskiej
SRR - 220849 Minsk, ul. Internacjonalnaja 24

11.03.91 Nr 13/79-89

Ministerstwo Sprawiedliwości
Rzeczypospolitej Polskiej
Warszawa

Prokuratura Białoruskiej Socjalistycznej Republiki
Radzieckiej składa wyrazy szacunku Ministerstwu
Sprawiedliwości Rzeczypospolitej Polskiej i zwraca
się prośbą w poniższej sprawie.

Do Prokuratury Białoruskiej SRR zwróciła się oby-
watka Rzeczypospolitej Polskiej, Joanna Januszczak
(Stankiewicz), córka Bronisława z podaniem w spra-
wie rehabilitacji jej i Bogusława Wężyka, syna An-
drzeja.

Po zbadaniu sprawy karnej, w której J. B. Stankie-
wicz, B. A. Wężyk i inni zostali skazani przez Sąd
Najwyższy ZSRR 29 stycznia 1941 roku za udział w
kontrrewolucyjnej, powstańczej organizacji, której



celem było obalenie władzy radzieckiej, ustalono, że wina J. B. Stankiewicz (Januszcak), B. A. Weżyka i innych osób, skazanych w sprawie, była dowiedziona.

Zgodnie z Umową w sprawie pomocy prawnej w sprawach cywilnych, rodzinnych i karnych między Związkiem SRR i Rzeczpospolitą Polską z dnia 28 grudnia 1957 roku i Protokołem uzupełniającym do Umowy z dnia 23 stycznia 1980 roku proszę o poinformowanie J. B. Januszcak (Gdynia 81-317, ul. Warszawska nr 25 m.23), że Prokuratura Białoruskiej SRR nie znajduje podstaw do jej rehabilitacji.

Z uszanowaniem

Starszy pomocnik prokuratora Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej /-/ I. I. Suchowierch

Pieczęć okrągła z godłem państwowym w środku i napisem: Prokuratura Związku SRR - Prokuratura Białoruskiej SRR

Ja, mgr Grzegorz Łatuszyński, tłumacz przysięgły z siedzibą w Warszawie, stwierdzam zgodność niniejszego tłumaczenia z oryginałem dokumentu sporządzonego w języku rosyjskim.

Warszawa, dnia 4 kwietnia 1991 r.

Rp. nr 0108/91



2

Zgodność odpisu z oryginałem
poświadczam
Gdańsk, 1991-05-22



[Handwritten signature]

Poniższe wiersze otrzymałam od Grażyny Lipińskiej w Mińsku w 1943r. Wiersze te były napisane najpierw po białorusku, a potem po polsku. Nie wydaje mi się aby przechowały się u kogokolwiek jeszcze poza mną. Ja miałam i mam tylko ich wersję polską. Zostały napisane przez młodzież mińską. Podpisane "R.B." były napisane przez Reginę Pleśniewicz urodzoną w Witebsku, a mieszkającą z rodzicami w Mińsku. W czasach działania WACHLARZA Regina była kurierką Grażyny Lipińskiej na trasie Mińsk - Bobrujsk, Witebsk, Homel. Ponadto trzy razy jeździła do Warszawy, gdzie kontaktowała się z siostrą Grażyny Lipińskiej Dzidką Żelazowską. Po raz pierwszy była w Warszawie w 1943r., a trzeci kiedy w 1944r. pojechała do Warszawy na stażę wraz z 17-letnim bratem Leszkiem. Oboje wzięli udział w Powstaniu Warszawskim i zginęli. O autorach innych wierszy niestety nic nie wiem.

Humanitarności głosząc wielkie imię
z dzikim Moskałem o nowej granicy
radzą Anglicy.

Naszą białoruską ziemię
dają mu niby wieczystą donację.
Osiemset piętnasty rok wraca po raz wtóry
w dziejach historii.

Tam nas rzucono w paszczę carskiej hydry,
Dzisiaj Białoruś w kłach czerwonych ginie.
Dość nam już obcych dyplomacji!
Żaden zjazd traktat tej prawdy nie zmieni,
że Rosji tu nie będzie nigdy!
Że nasze święte granice i miecze,
tam, gdzie kzy matek leją się najczęściej,
gdzie męczenników krwawe ciała leżą,
gdzie prochy ojców bieleją najgęściej,
że Sybir także nasz!

Sybiru każdy metr jest krwią spłacony,
więc kiedy przyjdzie rozrachunku czas,

to razem z nami będzie Sybir wolny

i będzie Sybir nasz!

Dumny Albionie! Szczęśliwy, że nie znasz

hańby niewoli.

Nie wiesz, co czuje serce niewolnika,

ile rozpacz... bólu... nienawiści

jego wnętrzości i myśli przenika.

Ty nas nie pojdziesz, ani nie wyzwolisz,

Ani o Polsce naszych snów nie ziścisz.

Anglio przez ciebie nigdy nie wspomniani

półtora wieku gnijemy w łańcuchach,

półtora wieku mrze lud białoruski,

półtora wieku wytępie go wróg.

Świat o nas nie wie... nie widzi... nie słucha...

Tylko niewinnych krew woła za nami

I krzyk Rejtana straszny... obłąkany,

za nami w niebie spór wiedzie Piłsudski

I patrzy na nas Bóg.

Mińsk grudzień 1943r.

R.B.

Naszym braciom za miedzą

Miast rękę nam podać, pocieszyć w niedoli

o Bracia kochani,

mówicie to słowo, co nas tnie i boli:

mówicie: - Nieznani .-

By wytrwać - na mękę, więzienie, zesłanie

przystał nasz lud,

a dziś mu obiecać nie jesteście w stanie
otwarcia wrót.

Nie w śmierć was wzywamy i nie dla zagłady,

lecz byście wyrwali z niemocy

nas, cośmy ówierać wieku wśród wrogów i zdrady

żyli... na nędzy dno

na srom... na zło...

na tryumf nocy patrzyli.

Mówicie: - Ten kraj jest przeklęty,

krwią tłuste są jego niwy.-

A przecież

secem czujecie,

że on jest wasz... po wiek ten święty

kraj... ten Polski kawał żywy

"co nie z soli,

ani z roli,

ale z tego, co Ją boli

wyrósł"

Mińsk 1942

Mówicie: Tam kilku. Płacz to jest
czy śmiech?

Nas były tysiące,

lecz w kaźni i w męce

najlepsi zabici,

my reszta... ukryci.

A choćby zostało już tylko nas

trzech,

"Bo jeśli z wiernych trzech tylko

zostanie,

Tylko trzech napełnionych dawnym

ideałem,

To Polska z tych trzech wyjdzie,

oblecze się ciężem

"Będzie! - "

R.B.

W sowieckim raju

Będę ja mówić, choć serce boli,
o naszym życiu, o naszej doli.
Opowieść z krwawych słów.
Jak my tu żyjem w Stalina władzy.
Bez wiary w niebo... zgłodniali... nadziei...
Bez wierzeń i bez snów.

Jak my tu żyjem w jarzmie ponurym -
Na ustach kneble... na dżoniach sznury.
Jak człowiek niby pies
lęka się druha, lęka się brata...
Podstęp i zdrada - oto broń kata,
A dobru nastał kres.

Jak to ludowi za miedzą ryską
Rabują duszę... zbawienie... wszystko,
Dkawią i łamią go.
Moskal... bolszewik... nie ma różnicy.
Bluźni świętościom... dzieci moskwiczy.
Sieje i zbiera zło.

Jak każdy Polak to "wrah naroda",
że kocha Polskę, że wierzy w Boga,
że o wolności sni.
Jak wężą za nim, aż chwycą w sieci,
Zniszczą rodzinę, wywiozą dzieci,
gdy nie ulegnie im.

Już rychło więzień dla nas nie starczy.
Niech tylko nocą motor zawarczy -
Wnet ginie jeden z nas.
Powiozą jego do tego domu,
Skąd nie przychodzi wracać nikomu
Skończony jemu czas.

Sledztwo... tortura... sąd... rozstrzelanie,
Albo katoraga... wieczne zesłanie
Na północ czy na wschód.
Tam kośćmi naszych zasłane pola,
Tam w obcej stronie niewdzięczna rola
Pot chłonie nasz i trud.

Na śmierć, gdy wiada, jest rozkaz w mieście
Zasłaniać okna, by żadnych wieści
Nie było kto dziś padł.
Ale się groby kiedyś odkryją
I zmartwychwstaną ci, co nie żyją
I prawdę pozna świat!!!

A z łez i ze krwi plon naszej ziemi
Wykarmi wilki... zbudzi mścicieli,
Co w miecz przekłują pług.
W zwyciężkim boju zastęp rycerzy
Pierś o pierś z Moskwą wreszcie się zmierzy
Wiekowy spłaci dług.

Mińsk 1937r.

R.E.

W sowieckim raju

Będę ja mówić, choć serce boli,
o naszym życiu, o naszej doli.
Opowieść z krwawych słów.
Jak my tu żyjemy w Stalina władzy.
Bez wiary w niebo... zgłodniali... nadziei...
Bez wierzeń i bez snów.

Jak my tu żyjemy w jarzmie ponurym -
Na ustach kneble... na dźwoniach sznury.
Jak człowiek niby pies
lęka się druha, lęka się brata...
Podstęp i zdrada - oto broń kata,
A dobru nastał kres.

Jak to ludowi za miedzą ryską
Rabują duszę... zbawienie... wszystko,
Dławią i łamią go.
Moskal... bolszewik... nie ma różnicy.
Bluźni świętościom... dzieci moskwiczy.
Sieje i zbiera zło.

Jak każdy Polak to "wrah naroda",
że kocha Polskę, że wierzy w Boga,
że o wolności śni.
Jak wężą za nim, aż chwycą w sieci,
Zniszczą rodzinę, wywiozą dzieci,
gdy nie ulegnie im.

Już rychło więzień dla nas nie starczy.
Niech tylko nocą motor zawarczy -
Wnet ginie jeden z nas.
Powiozą jego do tego domu,
Skąd nie przychodzi wracać nikomu
Skonczony jemu czas.

Sledztwo... tortura... sąd... rozstrzelanie,
Albo katoraga... wieczne zesłanie
Na północ czy na wschód.
Tam kośćmi naszych zasłane pola,
Tam w obcej stronie niewdzięczna rola
Pot chłonie nasz i trud.

Na śmierć, gdy wiedzą, jest rozkaz w mieście
Zasłaniać okna, by żadnych wieści
Nie było kto dziś padł.
Ale się groby kiedyś odkryją
I zmartwychwstaną ci, co nie żyją
I prawdę pozna świat!!!

A z żez i ze krwi plon naszej ziemi
Wykarmi wilki... zbudzi mścicieli,
Co w miecz przekłują pług.
W zwyciężkim boju zastęp rycerzy
Pierś o pierś z Moskwą wreszcie się zmierzy
Wiekowy spłaci dług.

Mińsk 1937r.

R.E.

Legion kresowy

Legion kresowy! Hufiec twój!
I twoja sława!
Jak dawniej pierwszy pójdzie w bój
Gdzie krwi kurzawa!

Jest tylko jeden okrzyk nasz:
- Dla Polski trwamy! -
Niechaj spokojny będzie Kraj
My wytrzymamy!

Od tych, co padli płynie głos,
Gdy świat się bije:
- Polsko bądź ufna... śmiała bądź!
Lud Kresów żyje! -

Mińsk 1943r.

R.E.

Dwadzieścia kilka lat

Trwało to przecież nie tak długo
Tylko dwadzieścia kilka lat,
Kiedy żydowskim byłeś szugą,
Gdy rządził tobą Stalin-kat.

Mordował on nas i wywoził
W głodową... zimną... białą śmierć.
Miliony stracił i wymroził
Przez wieki tylko ćwierć.

Trwało to przecież nie tak długo
Tylko dwadzieścia kilka lat,
Kiedy pod krwawą żyłeś smugą
Związku Czerwonych Rad.

Sybir... Sołowki czy Kamczatka
Codzienny to Polaków szlak.
Próżno ich czeka ziemia-matka.
W ćwierć wieku zniknął życia znak.

Bowiem Sowietom wystarczyła
Przestrzeń dwudziestu kilku lat,
By po tej, co tu wiecznie żałę,
Zostawić tylko w sercach ślad.

Ale w dzień pomsty naszym sercom
Wystarczy kilka sekund... chwil,
By krwią za krew spłacić mordercom,
By Polak stał się tym, czym był.

Mińsk 1943r.

L.P.

Slubujemy

Slubujemy ci Matko-Ojczyzno
Krwia zboczona i kirem odziana,
Że nam będziesz po wszystkie dni życia
Ponad zdrowie i życie kochana!
Na twój wieniec cierniowy, na ból,
Który szakem w żrenicach twych płonie,
Na ruiny twych miast... jęki pól,
Na twe skute łańcuchami dłonie,
Na tę łunę pożogi ognistą,
Która po wsiach lud twój w lasy żenie.
Slubujemy ci miłość wieczystą.
Twoim jest każde ust naszych tchnienie.

Ze wschodu szum płynie

Ze wschodu szum płynie złowrogi... piekielny...
Świat słuca i milczy - ten ślepy i ciemny
Ze wałem ciał polskich kryjący się świat.

Nie on czoła stawia,
Nie on ludzkość zbawia,
Nie on się zakrwawi.
Lecz znowu ty,
Męczeńska Polsko,
Lecz znowu my,
Twych Kresów wojsko

Jak zawsze bywało poprzez setki lat.

Panowie z Niu-Jorku, panowie z Londynu
Dziś spieszą do Moskwy zapewnić Stalina,
Że Rosja ma w świecie uznanie i mir.

Lecz co to jest Rosja,
Że krwią naszą wzrosła,
Że mord nam przyniosła,
Wiesz tylko ty,
Męczeńska Polsko
I wiemy my,
Twych Kresów wojsko,

Po zbrodniach moskiewskich w czerń strojni i w kir.

To kłamstwo, że w Rosji jest życie radosne!
To kłamstwo, że Rosja da ludom swym wiosnę!
Czyż krzyk nasz nie zbudzi świata z martwych cisz?

Pod Moskwą niewolą
Straszliwą niedolą
Tortury i bóle
Cierpimy my
Wszyscy Mińszczanie
I cierpisz Ty
Za grzech jej Panie,

Boś przez nią powtórnie przybity na krzyż!

Nie w księgach pisane Mońskiej Ziemi dzieje,
Lecz we krwi i we łzach... w kościach i w popiele
Rozsianym bogato wśród lasów i pól.

Niech nikt tu ludowi
Losu nie stanowi!
Ni przyszłość gotowi!
Bo tylko ty
Masz prawo Polsko!
Tak chcemy my -
Twych Kresów wojsko

Synowie Mińszczyzny, jej ciało i sól.

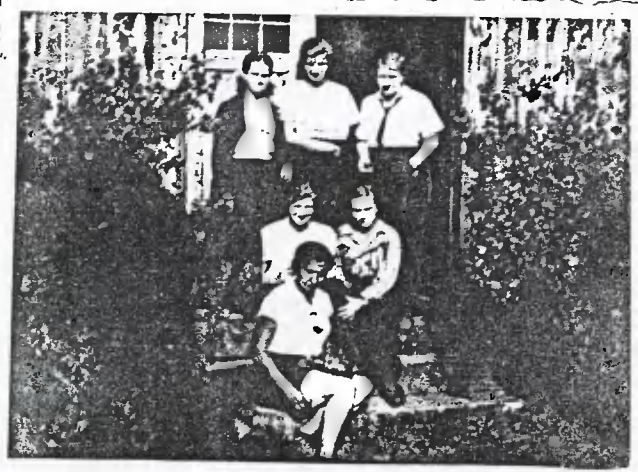
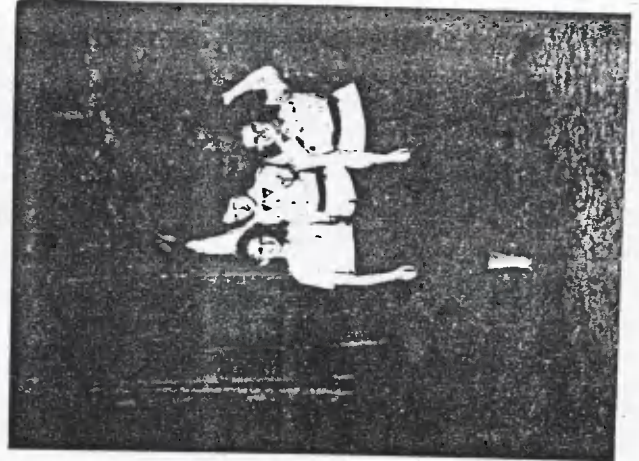
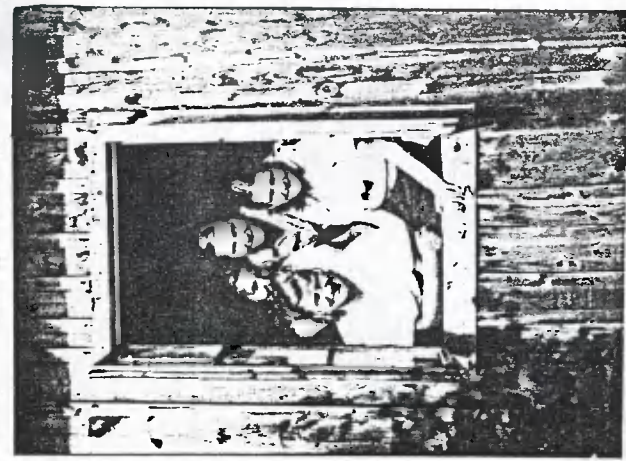
Mińsk listopad 1943r. D.G.

Januszczyk Joanna
81-317 Gdynia
Warszawska 25 m.23
tel. 20-84-96

Yamvovskaya Yozhna

V/1660

19/2007



X

15.11.1935u kl. IIc



klasa IIIc im. Heleny Kowalskiej w drodze z wychowawcą
 Józefem Kalliniskim

17. Inspektorka **Lotińska**
 -tka Zawodzińska
 18. IV klasa IIIc im. Heleny Kowalskiej
 19. ...
 20. ...
 21. ...
 22. ...
 23. ...
 24. ...
 25. ...
 26. ...
 27. ...
 28. ...
 29. ...
 30. ...
 31. ...
 32. ...
 33. ...
 34. ...
 35. ...
 36. ...
 37. ...
 38. ...
 39. ...
 40. ...
 41. ...
 42. ...
 43. ...
 44. ...
 45. ...
 46. ...
 47. ...
 48. ...
 49. ...
 50. ...
 51. ...
 52. ...
 53. ...
 54. ...
 55. ...
 56. ...
 57. ...
 58. ...
 59. ...
 60. ...
 61. ...
 62. ...
 63. ...
 64. ...
 65. ...
 66. ...
 67. ...
 68. ...
 69. ...
 70. ...
 71. ...
 72. ...
 73. ...
 74. ...
 75. ...
 76. ...
 77. ...
 78. ...
 79. ...
 80. ...
 81. ...
 82. ...
 83. ...
 84. ...
 85. ...
 86. ...
 87. ...
 88. ...
 89. ...
 90. ...
 91. ...
 92. ...
 93. ...
 94. ...
 95. ...
 96. ...
 97. ...
 98. ...
 99. ...
 100. ...

Opis zdjęć z obozu PWK

1. Korespondentka Zawodzińska
 Inspektorka Lotińska (nie
 w mundurze) i dziewczęta
 w mundurze.
2. Alana ...
 (broszura ...)
3. ...
 strona ...
 Maria ...
 urodzona 24. VII. 1930r.
4. ...
 życie obozu ...
 kier ...
 czele ...
 kier ...
 dantka obozu ...
5. ...
6. ...
 kier ...
 kier ...
 kier ...
7. ...



Ostaliu studnioka gimnazjum 81erogo typu
w dniu: mi. Harde Chodkiewicz 1938 rok



Obóz PAK w Gasterynie koło Koscieryz - Russ podinstruktorski





Regine Mizgier



Maria Putrament



5 maj. Rozciarszczyzna
pod wotoczym



Bogusław Kęzyc



Głogów, ul. Karła Chodźki



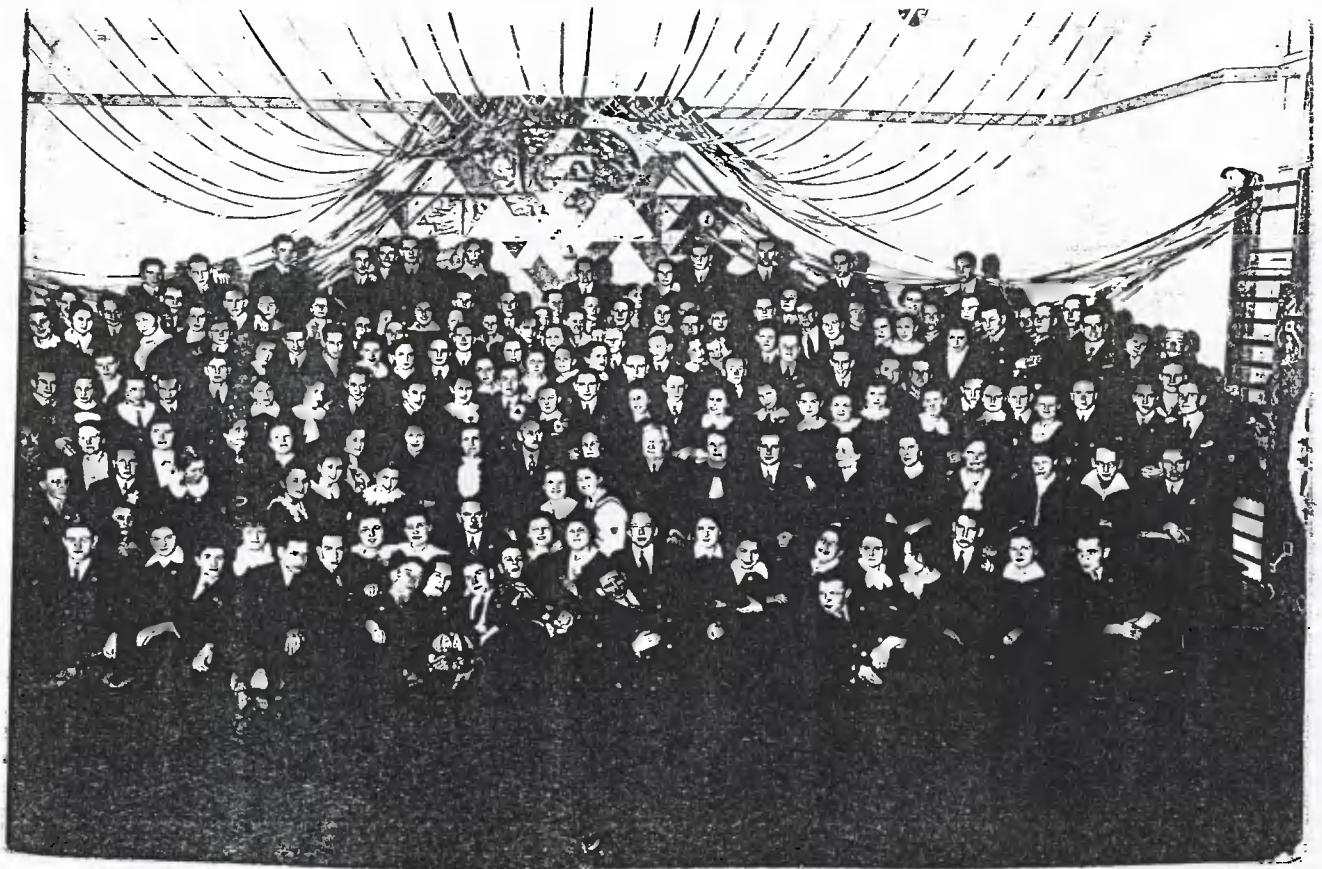
Bogusław Kęzyc 1938r.



Socjalist. gimnazjum w Lidzie 1938r.



Maturyści z Lidzie 1939r.



XV studencka i gimnazijum ličakina
u olinu 5 lutego 1938r.
kostaluna starego typu



Wanda Manenska
Irene Kleindienst
Joanna Stankiewicz



Irene Kleindienst
Joanna Stankiewicz 20.5.1939,

Lida 11 maja 1936r. kl. IIIc z Ks. Józefem Alchimowiczem



Fedorowiczówna
Paszkiewiczówna
Kleindienstówna
Jodkówna
Czeszczewik
Żorek

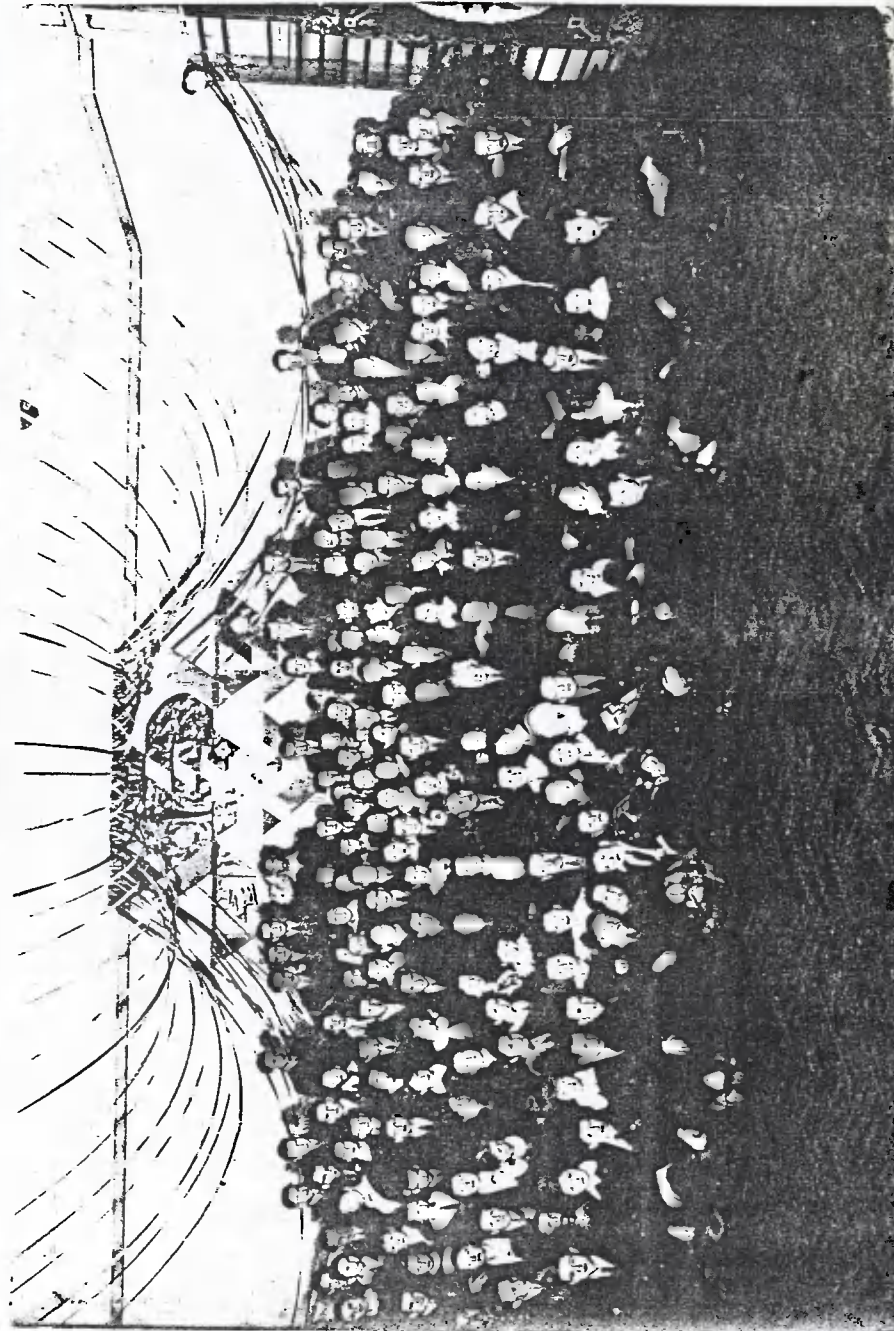
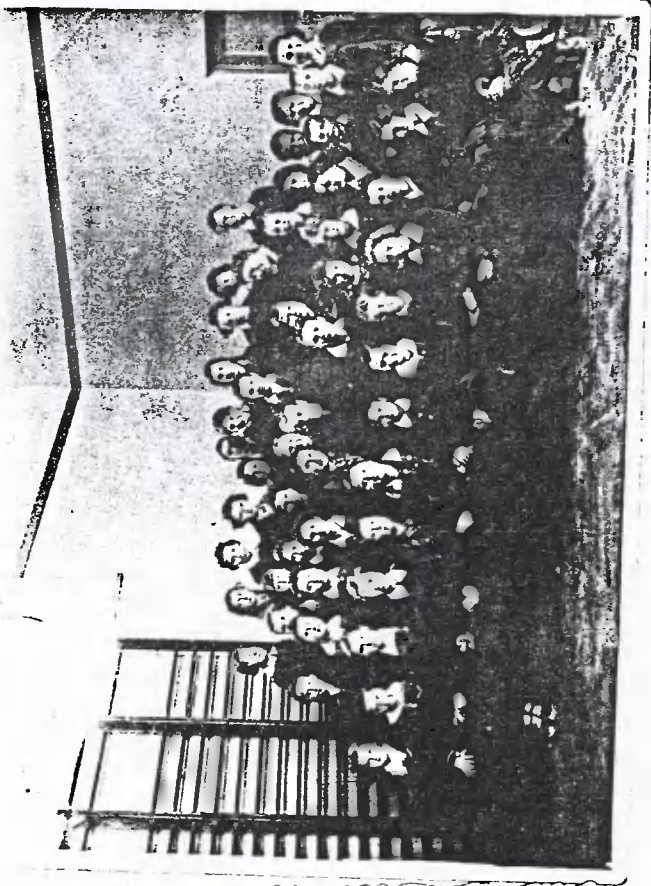
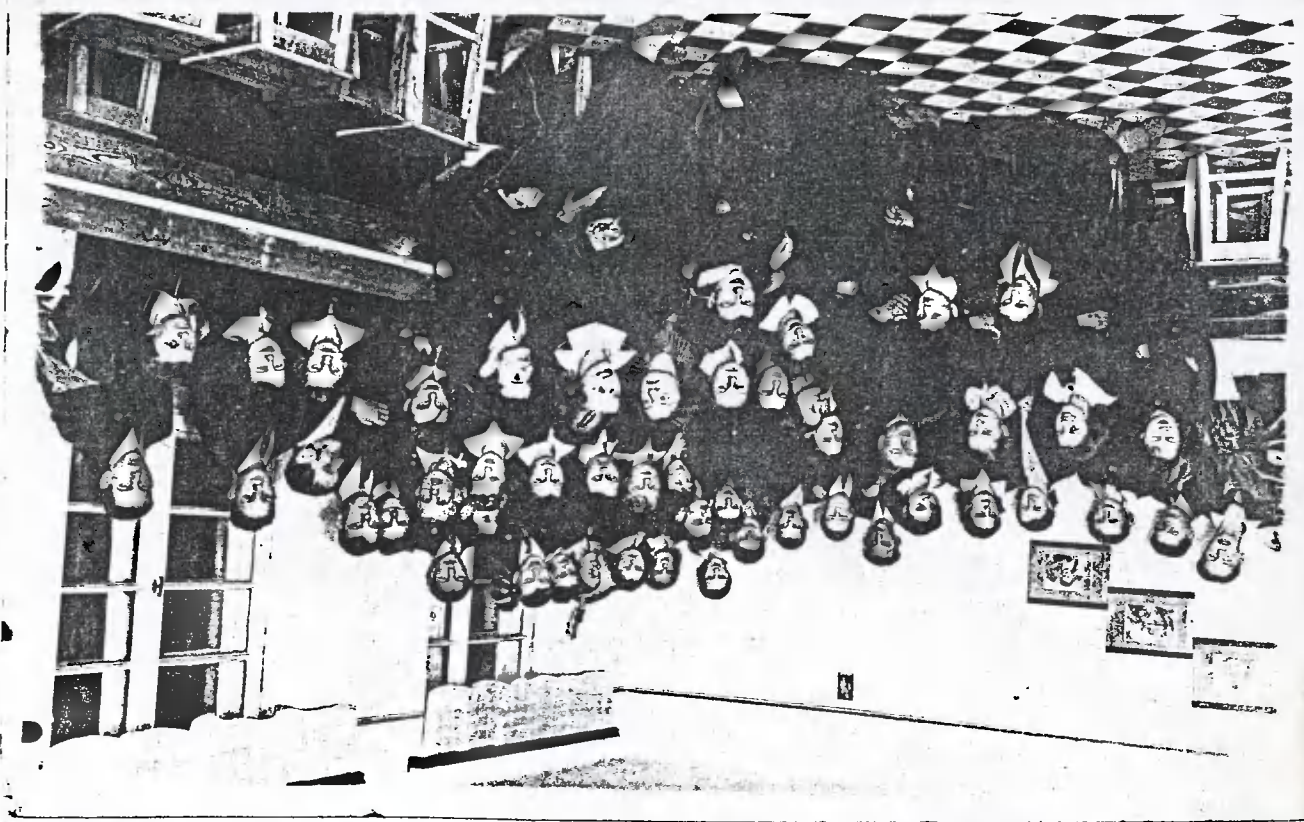
Spurgiasz
Jacewicz
Filipczyk
Maślanko
Kapkun
Kowalewski

Żwański
Szymkowicz
Misiówna
Ławrentjewówna
Maszewska
Stankiewiczówna

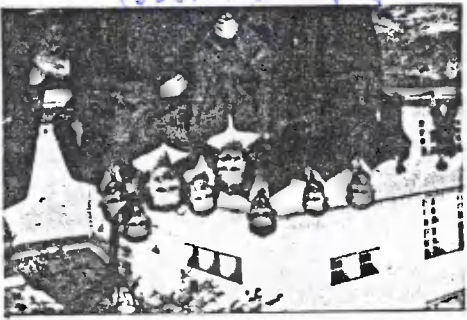
Żukowski
Chomiczówna
Cegiełkówna
Skrzyrkowska
Mizgierówna
Chrulówna

Klasa IIc Gimnazjum im. Karola Choćkiewicza w Lidzie z ks. Józefem Alchimowiczem





Молодцы в 1989!





LIGA OBRONY POWIETRZNEJ I PRZECIWGAZOWEJ
STOWARZYSZENIE WYŻSZEJ UŻYTECZNOŚCI
pod Wysokim Protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej

Okrag Wojewódzki *Nowogrodzki* 30 dn. *maj* 1939 r.
Obwód Powiatowy *Lidzki*

Nr. 48/39



ZAŚWIADCZENIE

P. *Stankiewicz Joanna*

przesłuchała *16* godz. Kurs Informacyjny OPLG w *Lidzie*

Zygmunt Chanki

J. Chasnowski
Instruktor obwodowy OPLG

H. Krawiec
Dyrektor Szkoły



ŚWIADECTWO

UKOŃCZENIA METODYCZNEGO KURSU DLA WYKŁADOWCÓW MASOWEGO NAUCZANIA JĘZYKA ROSYJSKIEGO

Obywatel(ka) Ławutczak Joanna
urodzony(a) 26 lipca 1920 r. w Lidzie ZSRR

uczęszczał na 100-godzinny metodyczny kurs dla wykładowców masowego nauczania języka rosyjskiego zorganizowany w Gdyni przez

PREZYDIUM WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ WYDZIAŁ OŚWIATY W GDAŃSKU

w czasie od 19 listopada 1953 r. do 30 grudnia 1953 r.

i złożył przewidziany egzamin otrzymując oceny:

- z nauki o Konstytucji P. R. L. dobry
- z wiadomości o Z. S. R. R. dobry
- z metodyki nauczania języka rosyjskiego. dobry
- z literatury radzieckiej dobry
- z gramatyki języka rosyjskiego bardzo dobry

OGÓLNY WYNIK dobry

Kierownik Kursu

Kulowicz



Kierownik Oddziału O. D.

Prezydium W. R. N.

A. Forwick

Gdynia, dnia 30 grudnia 1953 r.

Państwowe Gimnazjum Koedunacyjne
im. hetm. Karola Chodkiewicza w Lidzie
Wydział (Typ) humanistyczny
Nr 33 Rok szkolny 1934/35

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stankiewiczówna Joanna
urodzona dnia 26 lipca 1920 r. w Lidzie
(powiat: lidzki), religii (wyznania) rymsko-Kat.,
uczenia klasy drugiej „C” otrzymuje za rok szkolny 1934/35
stopnie następujące:

ze sprawowania się	<u>bardzo dobry</u>
z nauki religii	<u>bardzo dobry</u>
„ „ języka polskiego	<u>dostateczny</u>
„ „ języka łacińskiego	<u>dobry</u>
„ „ języka greckiego	_____
„ „ kultury klasycznej	_____
„ „ języka <u>franc.</u>	<u>bardzo dobry</u>
„ „ języka	_____
„ „ historii	<u>bardzo dobry</u>
„ „ geografji	<u>dobry</u>
„ „ przyrodoznawstwa	<u>dostateczny</u>
„ „ fizyki z chemją	_____
„ „ matematyki	<u>dobry</u>
„ „ propedeutyki filozofji	_____
„ „ higieny	_____
„ „ rysunku	_____
„ „ śpiewu i muzyki	_____
„ „ pracy ręcznej	<u>dobry</u>
„ „ pisma	_____
„ „ ćwiczeń cielesnych	<u>bardzo dobry</u>

z nauki przedmiotów nadobowiązkowych, a mianowicie:

ze *spiewu*

dobry

Liczba opuszczonych godzin szkolnych *7*, z czego nie usprawiedliwiono *2*

Liczba spóźnień *2*, z czego nie usprawiedliwiono *2*

Wynik ogólny

dobry

W

Lidzie

, dnia

13 czerwca

19 *35* r.

Stoleczys

Opiekun klasy



W. Białokoz

Dyrektor - Przełożona



S K A L A		S T O P N I:		
ze sprawowania się .	bardzo dobry	dobry	odpowiedni	nieodpowiedni
z nauki przedmiotów .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny
wynik ogólny .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny

Państwowe Gimnazjum *koedukacyjne*
im. *hetm. Karola Chodkiewicza* w *Lidzie*
Wydział (Typ) *humanistyczny*
Nr *29* Rok szkolny *1935/36*

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stankiewiczówna Joanna
urodzona dnia *26 lipca* 1920 r. w *Lidzie*
(powiat: *lidzki*), religii (wyznania) *rzymsko-Katol.*;
uczenia klasy *trzeciej - c* otrzymuje za pierwsze półrocze
roku szkolnego *1935/36* stopnie następujące:

ze sprawowania się	<i>bardzo dobry</i>
z nauki religii	<i>bardzo dobry</i>
" " języka polskiego	<i>dostateczny</i>
" " języka łacińskiego	<i>dostateczny</i>
" " języka greckiego	_____
" " kultury klasycznej	_____
" " języka _____	_____
" " języka <i>franc.</i>	<i>bardzo dobry</i>
" " historii	<i>bardzo dobry</i>
" " geografji	<i>dobry</i>
" " przyrodoznawstwa	_____
" " fizyki z chemją	<i>dobry</i>
" " matematyki	<i>dobry</i>
" " propedeutyki filozofji	_____
" " higieny	_____
" " rysunku	_____
" " śpiewu i muzyki	_____
" " pracy ręcznej	<i>dobry</i>
" " pisma	_____
" " ćwiczeń cielesnych	<i>dobry</i>

Swiat. 0.50
Luzet. 0.40.

z nauki przedmiotów nadobowiązkowych, a mianowicie:

z *epicuru* *dobry*
.....
.....

Liczba opuszczonych godzin szkolnych 5, z czego nie usprawiedliwiono.....

Liczba spóźnień....., z czego nie usprawiedliwiono.....

W *Lidzie* , dnia *19 grudnia* 1935 r.

Kalcewski
Opiekun..... klasy



Dyrektor — Przełożona

W. Białokoz



S K A L A S T O P N I:				
ze sprawowania się .	bardzo dobry	dobry	odpowiedni	nieodpowiedni
z nauki przedmiotów .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny
wynik ogólny . . .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny

Państwowe Gimnazjum *kaedukacyjne*
im. *hetm. Karola Chodkiewicza* w *Lidzie*
Wydział (Typ) *humanistyczny*

Nr *33.*

Rok szkolny *1934/35*

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stankiewiczówna Joanna

urodzona dnia *26 lipca* 19*20* r. w *Lidzie*
(powiat: *lidzki*), religji (wyznania) *rymsko-Katol.*
uczeń klasy *drugiej - c* otrzymuje za pierwsze półrocze
roku szkolnego *1934/35* stopnie następujące:

ze sprawowania się	<i>bardzo dobry</i>
z nauki religji	<i>—</i>
" " języka polskiego	<i>dostateczny</i>
" " języka łacińskiego	<i>dobry</i>
" " języka greckiego	<i>—</i>
" " kultury klasycznej	<i>—</i>
" " języka <i>franc.</i>	<i>bardzo dobry</i>
" " języka	<i>—</i>
" " historii	<i>dobry</i>
" " geografji	<i>dobry</i>
" " przyrodoznawstwa	<i>dostateczny</i>
" " fizyki z chemją	<i>—</i>
" " matematyki	<i>dobry</i>
" " propedeutyki filozofji	<i>—</i>
" " higieny	<i>—</i>
" " rysunku	<i>—</i>
" " śpiewu i muzyki	<i>—</i>
" " pracy ręcznej	<i>dobry</i>
" " pisma	<i>—</i>
" " ćwiczeń cielesnych	<i>dobry</i>

z nauki przedmiotów nadobowiązkowych, a mianowicie:

z e *s'piewu* *dobry*
.....
.....

Liczba opuszczonych godzin szkolnych....., z czego nie usprawiedliwiono.....

Liczba spóźnień....., z czego nie usprawiedliwiono.....

W *Lidzie*, dnia *20 grudnia* 19*34* r.

Kalceris
Opiekun..... klasy



W Białokoz
Dyrektor - Przewoźna



S K A L A S T O P N I:				
ze sprawowania się .	bardzo dobry	dobry	odpowiedni	nieodpowiedni
z nauki przedmiotów .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny
wynik ogólny . . .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny

Państwowe Gimnazjum *Koedukacyjne*
 im. *Helena K. Chodkiewicz* w *Siedlic*
 Wydział (Typ) *humanistyczny*
 Nr *30* Rok szkolny *1936/37*

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stanisławowi *Jaama*
 urodzonego dnia *26 lipca* *1920* r. w *Siedlic*
 (powiat: *Siedlic*), religii (wyznania) *R.-kat.*
 uczennica klasy *czwartej* otrzymuje za pierwsze półrocze
 roku szkolnego *1936/37* stopnie następujące:

ze sprawowania się	<i>bardzo dobry</i>
z nauki religii	<i>nieklasifikowany</i>
„ „ języka polskiego	<i>dobry</i>
„ „ języka łacińskiego	<i>dostateczny</i>
„ „ języka greckiego	<i>/</i>
„ „ kultury klasycznej	<i>/</i>
„ „ języka	<i>/</i>
„ „ języka <i>franc.</i>	<i>dobry</i>
„ „ historii	<i>/</i>
„ „ geografii	<i>dobry</i>
„ „ przyrodoznawstwa	<i>dostateczny</i>
„ „ fizyki z chemią	<i>dobry</i>
„ „ matematyki	<i>dostateczny</i>
„ „ propedeutyki filozofii	<i>/</i>
„ „ higieny	<i>/</i>
„ „ rysunku	<i>/</i>
„ „ śpiewu i muzyki	<i>/</i>
„ „ pracy ręcznej	<i>dostateczny</i>
„ „ pisma	<i>/</i>
„ „ ćwiczeń cielesnych	<i>dobry</i>

z nauki przedmiotów nadobowiązkowych; a mianowicie:

z rysunku dobry

Liczba opuszczonych godzin szkolnych 83, z czego nie usprawiedliwiono

Liczba spóźnień 1, z czego nie usprawiedliwiono 1

W Łodzi, dnia 22 grudnia 1936 r.

h. Popkówna
Opiekun..... klasy



P. Staniński
Dyrektor — Przewodzący

22

S K A L A		S T O P N I		
ze sprawowania się	bardzo dobry	dobry	odpowiedni	nieodpowiedni
z nauki przedmiotów	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny
wynik ogólny	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny



liceum
ŚWIADECTWO GIMNAZJUM
OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO

Stankiewicz Joanna
(nazwisko i imię)

urodzona dnia *26 lipca* 19*20* r. w *Lidzie*
powiatu *lidzkiego* religii (wyznania) *rzym.-kat.*,
uczęszczała do klasy *piątej liceum* i otrzymała za rok szkolny 19*37/38*

oceny następujące:

sprawowanie	<i>bardzo dobry</i>
religia	<i>dobry</i>
język polski	<i>dostateczny</i>
język łaciński	<i>dobry</i>
język <i>francuski</i>	<i>dostateczny</i>
historia	<i>dobry</i>
geografia	<i>/</i>
biologia	<i>dostateczny</i>
fizyka i chemia	<i>dobry</i>
matematyka	<i>dostateczny</i>
przysposobienie wojskowe	<i>dostateczny</i>
zajęcia praktyczne	<i>/</i>
ćwiczenia cielesne	<i>dostateczny</i>
<i>Zagadnienia życia społecznego</i>	<i>dobry</i>

przedmioty nadobowiązkowe:

mnyma i spien
rysunek
/

bardzo dobry
dobry
/

Opuścił a dni szkolnych 19, u tym nie usprawiedliwiono ~

Uchwałą Rady Pedagogicznej ~ otrzymał a. promocję do klasy drugiej

Państwowe Liceum i Gimnazjum im. hetm. J. Karola
Chadkiewicza w Lidzie

dnia 21 czerwiec 1938 r.

Nr 14

P. Jasnowicz
Opiekun ~ klasy



H. M. ...
Dyrektor - ~~Przełożona~~

Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

col. J. F.

Państwowe Gimnazjum *Koedukacyjne*
im. *Hetm. Karola Chodkiewicza* w *Lidzie*
Wydział (Typ) *humanistyczny*

Nr. *36*

Rok szkolny *1933/34*

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stankiewiczówna Joanna
urodzona dnia *26 lipca* 19*20* r. w *Lidzie*
(powiat:), religii (wyznania) *rym - katol.*
uczeń klasy *piętno* otrzymuje za rok szkolny *1933/34* stopnie następujące:

ze sprawowania się	<i>bardzo dobry</i>
z nauki religii	<i>bardzo dobry</i>
" " języka polskiego	<i>dobry</i>
" " języka łacińskiego	<i>dobry</i>
" " języka greckiego	/
" " kultury klasycznej	/
" " języka <i>francuskiego</i>	<i>bardzo dobry</i>
" " języka	/
" " historii	<i>bardzo dobry</i>
" " geografji	<i>dobry</i>
" " przyrodoznawstwa	<i>dobry</i>
" " fizyki	/
" " chemji	/
" " matematyki	<i>dobry</i>
" " propedeutyki filozofji	/
" " higjeny	/
" " rysunku	/
" " śpiewu i muzyki	/
" " pracy ręcznej	<i>bardzo dobry</i>
" " pisma	/
" " ćwiczeń cielesnych	<i>bardzo dobry</i>

z nauki przedmiotów nadobowiązkowych, a mianowicie:

z e. spiewu bardzo dobry
.....
.....

Liczba opuszczonych godzin szkolnych 25, z czego nie usprawiedliwiono 1

Liczba spóźnień 4, z czego nie usprawiedliwiono 2

Wynik ogólny bardzo dobry

W Lidzie, dnia 12 czerwca 1934.r.

L. Mucencka
Opiekunka klasy



M. Bilko
Dyrektor — Przełożona

DYREKTOR
WYŻSZEJ SZKOŁY
W LIDZIE
12 czerwca 1934 r.

S k a l a s t o p n i:				
ze sprawowania się . .	bardzo dobry	dobry	odpowiedni	nieodpowiedni
-z nauki przedmiotów . .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny
wynik ogólny	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny

Państwowe Gimnazjum *Koedukacyjne*
im. *Hetm. Karola Chodkiewicza* w *Lidzie*
Wydział (Typ) *humanistyczny*

Nr. *36*

Rok szkolny *1933/34*

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stankiewiczówna Joanna
urodzona dnia *26 lipca* 19*20* r. w *Lidzie*
(powiat:), religii (wyznania) *rym. katol.*
uczeń klasy *pierwszej* otrzymuje za pierwsze półrocze roku szkolnego *1933/34*
stopnie następujące:

ze sprawowania się	<i>bardzo dobry</i>
z nauki religii	<i>dobry</i>
" " języka polskiego	<i>dobry</i>
" " języka łacińskiego	<i>/</i>
" " języka greckiego	<i>/</i>
" " kultury klasycznej	<i>/</i>
" " języka <i>francuskiego</i>	<i>dostateczny</i>
" " języka	<i>/</i>
" " historii	<i>bardzo dobry</i>
" " geografji	<i>dobry</i>
" " przyrodoznawstwa	<i>dobry</i>
" " fizyki	<i>/</i>
" " chemji	<i>/</i>
" " matematyki	<i>dobry</i>
" " propedeutyki filozofji	<i>/</i>
" " higieny	<i>/</i>
" " rysunku	<i>/</i>
" " śpiewu i muzyki	<i>/</i>
" " pracy ręcznej	<i>dobry</i>
" " pisma	<i>/</i>
" " ćwiczeń cielesnych	<i>bardzo dobry</i>

z nauki przedmiotów nadobowiązkowych, a mianowicie:

ze *spiewa* *dobry*

Liczba opuszczonych godzin szkolnych *13*, z czego nie usprawiedliwiono.....

Liczba spóźnień *2*, z czego nie usprawiedliwiono *1*

W *Lidzie*, dnia *19 grudnia* 19*33* r.

L. H. Twerewski

Opiekun *klasy*



W. Białobok

Dyrektor — Przewodząca



S k a l a s t o p n i:				
ze sprawowania się. . .	bardzo dobry	dobry	odpowiedni	nieodpowiedni
z nauki przedmiotów . . .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny
wynik ogólny	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny

Mi^oklasowa Publiczna Szkoła Powszechna
Gabriela Narutowicza
w Lidzie (powiat: lidzki).

Nr. 29

Rok szkolny 1932/3.

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stanisławowi *Janowi*
urodzonego dnia 26 lipca 1920 r. w Lidzie
(powiat: lidzki), religii (wyznania) rzymsko-katolickiej
ucznika oddziału 3-go otrzymuje za rok szkolny 1932/3.

stopnie następujące:

ze sprawowania się	bardzo-dobry	
z nauki religii	dobry	
.. .. języka polskiego	dobry	
.. .. języka francuskiego	dostateczny	
.. .. języka	
.. .. rachunków z geometrią	dobry	
.. .. przyrody,	z przyrody żywej . z fizyki i chemji . z higieny .	dostateczny	
a mianowicie:			
.. .. geografji i nauki o Polsce współczesnej			dobry
.. .. historii	dobry	
.. .. rysunków	dobry	
.. .. robót ręcznych	
.. .. śpiewu	dostateczny	
.. .. ćwiczeń cielesnych	bardzo-dobry	
.. .. robót kobiecych	dostateczny	
..	

Liczba opuszczonych ^{dni} ~~godzin~~ szkolnych 1, z czego nie usprawiedliwiono
Liczba spóźnień .., z czego nie usprawiedliwiono ..

Wynik ogólny .. dobry ..

w Lidzie dnia 14 czerwca 1933 r.

Maryja Sikora
Opiekun oddziału



Stanisław Sikora
Kierownik szkoły

S k a l a s t o p n i:

ze sprawowania się . . .	bardzo dobry	dobry	odpowiedni	nieodpowiedni
z nauki przedmiotów . . .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny
wynik ogólny	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny

Liechnio-klasowa Publiczna Szkoła Powszechna
Jabłyka Sametowice,
w *Liechnie* (powiat: *Liecki*).

Nr. *99*

Rok szkolny 1932/33

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stanisław *Yocanne*
urodzon dnia *26 lipca* 1920 r. w *Liechnie*
(powiat: *Liecki*), religii (wyznania) *Przymśko Katol.*
uczeń *I* oddziału *niższego* otrzymuje za pierwsze półrocze
roku szkolnego 1932/33 stopnie następujące:

ze sprawowania się	<i>dobre</i>
z nauki religii	<i>dobre</i>
„ „ języka polskiego	<i>dobry</i>
„ „ języka <i>francuskiego</i>	<i>dobry</i>
„ „ języka	<i>z</i>
„ „ rachunków z geometrią	<i>dobry</i>
„ „ przyrody, z przyrody żywej	<i>z</i>
„ „ a mianowicie: z fizyki i chemji	<i>dostateczny</i>
„ „ z higieny	<i>z</i>
„ „ geografji i nauki o Polsce współczesnej	<i>dobry</i>
„ „ historii	<i>dobry</i>
„ „ rysunków	<i>dostateczny</i>
„ „ robót ręcznych	<i>z</i>
„ „ śpiewu	<i>dostateczny</i>
„ „ ćwiczeń cielesnych	<i>dobry</i>
„ „ robót kobiecych	<i>dobry</i>
„ „	

Liczba opuszczonych godzin szkolnych *—*, z czego nie usprawiedliwiono *—*

Liczba spóźnień *—*, z czego nie usprawiedliwiono *—*

w *Liechnie*, dnia *22* *grudnia* 19 *32*.

M. Piłecki
Opiekun oddziału

Henryk Stefaniak
Kierownik szkoły



Cell

Siedmio -klasowa Publiczna Szkoła Powszechna
Gabryela Narutowicza 42
w Lidzie (powiat: lidzki).

Nr. _____

Rok szkolny 1932/____

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stankiewiczówna Joanna
urodzona dnia 26 lipca 1920 r. w Lidzie
(powiat: lidzki), religii (wyznania) Przymusko-Katol.
uczeń 1ca oddziału piątego otrzymuje za pierwsze półrocze
roku szkolnego 1931/32 stopnie następujące:

ze sprawowania się	<u>bardzo dobry</u>
z nauki religii	<u>bardzo dobry</u>
„ „ języka polskiego	<u>dobry</u>
„ „ języka <u>francuski</u>	<u>dostateczny</u>
„ „ języka	<u>7</u>
„ „ rachunków z geometrią	<u>dobry</u>
„ „ przyrody, z przyrody żywej	<u>dobry</u>
„ „ a mianowicie: z fizyki i chemji	<u>7</u>
„ „ z higieny	<u>7</u>
„ „ geografji i nauki o Polsce współczesnej	<u>dobry</u>
„ „ historii	<u>dobry</u>
„ „ rysunków	<u>dostateczny</u>
„ „ robót ręcznych	<u>7</u>
„ „ śpiewu	<u>dostateczny</u>
„ „ ćwiczeń cielesnych	<u>dobry</u>
„ „ robót kobiecych	<u>bardzo dobry</u>
„ „ _____	_____

Liczba opuszczonych ^{dni} godzin szkolnych 9, z czego nie usprawiedliwiono _____

Liczba spóźnień _____ z czego nie usprawiedliwiono _____

w Lidzie, dnia 30 stycznia 1932 r.

M. Piłicka
Opiekun oddziału



Koworka Kępczyńska
Kierownik szkoły

Coll. G. P.

Coll. G. P.

2-klasowa Publiczna Szkoła Powszechna
ul. Gabriela Narutowicza
w Lidzie (powiat: Lida)

Nr. 374

Rok szkolny 1930/31

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stankiewiczówna Joanna
urodzona dnia 26 sierpnia 1920 r. w Lidzie
(powiat: Lidzki), religji (wyznania) rym.-kat.
uczenia oddziału czwartego otrzymuje za rok szkolny 1930/31

stopnie następujące:

ze sprawowania się		dobry
z nauki religji		dobry
" " języka polskiego		dostateczny
" " języka		—
" " języka		—
" " rachunków z geometrią		dobry
" " przyrody,	z przyrody żywej . . . z fizyki i chemji . . . z higieny . . .	dostateczny
a mianowicie:		—
		—
" " geografji i nauki o Polsce współczesnej		dobry
" " historii		dobry
" " rysunków		dostateczny
" " robót ręcznych		dostateczny
" " śpiewu		dostateczny
" " ćwiczeń cielesnych		dobry
" " robót kobiecych		dobry
" "		—

Liczba opuszczonych godzin szkolnych 5, z czego nie usprawiedliwiono 2

Liczba spóźnień 2, z czego nie usprawiedliwiono 1

Wynik ogólny dobry

W Lidzie, dnia 28 czerwca 1931 r.

J. Nowicki
Opiekun oddziału



Horroba Stefani
Kierownik szkoły

7-klasowa Publiczna Szkoła Powszechna
Nr. 2. Stanisław Gabriela Staniszewicz
w Lidzie (powiat: Lidzki).

Nr. 374

Rok szkolny 1930/31.

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Staniszewicz Joanna
urodzona dnia 26 sierpnia 1920 r. w Lidzie
(powiat: Lidzki), religii (wyznania) rym.-kat.
uczennia oddziału ewangelicznego otrzymuje za pierwsze półrocze
roku szkolnego 1930/31 stopnie następujące:

ze sprawowania się		dobry
z nauki religii		dobry
" " języka polskiego		dobry
" " języka		dobry
" " języka		dobry
" " rachunków z geometrią		dobry
" " przyrody,	z przyrody żywej	dobry
a mianowicie:	z fizyki i chemii	dobry
	z higieny	dobry
" " geografii i nauki o Polsce współczesnej		dobry
" " historii		dobry
" " rysunków		dostateczny
" " robót ręcznych		dostateczny
" " śpiewu		dostateczny
" " ćwiczeń cielesnych		dobry
" " robót kobiecych		dobry

Liczba opuszczonych godzin szkolnych 0, z czego nie usprawiedliwiono 0

Liczba spóźnień 0, z czego nie usprawiedliwiono 0

w Lidzie, dnia 30 sierpnia 1931 r.

J. Nosowiczowa
Opiekun Oddziału



Staniszewicz
Kierownik szkoły

Siedunio -klasowa Publiczna Szkoła Powszechna

w *Lioke*

(powiat: *Lioke*)

Nr. *235*

Rok szkolny *1929/30.*

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stankiewiczówna Joanna

urodzona dnia *26 lipca* 1920 r. w *Lioke*

(powiat: _____), religii (wyznania) *rym.-kat.*

uczenica oddziału *trzeciego* otrzymuje za pierwsze półrocze roku szkolnego *1929/30.* stopnie następujące:

ze sprawowania się

bardzo dobry

z nauki religii

dobry

języka polskiego

dostateczny

języka

języka

rachunków z geometrią

dobry

przyrody,

z przyrody żywej

dobry

a mianowicie:

z fizyki i chemji

z higieny

geografji i nauki o Polsce współczesnej

dobry

historji

dostateczny

rysunków

dostateczny

robót ręcznych

dostateczny

śpiewu

dobry

ćwiczeń cielesnych

dobry

robót kobiecych

dostateczny

Liczba opuszczonych godzin szkolnych *10*, z czego nie usprawiedliwiono *4*

Liczba spóźnień *4*, z czego nie usprawiedliwiono *4*

w *Lioke*

dnia *30 stycznia*

1930 r.

J. Nowowieżowa
Opiekunka oddziału



Stawowska Stefania
Kierownik szkoły

Siedmioklasowa Publiczna Szkoła Powszechna

w. Lidzie (powiat: Lidzki) N=4

Nr. 139

Rok szkolny 1928/29

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stanisławowa Joanna
urodzona dnia 26 lipca 1920 r. w Lidzie
(powiat: Lidzki), religii (wyznania) rym.-kat.
uczeń oddziału drugiego otrzymuje za rok szkolny 1928/29

stopnie następujące:

ze sprawowania się		bardzo dobry
z nauki religii		bardzo dobry
" " języka polskiego		dostateczny
" " języka		—
" " języka		—
" " rachunków z geometrią		dobry
" " przyrody, a mianowicie: { z przyrody żywej		—
z fizyki i chemii		—
z higieny		—
" " geografji i nauki o Polsce współczesnej		—
" " historii		—
" " rysunków		dostateczny
" " robót ręcznych		dostateczny
" " śpiewu		dostateczny
" " ćwiczeń cielesnych		dobry
" " robót kobiecych		—
" "		—

Liczba opuszczonych godzin szkolnych 30, z czego nie usprawiedliwiono /

Liczba spóźnień /, z czego nie usprawiedliwiono /

Wynik ogólny dostateczny

W Lidzie, dnia 28 czerwca 1929 r.

Opiekun oddziału Stanisławowa Joanna



Kierownik szkoły Stanisławowa Stefani

Siedmio -klasowa Publiczna Szkoła Powszechna
im. *T. Kościuski*
w *Lidzie* (powiat:))

Nr.

Rok szkolny 19 *27/28*

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Stanisławowa Joanna
urodzona dnia *26 lipca* 19*20* r. w *Lidzie*
(powiat:)), religii (wyznania) *Rzymo katolickiego*,
uczeń oddziału *piętnego* otrzymuje za *piętno* półrocze
roku szkolnego 19 *27/28* stopnie następujące:

ze sprawowania się	<i>bardzo dobry</i>
z nauki religii	<i>dobry</i>
" " języka polskiego	<i>dostateczny</i>
" " języka	/
" " języka	/
" " rachunków z geometrią	<i>dostateczny</i>
" " przyrody, { z przyrody żywej	/
a mianowicie: { z fizyki i chemii	/
z higieny	/
" " geografii i nauki o Polsce współczesnej	/
" " historii	/
" " rysunków	<i>dostateczny</i>
" " robót ręcznych	<i>dostateczny</i>
" " śpiewu	<i>dobry</i>
" " ćwiczeń cielesnych	<i>dostateczny</i>
" " robót kobiecych	/
" "	/

Liczba opuszczonych ^{*dni*} godzin szkolnych *12*, z czego nie usprawiedliwiono

Liczba spóźnień, z czego nie usprawiedliwiono

Wynik ogólny *dostateczny*

W *Lidzie* dnia *30 stycznia* 19 *28* r.

A. Karwowski
Opiekun oddziału

M. Kierowni
Kierownik szkoły



Ames. + 3 skł.



Prywatne Gimnazjum Męskie
im. Adama Mickiewicza
w Poznanii

Zarządzeniem z dnia 11 V 1930 Nr 11 2117/30 Minister Wyznań Religijnych
i Oświecenia Publicznego nadał Prywatnemu Gimnazjum
Męskiemu im. Adama Mickiewicza
w Poznanii uprawnienia państwowych gimnazjów ogólnokształcących.

Nr 9/156

Rok szkolny 1937/8

ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA GIMNAZJUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO.

Leonard Januszczak

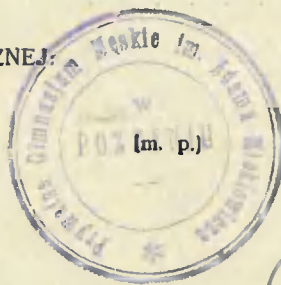
(Imię i nazwisko)

urodzony dnia 4 listopada 1921 r. w Poznanii,
powiatu....., religii (wyznania) rym.-kat.,
przyjęty do klasy pierwszej w dniu 1 września
1934 r., ukończył w 1938 r. naukę w zakresie programu gimnazjum
ogólnokształcącego, zorganizowanego na zasadach art. 20 ustawy z dnia
11 marca 1932 r. o ustroju szkolnictwa (Dz. U. R. P. Nr 38, poz. 389).

W Poznanii, dnia 2/ września 1938 r.

DYREKTOR - PRZEŁOŻONA

CZŁONKOWIE RADY PEDAGOGICZNEJ:



Włodzisław

Pawel Rozko
K. Larecki

J. Lalecki
J. Koleszka

M. Dr. Ręba M. Węgrzyn

Blasiuszowski
W. Zwartadziejowski
W. W.

M. Brański

Sign. G. U. P. 1.